



Gorący romans z różnicą wieku! Studentka i pan psycholog.

GOODBYE, *Love*

Winter Love #1

MARTYNA KELLER



CORALEE JUNE

MALICE

MALICE MAFIA #1

TŁUMACZENIE

AGNIESZKA NIKCZYŃSKA-WOJCIECHOWSKA

OŚWIĘCIM 2022

Dla wszystkich posiadaczy nawet tych najbardziej naiwnych marzeń



PROLOG



LOVE

– Romantyczne gównno.

Kayden zerka na mnie kątem oka, nadal jednak sprawnie przelewając colę do wysokich, papierowych kubków. Gdy kończy, podaje je stojącej po drugiej stronie lady parze i życzy im miłego seansu, jak gdyby oglądanie tego ścieku, mogło okazać się jakimś cudem miłe.

Umówmy się: *nie mogłoby*.

– Gdy jesteś zmęczona, robisz się zrzędliva, Love. – Chłopak uśmiecha się kącikiem ust i zerka na ekran własnego telefonu. – Jeszcze dziesięć minut do końca zmiany. Wytrzymasz.

– Nie jestem zrzędą. Jestem szczerą.

– I wszystkie romantyczne filmy oceniasz przez pryzmat swojego braku życia miłosnego. – Kayden wywraca oczami, wyraźnie rozbawiony.

Patrzę na niego spod przymrużonych powiek.

– To nieprawda. Po prostu mam za dobry gust, by podniecać się tym, że dwoje ludzi najpierw połyka się na wielkim ekranie, a potem kłamie sobie w żywe oczy, zdradza się pod przykrywką „chwili słabości”, rozchodzi się i schodzi przynajmniej trzydzieści sześć razy w ciągu zaledwie dwóch godzin, a potem kończy z trójką dzieci – bąkam. – To nudne.

– Burzliwa miłość sprzedaje się najlepiej... – słyszę w odpowiedzi. – Love.

– Jest przereklamowana. I w większości przypadków promuje toksyczne relacje.

– Ludzie to kupują. – Kay wzrusza ramionami.

– Ludzie są beznadziejni.

– To też prawda – wzdycha mój rozmówca. – Idź już. Wyglądasz, jakby ta zmiana serio wysssała z ciebie całą energię, a ja nie chcę cię mieć na sumieniu. Sam poradzę sobie z ogarnięciem tego syfu.

Krzywię się i odwracam głowę w stronę niewielkiego lustra. W jego odbiciu dostrzegam swoje własne wykończone oblicze. Błede policzki, mętne oczy i niesforne kosmyki włosów rozsypane po całej twarzy. Dobra, rzeczywiście powinnam odpocząć po tym kilkudniowym maratonie w pracy. Swoim wyglądem przypominam zombie.

– Na pewno? – upewniam się. – Dasz sobie radę beze mnie?

Kayden kiwa głową bezpretensjonalnie.

– Na pewno. Na razie, Love.

Odpowiadam mu słabym uśmiechem. Ściągam z siebie fartuch i ruszam w stronę wyjścia na zaplecze. Stamtąd zgarniam swój płaszcz i torebkę, a potem z westchnieniem kieruję się w stronę drzwi, za którymi znajdują się schody prowadzące na parking. Tuż za nim mogę ujrzyć wcale nie zatłoczony o tej porze przystanek.

Szybko wsiadam do nadjeżdżającego autobusu, uciekając przed proszącym śniegiem. Z mokrymi włosami zapewne wyglądałabym jeszcze gorzej, niż rzeczywiście wyglądam. Podróż mija mi spokojnie. Po upływie standardowych kilkunastu minut docieram do domu.

I cóż. Zdecydowanie zaskakuje mnie widok, który tam zastaję. Druga połowa bliźniaka, w którym mieszkam, do tej pory była pusta. Po śmierci starszej pani Hughes niespecjalnie ktoś chciał się tutaj wprowadzać. A teraz, widząc na sąsiednim podjeździe dużego range rovera, domyślam się, że ktoś jednak postanowił pobawić się w mojego sąsiada. Ciekawe, kto to jest.

Może rodzina? Oby nie, pewnie mają dzieci.

Kręcę głowę z niesmakiem i kończę ze snuciem teorii, bo każda kolejna byłaby chyba gorsza od poprzedniej. Powolnym krokiem ruszam do drzwi. Kiedy jestem już w ciepłym mieszkaniu, zaciągam

się znajomym zapachem i zrzucam z siebie ubrania. Biorę szybki prysznic, sprawdzam swój plan jutrzejszych zajęć na uczelni, a potem, już w sypialni, zakopuję się pod kołdrą z zamiarem odespania ostatnich dni.

No właśnie.

Robię to z pieprzonym zamiarem.

Otwieram oczy, gdy słyszę, jak coś uderza w ścianę, przy której znajduje się moje łóżko. Mebel drży niespokojnie, a walenie nie ustaje przez kilka dobrych sekund. Mrugam powoli, próbując zrozumieć, co się tutaj, u licha, dzieje.

– Przestań... – Kobięcy śmiech wydaje się odrobinę stłumiony, ale przy tym wciąż dobrze słyszalny.

No to są chyba jakieś jaja, myślę.

– To łaskocze... – Słyszę kolejny chichot.

Nie, nie, nie. Przyciskam poduszkę do ucha i udaję, że nic się nie dzieje. Próbuję myśleć o czymś przyjemnym, ale na próżno, bo znowu czuję, jakby ktoś kołysał moim łóżkiem. Mebel przesuwają się delikatnie w przód i w tył, a dźwięk uderzeń w ścianę przebija się nawet przez mój pancerz stworzony z poduszki.

Przez chwilę leżę całkiem nieruchomo. Dociskam poduszkę jeszcze mocniej, ale to wcale nie pomaga, bo wrażenie, jakbym dryfowała na morzu, trzyma się mnie jak rzep. Nie mogę mu się oprzeć, kiedy uderzenia przesuwają mnie raz po raz w górę i w dół. Jęczę przeciągle, błagając wszelkie istniejące bóstwa, by moje katusze się już skończyły.

Prędko jednak uświadamiam sobie, że to marzenie ściętej głowy. Szlag, gdybym mogła, ścięłabym ją teraz temu pajacowi, który tak bezwstydnie zabawia się tuż pod moim nosem.

– Kurwa – klnę w pewnym momencie, porządnie wytracona z równowagi.

Kolejna porcja znajomych odgłosów jest jak uderzenie w twarz. Matko. Naprawdę staram się nie myśleć o tym, co dzieje się w sąsiednim mieszkaniu, ale kobięcy chichot jedynie zaognia zirytowanie, które przepływa przez moje żyły.

Rozglądam się po pokoju, w którym panuje ciemność. Sama nie wiem, czego tak uparcie szukam. Chyba po prostu próbuję nie myśleć o tym, że ktoś ostro pieprzy się za ścianą. Te dźwięki są jednoznaczne. Moi sąsiedzi to bezwstydne zwierzęta. To pieprzone dzikusy. Nie wiem, czy mają świadomość, jak cienkie są ściany w tym budynku, ale ja właśnie się o tym dobitnie przekonuję.

Przecieram dłońmi twarz. Kiedy już myślę, że to wszystko ustało, znowu słyszę jednostajne stukanie. Przewracam oczami. Jestem śpiąca i wykończona, ostatnie, na co mam ochotę, to zabawa w zgadywanie, czy moi nowi sąsiedzi kiedykolwiek dadzą mi zwyczajnie zasnąć.

– Koniec? – wzdycham z nadzieją.

Z nadzieją, która szybko gaśnie.

Biorę głęboki wdech nosem. Jestem półprzytomna, gdy wstaję i podchodzę do głośników znajdujących się naprzeciwko łóżka. Panele pod moimi bosymi stopami drżą, kiedy pokonuję dystans, jaki mnie od nich dzieli. Niewiele myśląc, włączam muzykę klasyczną i pogłaśniam ją. Jeśli to ma zagłuszyć te kobięce stęki i walenie w ścianę, to jestem skłonna słuchać jej przez całą noc.

Ponownie zatapiając się w pościeli i zasypiam z lekkim trudem.

Budzi mnie dziwne przeczucie, że nie jestem sama w swojej własnej sypialni. I, o Boże. Gdy tylko otwieram powoli oczy, dostaję chyba pierdolonej zapaści, widząc w mroku zarys wysokiej sylwetki faceta, stojącego przy moich przyciszonych już głośnikach. Podrywam się momentalnie do siadu i wycofuję pod ścianę, krzycząc jak wariatka do zdarcia gardła.

– Kurwa – słyszę zachrypnięty głos nieznajomego, który robi długi krok do przodu, by stanąć w snopie światła bijącego od księżyca, wpuszczonego do sypialni przez niezastłoniętą roletę okna. – Gdybym wiedział, że jesteś taka głośna, nie pakowałbym się w mieszkanie z tobą po sąsiedzku, świrusko.

Facet wsuwa dłonie do kieszeni spodni, podczas gdy ja oddycham ciężko, wpatrując się z rozchyłonymi z wrażenia ustami w drania, który bez ceregieli wparował mi do domu. Staram się

uspokoić kołatające serce, ale ono, jak na złość, dudni jeszcze szybciej na widok właściciela szarych oczu. Szarych oczu, które skanują mnie teraz bardzo, bardzo uważnie.

– No chyba sobie kpisz – wypalam, gdy udaje mi się zdusić w sobie pierwszą falę szoku. Patrzę na mężczyznę wściekle i wymierzam palec wskazujący w jego kierunku, pospiesznie wstając na nogi. – Wparowujesz tutaj jak do siebie...

– Miałeś otwarte drzwi, Panno Przeworna – przerywa mi nagle mój rozmówca, a jego słowa przesiąkają wręcz pieprzoną prowokacją.

Szyderstwo, które maluje się na jego twarzy, działa na mnie jak czerwona płachta na byka. Zaciskam usta w wąską linię i kręcę głową. Jak on śmiał mi przerwać? Co on tutaj w ogóle robi? Czy to podchodzi pod paragraf i mogę to zgłosić na policję?

– Co nie znaczy, że miałeś poczuć się jak u siebie! – unoszę się i momentalnie karczę w duchu, bo mój głos, jak na złość, staje się wyższy o przynajmniej kilka zdradzieckich oktaw.

Mężczyzna opiera się nonszalancko ramieniem o ścianę. Od razu zwracam uwagę na to, jak wysoki i dobrze zbudowany jest. Biały sweter opina jego szerokie ramiona oraz pozwala mi dojrzeć zarys rozbudowanej klatki piersiowej. Mój osobisty włamywacz ma czarne, nieco przydługie włosy, opadające mu swobodnie na czoło, oraz ładnie skrojone usta, spomiędzy których nagle wypada krótkie oraz prześmiewcze:

– Nie czuję się winny.

– A powinieneś – burczę. – Nie dajesz mi spać.

Staję tuż przed nim i zadzieram hardo brodę. Mężczyzna unosi pytająco brew, a mi na moment zasycha w gardle. Z bliska jest... wow. Przystojny. Bardzo przystojny. I bije od niego pewien rodzaj stanowczości podszytej wręcz namacalną pewnością siebie – takiej, która podpowiada mi, że ten gnojek wiecznie rozstawia wszystkich po kątach i robi to z czystą przyjemnością. Ugh, jeszcze tego mi brakowało.

Atrakcyjnego buca-kobieciarza tuż za ścianą.

– No popatrz. Przyszedłem z tym samym problemem – mruczy nisko przystojniak, a ja natychmiast odzyskuję rezon i parskam wymownie.

– Och, przepraszam, że wolę słuchać muzyki niż...

Przełykam nagle, czując zażenowanie plądrujące całe moje ciało.

Och, nie powiem tego na głos.

– Niż? – Nieznajomy znowu unosi brew, a moje policzki oblewa gorąc.

– Niż innych dźwięków dochodzących z twojego mieszkania. To niesmaczne. Obrzydliwe. I... Jezus. Jak można być takim niewyżytym zwierzęciem, co? – wypluwam zdegustowana, kładąc ofensywnie dłoń na biodrze.

Cień rozbawienia znika z twarzy mężczyzny i zostaje zastąpiony przez powagę. Facet taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów, pozostając przy tym spokojnym i opanowanym. Tak bardzo niemożliwym do rozszyfrowania. Jego twarz jest kamienna, a spojrzenie nieczytelne. Przez głowę przemyka mi myśl, że może mieć około trzydziestu pięciu lat. Z pewnością jest ode mnie dużo starszy.

Jest gorący, gdy wyobrażam go sobie w nieco innych okolicznościach jako mężczyznę, który świadomy, czego chce, wypowiada komendę, oczekując cudzej potulności. Ale ma tupet. Duży... tupet, który sprawia, że jedyne, na co mam ochotę, to kopnięcie go w interes.

– Masz problemy z agresją? – pyta neutralnym tonem, ale mogłabym przysiąc, że słyszę w nim szczyptę prowokacji.

Dopiero teraz orientuję się, że palec wskazujący, którym jeszcze przed chwilą w niego mierzyłam, wbija się oskarżycielsko w jego twardą pierś. I, szlag. Wbija się w nią naprawdę mocno. Od razu cofam dłoń.

– Nie odwracaj kota ogonem – cedzę.

– Co uważasz za niesmaczne? – dopytuje zaciekawiony nieznajomy.

Rozchyłam usta, ale szybko je zamykam.

– No...

– No?

– Boże święty. Czy możesz już wyjść z mojego mieszkania? – Przecieram dłonią twarz, a potem ponownie krzyżuję spojrzenie z tym fagasem. Jest niewzruszony i w pewien sposób wyluzowany, jakby nic, do diaska, nie zrobił.

Wow, on naprawdę nie ma wstydu.

– Wystarczy Ryder. – Cień rozbawienia przemyka przez tę jego przystojną buźkę.

Biorę głęboki wdech.

Kurwa, jaki ty jesteś irytujący.

– Spieprzaj stąd, draniu.

– Jaką mogę mieć pewność, że jak wyjdę, to dasz mi spać? – Przechyla głowę, by przyjrzeć się uważniej mojej twarzy. Szybko zaczynam czuć gorąc oblewający podbrzusze i mam ochotę zdzielić się za to po twarzy. Nie mogę tak na niego reagować, nawet jeśli uważam go za najprzystojniejszego faceta, jakiego kiedykolwiek widziałam.

– Ostrzegam cię – wypalam na jednym wdechu. – Lepiej. Stąd. Wyjdź.

Przystojniak marszczy nieznacznie czoło.

– Słucham?

– Jeśli ogłuchłeś przez moje głośniki, to było warto. – Uśmiecham się ironicznie. – Uważaj, bo nie chcesz wchodzić ze mną na wojenną ścieżkę. Nie chcesz tego – powtarzam ciszej, a dziwne napięcie wydaje się unosić gdzieś w powietrzu, gdy brunet nachyla się nade mną. Powoli, niespiesznie, leniwie.

Wszystko po to, by rzucić mi mrukliwie w usta krótkie:

– Obawiam się, że już to zrobiłem.

Jego oczy ciemnieją, zanim wychodzi i zostawia mnie samą. Samą z obietnicą, że ten zabójczo przystojny drań jeszcze mnie popamięta.

ROZDZIAŁ PIERWSZY



LOVE

Wcale nie dziwi mnie fakt, że zasnęłam.

Po nocnych ekscesach z atrakcyjnym nieznanym sen znużył mnie o wiele później, niżbym tego chciała, więc teraz, ledwie żywa, spóźniona na zajęcia i dziękująca wszelkim istniejącym bóstwom za Kaydena Gravesa, który czeka na moim podjeździe i solidaryzuje się ze mną w byciu „najbardziej niepunktualnym studentem na roku”, czuję się jednocześnie podłamana i spokojna.

Jeśli tonąć w szambie, to razem, wzdycham w duchu.

Dopijam pospiesznie herbatę, zgarniam z komody torebkę i omal nie zabijam się, przechodząc przez próg domu w swoich ukochanych butach na platformie. Śnieg prószy z nieba lawinowo, podczas gdy zamykam drzwi, odruchowo zerkając kątem oka na sąsiedni ogród. Na szczęście nie dostrzegam swojego ulubionego sąsiada. Podniesione ciśnienie z samego rana pewnie nie wpłynęłoby na mnie korzystnie.

Od razu zauważam samochód Kaydena na podjeździe. Nie mija minuta, a usadawiam się na miejscu pasażera i odrzucam torebkę na tylne siedzenia.

– Tryskasz energią, Love – zaczyna chłopak, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Poprawiam poły płaszcza, szczelniej opatulając się materiałem. Zima w Aspen bywa naprawdę mroźna.

– Daj spokój. Miałam ciężką noc. – Macham ręką w powietrzu.

Kayden wjeżdża na ulice miasta i dopiero po krótkiej chwili, kiedy staje na czerwonym świetle przed skrzyżowaniem, zerka na mnie sugestywnie, dając znać, bym kontynuowała.

– Do drugiej części budynku wprowadził się facet, przez którego nie mogłam zmrużyć oka – bąkam, wyjaśniając powód swojego złego nastroju.

– To znaczy? – Mężczyzna unosi brew. – Gra na gitarze? Ogląda głośno telewizor? Ma dzieci, które hałasują? A może...

– Kayden – przerywam mu, wypuszczając krótki, zrezygnowany oddech z płuc. – On pieprzy się z kimś za ścianą mojej sypialni.

Mój rozmówca milknie na moment. Uparcie wpatruje się w drogę i najpewniej czeka, aż powiem mu, że tylko żartowałam. Jaka szkoda, że, do diaska, wcale nie żartowałam. Jestem skazana na życie pod jednym dachem z niezłym lowelasem.

– Och. I jest aż tak... głośny? – wzdycha w końcu Kay.

– Nie, on nie... zresztą, Jezu. Nie mówmy o tym. Może dzisiaj będzie spokojniej. – Opieram rękę na drzwiach samochodu, wplatając palce we włosy.

A może będzie tylko gorzej.

– Sama w to nie wierzysz.

Przesuwam spojrzeniem po mijanych przez nas grupach ludzi spacerujących szerokimi chodnikami. Aspen zimą przyciąga prawdziwe tłumy, widok, który rozciąga się za szybą samochodu, jest tego dowodem. Większość zmierza w stronę słynnych ośrodków narciarskich, co wcale mnie nie dziwi. W końcu z nich słynie to miasto.

Odwracam głowę i znowu zerkam na profil Gravesa.

– Ten gość ma tupet. Rozumiesz, że jak gdyby nigdy nic, wszedł sobie do mojego mieszkania, żeby wyłączyć muzykę? – Zaciskam szczękę, przypominając sobie przedstawienie sąsiada.

Kayden uśmiecha się naprawdę szeroko, a ja sięgam do kieszeni płaszcza, by wyciągnąć z niej telefon.

– Odważny. Wpakował się wprost do jaskini lwa – kwituje chłopak. – Co robisz?

Wzruszam krótko ramionami i odpowiadam bez ceregieli zwykle:

– Szukam go na Instagramie.

Kierowca marszczy czoło, podczas gdy ja wstukuję w wyszukiwarkę imię i nazwisko znalezione na skrzynce pocztowej sąsiada.

– Myślałem, że masz go dość.

– Oj, Kayden. – Kręcę głową z nieukrywanym politowaniem i cmokam słodko. – Złota zasada mówi, żeby wiedzieć o swoim wrogu wszystko, a potem znaleźć byle pretekst, by wykurzyć go z mieszkania.

– Nie ma takiej zasady.

– W takim razie właśnie ją ustanawiam.

Przecucie podpowiada mi, że to dopiero początek. Ten buc nie wyglądał na faceta, który szybko odpuszcza. I pech chciał, że trafił swój na swego, bo ja również łatwo się nie poddam. Wszystko wskazuje na to, że nasza mała bitwa naprawdę zamieni się w wojnę. Och, ani mi się śni ją przegrać.

Przegrać ją z *nim*.

– Matko. Czy ty wymyślasz właśnie jakiś szatański plan? – Kay łypie na mnie podejrzliwie.

– Hej, to on zaczął tę całą farsę – bronię się i spoglądam na ekran telefonu. – Ryder Callahan – mówię z przekąsem, śledząc wzrokiem nudny profil nudnego sąsiada.

– Skądś kojarzę to nazwisko – stwierdza Graves, ale nie koncentruję uwagi na jego słowach.

Zamiast tego uśmiecham się z zadowoleniem, mając przed oczami obraz swojego zwycięstwa. Callahana pakującego walizki i spieprzającego z Aspen gdzie pieprz rośnie.

To piękna wizja. Bardzo piękna.

– Dostanie za swoje – mruczę.

Kayden zatrzymuje się nagle. Dopiero teraz orientuję się, że dojechalismy pod uczelnię. Odpinam pas bezpieczeństwa, chowam telefon do kieszeni i zgarniam z tylnych siedzeń torebkę.

– Nie wątpię w to – parska szatyn. – A teraz chodź. I tak jesteście spóźnieni.

Z tymi słowami wysiada, a potem oboje ruszamy w stronę dużego budynku. Ja z zamiarem obmyślenia planu idealnego, a Kayden – przyswojenia w ekspresowo szybkim tempie materiału na dzisiejszy egzamin.

To będzie dobry dzień.

Dochodzi piąta, gdy stoję oparta o krawędź blatu w niewielkiej kawiarni nieopodal centrum Aspen i czekam na swoją herbatę. Tępo wpatrując się w krajobraz gór, orientuję się, że niebo jest już zszarzałe. Śnieg za to nadal nie przestał niemiłosiernie prószyć, więc chodniki i drogi będą dziś cholernie zasypane. Zapowiada się długa droga do domu.

– Dziękuję. – Uśmiecham się uprzejmie w stronę młodej dziewczyny, która podaje mi herbatę. Ta odwzajemnia gest, a ja ruszam do drzwi. Przyczepiony do nich dzwonek brzdęka, gdy przekraczam próg.

Jedną dłoń chowam do kieszeni, zaś palce drugiej owijam szczelniej wokół papierowego kubka. Jest mi zimno. Bardzo zimno, ale mimo to nie zamieniłabym tej pogody na inną. Z westchnieniem ulgi upijam łyk gorącego napoju i zaczynam marsz w dobrze znanym sobie kierunku. W połowie drogi do domu, czuję wibracje własnego telefonu.

– Tak? – rzucam do słuchawki, nie sprawdzając nawet nazwy kontaktu.

– Love, umawialiśmy się na coś – słysząc znajomy głos, mimowolnie biorę głębszy wdech do płuc.

Gdybym jednak zorientowała się, kto dzwoni, raczej nie odebrałabym połączenia. A to wszystko dlatego, że wiem, w jakim celu i dlaczego akurat teraz dzwoni do mnie własna mama.

Dobra, załatw to szybko, Love.

– Uch, przepraszam. Miałam ostatnio pracowite dni. Zapomniałam dać wam znać, że żyję – odpowiadam ze spokojem, wpatrując się beznamiętnie w zaśniewany chodnik i ślady butów, które się na nim odznaczają.

– Dlatego nadal nie popieram tego, że wyniosłaś się tak daleko.

Zagryzam wewnątrz policzka. Wyprowadzając się z rodzinnego miasta, obiecałam, że będę dzwonić do rodziców co jakiś czas, ale nie miałam pojęcia, że oni tę frazę rozumieją jak: „co dwa dni”. Wiem, że się martwią, ale mam już dwadzieścia lat. Skoro przeżyłam samotnie w Kolorado już niemalże dwa, przeżyję i kolejne.

– Daj spokój, jest mi dobrze w Aspen. O wiele lepiej niż w Carson City – przyznaję zupełnie szczerze.

Mama wzdycha niepokieszona.

– Odwiedzisz nas w święta? Molly nie może się doczekać, aż ubierzecie razem choinkę. Kupiłam dużo nowych...

– Mamo, ja... nie przyjadę na święta – przerywam jej, by dłużej się nie produkowała. – Tak jak w tamtym roku spędzę je tutaj.

Wiem, że to dla niej cios, ale od początku zapowiadałam, że nie przyjadę w grudniu do Nevady. Sto razy bardziej wolałam spędzić ten czas tutaj, w odludnym Aspen.

– Kochanie, przemyśl to jeszcze.

– Nie chcę wracać do Carson City – wtrącam z przekonaniem, które powinno do końca ostudzić nadzieje mamy. – To moja ostateczna decyzja. Przykro mi.

Wypuszczam powietrze, zdmuchując sprzed nosa pojedynczy kosmyk czarnych włosów. Na szczęście niewiele już dzieli mnie od domu. Zaledwie parę minut drogi piechotą.

– Jednak jeśli zmieniłabyś zdanie, zawsze będzie dla ciebie miejsce, Love – słyszę przy uchu.

Upijam kolejny łyk herbaty. Szkoda, że nie zmienię zdania. W tej kwestii po prostu tego nie zrobię, chociażby ktoś przystawił mi nóż do gardła.

– Jasne. – Siłę się na wesoły ton. – Wybacz, ale muszę kończyć. Trochę mi się śpieszy, a zaraz zaczynam zmianę w kinie.

Delilah nawet nie podejrzewa, że kłamię jak z nut. Ale dlaczego miałaby? Przecież jej Love świetnie radzi sobie z daleka od rodzinnego domu. Otoczona setką znajomych, związana z chłopakiem z tego samego roku oraz spędzająca czas na studenckich imprezach.

Dobre sobie.

– Rozumiem – mówi na koniec kobieta. – Miłego dnia, córeczko.

– Miłego dnia, mamo.

Kończę połączenie i wrzucam telefon z powrotem do kieszeni. Na dosłownie moment przymykam powieki oraz zaciągam się rześkim grudniowym powietrzem.

– Szlag by to – mamroczę pod nosem.

Spokój ogarnia mnie tak szybko, jak dostrzegam przed sobą znajomy dom. Kubek po herbacie wrzucam do pobliskiego kosza na śmieci, a potem wchodzę na posesję i wzdycham, zanurzając dłoń w torebce. Oczywiście znalezienie w niej pęku kluczy zajmuje mi parę dobrych minut.

W tym czasie, uparcie wpatrując się w te wszystkie niepotrzebne szpargały, powolnym krokiem pokonuję dystans dzielący mnie od drzwi. Otwieram je, ale zanim naciskam na klamkę, przecucie nakazuje mi spojrzeć w dół. I cóż. Jedno łypnięcie na wycieraczkę wystarczy, by żółć podeszła mi do gardła.

Ja pierdolę. Chyba się zrzygam.

Cofam się o krok, przytykając dłoń do ust. Zdechła mysz po przejściach wydaje się patrzeć na mnie swoimi wyłupiastymi oczami, więc odwracam wzrok i próbuję powstrzymać cholerne torsje.

Ugh, co, do diabła?

Fuj. Obrzydliwe. Obrzydliwe jak Ryder Callahan, który właśnie wychodzi z mieszkania. Dobra, przynajmniej jego charakter taki jest, bo wyglą... nie. Nie pomyślę o tym. *Nie pomyślę, nie pomyślę, nie pomyślę.*

Och, dobra. Ryder Callahan jest bardzo, bardzo gorący i wygląda jak facet, za którym jeszcze parę lat temu obejrzałabym się na ulicy. Ubrany w białą koszulę idealnie opinającą umięśnione bicepsy i zwykłe garniturowe spodnie. Włosy ma roztrzepane w artystycznym nieładzie, a spojrzenie pochłaniające w każdym tego słowa znaczeniu. I te duże dłonie, srebrne sygnety na palcach... Jezu.

Prawdziwy Pan Przystojniak. Szkoda, że A – nie bawię się już w relacje damsko-męskie, oraz B

– ten okaz idealnego mężczyzny jest również klasycznym przykładem skończonego buca.
– Hej, Porter! – Jego głos wyrywa mnie z krótkiego letargu. Mrugam pospiesznie, bo... o Boże.
Przylapał mnie. – Mogę podejść bliżej, jeśli potrzebujesz się napatrzeć.
– Callahan – mamroczę pod nosem.
Jak ja cię, cholera, nie trawię.
– Nie, dzięki! – odkrzykuję. – Kijem bym cię nie dotknęła, fagasie.
Ryder mruży oczy.
– Ślinisz się.
Otwieram szerzej oczy i przecieram przegubem ręki kącik ust, ale szybko dociera do mnie, że ten kretyn tylko sobie żartował. Wywracam teatralnie oczami i krzyżuję ofensywnie ręce pod biustem. Dałam się podejść.
Stan sytuacji klaruje się na: tragiczny.
– Nie ufasz samej sobie. – Ryder uśmiecha się leniwie, narzucając na szerokie ramiona czarny płaszcz i opierając się o karoserię swojego range rovera. – To źle, Porter.
Zaciskam palce na łańcuszku torebki. Ten cwaniak to moje utrapienie. Dlaczego musiał trafić mi się tak irytujący sąsiad, a nie stara babcia z kotami? Ach, właśnie. Kot!
– Wiesz co jest złe? – Unoszę brew.
– To, że do mnie wzdychasz, mimo że jestem od ciebie sporo starszy? Faktycznie, patrząc na to z perspektywy osoby trze...
– Ugh, nie wzdycham do ciebie, pajacu! – przerywam mu, czując, jak gorąc prędko oblewa moje policzki.
– W ciągu jednej rozmowy obraziłaś mnie już dwa razy. Ty naprawdę masz problemy z agresją.
– Ryder odbija się nagle od samochodu i podchodzi do mnie powoli.
Jest w jego spojrzeniu coś, co wysyła po moim kręgosłupie całą falę dreszczy. Coś władczego. Zupełnie tak, jakby ten palant chciał mi pokazać, że moje miejsce jest w szeregu i nie powinnam wychylać się przed niego. Jaka szkoda, że nie zamierzam dać mu się stłamsić. Zadzieram hardo brodę, wypinam pierś w przód i patrzę na niego równie nieustępliwie.
Pieprz się, Ryderze Dupku Callahanie.
– Myślisz, że jesteś śmieszny, skoro zostawiasz mi takie niespodzianki pod drzwiami? – pryham. – Jesteś dorosłym mężczyzną, a mścisz się jak gówniarz.
– Niespodzianki? – Ryder marszczy czoło.
Przestępuję z nogi na nogę, kręcąc głową.
– A ta mysz na wycieracze? Niech zgadnę, pomyślała sobie, że wyzionie ducha akurat pod moimi drzwiami – parskam ironicznie.
Mężczyzna, który stoi już niecałe dwa metry ode mnie, zerka w stronę wycieraczki, na której leżą mysie zwłoki. Jego twarz jednak pozostaje kamienna, spojrzenie niewzruszone, a słowa przemyślane, gdy odpowiada mi bez zbędnego namysłu:
– Najwyraźniej nawet ona nie chciała mieć z tobą do czynienia i wcale jej się nie dziwię.
Otwieram szerzej oczy. *Trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam.* Zaciskam usta w linię wąską jak kartka papieru i przez chwilę po prostu wgapiam się w jego minę, jakbym chciała wymusić na nim cofnięcie wypowiedzianych przez niego przed sekundą słów. Ale ten facet wcale nie ma zamiaru tego robić, bo jedynie uśmiecha się kącikiem ust. Ledwie zauważalnie, powoli, z dozą pewnego rodzaju wyrachowania.
– Jesteś bezczelny – wypalam oszołomiona.
Ryder wsuwa dłonie do kieszeni płaszcza, wzruszając krótko ramionami.
– Wybacz. Śmierdzi od ciebie byciem tupeciarską siksą na kilometr, stąd ten wniosek.
I w tym momencie wizja wtargnięcia do jego mieszkania w nocy i ucięcia mu języka nie wydaje mi się wcale tak odległa i abstrakcyjna. Byłabym zdolna to zrobić, byle tylko w końcu się przymknął. Wow, on naprawdę działa mi na nerwy, a mieszka obok ledwie dzień.
Chcę coś odpowiedzieć, ale nagle dostrzegam, że coś rudego tarza się w śniegu.
– To on – syczę, wskazując palcem na kota.

Ryder przekrzywia głowę i ściąga brwi.

– Co ci zrobił Klakier? – pyta, a jego pupil jak na zawołanie przeciąga się i wplątuje pomiędzy jego nogi, oczekując pieszczot.

Klakier? Serio... Klakier?

– To on musiał ją podrzucić.

Mężczyzna znowu się uśmiecha. A potem... przykuca, by pogłaskać rudzielca.

– Dobry kociak – rzuca z aprobatą.

Mimowolnie rozchyłam usta, patrząc, jak duże, męskie dłonie przesuwają się po grzbiecie zwierzęcia. Ryder na mnie nie patrzy i całe szczęście, bo czuję, jak robi mi się ciepłej na sam ich widok.

Biorę krótki wdech. *Nie gap się*, powtarzam sobie.

– Kpisz sobie ze mnie? Masz to zabrać. – Wskazuję ręką na mysiego nieboszczyka, a żółć znowu podchodzi mi do gardła, bo śnieg przyprószył już zwłoki.

– To rozkaz? – Ryder unosi brew.

Wydaje się dziwnie... zaintrygowany.

– Ugh, tak? – odbijam piłeczkę.

Mężczyzna uśmiecha się kpiąco, eksponując białe zęby.

– Wsadź go sobie w...

Nie pozwałam mu dokończyć, gdy warczę:

– Masz. To. Zabrać. Callahan.

Ryder podnosi się do pionu. Już nie patrzę na niego z góry, a muszę porządnie zadrzeć nos, by nasze spojrzenia mogły się skrzyżować. Jest coś elektryzującego w chłodnym, zimowym powietrzu, gdy czarnowłosa przejeżdża szybko językiem po dolnej wardze, a ja śledzę wzrokiem ten przypadkowy, bądź nie, ruch.

– Trochę mi się śpieszy, Porter – mówi ze spokojem.

– I? – W moim głosie króluje lekceważenie.

– I będziesz musiała być dzisiaj samowystarczalna.

Parskam wymownym śmiechem.

– To twój kot daje mi prezenty, więc sobie je zabieraj.

– Najwyraźniej cię lubi. Chociaż on.

Przymykam powieki i niemalże sekundę później czuję, jak na rzęsach zaczynają osadzać mi się płatki śniegu. Zdzierzę nawet rozmazany makijaż, ale nie widok zadowolenia na wściekle pięknej twarzy Pana Przystojniaka. Czasami wyobrażam sobie, że przejeżdżam mu paznokciami po gardle. Mocno. Głęboko. Do krwi.

Cudownie byłoby wcielić taką wizję w życie.

– Wynos się stąd – odpieram w końcu, bo ręce zaczynają mnie świerzbić. Otwieram oczy i ponownie krzyżuję spojrzenie z Callahanem.

Ryder unosi dłonie w obronnym geście i cofa się o kilka kroków.

– Spokojnie. Już spadam – stwierdza, odwracając się na pięcie i odchodząc.

Odprowadzam go wzrokiem, wciąż nabuzowana.

– A mysz?! – wołam za nim.

– Kazałaś mi się wynosić! – odpowiada nieco głośniejszym głosem, bym była w stanie go usłyszeć, nie przerywając marszu w stronę auta. Uważnie obserwuję, jak pokonuje leniwym krokiem tę małą odległość, czując, że wszystko się we mnie gotuje.

Zaciskam szczękę. Chryste, jak ja go nienawidzę. Nienawidzę go tak, że już bardziej nie umiem. Niewiele myśląc, kucam i chwytam w zmarznąłą dłoń trochę śniegu. Formuję sporą śnieżkę, a potem z całą siłą, jaką mam w ręce, rzucam nią w stronę tego fagasa.

– Dupek! – krzyczę i zastygam w bezruchu, bo śnieg rozbija się na czarnym materiale męskiego płaszcza, tworząc biały ślad.

O kurwa.

Ryder odwraca się bardzo powoli. Przelykam z trudem nagromadzoną w ustach ślinę, patrząc na niego z miną, która nie wyraża niczego. A on odwdzięcza mi się tym samym. Ma ściągnięte brwi, gdy

zabójczo powolnym ruchem ręki strzepuje ze swojego okrycia śnieg.

- Radziłbym ci spieprzać, Porter – cedzi złowrogo.
- Bo co? Skończę w zaspie? – parskam śmiechem.
- Przerobię cię, kurwa, na bałwana.

Milknę. *On nie żartuje*, uświadamiam sobie. Nie gdy na jego twarzy brakuje tego cynicznego uśmiešku, a szare oczy ciskają we mnie gromy. Sztynnieję, bo Pan Przystojniak w wersji wyrwę-ciekłaki-z-głowy wygląda równie gorąco, co niebezpiecznie. Poważnie, sama nie wiem, czy ten widok jest bardziej miły dla oka, czy niemiły dla mojej fryzury.

Składam niewinnie usta w dzióbek, chichotając nerwowo. Ale Ryder Callahan wciąż gapi się na mnie jak na najgorszego wroga, którym pewnie jestem. Założę się, że wskoczyłam na pierwsze miejsce jego listy najbardziej znienawidzonych ludzi na tej planecie.

Rozchyłam mimowolnie usta, kiedy mężczyzna robi długi krok w moją stronę.

- Nie złapiesz mnie – wypalam pospiesznie.
- Módl się, żebym nie złapał.

A potem nie zastanawiam się zbyt długo. Rzucam się do biegu z pełną świadomością, że jeśli dam się dorwać, skończę marnie. Śnieg chrupie pod moimi stopami, kiedy mknę przed siebie, czując za sobą obecność faceta. Nie odwracam się. Oddycham szybko, pokonując kolejne metry w zawrotnym tempie. Jezu, to takie żałosne.

Mój sąsiad goni mnie po własnym ogródku.

– Masz za słabą kondycję – pryham głośno pomiędzy łapczywymi wdechami. Obraz, który mam przed oczami, wydaje się rozmazany, kiedy przyśpieszam. Zimne powietrze smaga mnie w rozgrzaną twarz, a wiatr rozwiewa włosy. Rany, wypływają sobie zaraz płuca.

– Regularnie biegam! – słyszę jego głos gdzieś za plecami, ale nie przestaję biec przed siebie w szaleńczym tempie.

– Moje morale właśnie spadły! – odkrzykuję, a zimny pot oblewa moje plecy.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Jak mnie dogoni, to nie oszczędzi.

– Porter, i tak cię...

Ryder nie dokańcza, bo najpierw ja wpadam na zaspę śniegu, a potem... On na mnie. Przygniata mnie do niej ciężarem swojego ciała, dysząc mi ciężko w usta i patrząc prosto w oczy. Próbuję nie myśleć o tym, że leżę z Callahanem w dwuznacznej pozycji, ale, o Boże. Coś dużego ociera mi się o udo i naprawdę wołałabym nie myśleć o tym, co to jest.

Zamiast tego, poczerwieniła ze złości, a może i nie, rzucam:

– No bez jaj. Nie bądź bucem i oszczędź mi włosy. – Mam nadzieję, że jak już wytarza mnie w śniegu, to da mi spokój.

– Chyba śniesz.

Jego oddech rozbija się na moim policzku, a spojrzenie wydaje się wypalać skórę. Dawno nie byłam tak blisko z żadnym facetem, więc nie dziwi mnie fakt, że wzdrygam się zupełnie mimowolnie. Moje mięśnie napinają się nagle, a serce przyśpiesza rytm, bo Ryder Pieprzony Callahan nie zamierza ze mnie wstać.

Wygodnie ci, gnojku?

– Proszę? – nalegam słodko.

Mężczyzna marszczy czoło, łypiąc na mnie jak na naiwną idiotkę.

– Nie?

– Ładnie proszę? – ponawiam próbę, siląc się na uroczy ton.

Ale ten kretyn jest nieugięty.

– Nie?

– Zacznę krzyczeć i przypnę ci łatkę osiedlowego kryminalisty – wyduszam z siebie, wijąc się pod ciężarem twardych mięśni.

– A więc szantaż? – Ryder rozdziela moje nogi kolanem, by wygodniej się nade mną usadowić. Na ten ruch jedyne, co robię, to wciągam powoli powietrze do płuc. Mam nadzieję, że ten ciężki drań

tego nie słyszy.

– Każdy sposób jest dobry, jeśli jest skuteczny. – Szczerzę się.

Brunet śledzi wzrokiem moją twarz, zatrzymując się przez dłuższą chwilę na ustach. Ciężar jego spojrzenia sprawia, że czuję na nich dziwne mrowienie. Rozchylam je delikatnie, a moja pierś faluje z każdym zaczerpniętym wdechem.

– Ty naprawdę jesteś świrięta – stwierdza w końcu mężczyzna.

– A ty ciężki – mruczę. – Zejdź ze mnie.

– Ktoś musi ci dać nauczkę, Porter.

Mrugam powoli, zastygając nieruchomo. Siła bijąca od Rydera odbiera mi nagle dech. Przeszywa wszystkie nerwy i dociera do serca, które zaczyna kołatać jeszcze mocniej. Nie jestem pewna, czy tkwiąc pod nim i słysząc słowo „nauczka”, myślę o karze czy o nagrodzie.

Mój żołądek robi fikołka, gdy mężczyzna bierze w dłoń śnieg.

– Nie zrobisz tego. – Patrzę kątem oka na jego broń.

– Zrobię. – Brunet uśmiecha się jak psychopata.

– Ni... – zaczynam, ale w tej samej chwili czuję, jak mężczyzna wciera śnieg w moje włosy.

Piszczę cicho, próbując wydostać się spod niego, ale bezskutecznie. Jest zbyt silny. Dopiero po niecałej minucie kończy swoje dzieło.

Zgrzytam zębami, burcząc pod nosem krótkie:

– Super.

Zemszczę się, dupku.

– Ryder! – słysząc czyjeś wołanie, razem z mężczyzną odwracamy głowy w kierunku jego podjazdu. Na widok tajemniczej brunetki mój ulubiony sąsiad zaczyna podnosić się do pionu. Ja natomiast szybko rozpoznaję ten głos. Należy do kobiety, która ostatniej nocy wspominała, że „coś ją łaskocze”.

A więc kochanka, przechodzi mi przez myśl. Nie wstaję. Zamiast tego próbuję pozbyć się nadmiaru śniegu z włosów. Ryder przygląda mi się przez krótką chwilę z góry, zanim ledwie zauważalnie unosi kącik ust i mruczy w moim kierunku z niebywałą aprobatą:

– Miło było, Śnieżko.

Z tymi słowami zostawia mnie samą, zakopaną w śniegu, z mokrymi włosami, wypiekami na twarzy i potężnie urażonym ego. Patrzę spod przymrużonych powiek, jak ten drań wsiada do samochodu ze swoją panną, a potem wyjeżdża na ulice Aspen.

Śnieżko, jego głos echem rozbrzmiewa w mojej głowie jeszcze przez kilka najbliższych minut. No pięknie. Chyba zyskałam nowy tytuł nadany przez samego Rydera Callahana.

– Jeszcze zobaczymy, kto tu rządzi – mamrocę pod nosem i wstaję.

Bałwan.

Jest już prawie noc, gdy nadal koczuję w kuchni i czekam na powrót swojego sąsiada z ostrym nożem w ręku. Przez ostatnie godziny zdążyłam przekląć go przynajmniej trzydzieści sześć razy i odkryć, że Ryder Callahan obsmarował mi rano śniegiem okna, przez co w niektórych miejscach stały się nieszczelne.

Tak, marzną.

Nie, nie ujdzie mu to płazem.

Odruchowo spoglądam na zegar. Jego wskazówki układają się w godzinę dziesiątą. Nie wiem, jak długo ten drań będzie poza domem, ale mam nadzieję, że szybko wróci. Muszę wyrównać z nim kilka rachunków.

Stukam paznokciami o blat, odwracając głowę w kierunku okna. Burza na zewnątrz trwa w najlepsze. Porywisty wiatr targa gałęziami drzew, a ich szum dociera do kuchni, w której siedzę, nawet mimo tego, że wszystkie okna i drzwi są zamknięte. Co jakiś czas na czarnym niebie maluje się błyskawica. W chwili, w której pojawia się kolejna, dostrzegam range rovera wjeżdżającego na sąsiedni podjazd.

Mam cię, Callahan.

Otacza mnie mrok, więc nie martwię się, że wyglądający na zmęczonego Ryder dostrzeże mnie w oknie. Facet wysiada z samochodu, a ja, upewniając się, że ruszył do domu, narzucam na ramiona kurtkę. Czekam dłuższą chwilę i wychodzę na zewnątrz, mając w głowie jedynie plan zemsty, który umili mi trochę fakt, że mam takiego buca za sąsiada.

Przeraźliwe zimno atakuje mnie zewsząd. Śnieg pomieszany z deszczem sypie mi w oczy, kiedy przemykam do znajomego samochodu. Ostatni raz zerkam w kierunku bazy wroga i uśmiecham się, nie dostrzegając go w oknach. A potem zaciskam mocniej dłoń na rękojeści noża i zaczynam przebijać oponę auta tego dupka.

Po wszystkim wracam do siebie. Przebieram się w zwykłą czarną bluzę, zgarniam notatki do kolejnego egzaminu i opadam na sofę w salonie z zamiarem wkuwania materiału przez całą noc. I nie spodziewam się, że gdy tylko przeczytam pierwsze zdanie zapisane na kartce, światła w całym domu nagle zupełnie zgasną.

No pięknie. To się nazywa fart.

Od razu zaczynam poszukiwania świeczek. Kiedy je odnajduję, zapalam kilka i wmawiam sobie, że prąd szybko wróci. Wyglądam za okno i orientuję się, że w żadnym domu nieopodal nie pali się światło. Ekstra. Przynajmniej to nie tak, że zalegam z opłatami i odłączyli mi energię elektryczną.

Przecieram dłonią zmęczoną twarz i marszczę czoło w zdumieniu, słysząc dźwięk dzwonka do drzwi. Za nimi, jak szybko się okazuje, stoi kobieta, która przerwała dzisiaj mi i Callahanowi zabawę w śniegu.

– Cześć... – Nieznajoma drapie się z tyłu głowy. – Jestem Chloe.

Taksuję ją przelotnym wzrokiem od stóp do głów, a potem spoglądam jej prosto w szare oczy, w których dostrzegam wyczekiwanie. Och, no tak.

– Love – kontruję, przyjmując jej dłoń.

Czego chce ode mnie laska Rydera?

– Widzę, że ty też nie masz prądu – wysnuwa wniosek, ale nie jest przy tym jakkolwiek irytująca. Jest uprzejma, miła i nie wydaje się wcale tępą jak but.

A właśnie tego oczekiwałam po kimś, kto zadaje się z Callahanem.

– Awaria z tego, co widzę, trwa na całym osiedlu – bąkam mrukiwie.

Chloe kiwa głową, uśmiechając się serdecznie. I tak, to zdecydowanie rodzaj uśmiechu, który można by zakwalifikować do tych wzbudzających same pozytywne emocje. Niewymuszony i sympatyczny. Ugh, Ryder znalazł sobie uroczą dziewczynę.

– Nie miałabyś może pożyczyć kilku świeczek? – pyta z nadzieją.

A co, potrzebujecie stworzyć sobie nastrój, żeby znowu nie dać mi zmrużyć oka?, pry cham pogardliwie w duchu.

– Jasne. – Wzruszam ramionami. – Wejdz.

Otwieram szerzej drzwi i pozwalam jej wejść do środka. Sama ruszam w stronę salonu i komody, w której trzymam podobne rzeczy. Jest coś dziwnego w świadomości, że wybranka Rydera pląta się po moim domu. Jego nigdy bym tutaj nie wpuściła. Fuj.

– Nie wiem, o co chodziło Ryderowi – słyszę za plecami.

– Hm?

Otwieram szufladę i zaczynam wertować jej zawartość, cały czas czując na sobie ciężar spojrzenia Chloe. Dziewczyna opiera się ramieniem o ścianę i bacznie mi się przygląda.

– No... On z jakiegoś powodu nie chciał, żebym tutaj przychodziła – tłumaczy.

Oczywiście, że nie chciał. Jego duma mu na to nie pozwalała.

– Cóż.

– Dobrze, że jestem odporna na wpływ starszego brata. Gdyby nie mój upór, pewnie siedziałby w ciemnościach przez całą noc. – Chloe parska dźwięcznym śmiechem, a ja zastygam na moment w bezruchu. Dopiero po chwili bardzo powoli odwracam się w jej kierunku, by spojrzeć jej w oczy. No właśnie. Oczy. Łudzaco podobne do tych Rydera.

Cholera, wiedziałam, że wydają mi się znajome.

– Jesteś jego... siostrą? – dukam.

Brunetka kiwa ochoczo głową.

– Tak. Pomagam mu w przeprowadzce. Wybacz, jeśli ostatniej nocy słyszałaś jakieś dziwne dźwięki. Strasznie się tłukliśmy, ale składanie mebli... Uch, tego nie da się robić cicho. No i szybko rzecz jasna, gdy masz kota, który uwielbia kraść uwagę i łaskotać swoim ogonem. – Chloe znowu się uśmiecha, a ja czuję, jak oblewa mnie rumieniec.

O Jezu. Czyli Ryder Callahan nie uprawiał wcale ostrego seksu za ścianą mojej sypialni.

Kurwa, kurwa, kurwa.

– Nic się nie stało. – Obnażam zęby w nieco nerwowym uśmiechu i powracam spojrzeniem do zawartości szuflady. Pospiesznie wyciągam z niej te pieprzone świece i niemalże wciskam je w dłonie Chloe. – Proszę. Mam nadzieję, że przetrwacie.

Moja rozmówczyni dziękuje mi skinieniem głowy.

– Tak pomyślałam... może wybierzemy się kiedyś na kawę? – proponuje.

Ryder mnie zabije. Gołymi rękami.

– Jasne – zgadzam się. – Zawsze jesteś tu mile widziana, Chloe.

– Wystarczy Chlo – rzuca wesoło i rusza w stronę wyjścia. – Wielkie dzięki. Ratujesz nam życie.

– Nie ma problemu. Pozdrów Rydera.

Chociaż mówię to bez emocji, czuję, jak przez moje żyły przepływa czysta satysfakcja. Mój ulubiony sąsiad z pewnością nie chciałby, bym złapała dobry kontakt z jego siostrą. Szkoda, że wszystko wskazuje na to, że postaram się z nią dogadywać. Naprawdę... dobrze dogadywać i przy okazji nieco go poirytować.

– Jasne. Na razie, Love – mówi na odchodne Chlo, a potem przechodzi przez próg mojego domu.

Ale tylko przez próg, bowiem zderza się z własnym bratem. Zagryzam wargę. Widok Rydera Callahana budzi we mnie naprawdę sporo sprzecznych emocji. Z jednej strony czysty gniew, a z drugiej – niewyjaśnioną ekscytację.

Niezręczną ciszę postanawia przerwać jego siostra:

– Patrz, Ryder. Love podzieliła się z nami świeczkami. – Z tymi słowami wyciąga w jego stronę swoją zdobycz.

Mężczyzna zachowuje kamienną twarz. Patrzy najpierw na swoją wesołą siostrę, a dopiero potem na mnie. Zimny pot oblewa moje plecy, bo, szlag. Ryder ma ściągnięte brwi, zmrużone złowrogo oczy i naprawdę wściekle mroczne spojrzenie. Zupełnie tak, jakby powstrzymywał się przed spraniem mi tyłka.

Ups. Czyżby się zorientował?

– Nie będą nam już potrzebne, bo wrócił prąd. To była jakaś dosłownie chwilowa awaria. Wracaj do domu, Chlo. Muszę zamienić z Porter parę słów. – Zwraca się do brunetki i uśmiecha przy tym kącikiem ust, zachowując pozory.

Niczego nieświadoma dziewczyna przytakuje.

– Ale wracaj szybko, w porządku?

– Jasne.

Zasycha mi w gardle. Zostaję sam na sam z wkurwionym Ryderem Callahanem, który nagle zamyka kopniakiem drzwi i podchodzi do mnie w trzech długich krokach. Jego oczy ciemnieją, gdy staje naprzeciwko. Patrzy na mnie z góry, obserwując uważnie niczym drapieżnik swoją ofiarę.

A potem wyciąga rękę w moim kierunku. Chłód sygnetu ociera się o mój policzek w chwili, w której Ryder owija sobie wokół palca kosmyk moich włosów. Tracę dech, bo ten drań jest nieczytelny i nieobliczalny. Jest jak enigma.

– Powiedz mi, Porter... – zaczyna niskim głosem, od którego przechodzą mnie ciarki.

Wypuszczam ciężki oddech z płuc, czując, jak mężczyzna ciągnie mnie za pasmo i ściąga moją twarz bliżej swojej, tak że dzieli nas ledwie centymetry. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że tracę grunt pod nogami, gdy jest tak blisko.

– Czy ty naprawdę przebiłaś mi pieprzoną oponę?

Rozchyłam usta.

Cholera.

ROZDZIAŁ DRUGI



RYDER

Nigdy nie spotkałem kogoś tak nieobliczalnego jak Love Tykająca Bomba Porter. Przypadek, który najpierw idealnie usypia ludzką czujność, a potem atakuje w najmniej spodziewanym momencie.

Patrzę na swoją upierdliwą sąsiadkę i myślę, że w żadnym wypadku nie mógłbym spodziewać się tego, jak wielki ładunek wybuchowy może tkwić w tak drobnym ciele i jak wielkie wyrachowanie mogłoby skrywać się pod maską uroczej dziewczyny z podwórka obok. Porter idealnie gra głupa, gdy mruży oczy w fałszywym niezrozumieniu i pyta:

– Ale o co ci tak właściwie chodzi?

Jest przy tym tak autentyczna, że gdybym nie był psychologiem i nie zwracał uwagi na pewne szczegóły, pewnie bym jej uwierzył i jeszcze przeprosił za najście. Jedno jest pewne – ta dzikuska wie, jak stwarzać pozory, a to czyni ją naprawdę niebezpieczną.

– Przebiłaś mi oponę w aucie – powtarzam zniecierpliwiony.

Porter parska śmiechem.

– Ja? – Wskazuje na siebie palcem.

– Nie, Święty Mikołaj – ironizuję.

Brunetka zagryza wargę, taksując mnie ostentacyjnie wzrokiem.

– Tobie akurat bliżej do Grincha.

Wywracam oczami. *Boże, co ja z nią mam.*

– Po prostu się przyznaj – rozkazuję twardo i kładę ofensywnie dłonie na biodrach. – Jesteś jedyną osobą w promieniu mili, która byłaby w stanie to zrobić.

– Skąd ta pewność?

Biorę głębszy wdech nosem.

– Bo nazywasz się, do cholery, Love Porter.

– Auć. – Przyklada teatralnie dłoń do serca. – Więc co złego, to ja.

Ręce mi opadają. Kurwa, czuję, jakbym mówił do ściany. To przecież oczywiste, że żywot mojej biednej opony postanowiła zakończyć ta świruska. Mimo że znam ją krótko, już zdążyłem się przekonać, ile popapranych pomysłów siedzi jej w głowie.

– Nie bawmy się w przedszkole. Nie jesteście dziećmi. – Kręcę głową.

Moja rozmówczyni uśmiecha się kpiąco.

– Oczywiście, że nie – mówi i dodaje szeptem pod nosem: – W końcu ktoś tu przechodzi raczej kryzys wieku średniego.

Zaciskam szczękę. Porter wie, że działa na mnie jak czerwona płachta na rozwścieżonego byka, i zamiast zejść z linii ostrzału, sama mi się nadstawia. Mimowolnie przybliżam się do niej jeszcze bardziej, tak że czubki naszych butów stykają się ze sobą.

– Jesteś nieznośnym dzieciakiem – cedzę przez zęby. – Przyznaj się.

Porter ściąga brwi w politowaniu.

– Nie zmusisz mnie do tego, kiedy nie jestem niczemu winna. – W jej głosie słychać szczyptę prowokacji.

Tym razem to ja się uśmiecham.

– Masz rację – rzucam cicho, jakby do siebie.

– Co?

– Najlepiej będzie, jak obejrzymy miejsce zdarzenia. Może coś ci się przypomni i doznasz pieprzonego olśnienia – sugeruję, wskazując ręką drogę do drzwi. – Panie przodem, Porter.

Brunetka prycha pogardliwie, zakładając ręce pod biustem.

– Śnisz.

– O tobie? Całe szczęście nie miałem jeszcze takiego koszmaru – wypluwam niczym obrazę.

I teraz czuję się jeszcze bardziej chujowo z faktem, że tej nocy Love Porter rzeczywiście nawiedziła mnie w snach: jej ciskające gromami oczy, pełne, niepotrzebnie otwierające się usta i zgrabne ciało na czele z ładnym tyłkiem wciśniętym w ciasne jeansy.

O zgrozo, to było naprawdę złe.

– Nie wiesz, co tracisz. – Puszczam ci oczko.

– Porter – mamrocę zniecierpliwiony.

– Nigdzie z tobą nie pójdę.

Z tymi słowami odwraca się na pięcie i rusza w tylko sobie znanym kierunku. Odprowadzam ją wzrokiem, który mimowolnie zjeżdża na... Jezu. Tam, gdzie nie powinien, jeśli nie chcę nabawić się obsesji.

Wypuszczam zalegające w płucach powietrze, przecieram dłonią zmęczoną twarz i ruszam w pogoń za dziewczyną, która najwyraźniej myśli, że udało jej się mnie spławić.

Nie, Love Porter. Ze mną, do diabła, nie wygrasz.

– Pójdiesz – odpowiadam, na co brązowooka przystaje w miejscu.

Odwraca się i posyła mi kpiący uśmiezek, jak to ma w zwyczaju.

– Musiałbyś wynieść mnie siłą, Panie Stanowczy.

Nie odpowiadam. I to jest dla Love jak ostrzeżenie, bo rozchyła delikatnie usta ze zdziwienia, gapiąc się na mnie szeroko otwartymi oczami, jak na fatamorganę.

– Ryder... – Parska nerwowym śmiechem, robiąc krok w tył.

Próbuje się wycofać, ale jestem od niej szybszy. Przyciągam ją do siebie, a jej drobne ciało zderza się z moim torsem zupełnie nagle. Układam dłonie na biodrach dziewczyny tylko po to, by z łatwością ją podnieść i przerzucić sobie przez ramię niczym worek ziemniaków. *Jest naprawdę lekka, przechodzi mi przez myśl. Zbyt lekka, jakby nic nie ważyła.*

– Zwariowałeś?! – Jej warknięcie wytrąca mnie z letargu.

O tak, Porter. Przegrałaś.

– To naruszenie przestrzeni osobistej! – syczy, uderzając mnie żałośnie w dolną część pleców. Jej ciosy są jednak tak słabe, że ledwie wyczuwalne.

Zaczynam marsz w stronę drzwi, nieprzejęty jej małym buntem. Stawiam długie, ciężkie kroki, wsłuchując się w jej przyspieszony oddech i ledwo słyszalne, szeptane pod nosem przekleństwa.

– To, Porter, dowód, że straciłem do ciebie cierpliwość – bąkam, mocniej ściskając dłonią jej udo i dbając o to, by nie ześlizgnęła mi się z ramienia, gdy tak się wierci. – Jesteś paskudną kłamczuchą.

– Puść. Mnie. Dupku. – Słyszę, jak wyraźnie akcentuje każde wypowiedziane przez siebie słowo.

– To się przyznaj – kontruje.

– Po moim trupie! – Kolejny cios.

– Da się załatwić.

Brunetka wciąga powietrze. Ja w tym czasie otwieram bez problemu drzwi, przechodzę przez próg i mimo przeraźliwego zimna panującego na zewnątrz nawet się nie wzdrygam. Niewyparzony język tej jędzy rozgrzał mnie do pieprzonej czerwoności.

– Nie jestem twoim popychadłem – cedzi.

– A ja nie jestem twoim kolegą, żeby tolerować takie szczeniackie wybryki.

Porter w końcu się zamyka. Kiedy jestem już przy własnym samochodzie, stawiam ją na ziemi i obserwuję jej poczerwieniałą ze złości twarz. Śnieg prószy na jej czarne włosy, które zaczesuje za uszy, eksponując wysokie kości policzkowe. Wygląda na porządnie wpienioną. A przynajmniej to wyrażają jej oczy – zimne, pełne rezerwy i nieskrywanej pretensji.

– Za to chyba jesteś kiepskim kierowcą. Gołym okiem widać, że musiałeś walnąć o krawężnik.

– Zerka mimochodem na tę przekłętą oponę, a potem jej spojrzenie znowu krzyżuje się z moim.

– Jesteś mistrzynią wciskania ludziom kitu.

Dziewczyna wsuwa dłonie do kieszeni bluzy i wzrusza ramionami. Obserwując ją z kamienną

miną, rozchyłam usta, by spomiędzy nich mogły wydostać się słowa obrony:

– A ja zajebistym kierowcą.

– Czuły punkt odnaleziony. – Jej kącik ust nieznacznie drga. Porter przestępuje z nogi na nogę. Dopiero teraz zauważam, że jej bosa stopy wciśnięte w warstwę śniegu zaczynają czerwienić.

Na moment milknę. Zupełnie mimowolnie zaczynam w duchu zastanawiać się, jaki czuły punkt mogłaby posiadać Love Porter. Ta roztrzepana dziewczyna jest naprawdę trudna do rozszyfrowania, nawet dla kogoś takiego jak ja.

– Wiem, że to ty – wzdycham po chwili.

– Wspaniale – mruczy lekceważąco dziewczyna.

Jest tak cholernie tupeciarska, że mam ochotę uciąć jej język.

– I liczę, że ty z kolei wiesz, że odwdzięczę ci się za to z nawiązką. – Zwęzam oczy, a moje słowa stanowią pewien rodzaj obietnicy. Bo moje pokłady cierpliwości względem bezczelnego charakteru Porter naprawdę się dzisiaj skończyły.

Brunetka przechyla nieznacznie głowę, by dokładniej mi się przyjrzeć. Jej oczy w ulicznym świetle lampy wydają się jeszcze bardziej intensywne, a porcelanowa twarz, pośród sypiącego zewsząd śniegu, jest jeszcze jaśniejsza. Nigdy w życiu nie powiedziałbym, że ktoś wyglądający tak niewinnie mógłby w każdym aspekcie przypominać zło wcielone.

Ta bestia jest dla mnie srogą nauczka.

– To wojna, Ryder. – Dziewczyna przybliżyła się do mnie nagle. Wspina się na palcach, by wyszeptać mi do ucha: – A na niej wszystkie chwytaki są dozwolone.

Włos mimowolnie jeży mi się na karku, bo jej głos zniża się o kilka oktaw. Jest hipnotyzujący, przesiąknięty odwagą i manierą. Mimo tego, że wprawia mnie on w naprawdę dziwny stan, pozostaję niewzruszony, gdy zaciskam dłoń na jej biodrze, widząc, że zamierza się cofnąć. Mój uścisk jest stanowczy i po tym, jak Porter się wzdyga, szybko nabieram przekonania, że wyczuwa gniew, w jaki mnie wpędziła.

– Więc strzeż się, Porter – mamrocę jej to w lekko rozchyłone usta. – Atak może nadejść w każdej chwili i z każdej strony.

Jej twarz rozświetla drapieżny uśmiech. Zanim jednak brunetka zdąży odpowiedzieć, słyszę znajomy głos rozbrzmiewający po podwórku. Od razu ściągam dłoń z biodra sąsiadki, odwracając się w kierunku zmierzającej do nas Chlo.

– Zmarzniecicie! – Jej początkowo karcący ton szybko staje się neutralny. – Nie stójcie tak, bo zaraz nabawicie się zapalenia płuc. Jezu, Love, czy ty naprawdę nie masz założonych butów? Lepiej pomóżcie mi z pierniczkami. Oboje – zaznacza, mierząc nas tym swoim rozentuzjasmowanym spojrzeniem.

Przełykam z trudem i zerkam na Porter, która jedynie rozciąga usta w cholernie szerokim, pełnym zadowolenia uśmiechu. Uparcie próbuję wymusić na niej odrzucenie propozycji Chlo, ale jedyne, co robi mój wróg numer jeden, to odpięra z przesadną radością:

– Pierniczki? Jasne, uwielbiam pierniczki. – Brunetka szczerzy się jeszcze bardziej i rusza ochoczo w stronę mojej siostry. Krzywię się na ten widok, bo szybko dociera do mnie, że ten wieczór wcale nie będzie spokojny. Nie gdy pod jednym dachem będą działały te dwie wiedźmy.

– Ryder, nie stój tak. – Głos Chlo sprawia, że odzyskuję rezon.

Z westchnieniem podążam za nimi, uprzednio ostatni raz zerkając w stronę przebitej opony. Będę ją musiał potem wymienić, a wszystko przez to, że Love Porter ma zadatki na bycie osiedlową kryminalistką i najwyraźniej nie cofnie się przed niczym.

Ale w porządku. Chce prawdziwej wojny? To ją dostanie.

Całe szczęście udaje mi się uciec z ich pola widzenia. Nie wiem, czy zdołałbym wytrzymać z Porter w jednym pomieszczeniu dłużej niż kwadrans. Przemykam niezauważenie do własnego gabinetu, w którym jak zawsze panuje półmrok, i zasiadam w fotelu. Chcąc oczyścić umysł, sięgam po leżące na biurku dokumenty i zaczynam zagłębiać się w lekturę papierów dotyczących swojego pacjenta.

Devon jest chłopakiem, który nie miał w życiu łatwo. Jego ojciec, szanowany facet zasiadający w radzie miasta, latami znęcał się nad własną żoną, a młody musiał na to patrzeć, już odkąd sięgał

pamięcią. Całe dzieciństwo kojarzyło mu się ze świstem kabli, którymi ten tyran prał swoją kobietę, i z jej szlochаныmi prośbami. Prośbami, które wcale nie brzmiały jak: „przestań”, tylko: „nie pozwól mu na to patrzeć, każdemu, tylko nie jemu”.

Ale owe prośby wcale nie zostały wysłuchane. Bo Devon patrzył, patrzył i patrzył. Zawsze patrzył. A gdy próbował pomóc matce, zostawał zamykany na dwie doby w piwnicy. Jego piekło trwało, dopóki nie skończył szesnastu lat. Wtedy nie umiał nad sobą zapanować. Po prostu wbił ojcu nóż w plecy, podczas gdy ten niemalże skatował matkę.

Devon miał wiele blizn. Nikt do tej pory nie przepracował z nim traum, które tkwiły w nim, zakorzenione naprawdę głęboko. Pod maską przebojowego, może nawet odrobinę gruboskórnego chłopaka, skrywało się zranione wnętrze i nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Ludzie z reguły woleli zakładać maski i udawać twardych, by nie wzbudzać podejrzeń. Odgrywali role, a wszystko po to, by nikt nie ujrzał tego, jak bardzo są złamani i jak bardzo potrzebują, by ktoś wyciągnął w ich stronę pomocną dłoń.

Przesuwam kciukiem wzdłuż linii szczęki w mimowolnym zamyśleniu i odkładam dokumenty na biurko. W myślach ustaliam przebieg jutrzejszego spotkania z Devonem. Muszę działać powoli, by utrzymać jego zaufanie. Badać grunt ostrożnie, bo lawina pytań mogłaby go spłoszyć. Zapisuję kilka uwag na kartce, a potem zerkam na zegar. Orientując się, że od czasu, gdy zostawiłem w kuchni Chloe i Porter minęło już pięćdziesiąt dobrych minut, podnoszę się do pionu, uprzednio gasząc lampę na biurku.

Ściągam brwi, gdy w tym całym bałaganie dostrzegam tylko swoją sąsiadkę. Stoi odwrócona do mnie tyłem, mieszając coś energicznie w misce i kręcąc biodrami w rytm kultowego *Last Christmas*. Obserwuję ją z politowaniem i dziwnym podekscytowaniem, bo ten widok... szlag. Jest jednocześnie niewiarygodnie komiczny, ale również okropnie seksowny.

Love Porter wywijająca w różowym fartuchu w mojej kuchni wygląda jak seksbomba.

Opieram się ramieniem o framugę drzwi i na chwilę odrywam wzrok od tej wariatki, starając się odnaleźć nim Chlo. Dostrzegam ją na tarasie, gdy przymocowuje z drabiny świąteczne lampki do krawędzi dachu. Wzdycham bezdźwięcznie, bo nienawidzę tych pstrokatych ozdób, ale z jakiegoś powodu mam słabość do młodszej siostry.

– *I keep my distance, but you still catch my eye...* – Dźwięczny głos rozbrzmiewa po kuchni w akompaniamencie muzyki, a ja od razu uciekam spojrzeniem do brunetki.

Naprawdę staram się nie prychnąć. Jedyne, na co sobie pozwalam, to zrobienie trzech kroków w stronę dziewczyny. Stojąc za jej plecami, dostrzegam w misce gotową masę na te przeklęte pierniki. Już mam zamiar się odezwać, ale ona w tej samej chwili unosi wzrok na czarne, lustrzane, marmurowe płytki, którymi wyłożona jest ściana naprzeciwko. Zanim zdążę zareagować, drewniana łyżka jest przy mojej twarzy, a resztki masy na koszuli.

Zwieszam delikatnie głowę i zerkam na poplamiony materiał.

– Odłóż broń – mruczę, wracając wzrokiem do oczu Porter.

Dziewczyna zaciska usta w wąską linię.

– Nie.

– Nie? – Unoszę brew.

– Zachodzisz mnie od tyłu. To wystarczający powód, bym tego nie robiła.

Prycham wymownie.

– Miałem pokojowe zamiary. Tym razem. – Unoszę ręce w obronnym geście.

– Nie wierzę ci. – Brązowooka przybliży łyżkę do mojego gardła. Na jej twarzy maluje się tylko podejrzliwość, która, cóż... Jest w pełni uzasadniona. – Jak dużo widziałeś?

Jej policzki oblewa szkarłat. Uśmiecham się półgębkiem, opuszczając ręce.

– Dużo – odpowiadam niekonkretnie. – Ale nie przejmuj się, Porter. Uznałem to za miły widok.

Dziewczyna wywraca oczami. Opuszcza łyżkę i wraca do mieszania masy. A przynajmniej tak myślę, bo na moment tracę czujność i nie wiem, w którym momencie ten diabeł sięga po garść mąki i rzuca nią w moją stronę. Przecieram leniwym ruchem ręki twarz, pozbywając z niej białego proszku. Nie wierzę, że to, do cholery, zrobiła.

– Ty nie jesteś normalna – cedzę.

Odpowiada mi słodkim uśmiechem.

– To też jest miły widok, wiesz? – parska uroczo.

Nie myślę za dużo. Staję za nią i przyciskam ją ciężarem ciała do blatu, by odciąć jej drogę ucieczki. Słyszę, jak wciąga nerwowo powietrze do płuc, zapewne doskonale czując moje ciało na sobie. W pierwszej chwili próbuje walczyć, ale w odpowiedzi jedynie mocniej do niej przywieram. Ładny tyłek Love Porter ociera się o mnie mocno, ale naprawdę staram się o tym nie myśleć. Po prostu sięgam dłonią po jajko i rozbijam je na włosach tej jędry.

Nie odsuwam się jednak. Zamiast tego nachylam się nad jej uchem. Powolnym ruchem ręki zaczesuję za nie jej posklejane pasma, szepcząc gardłowo:

– Dlaczego tak stoisz, Love? Czyżbyś się poddała?

Jak na zawołanie, brunetka zaczyna się pode mną wiercić. Ale nie jest w stanie nic wskórać, kiedy opieram wyprostowane ręce po obu jej stronach na krawędziach kuchennego blatu. Przez moje żyły przepływa czysta adrenalina podszyta satysfakcją.

Porter oddycha ciężko. W odbiciu płytek widzę, że sznuruje usta. Jest bliska zdzielenia mnie po twarzy. Szkoda tylko, że nie ma absolutnie żadnego pola manewru. Unosi wzrok na ścianę i krzyżuje go z moim. Gniew w jej oczach wysyła po moim ciele falę pobudzenia.

– Tylko się odsuń, a wydlubię ci oczy – grozi.

– To nie brzmi jak prośba.

Dziewczyna kręci głową w geście protestu.

– Nie będę się przed tobą płaszycić, kretynie.

– Twój wybór, Porter. – Wzruszam krótko ramionami, a potem sięgam po kolejne jajko. Słyszę, jak Love bierze płytki wdech. – Jesteś pewna, że nie wolisz poprosić?

– Obawiam się, że „proszę” skierowane w twoją stronę nie przejdzie mi przez gardło.

– Auć. – Udamę urażonego i rozbijam kolejne jajko w czarnych włosach.

Dziewczyna przymyka powieki, bo żółtko spływa jej po policzku.

– Dobrze się bawisz? – pyta znużona.

– Dopiero się rozkręcam – odpowiadam zgodnie z prawdą i chwytam opakowanie mąki. Posypuję nią czarne pukle, czując nieodpartą zadowolenie. Kto by pomyślał, że znęcanie się nad sąsiadką będzie dla mnie tak satysfakcjonujące?

Słyszając skrzypiący dźwięk wydawany przez drzwi tarasowe, odruchowo zerkam w tamtym kierunku. Tak szybko, jak dostrzegam wchodzącą do domu Chlo, odsuwam się od Porter i przeklinam w duchu wycucie czasu własnej siostry.

Ta wchodząc do kuchni, przystaje w miejscu i mierzy nas zdziwionym spojrzeniem.

– Serio? – pyta z udręką. – Ile wy macie lat, co?

– Ja się tylko broniłem – zaznaczam i zerkam na swoją ofiarę, której wzrok, gdyby mógł zabijać, już dawno wpędziłby mnie do grobu.

– Nieważne. Idźcie się ogarnąć czy coś. Ja to posprzątam. – Chlo macha ręką w powietrzu, od razu zgarniając z blatu otwarte składniki.

Porter natomiast rusza na poszukiwania łożenki, nawet na mnie nie patrząc. Podążam za nią aż do właściwego pomieszczenia, w którym dziewczyna staje naprzeciwko lustra i spogląda z grymasem na swoje odbicie. Próbuje wycesać z włosów skorupki jajek palcami, ale bezskutecznie. Ma naprawdę długie kudły.

– Będziesz tutaj tak stał? – mruczy cierpko.

Podchodzę do niej powoli i wzdycham.

– Zostaw to. Tylko pogarszasz sprawę.

Porter parska wymownym śmiechem.

– No, popatrz. Ktoś sprawił, że już jest zła.

– Zasłużyłaś na to, Love. – Odnajduję grzebień Chlo leżący na szafce. Najwyżej urwie mi jaja, jeśli będzie w oplakany stanie.

Brunetka spina się nieznacznie, gdy tylko wypowiadam tych kilka słów. Mrużę podejrzliwie oczy, bo jest coś dziwnego w jej reakcji, coś, co nie pozwala mi myśleć, że to tylko przypadek. Zupełnie

tak, jakby „zasłużyłaś na to” wywarło na nią pewien wpływ.

– Chodź tutaj – rzucam cicho, chwytając delikatnie jedną warstwę włosów i zaczynając je rozczesywać. Są długie, miękkie i gęste, ale cholernie posklejane.

Porter przymyka powieki.

– Mów, jeśli ciągnę za mocno. Nie chcę ci zrobić krzywdy – zaznaczam.

– Jest... w porządku.

Kiwam głową i spoglądam w lustro. W jego odbiciu widzę siebie, leniwym ruchem ręki rozczesującego pasma, i dziewczynę, dziwnie zamysloną. Korci mnie, by zapytać, co się stało, ale wiem, że nie dość, że by mi o tym nie powiedziała, to jeszcze opieprzyłaby mnie za moje wścibstwo. Zresztą... umówmy się. Nie jesteśmy dla siebie nikim innym jak wrogami.

A wrogowie nie pytają się wzajemnie o to, co ich zasmuciło.

– Na pewno? – Nie mam pojęcia, czy Love wychwytuje w tym drugie dno.

Otwiera oczy. Odwracam więc automatycznie wzrok i skupiam się na ciemnych włosach przelatujących mi przez palce.

– Na pewno, Ryder – odpowiada szeptem.

Słyszę, jak jej paznokcie stukają o krawędź umywalki w szybkim, nerwowym tempie. Czuję, jak jej mięśnie pozostają spięte, oddech urywany, a dolna warga drżąca. Nie trwa to jednak długo. Love szybko się reflektuje. Znowu zakłada maskę. Znowu gra zimną sukę.

Ale nie odzywa się. I ja też tego nie robię, gdy po prostu w milczeniu rozczesuję jej włosy. Nie robię tego nawet wtedy, gdy Love Porter wychodzi z łazienki bez słowa, a potem trzaska drzwiami mojego domu, zostawiając mnie samego z całym szeregiem niewypowiedzianych na głos pytań.

ROZDZIAŁ TRZECI



RYDER

Rano jak zawsze bez pośpiechu dopijam czarną kawę i żegnam się z Klakierem. W drodze do drzwi poprawiam mankiety koszuli, narzucam na ramiona czarny płaszcz i sięgam po leżącą na komodzie w korytarzu teczkę z niezbędnymi dokumentami.

Śnieg prószy z nieba, gdy przemierzam podjazd i wsiadam do range rovera, w którym oponę zdążyłem zmienić już wczoraj. Siedząc na miejscu kierowcy, wyciągam z kieszeni telefon i wystukuję krótką wiadomość do Devona z pytaniem, czy pamięta o dzisiejszej wizycie. Wysyłam ją i opieram tył głowy o zagłówek fotela, czekając na odpowiedź.

Stukam palcami o kierownicę i odruchowo zerkam na sąsiednie podwórkę. Love Porter. Chcąc nie chcąc, myślałem o niej więcej, niż chciałem i powinienem. Nie mogłem jednak nic zrobić z faktem, że wciąż zastanawiała mnie jej wczorajsza reakcja. Może to zboczenie zawodowe, może czysta ciekawość – naprawdę nie wiem, jaki jest powód mojego zainteresowania tym, co siedzi w głowie mojej świrniętej sąsiadce.

Na jej widok, pospiesznie zamykającej drzwi, a potem zbiegającej szybko ze schodów, mimowolnie ściągam brwi. Ta dziewczyna jest roztrzępana i porządnie szurnięta.

– Zabolało – bąkam pod nosem, gdy brunetka traci równowagę i upada na ziemię w tych swoich ultrawysokich butach.

Szybko jednak podnosi się do pionu i otrzepuje ubranie z zalegającego na nim śniegu. Rozgląda się uważnie wokoło, zapewne po to, by skontrolować, czy ktoś był świadkiem jej gleby stulecia. Gdy tylko nasze spojrzenia się krzyżują, jej usta wykrzywiają się w nic innego jak w nieme i wymowne: „ja pierdołę”.

– A ty na co się gapisz?! – woła z daleka, a ja uchylam szybę i wzdycham ociężale.

Stara wersja Love wróciła, proszę państwa.

– To karma, Porter! – odkrzykuję.

Łamaga. Świrnięta lamaga.

– Pilnuj swoich opon! – kontruje.

– Odpieprz się od moich opon!

Mimo odległości, która nas dzieli, widzę, jak jej kącik ust szybuje nieco ku górze. Patrzę na to, jak Porter przewraca oczami, macha mi na pożegnanie, a potem maszeruje szybkim krokiem w tylko sobie znanym kierunku. Ja natomiast karcę się w myślach, bo to, co wyprawiam, można by zaliczyć do najbardziej głupich pomysłów, na jakie mógłbym wpaść.

Odpalam silnik. Wyjeżdżam na ulicę i po paru minutach zatrzymuję się tuż obok Porter. Obniżam szybę i patrzę na jej zdziwiony wyraz twarzy, wysnuwając pewien wniosek:

– Jesteś gdzieś spóźniona.

– A ty mnie śledzisz – odbija piłeczkę.

– Mogę cię podwieźć – zbywam jej odpowiedź.

– To podstęp? – pyta przezornie. – Tak, to na pewno podstęp.

– Nie? Po prostu jadę w tę stronę.

Porter poprawia torebkę zwisającą z ramienia.

– Nie ufam ci.

– Spokojnie, ja tobie też nie – wypalam szczerze.

– Mam gaz pieprzowy w torebce – ostrzega mnie, gdy łapie za klamkę samochodu, a potem siada na miejscu pasażera.

Patrzę na nią z politowaniem.

– Nawet jeśli go masz, założę się, że prędzej sama sobie nim zrobisz krzywdę niż komuś, kto cię zaatakuję.

Dziewczyna fuka pod nosem, krzyżując ręce pod biustem.

– Skup się na drodze – odburkuje.

Uśmiecham się i wciskam pedał gazu. Przy okazji blokuję drzwi od środka, co szybko zauważa moja pasażerka, która zupełnie nagle prostuje się jak struna. Gromi mnie wzrokiem i wygląda, jakby szybko pożałowała tego, że wsiadła do mojego samochodu.

Odblokowuję drzwi, wzdychając:

– Tylko żartuję. Nigdzie cię nie wywożę. – Koncentruję uwagę na rozpościerających się przed nami zaśnieżonych drogach Aspen.

– Czy jakieś dziewczyny naprawdę lecą na to wyrafinowane poczucie humoru?

– Oczywiście, że tak – odpowiadam z powagą. – Ty też na nie lecisz. Na nie i na mnie.

Kąciki ust Porter szybko opadają. Zupełnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Nie leczę na nie – klóci się. – Ani na ciebie. Za dużo sobie dopowiadasz.

– Widziałem wczoraj swoje zdjęcie w twoim domu.

Brunetka prychna pogardliwie, kręcąc głową z protestem.

– Miało wydrapane oczy, a pod nim widniał podpis „dupek” – zauważa.

Wzruszam krótko ramionami.

– Wiesz, sam fakt, że masz moje zdjęcia to pewien rodzaj obsesji. Z naszej dwójki to ja powinienem czuć się zagrożony w twojej obecności. – Zerkam na pasażerkę kątem oka, hamując przed skrzyżowaniem. – Swoją drogą, chyba naprawdę nie chcę wiedzieć, skąd wzięłaś te fotki.

– Więc nie pytaj, bo i tak ci nie powiem. – Z tymi słowami Porter puszcza mi oczko. – Przy okazji zastanawiałam się jeszcze nad laleczką voodoo z twoją podobizną, ale stwierdziłam, że taki prezent sprawię sobie dopiero na święta. – Dziewczyna uśmiecha się ironicznie, wyciągając smukłą dłoń i klepiąc mnie delikatnie po udzie.

Jej dotyk, mimo że niewinny, sprawia, że moja grdyka mimowolnie drży. Karcę się w duchu i szybko skupiam znowu na drodze, dziękując wszelkim istniejącym bóstwom za przekłete zielone światło.

– Naprawdę jesteś świrnięta – stwierdzam.

Porter macha lekceważąco ręką w powietrzu.

– Po prostu moja niechęć do ciebie weszła na inny poziom.

Szczera, przechodzi mi przez myśl i uśmiecham się.

– Czym mnie jeszcze zaskoczysz, co?

– Skoro pytasz... mam kilka pomysłów, jak doprowadzić cię do szaleństwa. – Zagryza wargę, a mnie aż włos jeży się na karku. Nie wiem, czy to przez to, że tembr jej głosu uderza we mnie jak grom, czy po prostu jestem przerażony tym, co dla mnie przygotowała.

– Są gorsze od opony? – dopytuję.

– Hej, mówiłam, że to nie była moja sprawka. – Porter mruży oczy.

Oczywiście, że nie.

– Powiedzmy, że ci wierzę.

– Ale tak. Są gorsze od opony, którą przebił ci ktoś, kto naprawdę cię nie lubi... – odpowiada mi po chwili namysłu. – Jeszcze dwie przecznice. Niedaleko tego nowego stoku, który otworzyli w tamtym tygodniu – informuje mnie, na co skinieniem głowy potwierdzam, że zrozumiałem.

I po paru minutach rzeczywiście docieramy na miejsce. Budynek, który widzę przed sobą, jest średniej wielkości. Zmierzają do niego raczej młode dziewczyny, wszystkie dzierżąc w dłoniach baletki. Instynktownie uciekam spojrzeniem do Love Porter szperającej w torebce.

– Tańczysz? – pytam, próbując wyobrazić ją sobie na scenie.

Rzeczywiście jest drobna. Lekka jak piórko. Mógłbym w to uwierzyć.

– Mhm – odpowiada krótko, zaczesując kosmyk włosów za ucho.

– Nie przypuszczałbym.

Porter uśmiecha się słabo w moją stronę.

– Myślę, że mam dużo więcej sekretów, których byś się po mnie nie spodziewał, Ryderze Callahanie – mówi, a potem dodaje: – Dzięki za podwózkę. I za niewywiezienie mnie do lasu. – Prostuje się i wysiada niezgrabnie z samochodu.

Odprowadzam ją wzrokiem i myślę, że chciałbym poznać jej sekrety.

Wszystkie sekrety Love Porter.

Do ogromnego budynku poradni, w której mieści się mój gabinet, docieram niecałe dziesięć minut później. Witam się z recepcjonistką skinieniem głowy i od razu zmierzam do windy, która zawozi mnie na szóste piętro. Zerkam na zegarek oplatający mój nadgarstek. Z ulgą orientuję się, że pierwsze spotkanie mam dopiero za pięć minut.

Devona spotykam przed drzwiami do swojego królestwa. Od razu zakładam, że jego humor nie należy dzisiaj do najlepszych. Jest bowiem markotny, gdy wita się ze mną zwykłym:

– Dzień dobry, Ryder.

Wzdycham i otwieram przed nim solidne drzwi.

– Chyba wcale nie taki dobry, co, Devon?

Siedemnastolatek wsuwa dłonie do kieszeni bluzy i od razu kieruje się w stronę sofy obitej skórą. Zasiada na niej z głuchym łoskotem i spogląda tępo na górskie pasmo rozciągające się za przeszkloną ścianą w pomieszczeniu.

Nie odpowiada mi. Na moment po prostu zawiesza się i koncentruje uwagę wokół swoich własnych myśli. W tym czasie zajmuję miejsce na swoim fotelu, włączam laptopa i odnajduję na nim wszystkie notatki związane z Devonem. Kiedy jestem już przygotowany, splatam dłonie na biurku i pytam ze spokojem:

– Możemy już zaczynać?

Chłopak przytakuje.

Wieczór jest dzisiaj mroźny. Wracam do domu dopiero o szóstej i jedyne, o czym marzę, to cisza i spokój. Otwieram drzwi i przekraczając próg holu, czekam, aż coś ciepłego otrze mi się o nogi. Spotykam się jednak z rozczarowaniem. Dziwne, że Klakier nie przyszedł mnie przywitać. Zawsze to robi.

Nie zastanawiam się jednak nad tym zbyt długo. Odkładam płaszcz i teczkę z papierami na komodę i rozpinam rząd guzików koszuli z zamiarem zamienienia jej na coś wygodniejszego. Wchodzę do sypialni i podchodzę do szafy, poszukując wzrokiem zwykłego, czarnego podkoszulka. Sięgam po niego i w tej samej chwili słyszę, jak przez ciszę panującą w domu przedziera się znajomy głos dobiegający zza ściany:

– Kici, kici. No kto jest ślicznym kotkiem?

Zastygam w bezruchu. Ściągam brwi i powoli odwracam się w stronę ściany. Za nią znajduje się sypialnia nikogo innego jak Love Porter. Wiem to, bo byłem tam, gdy puściła na cały dom tę przeklętą muzykę klasyczną.

Nie wierzę. Ta świruska ukradła mi kota.

Zaciskam szczękę. Sam już nie wiem, czy powinienem się śmiać, czy wkurwiać. To tak absurdalne, tak głupie, żałosne i żenujące, że trudno uwierzyć, iż dzieje się naprawdę. Odrzucam podkoszulek w kącie i ruszam w stronę wyjścia z sypialni. Przemierzam korytarz, a potem opuszczam swój własny dom i przemykam na podwórko Porter.

Uderzam kilka razy pięścią w drzwi, czekając, aż ta bestia mi otworzy. Zdążyłem się już przekonać, że jest nieobliczalna, ale to, że zwinęła mi kota... Jezu. Miała rację. Jej pomysły doprowadzą mnie do czystego szaleństwa.

– Panie Callahan, przychodzić do kogoś w odwiedzinę tak w... negliżu? – Jej kpiący ton wrywa mnie z zamyślenia. Ignoruję swoją rozpiętą koszulę i gapię się prosto w jej iskrzące rozbawieniem brązowe oczy, a potem... wchodzę do środka jak do siebie.

Mijając dziewczynę w drzwiach, popycham ją lekko na ścianę. Moja ręka jest na wysokości jej

twarży, gdy opieram ją na twardej powierzchni.

– Słyszałem. – Gromię ją wzrokiem.

Porter oblizuje nerwowo dolną wargę, a ja mimowolnie koncentruję uwagę na sposobie, w jaki to robi. Zasycha mi w gardle, ale nie daję po sobie poznać, że ten diabeł wywiera na mnie jakkolwiek wpływ. Jedyne nachyłam się nad jej twarzą tak, że mój oddech rozbija się na jej zarumienionym policzku.

– Co słyszałeś?

Nie unoszę się. Recytuję tylko bardzo wyraźnie krótkie:

– Oddawaj. Mi. Kota. Porter.

Brunetka patrzy na mnie spod długich rzęs i wypuszcza powoli powietrze.

– Jezu, dobra. Po prostu chciałam...

– Doprowadzić mnie do szaleństwa? – Odsuwam się.

Dziewczyna posyła mi niewinny uśmiech.

– Poglaskać go?

Uważnie obserwuję, jak Porter rusza w stronę własnej sypialni. Idę za nią, a kiedy docieramy do celu, dostrzegam swojego kota, który leży rozwalony na łóżku brzuchem do góry i macha ochoczo łapami na widok uśmiechniętej „złodziejki domowych zwierząt”.

Powinienem ostrzec przed nią resztę mieszkańców osiedla?

– Ty paskudny zdrajco – wypalam, a Klakier wydaje z siebie głośne miauknięcie.

Szybko staje na łapach, jakby ktoś dotknął go paralizatorem.

– Jemu było tutaj wygodnie... – mamrocze Porter.

– Nie możesz, nie wiem, przygarnąć sobie własnego? – Podchodzę do rudzielca, chwytam go w rękę, a potem kładę sobie na ramieniu. Klakier wydaje z siebie kolejny odgłos, zupełnie tak, jakby nie chciał stąd iść. – Cicho – uciszam go.

Siedząca na łóżku Love teraz opada plecami na materac z cichym łoskotem. Patrząc tępo w sufit, odpowiada mi ze spokojem:

– Nie ukradłam go. Sam przyszedł pod moje drzwi. I hej, skąd wiedziałeś, że tu jest? – pyta, na co wzdycham, siadam obok niej na łóżku i również idę w jej ślady. Klakier wykorzystuje okazję. Wygodnie usadawia się na biuście Porter, która zaczyna głaskać go po grzbiecie.

Skubany wiedział, jak się ustawić.

– Te ściany są naprawdę cienkie – bąkam, również spoglądając na sufit.

Przez chwilę milczymy. Każde jest zajęte swoimi własnymi myślami.

– Polubił mnie.

Odwracam głowę w stronę swojej rozmówczyni i od razu natrafiam na spojrzenie bystrych, ciemnych oczu. Przez chwilę tak po prostu patrzę w nie i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wcale nie są tak błyszczące, jak początkowo myślałem.

Są mętne. Trochę trupie i bez życia, gdy patrzy się w nie z bliska.

– Coś nie tak? – pyta zbita z tropu.

– Nie... – odpowiadam.

To ja powinienem zadać to pytanie.

– Obserwujesz mnie.

– To tak na wypadek, gdybyś po podpaleniu mi domu próbowała uciec z Aspen, a ja musiałbym pomóc policji w stworzeniu twojego portretu pamięciowego – mruczę pod nosem.

Moja sąsiadka wywraca oczami z rozbawieniem.

– Nie podpalę ci domu. Mieszkam za ścianą, cymbale.

Mrużę oczy, słysząc jej cwaniackie „cymbale”. W tej samej chwili orientuję się, że wzrok Porter zjeżdża poniżej moich ust i brody, aż na klatkę piersiową. Dziewczyna uważnie skanuje spojrzeniem każdą krzywiznę mojej odkrytej części ciała.

– Teraz ty obserwujesz mnie – mówię łagodnie.

– To tak na wypadek, gdybyś jednak był seryjnym zabójcą, a ja musiałabym wskazać twoje cechy szczególne, jeśli jakimś cudem uszłabym z życiem po spotkaniu z tobą. – Ziewa krótko i przytyka dłoń

do rozdziawionych ust. Najwyraźniej balet dał jej dzisiaj w kość.

– Jedyne, co mam ochotę z tobą czasami zrobić, to... – zaczynam, ale przerywa mi miauknięcie. Klakier domaga się pieszczot, więc wyciągam dłoń i głaszczę go po grzbiecie.

Porter unosi wyzywająco brew.

– Co masz ochotę ze mną zrobić, Ryder? – dopytuje, a ja doskonale jestem w stanie wyłapać niejednoznaczność jej słów. Przez moment po prostu obserwuję jej twarz. Przysięgam, że gdybyśmy nie toczyli tej przekłętej wojny, a ona nie byłaby skończoną świruską, już dawno próbowałbym ją poderwać.

Love Porter jest w moim typie.

– Mam ochotę uciąć ci język – stwierdzam z niebywałym przekonaniem.

Dziewczyna uśmiecha się kącikiem ust.

– Coś jeszcze?

Zapytać, ile nosisz masek, Love.

– Nic, Porter.

– W porządku – odpowiada tak, jakby nie była zawiedziona.

Ale wiem, że jest.

– Pierniki, które upiekłaś, były ohydne – rzucam nagle, krzywiąc się na wspomnienie tego, co rano zastałem w kuchni. Cały talerz obrzydliwych, twardych jak skała, gorzkich pierników zrobionych w głównej mierze przez Love.

– Wiem.

– Wiesz? – Marszczę czoło.

– Chyba nie pomyślałaś, że umiem piec. – Wzdycha z politowaniem.

– Sam czasem nie wiem, co o tobie myśleć.

– Nie myśl. – Wyciąga dłoń w moją stronę, by dźgnąć mnie paznokciem w policzek. – Czuj.

Moja ręka zastyga w bezruchu na grzbiecie Klakiera. Również mam ochotę dotknąć skóry dziewczyny, ale wiem, że nie mogę. Może dlatego, że to nieodpowiednie. A może dlatego, że nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Love Porter pod wpływem cudzego dotyku mogłaby rozpaść się na maleńkie kawałki.

Nawet jej jasna cera przywodzi mi na myśl skojarzenie ze zwykłą, kruchą porcelaną. To gryzie mnie w sercu. Ta dziwna, nieodparta świadomość, że coś w tej dziewczynie umarło bezpowrotnie.

Powinienem chyba wziąć urlop, skoro myślę o swojej pracy, będąc już poza nią.

– Jesteś... skomplikowana – odpowiadam po chwili namysłu.

Porter nie wydaje się przejęta moimi słowami, gdy znowu spogląda prosto na sufit. Patrę na jej profil, zaróżowiony policzek, pełne usta, zadarty nos i te długie, ciemne rzęsy. Patrę i myślę, że jej niewinny wygląd kompletnie nie pasuje do wrednego charakteru.

– Nie lubisz zagadek? – pyta wyzywająco.

Problem w tym, że lubię aż za bardzo.

– Pójdę już. I tak nie powinienem był zabierać ci czasu, złodziejko kotów – rzucam w jej stronę i podnoszę się do siadu, a później do pionu.

Biorę w dłoń Klakiera, który miauczy na mnie z pretensją. Jezu, on ją naprawdę polubił. Obawiam się, że między nim a Love powstał jakiś cholerny spisek przeciwko mnie.

Znaleźli sobie partnera w zbrodni, prychnam w duchu.

– Na razie, nudziarzu. – Porter salutuje mi i unosi kącik ust.

Wychodzę, zastanawiając się, kiedy znowu uderzy ta bestia.

Kiedy kończy się mecz, wyłączam telewizor. Ściągam Klakiera-zdrajcę ze swoich kolan, strzepuję z bluzy rude kudły i zgarniam ze stolika pudełko po pizzy, by zanieść je do śmieci. Za oknem jest już ciemno, więc pstrokate ozdoby powieszono wokół domu porządnie się mieniają.

Przecieram dłonią twarz, a mój wzrok, gdy uciekam nim od proszącego za oknem śniegu, ląduje na talerzu okropnych pierników, który leży na blacie. Niewiele myśląc, sięgam po niego i całą zawartość również wywałam do kosza. Porter rzeczywiście nie umie piec.

W milczeniu kieruję się do gabinetu, skąd zabieram swój dziennik, w którym zapisałem kilka uwag dotyczących sesji z Devonem. Nadszedł czas, by przysiąść nad nimi i je przeanalizować. Z tym zamiarem wychodzę na taras, gdzie zasiadam przy stole, na którym tkwi kominek ogrodowy. Przez chwilę obserwuję rozpościerającą się w oddali panoramę gór i las, otaczający część posesji, ale szybko skupiam się na pracy i swoich notatkach.

Devon jest skryty. Wiem, że nie mówi mi wszystkiego. Dzisiaj rzeczywiście był markotny i zachowywał się, jakby przyszedł na wizytę za karę. Mimo tego, że minęło już trochę czasu od dnia, w którym jego ojciec poszedł siedzieć za znęcanie się nad rodziną i jakieś przekręty, w które był zamieszany, byłem w stanie zrozumieć, że miał czasami dość tego tematu. Był tylko siedemnastolatkiem. Powinien teraz chodzić na imprezy, cieszyć się życiem i martwić co najwyżej tym, czy nie dostanie szlabanu za późny powrót do domu, a nie zastanawiać się, czy jego ojciec kiedyś po niego wróci.

Wzdycham, odkładając na moment dziennik na stół.

– Odpoczywasz czasami? – słyszę nagle znajomy głos.

Odwracam głowę w stronę drugiej połowy tarasu i dostrzegam nikogo innego jak Love Porter siedzącą na krześle z podkulonymi do klatki piersiowej kolanami i kubkiem gorącego napoju w ręce. Wpatruje się we mnie uważnie, unosząc sugestywnie brew.

– A ty, osiedlowy stalkerze, schodzisz kiedyś z warty? – odpowiadam, splatając palce na stole.

Porter uśmiecha się, odkładając kubek.

– Nie, jeśli chodzi o pana, panie Callahan. Jest pan moim ulubionym przypadkiem do obserwowania.

– I dręczenia – dopowiadam za nią.

– I dręczenia – zgadza się, przeczesując swoje włosy u nasady.

Przez chwilę uważnie się we mnie wpatruje, ale jej wzrok szybko łąduje na czymś nade mną. Marszczę nos, zastanawiając się, co zauważyła. Na szczęście szybko sama mi o tym mówi i nie muszę się dłużej domyślać:

– Odpadły ci światełka.

– Które? – wzdycham z udreką.

Do diabła z tym świętecznym gównem.

– Na dachu. – Porter palcem wskazuje na swoje odkrycie. Odwracam głowę i rzeczywiście dostrzegam zwisający sznur lampek. Grymas mimowolnie wykrzywia moją twarz. Nie mam zamiaru tego poprawiać. Będą musiały poczekać na Chlo.

– Nic z tym nie zrobisz? – pyta brunetka.

Kręcę głową w geście protestu.

– Niespecjalnie chce mi się iść po drabinę do piwnicy.

– Mogę ci pomóc – oferuje, upijając łyk napoju ze swojego kubka i odkładając go ponownie na stół. – Wiesz, ty mnie podsadzisz, a ja to przywieszę.

– A jak spadniesz i się połamiesz?

– Umiem utrzymać równowagę – broni się.

Zamykam dziennik, łypiąc na nią ze współczuciem.

– Udowodniłaś to rano.

Porter rozchyła delikatnie usta, ale szybko je zamyka. Wstaje na równe nogi, podchodzi do ogrodzenia panelowego, które oddziela nasze ogrody, a potem zwinnie wczepia w nie palce. Zaczyna się wspinać i kiedy jest już na samej górze, zeskakuje na moją część tarasu. Otrzępuje ręce, uśmiecha się i stwierdza:

– W takim razie musisz trzymać mnie mocno, Ryderze Callahanie.

Zaciągam się rześkim powietrzem i również wstaję.

– Chodź tutaj – przywołuję ją do siebie, a potem pochylam się do przodu, by mogła swobodnie usiąść mi na ramionach. Czekam w tej pozycji dłuższy moment, aż w końcu ją ponaglęm: – Porter? Wskakujesz czy się gapisz?

– Jak będę za ciężka, to mów – zaznacza pod nosem, co mnie zaskakuje.

Ona? Ciężka? Łypię na nią przelotnie, ale na jej twarzy nie maluje się nawet odrobina

rozbawienia. Czyli naprawdę uważa, że waży dużo. A wcale tak nie jest. Postanawiam jednak puścić jej słowa mimo uszu i zostawić ten temat na kiedy indziej.

– Po prostu wskakuj – powtarzam.

Nie mija parę sekund, a Porter siedzi swobodnie na moich ramionach. Kładę dłonie na jej udach i stabilizuję jej ciało, by przypadkiem naprawdę nie straciła równowagi. Z jej szczęściem byłoby to bardziej niż możliwe.

– Podejdź bliżej – rozkazuje mi, próbując sięgnąć po sznur.

– Tak jest w porządku?

– Mhm. Nie ruszaj się.

Bez najmniejszego problemu trzymam Love przy sobie. Słyszę, jak przeklina siarczyście, siłując się z lampkami, i mimowolnie uśmiecham się półgębkiem. Czekam, aż powie, że skończyła, ale nie odzywa się dłuższą chwilę. Ja jednak nie narzekam, bo mógłbym tak stać godzinami z drobnym ciałem balansującym na moich ramionach.

Wzdycham, mocniej zaciskając ręce na jej udach. Podrywam głowę, by sprawdzić, czy przytwardziła już wszystko do dachu, ale Porter w tej samej chwili... przystawia mi sople lodu do gardła, mrucząc z zadowoleniem:

– I co teraz, Ryderze Callahanie?

Ściągam brwi z politowaniem.

Urocze. I głupie.

– Nie błaznuj, Porter – odpowiadam poważnie.

Czuję, jak pojedyncze krople wody spływają mi po gardle. Lód w kontakcie z rozgrzaną skórą szybko się topi. Wzrok siedzącej na mnie dziewczyny przesuwają się po moim napiętym jabłku Adama, a jej usta pozostają lekko rozchylone. Love przejeżdża językiem po dolnej wardze, a jej spojrzenie... cóż. Pozostaje uważne i w pewnym sensie zaciekawione.

A mnie to cholernie nakręca. Sposób, w jaki na mnie patrzy. Z niemym pragnieniem i niewypowiedzianą na głos prośbą. Chryste, Porter to naprawdę moje pieprzone utrapienie.

– Gotowe – obwieszcza w końcu. – Możesz kucnąć. Muszę zejść.

Posłusznie wykonuję jej prośbę i zniżam się nieco tak, by mogła bezpiecznie stanąć na własnych nogach. Kiedy już stoimy razem na drewnianych deskach, spoglądam na łańcuch.

– Ej, a on nie powinien świecić? – zagaduje brunetka.

Wypuszczam powoli powietrze z płuc. *No nie.*

– Powinien – mamrocę zrezygnowany. – Spróbuję włączyć go jeszcze raz.

Po tych słowach naciskam przycisk, ale te cholerne światła wciąż nie migoczą.

– Ups. Chyba coś się przepaliło. – Porter wydyma wargę. – Musisz kupić nowe lampki. Wiem nawet, gdzie możesz znaleźć naprawdę ładne. – Uśmiecha się, trącając mnie łokciem w bok.

– Gdzie?

Naprawdę nie wiem, z jakiego powodu zadaję to pytanie, skoro najchętniej przesiedziałbym resztę wieczoru w domu i nigdzie się nie wybierał. A już szczególnie nie po to, żeby poszukać tandetnych lampek, które bardziej mnie wkurwiają, niż cieszą oko.

Love Porter ma najwyraźniej dar skutecznej perswazji.

– Niedaleko najbliższego parku jest sklep z takimi bądziwiami. Ładnymi bądziwiami – podkreśla i owija palce wokół mojego nadgarstka. – Chodź.

Nie protestuję. W zasadzie nawet nie chcę tego robić. Zwyczajnie pozwalam, by Porter wcisnęła mi w dłoń płaszcz, portfel i klucze do domu, a potem, żeby sama zgarnęła ze swojego mieszkania potrzebne rzeczy. Ba, pozwalam nawet, by zdecydowała, że przejdziemy się do tego sklepu pieszo, dlatego po kilku minutach idziemy już powolnym krokiem ulicami niezatłoczonego Aspen.

– Chlo będzie z ciebie dumna – zaczyna nagle Porter.

Zdecydowanie będzie, przechodzi mi przez myśl.

– Tak. Ma fioła na punkcie świąt – odpieram. – A ty? – Zerkam na swoją towarzyszkę, która poprawia właśnie wełnianą czapkę z pomponem.

– Ja?

– Masz fioła na punkcie świąt? – konkretyzuję.

Dziewczyna kręci głową.

– Nie. W zasadzie ja ich nawet nie lubię. Wydają mi się przereklamowane i sztuczne. Jedyne, co mi się w nich podoba, to ozdoby – odpowiada mi zupełnie szczerze.

– Więc dlaczego nie ozdabiasz swojego domu? Nie widziałem też choinki, gdy byłem u ciebie już dwa razy – zauważam słusznie, czując dziwną potrzebę, by się tego dowiedzieć.

Love uśmiecha się smutno i spuszcza wzrok na swoje buty. Na jej rzęsach osiada kilka płatków śniegu, kiedy idzie przed siebie smętnym krokiem.

– Bo nie mam dla kogo. Od pewnego czasu spędzam ten czas sama. – Wzrusza krótko ramionami i wsuwa zmarznięte dłonie do kieszeni płaszcza.

– Z konieczności czy wyboru?

Wchodzimy do parku, który o tej porze jest opustoszały, chociaż prezentuje się magicznie, gdy w świetle wysokich lamp można dostrzec prószyący z nieba śnieg. Ławki są pokryte grubą warstwą puchu, zupełnie tak jak chodniki. Do tego całe multum drzew i choinek, które dodają temu miejscu świątecznego klimatu.

Aspen to bez wątpienia kraina śniegu.

– Może z obu tych powodów? – zastanawia się na głos brązowooka.

Nie chce się zwierzać, więc to szanuję. Nie zamierzam na nią naciskać.

– Rozumiem. – Łypię na nią mimochodem. – Daleko jeszcze do tego sklepu?

– Zimno ci?

Prycham pogardliwie.

– Może po prostu mam już dość twojego towarzystwa, Porter? – sugeruję.

Dziewczyna odwraca głowę i posyła mi pretensjonalne spojrzenie.

– Nie kłam – rozkazuje twardo. – Kochasz je.

Uśmiecham się i dźgam palcem sterczący pompon.

– Toleruję – poprawiam ją.

– Znam tylko jeden sposób, żeby rozwiązać ten spór – odpiera dumnie Love, wypinając pierś i zadzierając nos, jak naburmuszone dziecko, które nie dostało upragnionego lizaka.

– Tak? Niby jaki?

Szybko zaczynam żałować, że o to zapytałem. Porter odbiega nieco ode mnie, bierze w dłonie odrobinę śniegu i formuje z nich śnieżkę, którą trafia mnie w ramię. Z westchnieniem spuszczam głowę, by dostrzec na płaszczu biały ślad.

– Bitwa na śnieżki! – woła z daleka, szczerząc się jak głupia.

– Ty naprawdę chcesz zostać wytarzana w zaspie – rzucam na tyle głośno, by była w stanie mnie usłyszeć, a potem... ruszam w pogoń za nią. I wcale nie potrzebuję dużo czasu, by ją złapać, przerzucić sobie przez ramię oraz zacząć szukać wzrokiem największej zasy w parku, w którą będę mógł ją wrzucić.

– Nie taki był plan! – słyszę jej udręczone westchnienie.

– Jesteś wolna, Porter. – Ściskam jej udo.

– A ty masz manię przerzucania mnie przez ramię.

Nabieram powietrza w płuca i zaczynam marsz w stronę dużej warstwy puchu widocznej z daleka. Brunetka kołysze się lekko na moim ramieniu z każdym krokiem, który stawiam. Z jakiegoś powodu przyjemnie tak mi się ją nosi.

– Może ją mam – nie protestuję.

Zrzucam ją na śnieg i z satysfakcją patrzę, jak dziewczyna tonie w zaspie. Przez chwilę leży w bezruchu, biorąc niespokojne wdechy, aż w końcu wyciąga dłoń w moją stronę i prosi:

– Nie stój tak, tylko mi pomóż.

Obserwuję ją z kpiną wymalowaną na twarzy, ale chwytam jej rękę. Chcę pociągnąć ją w górę, ale ona jest szybsza i ciągnie mnie z całą siłą, jaką w sobie ma, w dół. Tracę równowagę i ląduję w zaspie tuż obok niej w akompaniamencie charakterystycznego chrupnięcia śniegu.

– Jesteś oszustką. – Oddycham ciężko.

Porter parska melodyjnym, niewymuszonym śmiechem. Jest coś słodkiego w sposobie, w jaki się śmieje. Lekko, szczerze, z niewielką chrypką i bezwstydnie. Zerka na mnie spod długich, kruczoczarnych rzęs, ale niczego nie mówi. Zwyczajnie milczy.

I ja również milczę, napawając się ciszą spowijającą park, śniegiem sypiącym mi na twarz, zimnym powietrzem smagającym rozgrzaną skórę oraz obecnością najbardziej pokręconej dziewczyny, jaką kiedykolwiek dane mi było poznać.

ROZDZIAŁ CZWARTY



LOVE

Gdy byłam młodsza, marzyłam właśnie o tym – o nocy spędzonej na spacerowaniu po pustych ulicach miasta, pośród padającego z nieba śniegu i świątecznych klasyków wybrzmiewających z losowych knajp mijanych w drodze do domu. O szczypiącym w policzki mrozie, romantycznym nastroju i obecności mężczyzny, którego podejrzewałam o bycie tym jedynym.

Ale potem dorosłam. I zrozumiałam, że było to bardzo naiwne wyobrażenie, bo mimo zapierającej dech w piersi scenerii i gównianie ckliwej atmosfery o żadnym mężczyźnie nie powinnam myśleć tak, jakby rzeczywiście był tym, którego wybrały dla mnie gwiazdy. A wszystko przez to, że gdy sparzysz się raz, już nigdy nie odważysz się wyciągnąć ręki w kierunku ognia.

Mimowolnie zaciskam palce na sznurku świątecznych lampek kupionych przez mojego sąsiada i zaciągam się rześkim, zimnym powietrzem. Pozbywam się wspomnień i wyrzucam z głowy wszelkie sentymenty. Zamiast tego zerkam kątem oka na Rydera. Przyłapuję go na tym, że wpatruje się w moją twarz. Ale on nie wydaje się speszony czy zawstydzony, kiedy mówi do mnie ze spokojem:

– Często odlatujesz gdzieś myślami, Porter.

Wzruszam krótko ramionami.

– Wybacz. Wymyślenie zbrodni idealnej wymaga całkowitego skupienia. – Szczerzę się i puszczam mężczyźnie oczko, na co ten mruży wąpiąco oczy.

– Czasami naprawdę zastanawiam się, czy tylko tak żartujesz, czy pewnego dnia rzeczywiście wbijesz mi nóż w plecy – odpięra zamyślony, wsuwając dłonie do kieszeni długiego, czarnego płaszcza.

– Wiesz... jeśli miałabym się ciebie pozbyć, nie użyłabym noża. To zbyt proste i mało kontrowersyjne – zastanawiam się na głos, uciekając spojrzeniem do mijanych przez nas, kiczowato ozdobionych milionem światełek domów.

– Więc co jest dla ciebie naprawdę ekstrawaganckie, co? – pyta mój towarzysz, na co zagryzam wargę. Przystaję w miejscu, czym zmuszam Rydera do tego samego.

Przez chwilę taksuje mnie uważnym, zaintrygowanym spojrzeniem. Jego oczy w świetle ulicznych latarni wydają się mieć ciepły odcień, tak daleki od tego, jaki mają naprawdę. Dziwne napięcie unosi się w powietrzu, gdy robię pierwszy krok w kierunku mężczyzny. Ten jednak nie wycofuje się, wręcz przeciwnie. Pochyla głowę, by móc swobodnie dostrzec na mojej twarzy każdy drobny detal.

– Ekstrawaganckie... – powtarzam za nim i wzdycham krótko. – Cóż. Takie wydają mi się te lampki, wiesz? – Podnoszę do góry rękę, by pokazać światełka Ryderowi. Jego brew szybuje ku górze w ekstremalnie szybkim tempie.

– Lampki – mamrocze, nadal patrząc mi w oczy. – Załatwiłabyś mnie lampkami?

– Oczywiście, że tak. – Potwierdzam skinieniem głowy i wspinam się na palcach, by owinąć ozdobą szyję mężczyzny. Ryder nawet się nie wzdyga, kiedy robię to w milczeniu. – Sznur z lampek ściskający twoje gardło brzmi jak pomysł, na który bym się skusiła, gdyby zaszła taka konieczność.

Mężczyzna unosi kącik ust i zanim zdążę go powstrzymać, sięga po moją wełnianą czapkę i zsuwa mi ją na oczy. Fukam pod nosem, puszczając lampki i próbując ponownie odzyskać zdolność widzenia. Nie spodziewam się jednak, że Pan Przystojniak ściągnie z siebie sznur i z jego pomocą skrępuje mi ręce tak, że przylgną mi do ciała.

Ściągam brwi, patrząc na niego jak na kretyna.

– Żartowałam, Ryder – burczę.

Brunet kładzie mi nagle dłoń w okolice krzyża i popycha lekko, bym nie stała jak kołek i się ruszyła. Kiedy znowu powoli kierujemy się w stronę właściwej dzielnicy, słyszę, jak mój towarzysz

stwierdza z niebywałym zadowoleniem:

– Teraz jesteś moim zakładnikiem, Porter.

– O nie – mamroczę nieprzejęta. – Co ze mną zrobisz, Panie Kryminalisto?

– Same złe rzeczy. – Jego duża dłoń prześlizguje się w górę i w dół moich pleców.

Momentalnie czuję, jak oblewa mnie gorąc, bo, cholera... Dotyk Rydera Callahana, mimo że niewinny, budzi we mnie naprawdę dziwny pociąg. Nawet jeśli usilnie staram się wmówić sobie, że wcale na mnie nie działa, to w pewien sposób sprawia, że czuję się porządnie nakręcona. A przecież nie mogę tak się czuć w stosunku do niego.

– Jak złe? – Przechyłam głowę, by na niego spojrzeć.

Odpowiada mi cichy, gardłowy szept rozbrzmiewający tuż przy uchu:

– Bardzo złe, Porter.

Czuję, jak przechodzi mnie dreszcz.

– Nie trzymaj mnie w niepewności. – Wydymam dolną wargę.

– Ubierzesz coś dla mnie – stwierdza z niebywałym przekonaniem.

Mrugam powoli, rozglądając się wokoło, by upewnić się, że nikt nas nie słyszy. Moje oczy muszą wyglądać w tym momencie jak pięciocentówki, ale, och, Chryste. Czy Ryder Callahan ma jakieś dziwne upodobania, w które chce mnie... wkręcić? Ludzie mają w końcu różne fetysze. Przetykam z trudem i rozchyłam delikatnie usta, ale nie wydostaje się spomiędzy nich żadne słowo. Matko, litości. Jak mam zapytać o to, co chciałby, żebym dla niego ubrała?

Gorąc oblewa moje policzki. Spuszczam wzrok na śnieg i pociągam nosem.

– Porter? – Ryder wydaje się zaniepokojony. – Wszystko okej?

– Ta... tak – wyduszam z siebie z trudem. – Więc... co chciałbyś, no wiesz. Żebym dla ciebie...

– zaczyna brakować mi słów. *Skup się, Love.* – Ugh... dla ciebie ubrała?

Mężczyzna marszczy czoło.

– No... choinkę – tłumaczy.

Wydaję z siebie zduszone sapnięcie.

– Choinkę? – Mój głos stał się nienaturalnie piskliwy.

Brunet masuje uspokajająco moje łądźwie. Jest w tym coś uzależniającego, coś, co sprawia, że gdy krzyżujemy spojrzenia, w moich oczach rodzi się niema prośba, by nie przestawał tego robić. Każda część mnie łągnie do niego, jakby czuła, że to właśnie bezpieczeństwo – to samo, którego poszukiwała przez tak długi czas.

Miętółę pomiędzy palcami skrawek płaszcza, podczas gdy Ryder dogłębnie tłumaczy:

– Chciałbym, żebyś ubrała dla mnie choinkę. Nie chce mi się tego robić, ale Chlo stwierdziła, że chociaż jedno zadanie musi spaść na moje barki – wyjaśnia. – Więc wyręczysz mnie, skoro jesteś moją zakładniczką – mówi poważnie.

Nagle robi mi się niesamowicie głupio.

– Och... – udaje mi się parsknąć. – W takim razie chyba jestem niewolnikiem.

– Cokolwiek, Porter. Po prostu jesteś na mojej łasce i niełasce. – Ryder nie kryje satysfakcji, kiedy docieramy do jego podwórka. Prowadzi mnie powoli, owiniętą sznurem lampek, aż do drzwi. Po chwili otwiera je i mówi: – Wchodź. Tylko się nie zabij, jak będziesz...

Potykam się o wystający próg i omal nie zaliczam gleby.

– ...przechodzić przez próg – dokańcza z politowaniem mężczyzna.

– Rozwiąż mnie. – Gromię go wzrokiem, odwracając głowę. W tym samym momencie czuję, jak coś ciepłego ociera się o moje nogi. To Klakier spragniony pieścizot. – Kochanie, jak dawno cię nie widziałam – rozczulam się na widok kocura.

Kucam i zerkam wymownie na Rydera, by w końcu mnie rozwiązał. Przy okazji zauważam coś dziwnego. Mężczyzna patrzy na swojego pupila nienawistnym wzrokiem, kiedy ten ociera się o mnie, wręcz błagając o uwagę.

– Jesteś zazdrosny? – parskam śmiechem.

Ryder robi się błądy. Milczy przez chwilę, więc konkretyzuję swoje pytanie:

– O Klakiera. Jesteś zazdrosny, bo to do mnie się łąsi? – Unoszę wyzywająco brew, wstając nagle

i nie odwracając spojrzenia od bruneta. Ten, jakby ktoś go właśnie ocucił wiadrem lodowatej wody, kiwa głową, potwierdzając moje słowa.

– Chyba tak – stwierdza odrobinę ciszej, a potem przybliży się do mnie i zaczyna rozplątywać sznur lampek, który krępuje moje ruchy. – Daj płaszcz – słyszę, gdy kończy, więc pozwalam, by zsunął ciężki materiał z moich ramion i zawiesił go na wieszaku.

Mój sąsiad ściąga mi jeszcze czapkę z głowy i poprawia puszące się włosy, przyklepując je dłonią.

– A teraz sio, Porter. Do roboty – rozkazuje, wskazując gestem ręki na przejście prowadzące do salonu. Wzdycham i kucam tylko po to, by wziąć dużego, rudego Klakiera na ręce. Z takim bagażem salutuję Ryderowi i ruszam przed siebie.

Spodziewam się usłyszeć za sobą ciężkie, męskie kroki, ale cisza spowijająca dom wydaje się niezachwiana. Od razu, jak tylko docieram do salonu, gdzie stoi choinka i pod którą znajduje się cała masa świątecznych ozdób, włączam radio, by wyrzucić z budynku ponurą atmosferę.

Odkładam Klakiera na kanapę i wołam głośno:

– Nie pomożesz mi?!

– A co, nie sięgasz? – Ryder wchodzi do pomieszczenia, zakasując rękawy czarnego, idealnie opinającego jego szerokie ramiona swetra. Rany boskie. Czy ten facet nie mógłby być odrobinę mniej gorący?

Sięgam po pudełko białych bombek, próbując wyrzucić z głowy jego widok, który sprawia, że robi mi się naprawdę ciepło. Żałuję, że nie mogę zrobić absolutnie niczego, by nie czuć, że Ryder Callahan przyciąga mnie do siebie jak pieprzony magnes.

– Próbujesz wy badać, czy mam kompleks wzrostu? – parskam.

Mężczyzna mruży oczy w zastanowieniu. Staje obok i przez moment po prostu patrzy na mnie z pewnego rodzaju zacięciem, jakby usilnie starał się coś zrozumieć. Nie jest nachalny, ale też nie wygląda, jakby miał zamiar tak łatwo się poddać, gdy pyta:

– A masz?

– Kompleks wzrostu? Nie – odpowiadam szczerze i zawieszam pierwszą bombkę.

– A jakiś inny?

Zagryzam wnętrze policzka, sięgając po drugą ozdobę. Unikam spojrzenia Rydera jak ognia, kiedy odwracam się znowu do choinki i dekoruję ją kolejną bańką.

– Każdy jakieś ma. – Wzruszam ramionami. – Zajmij się wyższymi gałęziami, w porządku?

Odnajduję w sobie odwagę, by spojrzeć na mężczyznę. Ten odpowiada mi krótkim skinieniem głowy, choć nie jest zadowolony z faktu, że odbiegłam od tematu. Najwyraźniej wyczuł, że to grunt, na który nie chcę dzisiaj wchodzić.

– A marzenia? – zaczyna po krótkiej chwili. – Każdy jakieś ma – powtarza za mną, uśmiechając się półgębkiem z pewną dozą zachęty.

Przez głowę przemyka mi myśl, że Ryder ma naprawdę ładny uśmiech. W pewien sposób intrygujący. W kolejny – seksowny. I w jeszcze następny – wzbudzający w kobietach rodzaj dziwnej ekscytacji. Chwytam kolejną bombkę, a później biorę krótki wdech.

– Albo miał – dopowiadam szeptem.

– Jakie miałaś marzenia, zanim pomyślałaś, że nie chcesz już marzyć, Love?

Niski, przyjemny baryton wdziera się do mojego serca i sprawia, że przez żyły przepływa mi spokój w najczystszej postaci. Zawieszam ozdobę i odwracam się znowu do bruneta. Jego szare tęczy mają odcień dymu, gdy skupiają się tylko na mnie.

– Były naiwne. Bardzo... naiwne – zaznaczam.

Ryder nie porusza się nawet o cal ani nie ucieka spojrzeniem od moich oczu.

– Zawsze chciałam zatańczyć z kimś w śniegu. – Uśmiecham się, czując, jak ogarnia mnie zażenowanie. – Do jakiejś romantycznej piosenki, czując zapach lasu i zimno na dworze. Chciałam... czuć bliskość drugiej osoby. Jej dotyk. Jej zainteresowanie mną i tylko mną akurat w tej chwili. Marzyłam o tym, że ta osoba przyciąga mnie do siebie jak najcenniejszy skarb. Prowadzi w wolnym tańcu i szepcze mi coś czule do ucha... – Pochylam głowę i zaciskam usta w wąską linię. – Dobra,

nieważne. Byłam naprawdę młoda i nie miałam pojęcia, że gdy dorosnę, zrozumieć, jak bardzo to było naiwne.

Stojący obok mnie mężczyzna ściąga brwi.

– Dlaczego naiwne?

– Bo to nie jest bajka, Ryder. Życie wcale nie jest usłane różami – wyjaśniam, a moje ramiona opadają. Sięgam po kolejną bombkę, bo mój rozmówca przez chwilę nie mówi absolutnie nic. Dopiero po kilkunastu sekundach wypala z powagą:

– Weź gwiazdę, Love.

– Gwiazdę? – upewniam się, że dobrze go usłyszałam, i przeczesuję wzrokiem pudełka z bombkami. W jednym rzeczywiście dostrzegam srebrny przedmiot.

– Musimy ją zawiesić, prawda? – kontynuuje tajemniczo mężczyzna.

Odkładam bańkę i posłusznie chwytam gwiazdę. Nie pytam, dlaczego Ryder chce zawiesić ją na choince teraz zamiast na końcu. Przeczucie podpowiada mi bowiem, że i tak nie otrzymałabym od niego odpowiedzi. Czarnowłosa przejeżdża językiem po dolnej wardze, patrząc to na mnie, to na czubek naprawdę wysokiego drzewa.

– Musisz mi pomóc – odpira i schyla się nieco, bym mogła wspiąć się na jego plecy. Bez słowa przytakuję, a potem wskakuję na niego i drzę, czując, jak mocno męskie dłonie zaciskają się na moich udach.

Staram się nie myśleć o tym, że Ryder pewnie czuje ciężar mojego ciała aż zbyt dobrze i za moment nie będzie w stanie dłużej mnie utrzymać. Chcę więc jak najszybciej położyć gwiazdę na czubku choinki. I już prawie się na nim trzyma, kiedy będący przede mną mężczyzna zupełnie nagle poprawia mnie na swoich plecach, przez co srebrny przedmiot spada na ziemię z głośnym hukiem.

Marszczę brwi. Co to miało być?

– Ryder? – pytam zdziwiona.

– Ups – słyszę w odpowiedzi.

– Co ty...

– Pomyśl życzenie, Love. Gdy widzisz spadającą gwiazdę, podobno musisz pomyśleć o swoim życzeniu, a wtedy ono się spełni – mówi miękko Ryder, zanim schyla się ponownie, tym razem, bym mogła bez problemu z niego zejść. Robię to powoli i staję na własnych nogach. Wpatrując się w mężczyznę, próbuję wyczytać coś z jego twarzy, ale ona pozostaje absolutnie beznamiętna.

Czuję, jak jego spojrzenie wpędza moje serce w niespokojne bicie. Moja pierś podskakuje co parę sekund, gdy biorę krótkie wdechy do płuc. Bo Ryder jest nieustępliwy. Jest... zdeterminowany, by w tej kwestii postawić na swoim.

– Po raz ostatni, Love. – Jego dłoń dotyka mojej w nieprzypadkowy sposób. – Pomyśl swoje naiwne życzenie.

Przymykam powieki na krótką chwilę. I myślę... myślę o swoim naiwnym marzeniu. W tym czasie słyszę ciężkie kroki rozbrzmiewające po salonie. A potem pierwsze dźwięki znajomej piosenki *Perfect* Eda Sheerana wydostającej się z radia.

Otwieram oczy dopiero, gdy czuję, jak Ryder kładzie swoją dłoń na moim biodrze i delikatnie popycha mnie w kierunku wyjścia na taras. Dreszcz przeszywa moje ciało w zatrważająco szybkim tempie, a umysł staje się lokum jednego wielkiego mętlaka. I wszystko to za sprawą jednego faceta.

Faceta, który wciąż jest dla mnie zagadką.

Muzyka nadal wybrzmiewa z domu, gdy wychodzimy na zewnątrz. Śnieg sypie mi w oczy, a zimno szczypie w policzki. Przystając w miejscu, odwracam się w stronę Rydera, który podchodzi do mnie powoli, stąpając boso po zaśnieżonych deskach tarasu. Marszczę czoło i wpatruję się w jego dłoń, kiedy wyciąga ją w moim kierunku przerysowanym, szarmanckim gestem.

– Co ty wyprawiasz? – pytam, patrząc na niego z jawnym politowaniem.

Mężczyzna pozostaje poważny. Zupełnie poważny.

– Spełniam twoje marzenie, Love – odpowiada, jak gdyby nic, a kiedy ja wciąż stoję jak kołek, sam mnie do siebie przyciąga tak, że zderzam się z jego klatką piersiową.

Przełykam z trudem, czując dużą dłoń na biodrze. Drugą Ryder splata z moją, a po chwili zaczyna

prorowadzić mnie w powolnym, subtelnym tańcu, pośród migoczących lampek, padającego śniegu i w rytm piosenki Eda Sheerana.

Na początku mężczyzna zachowuje pewien dystans, ale kiedy upewnia się, że nie mam nic przeciwko, by znalazł się bliżej, przyciąga mnie do siebie jeszcze mocniej, tak że pomiędzy nami nie udałoby się wcisnąć nawet kartki papieru. Znajdujemy się ciało przy ciele i przysięgam, że w tej chwili nie chciałabym być nigdzie indziej i z nikim innym.

– Nie musiałeś tego dla mnie robić, Ryder – mówię nagle szczerze, wsłuchując się w głos piosenkarza i opierając podbródek na szerokim ramieniu swojego partnera.

– Zaslugujesz na to, by marzyć, Love – odpowiada mi szeptem, gładząc niespiesznie dłonią dolną partię moich pleców. – Odważ się znowu to robić.

Wdycham jego zapach i chłonę jego bliskość. Wszystko, co teraz czuję, wpędza mnie w stan dziwnego spokoju. Sprawia, że mam ochotę dziękować całemu światu, bo w końcu, chociaż na banalnie krótką chwilę... zapominam o wszystkim.

Bo liczy się tylko on.

– Nie potrafię – wykrztuszam z siebie cicho. – To naiwne, a ja... Ryder, ja naprawdę zbyt długo byłam naiwna. – Odsuwam się tylko po to, by spojrzeć na mężczyznę z pewnej odległości i dostrzec, że na jego twarzy maluje się zaintrygowanie.

– Jest coś, przez co nienawidzisz się tak teraz czuć. Co to jest, Love? – pyta miękko, zbliżając swoje usta do moich.

Ukłucie w sercu daje o sobie znać.

To coś, co mnie zniszczyło, Ryder.

– Po prostu już nigdy więcej nie chcę się łudzić – wyznaję, czując, jak wspomnienia wysyłają po moim ciele falę nostalgii. Patrząc brunetowi w oczy, dodaję: – Nie chcę powtarzać sobie, że moje życzenia się spełnią, bo one nigdy się nie spełniają.

– Jedno właśnie się spełnia.

Kręcę głową w geście protestu.

– Tylko dlatego, że to ty je dla mnie spełniasz – mruczę, a Ryder niby przypadkiem nachyla się nad moją twarzą i trąca swoim nosem mój. Tracę na chwilę dech, bo intymność tego ruchu rozbraja mnie na kawałki. – A ty przecież nie możesz spełniać każdego mojego życzenia. – Uśmiecham się słabo.

Brunet milczy, ale nie przestaje prowadzić mnie w tańcu. Jest w tym naprawdę dobry. Jego ruchy są płynne i wyważone. Pełne gracji i szarmanckości. Ryder na pierwszym miejscu stawia mój komfort, gdy co jakiś czas patrzy na moją twarz, by znaleźć na niej potwierdzenie, że odpowiada mi tempo, które obiera, oraz to, jak blisko siebie się znajdujemy.

A znajdujemy się tak blisko, że jestem w stanie poczuć wszystko. Gorąc jego ciała i twardość jego mięśni przedzierających się przez ten przekłęty sweter. Jego oddech smagający moje usta. Jego zarost ocierający się co jakiś czas mój policzek. Wszystkie te małe rzeczy sprawiają, że czuję się naprawdę dobrze po raz pierwszy od dawna.

– Dziękuję – mówię z wdzięcznością, kiedy piosenka dobiega końca.

Ryder odpowiada mi skinieniem głowy. Później odsuwa się nieznacznie i gestem ręki wskazuje na drzwi tarasowe prowadzące do domu.

– Chodź, bo zmarzniesz.

Nie buntuję się w żaden sposób. Po prostu ruszam do salonu, gdzie zaczynam kontynuować ubieranie choinki. Jest duża, więc pewnie udekorowanie jej ozdobami zajmie nam jeszcze przynajmniej pół godziny, jak nie więcej. Sięgam po jedną z białych baniek, ale nie spodziewam się, że będzie pęknięta i rozpadnie się w mojej dłoni w drobny mak. Piekący ból promieniuje przez całą moją rękę, a lepka krew wypływa z otwartej rany.

– Masz może apteczkę? – pytam i krzywię się na widok tego, jak wygląda rozcięcie.

Ryder odwraca głowę przez ramię i wzdycha z politowaniem, gdy tylko orientuje się, co się stało. Podchodzi do mnie leniwym krokiem, po czym delikatnie ujmuję moją dłoń. Ogląda ranę bardzo dokładnie, a ja mimowolnie skupiam się na mimice jego twarzy. Na sposobie, w jaki ściąga brwi i rozchyła usta, mówiąc z opanowaniem:

– Mam. Opatrzę ci to.

Z tymi słowami puszcza moją rękę i rusza w tylko sobie znanym kierunku. Nie czekam jednak na niego długo, bo już po kilkunastu sekundach mężczyzna wraca, tym razem mając ze sobą apteczkę. Zbliża się i... popycha mnie wprost na kanapę, na którą opadam tyłkiem z cichym łoskotem.

– Nie ruszaj się – rozkazuje, kucając przede mną.

Przełykam głośno, patrząc na bruneta z góry.

– Zbladłaś, Love. – Jego spojrzenie krzyżuje się z moim.

Nie, nie, nie. Nie możesz niczego po sobie pokazać, powtarzam w duchu.

– Tracę krew, więc z łaski swojej zacznij już działać, Callahan – burczę, obracając tę sytuację w żart. Ryder jednak nie wydaje się przekonany moim tłumaczeniem, bo w jego oczach czai się dziwna, podejrzliwa iskra. Nie pyta jednak o nic, jakby wiedział, że i tak nie powiem mu absolutnie niczego. I ma rację.

– Jak tak dłużej o tym myślę, to mam ochotę pozwolić ci się wykrwawić – bąka w odpowiedzi, powoli oczyszczając ranę z odłamków szkła.

– Fachowa opieka, nie ma co. – Wywracam oczami. – Doktor Buc i jego humorki.

– Nie rzucaj się, Porter.

Unoszę kącik ust, kiedy widzę, że na jego twarzy również pojawia się cień uśmiechu.

– Zaraz ci tu zejdem – rzucam z udawaną grozą, przykładając zdrową dłoń do serca w przesadzonym stylu.

Ryder wzdycha, sięgając po coś z apteczki. Jest absolutnie spokojny i jestem pewna, że świadomy tego, co robi. Starannie opatruje mi rękę i czuję, że stara się być możliwie jak najdelikatniejszy.

– Nie dekoncentruj mnie – mruczy nisko. – Jesteś wyjątkowo upierdliwym pacjentem.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem. – Szczerzę się.

Mężczyzna unosi wzrok na moje usta.

– Wypchałem ci skrzynkę na listy makulaturą.

Rozchyłam wargi, zaskoczona jego wyznaniem.

– Ty pieprzony dupku. – Kopię go w pischcel.

– Hej, ratuję ci właśnie życie, Porter – broni się i opiera silne przedramiona na moich kolanach, by utrzymać równowagę. – Więc bez agresji. Może trochę zapiec – ostrzega.

– Zacisnę zęby, jestem duża... AUĆ, RYDER!

Mężczyzna zagryza wargę, powstrzymując śmiech.

– Mówiłem, że może zapiec.

Sznuruję usta w wąską linię.

– Gotowe – dodaje po dłuższej chwili. – Będziesz żyć.

Po tych słowach Ryder wstaje i patrzy na swoje dzieło z wyraźnym zadowoleniem. Bierze apteczkę i znika w korytarzu. Kiedy wciąż nie wraca, wypuszczam powolny oddech z płuc i wstaję na równe nogi, by udać się do kuchni. Biorę z szafki dwa losowe kubki z zamiarem zrobienia herbaty. Klakier wskakuje w tym czasie na blat i przygląda mi się z zaciekawieniem. Czekaając, aż woda w czajniku się zagotuje, głaskam go po grzbiecie.

– Długo tak stoisz? – pytam, dostrzegając w odbiciu płytek Rydera opartego ramieniem o ścianę za moimi plecami.

– Tak – odpowiada bez ceregieli.

– W porządku. Robię herbatę.

– Widzę. Będę w salonie, mam kilka dokumentów do przejrzania – obwieszcza, a ja dopiero teraz zauważam w jego dłoniach plik papierów. Zanim zdążę coś powiedzieć, Ryder wychodzi i zostawia mnie samą.

Zalewając kubki wrzątkiem, wpadam na wspaniały pomysł. Zostawiam herbatę w kuchni, by się zaparzyła, a sama przemykam na chwilę do własnego domu, żeby zgarnąć z niego kilka rzeczy. Kiedy wracam, dokończam przyrządzanie napoju i biorę go ze sobą do salonu, w którym od razu dostrzegam siedzącego na kanapie Rydera.

Jest tak pochłonięty dokumentami, że nawet mnie nie zauważa. Kładę kubki na stoliku kawowym

i również siadam na sofie. Wykorzystując brak zainteresowania ze strony mężczyzny, wyciągam z kieszeni spodni kilka przyniesionych ze sobą z domu rzeczy.

– Porter? – Ryder w końcu zerka na mnie spod przymrużonych powiek.

– Tak? – Namaczam wacik płynem.

– Mogę wiedzieć, co ty wyprawiasz?

– Cii – odpowiadam szeptem i przykładam mu palec do ust.

Mężczyzna unosi brew, totalnie zbity z tropu. Parę minut później oboje mamy na twarzach maseczki.

– Czym ty mnie wysmarowałaś? To jakiś żrący kwas? – Mój sąsiad krzywi się i próbuje dotknąć mojego dzieła, zapewne po to, żeby zmyć je z siebie. Chcę go powstrzymać, więc przybliżam się do niego gwałtownie, ale nie spodziewam się, że stracę równowagę i... wyląduję tyłkiem na jego kolanach. Wpadam na nie z impetem, a zaskoczony Ryder otwiera szerzej oczy.

Czuję, jak moje policzki oblewa gorąc. Kurwa.

– To maseczka, cymbale. Nie ścieraj jej.

– Swędzi – mamrocze brunet.

– Chcesz być piękny, to cierp.

– Ale ja już jestem piękny. – Uśmiecha się cwaniacko.

Parskam śmiechem i chcę z niego zejść, ale ręce Rydera oplatają mnie nagle niczym bluszcz i nie pozwalają mi ruszyć się chociażby o głupi cal. Prześlizgują się przez moje biodra, by spocząć naprawdę blisko tyłka.

Jezu. Chyba zaraz zwariuję.

– Włosy przyklejają ci się do twarzy – zauważa mężczyzna.

– Zwiążesz mi je?

Ryder nie odpowiada. Po prostu obraca mnie do siebie bokiem na swoich kolanach i chwytając pomiędzy palce czarne pasma, przeczesując je leniwym ruchem. Podaję mu w tym czasie gumkę do włosów, którą zawsze mam przy sobie, i zastygam w bezruchu, czując przyjemne ciepło rozlewające się w okolicach serca, gdy brunet zaczyna pleść warkocz.

W międzyczasie siada na mnie Klakier, więc głaszczę go po grzbiecie.

– Porter, twój pakt z moim kotem już przestał być zabawny – wzdycha nagle Ryder.

– Daj spokój. To prawdziwa przyjaźń.

– Nie możesz, nie wiem, załatwić sobie własnego?

– A wiesz, że myślałam o przygarnięciu psa? – zagajam. – W końcu w schroniskach mają prawdziwe obłożenie, a mi przydałby się ktoś, kto odgryzłby nogę natrętnemu sąsiadowi, gdyby ten postanowił wtargnąć mi bez zaproszenia do domu.

– Bardzo śmieszne.

– Jestem poważna – zaznaczam i spoglądam wymownie na swojego rozmówcę, gdy ten kończy wiązać mi włosy i ciągnie za zrobiony przez siebie warkocz.

Odpowiada mi cwaniackim uśmiechem.

– Napuszczalabyś go na mnie? – pyta pobłaźliwie.

– Oczywiście. – Opieram głowę o męskie ramię i ziewam przeciągle, czując, jak znowu ogarnia mnie znajome zmęczenie. – Nauczę go komendy: „ugryź Pana Przy... Dupka” – poprawiam się szybko i przygryzam wargę. – No i nazwę go Gargamel.

Duża, męska dłoń ląduje na moim kolanie. Ryder ściska je ostrzegawczo, na co unoszę kącik ust.

– Trzymam za słowo – słyszę tuż przy uchu, zanim przymykam powieki dosłownie na sekundę i sama nie wiem, kiedy odpływam.

ROZDZIAŁ PIĄTY



LOVE

Budzę się dopiero rano, w pomieszczeniu, które zdecydowanie nie wygląda jak moja sypialnia. Przecieram dłonią oczy, a potem twarz, na której nie ma już maseczki. Ryder musiał mi ją zmyć, a potem przenieść do własnego łóżka, bo pościel, w której jestem zakopana, pachnie nim intensywnie. Zaciągam się męskim zapachem zupełnie mimowolnie, czując, jak mój żołądek robi fikołka.

Jezu, to źle, że tak reaguję nawet na takie niuanse.

Wstaję po dłuższej chwili. Przemierzam korytarz, ale nie dostrzegam w domu sąsiada żadnej żywej duszy, co oznacza, że Ryder musiał już wyjść do pracy. Klakier wita mnie w kuchni, więc drapię go po brzuchu, w tym samym czasie dostrzegając kartkę na blacie. Z wiadomości wynika, że jak już skończę się wylegiwać, mam zostawić otwarte drzwi, bo gospodarz powinien szybko wrócić. Wzdycham krótko i po paru minutach opuszczam podwórko mężczyzny z delikatnym uśmiechem na twarzy.

Będąc już u siebie, ogarniam się i z ulgą stwierdzam, że zdążę jeszcze pojawić się na zajęciach z baletu przed popołudniową zmianą w kinie. Biorę więc w dłoń swoją torbę, którą zawieszam na ramieniu, zamykam drzwi i zaczynam marsz w dobrze znanym sobie kierunku. Do celu docieram po niecałych trzydziestu minutach.

Na sali jest już parę dziewczyn, ale nie podchodzę do nich, tylko trzymam się na uboczu. Tak jak zawsze zaczynam samotną rozgrzewkę, już przebrana i gotowa na godzinną lekcję. Najpierw skupiam się na prostych ćwiczeniach, a dopiero potem porywam się na te trudniejsze. Skupiona na perfekcyjnym ich wykonaniu dopiero po paru minutach orientuję się, że stoi przy mnie Ivory. Chyba najlepsza nauczycielka, na jaką mogłam trafić.

– Pamiętaj o palcach stóp, Love – przypomina mi, puszczając w moim kierunku oczko. – Dobrze ci idzie.

Posyłam jej uśmiech i wracam do ćwiczeń. Dopiero po godzinie, nieco zziębnięta i porządnie rozciągnięta, wychodzę z budynku. Od razu dostrzegam stojący na parkingu samochód Kaydena. Wsiadam do niego zadowolona po odbytym treningu.

– Jak było? – Chłopak odpala silnik i zerka na mnie z uniesioną brwią.

– Jak zawsze. Ivory dała nam popalić.

– Mamy wolną godzinę – zauważa słusznie Graves, zerkając na zegar elektroniczny umieszczony na desce rozdzielczej. – Co powiesz na lodowisko? – pyta, na co kiwam entuzjastycznie głową.

Lubię jeździć na łyżwach, zresztą Kayden też, gdy ma dobry dzień i nie upada na lód średnio co kilka minut. Kto wie, może dzisiaj tak będzie?

Kwadrans później wchodzimy już na taflę. Płoza szura powoli po twardej powierzchni, kiedy mknę przed siebie i próbuję się do niej przyzwyczaić. Lodowisko w Aspen nie jest dzisiaj jakoś bardzo oblegane, więc mamy z Kaydenem sporo miejsca dla siebie.

– Poznajesz? – Chłopak podjeżdża do mnie i zerka sugestywnie na kogoś po naszej lewej stronie. Odwracam głowę, by dostrzec nieopodal nas śmiejącą się naprawdę głośno niewysoką brunetkę. Zagryzam wargę, bo ma naprawdę niezły ubaw z wydzieranego faceta, który natychmiast podnosi się do pionu i gromi ją nienawistnym wzrokiem.

– To chyba ta znana łyżwiarka, no nie? – zastanawiam się.

– Mhm. – Kayden potakuje.

– No cóż. – Uśmiecham się, wzruszając krótko ramionami.

Przejeżdżam parę metrów i wsuwam dłonie do kieszeni płaszcza, czując, że już zaczynają mnie szczypać z zimna. Spuszczam na moment wzrok, by zorientować się, że jedna łyżwa zdążyła mi się

rozwiązać. Kucam, by ją poprawić, i zaczynam wiązać but. Nie spodziewam się, że w pewnym momencie ktoś na mnie wleci.

Klnę siarczyście, bo przez to nieoczekiwanie upadam tyłkiem na lód.

– Ty choler... Ryder? – Wytrzeszczam oczy, widząc przed sobą sąsiada.

Mężczyzna wzdycha, wyciągając w moją stronę dłoń.

– Czy ty mnie prześladujesz, Porter? – pyta, a ja dopiero po chwili, stojąc już z jego pomocą na równych nogach, dostrzegam jadącą niezgrabnie w oddali Chlo. Dziewczyna macha do mnie z daleka, uśmiechając się przy tym promiennie.

– Mogłabym zapytać cię o to samo – odpieram, krzyżując ręce pod biustem.

– Love, gdzieś ty się... – słyszę głos Kaydena, który nagle pojawia się przy mnie. – Och, a to kto? – pyta, zaszczycając mężczyznę stojącego naprzeciwko nas przelotnym spojrzeniem.

– To mój sąsiad – wyjaśniam. – Ryder. A to mój przyjaciel, Kayden – przedstawiam ich sobie, bo tego wymaga kultura.

Obaj patrzą na siebie dziwnie złowrogo, podając sobie ręce. Atmosfera zupełnie nagle gęstnieje. Postanawiam więc szybko to przerwać.

– Okej, w takim razie... nie będziemy wam przeszkadzać – wypalam, wskazując gestem ręki na Chloe. – Do zobaczenia, Ryder. – Posyłam mu uśmiech, ale on wcale go nie odwzajemnia. Mruczając pod nosem zwykle „na razie”, po prostu odjeżdża.

– To było niezręczne – stwierdzam do Kaydena.

Chłopak uśmiecha się, wyraźnie rozbawiony.

– Było. Więc to był ten gość, który nie daje ci spać?

Rozchyłam usta i drapię się z tyłu głowy.

– Właściwie... tamta noc była nieporozumieniem – wypalam. – On po prostu skręcał meble. To ja dopowiedziałam sobie trochę zbyt dużo. Ryder jest w porządku. Serio... w porządku. – Mój głos jest żałośnie cichy.

– Cóż, wyglądał, jakby wpieniał go sam mój widok.

– Ty też tak wyglądałaś, Kay – zauważam, unosząc kącik ust.

– To gra psychologiczna.

– Gra? – powtarzam za nim, totalnie zbita z tropu.

– No tak. Gołym okiem widać, że podobaś się temu całemu Ryderowi, a jeśli będzie myślał, że podobaś się też mnie, albo będzie się o ciebie bardziej starał, albo sobie odpuści i da ci spokój. Wóz albo przewóz. – Kayden wydaje się z siebie niezwykle dumny.

Marszczę czoło, patrząc na przyjaciela z politowaniem.

– To dziecinne – stwierdzam.

I czy to w ogóle możliwe, żebym mogła podobać się takiemu facetowi jak Ryder? Och, cholera. On jest naprawdę atrakcyjny, w dodatku, gdy tylko chce, potrafi być prawdziwym džentelmenem. Na pewno ma powodzenie u płci przeciwnej. A ja? Ja jestem tylko Love Porter. Przeciętą, zbyt ciężką, naiwną Love Porter. To niemożliwe, by spojrział na mnie ktoś taki jak on. Kayden... Kayden musiał to wszystko źle zinterpretować.

Biorę krótki wdech do płuc i zwieszam głowę. Pomimo tego, że przyjaciel cały czas coś do mnie mówi, puszczam jego słowa mimo uszu. I tak spędzam całą resztę dnia.

Do domu wracam późnym wieczorem. Od razu przebieram się w za duży, piekielnie wygodny sweter i czarne dresy. Z kubkiem herbaty w ręce wychodzę na taras, by spędzić parę chwil w ciszy, mając wokół siebie tylko las i spadający z nieba śnieg.

Zasiadam na krześle, upijam łyk gorącego napoju i przymykam błogo powieki. Marszczę jednak brwi, kiedy zamiast ciszy słyszę dziwny dźwięk, jakby ktoś... coś rąbał? Otwieram oczy i wyglądam za ogrodzenie, by dostrzec za nim Rydera.

O Boże. Rydera drwała, który rąba drewno.

Moja szczeka w tym momencie chyba opadła aż do podłogi. Widoczne przez czarny sweter

mięśnie mężczyzny napinają się i rozluźniają z każdym ruchem, który Ryder wykonuje. Z każdym podniesieniem do góry siekiery, wzięciem zamachu i silnym uderzeniem w kawałek drewna. Odkładam na stół herbatę, wygodniej usadawiając się na krześle i podziwiając ładne widoki. Szlag by to. Chciałabym odwrócić wzrok, to po prostu niemożliwe.

Z letargu wytrąca mnie dopiero miauknięcie. Wdrapujący się na ogrodzenie Klakier ściąga na siebie również uwagę swojego pana, który na moment nieruchomieje, a jego wzrok... cóż, jego wzrok zupełnie nagle ląduje na mojej twarzy.

Zostałam zdemaskowana.

Z tą wiedzą wstaję i podchodzę do granicy naszych podwórek. Sprawnie przeskakuję przez płot, by po krótkiej chwili usadowić się na schodach, którymi schodzi się z tarasu Rydera. Opieram łokcie na kolanach, podczas gdy brunet mówi:

– Lodowisko to oklepany pomysł na randkę.

Marszczę nos, chwilę analizując w duchu jego słowa.

– Co?

– Ten cały Kayden ma chujowy gust. – Mężczyzna wzrusza ramionami, wbijając siekiere bardzo mocno w pień drzewa. – To wszystko.

O Boże. Czy on jednak pomyślał, że ja i Graves... Nie, fuj.

– Posłuchaj, Ryder... – zaczynam, ale nie pozwala mi dokończyć.

– Na lodowisko można zabrać siostrę, a nie dziewczynę, której chcesz zaimponować – bąka lekceważąco, wycierając ręce w losową szmatkę.

Mrugam powoli, wpatrując się w niego z zapatym tchem. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wygląda teraz jeszcze bardziej atrakcyjnie z roztrzepanymi włosami, szybko poruszającą się po wysiłku klatką piersiową i spojrzeniem mrożącym krew w żyłach.

– To nie była randka – zaprzeczam. – Ja i Kayden jesteśmy jak rodzeństwo.

Ryder unosi brew i zakłada dłonie na biodrach.

– Nie wyglądał, jakby tak cię traktował.

Bo chciał cię sprawdzić.

– Ale traktuje – uparcie stawiam na swoim.

Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu. Jest coś elektryzującego w powietrzu, gdy obserwujemy się tak bez żadnych słów. Wzdrygam się zupełnie mimowolnie, kiedy nagle Ryder wzdycha i podchodzi do mnie, a potem siada obok na schodach tak, że stykamy się ramionami. Bije od niego gorąc, siła i tajemnica.

To mieszanka, która sprawia, że lgnę do niego jak ćma do światła.

– A ty? – pytam nagle, przechylając głowę, by spojrzeć na mężczyznę.

– Ja?

– Gdzie zabrałbyś na randkę kobietę, której chciałbyś zaimponować, Ryder? – Mój głos jest niewiele głośniejszy od szeptu.

Brunet przejeżdża dłonią wzdłuż linii szczęki, zastanawiając się i odwracając wzrok do krajobrazu gór. Dosłownie przez moment raczy mnie ciszą.

– Gdzieś, skąd zabrałaby same dobre wspomnienia, Love – odpowiada i znowu patrzy mi prosto w oczy.

Czuję, jak włos jeży mi się na karku.

– Gdzieś daleko stąd? – dopytuję.

– Gdzieś bardzo daleko stąd. – Potwierdza skinieniem głowy.

Cień słabego uśmiechu wstępuje na moją twarz.

– Zapomniałam ci podziękować.

Ryder łypie na mnie podejrzliwie.

– Za co?

– Za odstawienie mnie do łóżka i zmycie z twarzy żrącego kwasu? – prychem z rozbawieniem.

Mężczyzna unosi kącik ust.

– Żaden problem, Porter.

– Masz jakieś plany na dzisiaj? – pytam, wstając gwałtownie na nogi.
– Co ty kombinujesz? – Brunet odbija piłeczkę i również podnosi się do pionu.
– Proponuję wycieczkę na plac. Organizują tam dzisiaj coś fajnego. – Wzruszam ramionami, czekając na odpowiedź.

Ryder przygląda mi się bacznie, jakby starał się zrozumieć, co siedzi mi w głowie. Ale wnioskuje po tym, jak wzdycha ze zrezygnowaniem, nie jest w stanie wyczytać ze mnie absolutnie niczego.

– Daj mi dwadzieścia minut, okej? – ulega.

– Okej. Przyjdź, jak się zbierzesz, będę u siebie. – Wskazuję na swoje podwórko, a potem robię parę kroków w stronę ogrodzenia.

Mężczyzna prychnął kpiąco.

– Porter?

– Tak?

– Wiesz, że mam furtkę?

Uśmiecham się, puszczając mu oczko.

– Wolę płot. Nigdy nie znasz dnia ani godziny, kiedy cię nawiedzę – rzucam swobodnie, a potem podchodzę do konstrukcji.

– Zawsze mogę cię przez niego przerzucić – oferuje drwiąco.

– Nie przerzucisz. – Zagryzam wargę.

– Tak? A co mnie niby powstrzyma?

W jego głosie króluje prowokacja. Wspinam się po panelach, a kiedy siedzę już na samym szczycie ogrodzenia, cmokam kokieteryjnie:

– Wizja bezkarnego gapienia się na mój tyłek.

Ryder przełyka ślinę. Jego poruszająca się niespokojnie grdyka zdradza go w ułamku sekundy. Ostatni raz posyłam mu uśmiech, a potem zeskakuję na swoją część tarasu i ruszam w podskokach w stronę salonu. Przechucie podpowiada mi, że to będzie naprawdę miła noc.

Plac nieopodal naszego osiedla jest niewielki. Zbiera się na nim ledwie kilkadziesiąt osób, a wszystko za sprawą ogromnego ekranu zlokalizowanego w jego centrum oraz kilkunastu rzędów drewnianych ławek naprzeciwko niego. Dzisiejsze kino w plenerze przyciągnęło raczej młodych ludzi, zwłaszcza zakochane pary, więc trochę nieswojo czuję się z myślą, że, o Chryste, przyszedłam tutaj z Ryderem Callahanem.

– Przyszliśmy tutaj, żeby obejrzeć Kevina? – zaczyna nagle mężczyzna, widząc na wielkim ekranie tytuł kultowego filmu, który sama oglądałam przynajmniej dwadzieścia siedem razy.

– Mówiłam, że będzie fajnie. – Obnażam zęby i oplatom palcami jego nadgarstek, by móc pociągnąć go w stronę lokalu znajdującego się na rogu placu. – Ale najpierw spróbujesz czegoś pysznego. Mają tutaj najlepszy grzaniec na świecie – mówię i dodaję ciszej: – I najmocniejszy...

Ryder parska niskim, gardłowym śmiechem, przez co od razu robi mi się cieplej na sercu.

– Chcesz mnie upić? – pyta.

– I uwieść – dodaję z powagą.

– I myślisz, że uda ci się zawrócić mi w głowie?

– Przekonajmy się. – Wciągamy go do baru, z którego wychodzimy z dwoma ogromnymi papierowymi kubkami. Śnieg prószy z nieba, gdy zasiadamy na jednej z ostatnich ławek na kilka chwil przed rozpoczęciem seansu.

– Nie mogliśmy obejrzeć tego w domu? – marudzi szarooki.

– Nie? – odpowiadam urażona. – Nie czujesz, jaki tu jest klimat? Jezu, Ryder. – Chwytam się teatralnie za serce.

– Zmarzniesz, Porter – rzuca cicho.

Spoglądam na swojego sąsiada i momentalnie czuję, jak moje serce przyśpiesza swój rytm. Dawno nie usłyszałam od kogoś, by przejmował się tym, co się ze mną stanie. A Ryder... Ryder martwi się, czy aby przypadkiem nie będzie mi zimno. Spuszczam wzrok, bo gorąc oblewa moje policzki. Boże, to takie dziwne. Tak dziwnie jest słyszeć, że ktoś się o ciebie troszczy.

A już zwłaszcza kiedy robi to ktoś taki, jak Ryder Callahan.

– Nie zmarzę – zaprzeczam szeptem i opieram głowę na jego ramieniu.

Słyszę, jak cicho wzdycha.

– Jakby co...

– Tak – przerywam mu. – Powiem ci, gdy będzie mi zimno.

– W porządku, Love.

Upija łyk napoju i stwierdza:

– Miałaś rację. Jest mocny.

– Więc miej się na baczności – mówię z uśmiechem.

Ryder nie odpowiada, bo zaczyna się film. W zasadzie dopiero po czwartym grzańcu przestajemy zwracać uwagę na to, czy ktoś przypadkiem nie patrzy na nas jak na dziwaków, gdy podczas naprawdę zabawnych momentów wybuchamy okropnie głośnym śmiechem.

Kiedy seans się kończy, muszę przytrzymać się swojego towarzysza, by nie zlecieć na beton. Trzymam się kurczowo jego ramienia, chichrając się jak wariatka i próbując utrzymać w pionie.

– Love, ty jesteś pijana... – wysnuwa wniosek, na co czkam.

– Troszeczkę – potwierdzam. – Ale ty też.

– Nie bardziej niż ty.

– Co nie zmienia faktu, że...

Ryder patrzy na mnie ze współczuciem.

– Nie próbuj mnie przegadać – mruży mi we włosy, gdy mnie do siebie przyciąga i wyprowadza z rzędów ławek. Już parę minut później jestem w stanie zorientować się, że wracamy do domu jedną ze znajomych uliczek.

– Lubię ci działać na nerwy.

Mężczyzna najwyraźniej nie ma już do mnie siły, bo wzdycha ze zrezygnowaniem i zupełnie nagle podnosi mnie i niesie jak pannę młodą. Jemu też trochę płacze się język, ale ma zdecydowanie lepszą głowę ode mnie. Parskam śmiechem, gdy mocno przyciąga mnie do swojej piersi i zaczyna marsz w stronę naszego domu.

– Wiem – odpowiada wymownie. – Naprawdę to wiem.

– Ryder? – zagajam słodko.

– No? – mówi, ale wpatruje się w losowy punkt przed sobą.

– A pójdziesz ze mną kiedyś na sanki?

Mężczyzna chyba jest już piekielnie znudzony.

– Love...

– Proooooooszę! – Splatam ręce za jego karkiem.

Mój towarzysz krzywi się nieznacznie. Najwyraźniej wie, że nie dam mu spokoju, dopóki nie powie, że pójdzie ze mną na te głupie, upragnione przeze mnie sanki. Może właśnie dlatego klnie cicho i po chwili udziela satysfakcjonującej mnie odpowiedzi:

– Pójdę, tylko bądź już cicho, okej?

– A kupimy Klakierowi świąteczne wdzianko? – pytam z nadzieją.

Ryder wywraca oczami.

– Porter, przymknij się.

– Takie puchate. Albo nie! Takie świecące! – Rozmarzona spoglądam prosto w niebo, na którym świeci dzisiaj tak dużo gwiazd. Zaciągam się rześkim powietrzem zmieszonym z perfumami Rydera i uciekam spojrzeniem do jego twarzy.

Jest naprawdę atrakcyjny. I wydaje się zmęczony, gdy mówi z przekąsem:

– Twoje gadulstwo to moje przekleństwo.

– Z piórkami czy bez? – zastanawiam się na głos.

– Zaraz cię tutaj zostawię.

– Nawet ty musisz mnie zostawić? – wyduszam z siebie z trudem, sama nie wiem czemu.

Orientując się, co opuściło moje usta, sznuruję je w cienką linię. Ryder w tym czasie badawczo mi się przygląda. Przyciąga mnie bliżej siebie jeszcze mocniej, tak że przywieram do niego cholernie

kurczowo. Wzdycham mu w szyję zaskoczona tym, jak gwałtownie to robi.

– Żartowałem, Love. Nie zostawię cię tutaj samej. – Jego głos uderza we mnie jak grom. Bo brzmi jak obietnica, jak nierozzerwalna, piękna, szczerza obietnica. – Mam nadzieję, że wiesz, że tego nie zrobię.

– Nie zrobisz. – Kiwam głową.

Mężczyzna wypuszcza powoli powietrze. Tak, jak zapowiedział, odstawia mnie prosto do domu. Wciąż tkwiąc w ciasnym uścisku jego silnych rąk, obserwuję wyłaniający się z oddali bliźniak. A potem zupełnie nagle mój wzrok łąduje na zaśnieżonym podwórku. Ściągam z niezrozumieniem brwi, upewniając się w tym czasie, że widok, który mam przed sobą, nie jest żadną fatamorganą.

– Hej! – obruszam się z nieco opóźnionym refleksem i podejmuję próbę niezgrabnego wyplątania się z rąk sąsiada.

Ten, wyraźnie zaskoczony, pomaga mi stanąć na własnych nogach, mruczając przy tym pod nosem:

– Chryste, Porter. Powoli, bo zaraz zaliczysz guza, a ja naprawdę nie mam zamiaru przekwalifikowywać się na twojego osobistego lekarza.

– Ty podstępny, podły draniu – burczę nad wyraz pretensjonalnie, nie robiąc sobie nic z jego uszczypliwego komentarza.

– Żartowałem? – Ryder unosi brew. – Bądź dalej sierotą, a ja zrobię jakiś szybki kurs...

– Tyle pracy, tyle marznięcia na zewnątrz, przebytych przeziębień i zszarganych nerwów... – ubolewam, podchodząc powoli do szczątek swojego dzieła.

– Porter, o co tyle wrzasku?

– Och, nie udawaj świętego! – cedzę przez zęby, opadając kolanami na warstwę śniegu. – Jesteś zwykłym, bezczelnym zwyrolem. Ja rozumiem, mamy kosę, wywijamy sobie chamskie numery i ucieramy nosy, ale, Matko Boska... Przeprowadziłeś zamach na mojego konkursowego bałwana. To gruba przesada, do diabła – dokańczam rozżalona, próbując uratować swoją pracę.

Niestety – tutaj nie pomoże żadna reanimacja. Mój bałwan doznał najokrutniejszej krzywdy i odszedł, Bóg jeden wie gdzie, poprzez wbicie łopaty do odśnieżania prosto w nieistniejącą szyję. Jego głowa kompletnie się rozleciała, a jakby tego było mało, ten psychol posypał miejsce, w którym się znajdowała, papryczką chili naśladowującą krew.

Matko. To nonsens.

– Był brzydki, odpadły mu oczy, straszył mi kota i... – wylicza kpiarsko Ryder, a potem, gdy krzyżujemy spojrzenia, wtem staje się poważny. – Zaraz, konkursowego co?

– Kon-kur-so-we-go bał-wa-na – akcentuję bardzo wyraźnie każdą pojedynczą zgłoskę. – Co roku wygrywam przekłety osiedlowy konkurs na najładniejszego bałwana w okolicy, który organizuje żona czepliwego gliniarza z drogówki. Ten fagas ciągle przyłapuje mnie na jakimś wykroczeniu i gdyby nie to, że wkupiam się w łaski jego żony, zapewne byłabym w niezłych tarapatkach finansowych – tłumaczę, a potem przenoszę spojrzenie na swojego bałwana, pociągając nosem z rozżaleniem.

Ryder komentuje moje słowa jedynie zwykłym:

– Wow, jesteś poważna. To nie jest pijacki dowcip.

Wywracam oczami, podnosząc się z klęczek.

– Czy ty w ogóle masz prawo jazdy? Nigdzie nie zauważyłem jeszcze samochodu. – dopytuje mężczyzna.

– Bo nie jest do końca sprawny po ostatnim zderzeniu z... Ugh, zresztą nie muszę ci się z niczego spowiadać. Idź już sobie – burczę niepokieszona, wspominając nie tak dawne spotkanie z drzewem. – Muszę ulepić tego bałwana jeszcze raz. Jutro po południu przez dzielnicę przejdzie komisja.

– Porter.

– Co? – pytam niemiło, w tym samym czasie zgarniając w dłoń trochę zimnego śniegu.

Jestem już odrobinę bardziej trzeźwa, więc szacowanie, ile czasu spędzę na mrozie, nie przychodzi mi z wielkim trudem, ale po prostu nie chce mi się znowu tego robić.

– Załóż rękawiczki. – Słowa Rydera brzmią jak rozkaz.

Rozkaz wydany mimo wszystko łagodnym tonem.

– Nie wzięłam ich. – Wzruszam ramionami, nadal nie patrząc na sprawcę tego całego

zamieszania. I gdy tak przez dłuższą chwilę milczymy, dociera do mnie, że nie jestem wkurzona, bo muszę ulepić tego cholernego bałwana raz jeszcze.

Jestem wkurzona, bo Ryder jest godnym mnie przeciwnikiem. Takim, który wie, jak obchodzić się z moim wrednym wcieleniem. Obawiam się, że przez to ten przystojniak nie wyniesie się z bliźniaka aż tak prędko – póki będziemy szli w tej dziwnej grze łeb w łeb.

– Weź te. – Jego głos wytrąca mnie z krótkiego letargu.

Odwracam głowę, gapiąc się na wyciągniętą w moim kierunku parę czarnych, męskich rękawiczek. Instynktownie mrużę oczy i wodzę wzrokiem nieco wyżej, by przyjrzeć się tej atrakcyjnej, spokojnej twarzy Callahana.

Jego czarne, nieco przydługie włosy zdążyły zwilgotnieć i teraz kilka kosmyków opada mu na czoło przez śnieg, który nawet na moment nie przestaje prószyć z rozgwieżdżonego dzisiaj nieba. Oczy tego faceta są za to tak szare jak kłęby dymu wydostającego się z komina sąsiedniego domu. Szlag, i jeszcze ten zarost. Nie mogę nic poradzić, że coś we mnie szepta, jak dobrze byłoby poczuć go, łaskoczącego moją skórę.

– Kolejny podstęp? – wyduszam z siebie markotnie.

– Aż tak źle masz o mnie mniemanie? – Ryder uśmiecha się kącikiem ust. – Może to nie był podstęp? Może tak naprawdę „przeprowadziłem zamach na twój bałwana”, bo ci go zazdrościłem? – pyta sugestywnie, na co prychem pod nosem i biorę od niego rękawiczki.

– Nazwałeś go brzydalem i powiedziałeś, że straszy ci kota.

Mężczyzna uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Więc może... chciałem spędzić z tobą noc? – Kolejna fałszywa sugestia. – Na lepieniu nowego, och, „konkursowego bałwana”.

– Nie kłam. Chciałeś mi porządnie dopiec.

– Już nie jesteś wpieniona – zauważa Ryder.

Kiwam powoli głową, zagryzając dolną wargę.

– Bo trzeźwieję i wracają mi wspomnienia.

– Wspomnienia – powtarza za mną mężczyzna.

Nawet gdy się odwracam i już z założonymi na dłonie rękawiczkami zaczynam lepić tego przeklętego bałwana, czuję na sobie ciężar spojrzenia swojego sąsiada. Doskonale wiem, że czeka, aż rozwinę rozpoczętą przez siebie myśl. I robię to dopiero po kilku – w jego odczuciu zapewne niemiłosiernie dłużących się – minutach:

– Rachunki wyrównane. Ty podeptałeś moją ciężką pracę, a ja zrobiłam ci z podjazdu lodowisko – rzucam lakonicznie, nie panując nad delikatnym uśmiechem.

Chcę wziąć do ręki kolejną garść śniegu, ale zupełnie nagle Ryder chwyta mnie za nadgarstek. Jego chwyt jest stanowczy, ale jednocześnie wydaje się niegroźny, gdy mężczyzna pociera kciukiem przegub mojej dłoni, który nie jest zakryty przez rękawiczkę.

– Hm? – słyszę pytające mruknięcie sąsiada.

Wzdycham z jakimś zawodem.

– Bądź bardziej domyślny. Wylałam na niego kilka kubłów wody... – wyjaśniam bez emocji, chociaż na wspomnienie misternego planu czuję wszechogarniające rozbawienie.

Drzę, gdy w jednej sekundzie zderzam się z roslym ciałem. To Ryder gwałtownym i silnym szarpnięciem przyciąga mnie do swojej klatki piersiowej w sposób, który mąci mi w głowie, zapiera dech w piersi i odbiera zdolność racjonalnego myślenia.

Przełykam resztki śliny. Serce dudni mi jak oszalałe, nogi miękną, ale dzielnie się na nich trzymam, zaciekłe wpatrzona w parę szarych tęczówek. Rany, jeśli ktoś uparcie szukałby definicji seksualnego napięcia, wystarczyłoby, że jego wzrok wylądował w tej chwili na nas. Stojących ciało przy ciele pośród chłodu nocy, padającego śniegu, cichych odgłosów dochodzących z ulicy. Przyciśniętych do siebie tak, jakby każdy cal niechcianego dystansu miał okazać się dla nas prawdziwą barierą.

– To napaść – dukam cicho, wciąż lekko pijana, oszołomiona i skrycie zafascynowana bliskością mężczyzny. Mężczyzny, który trzyma mnie przy sobie ciasno oraz pewnie. Jego uścisk jest dominujący, przysięgam... Jest tak prawdziwie dominujący.

– To coś gorszego, Porter – poprawia mnie Ryder.

– Mam rozumieć, że za moment pożałuję tego, jak łatwo dałam ci się podejść?

Mężczyzna zwięża oczy, a potem zniża głos o kilka oktaw:

– O co mnie posądzasz?

Rozchyłam powoli usta, cały czas wpatrując się w twarz Callahana.

– Jesteś surowym mężczyzną. Jak surowi mężczyźni każą młodsze sąsiadki, które wylewają im na podjazdy litry zimnej wody? – wypalam za szybko, nieświadoma, jak flirciarsko mogę wyglądać w oczach Rydera.

Jego oczy ciemnieją. Oddech staje się urywany, gdy brunet nie ucieka spojrzeniem ode mnie.

– Mają w głowie wiele metod, jak nauczyć je *dyscypliny*, Love – odpowiada gardłowo mój rozmówca, a wierzchnia część jego dużej ręki przesuwa się powoli wzdłuż mojego zmarzniętego policzka. Napinam wszystkie mięśnie.

Och, cholera. Wizja pobierania nauki dyscypliny u Rydera wydaje się naprawdę podniecająca.

Rany, Love. Nie myśl tak nawet po pijaku. Masz go wykurzyć z tego przekłętego domu.

– No tak. Dyscypliny... – Mój głos traci na sile, wydaje mi się, że bardziej przypomina słaby szept. Ale nie wynika to z faktu, że obawiam się tego, co mógłby zrobić ze mną Ryder. Jestem zwyczajnie przerażona samym przeczuciem, że z czasem mogłabym zapragnąć tego, by pokazał mi wszystkie metody nauki *dyscypliny*, które tylko nasuną mu się na myśl.

Wypuszczam z ust ciężki oddech, bo wzrok mężczyzny, który wciąż ma mnie w garści, nie przestaje wędrować po mojej twarzy. Spojrzenie Rydera jest przenikliwe. Na pewno wyraża ono pewnego rodzaju stanowczość – taką, którą czuję w każdej komórce swojego zmarzniętego ciała. Zupełnie tak, jakbym nie mogła zdusić w sobie wrażenia, że powinnam skulić się wobec siły i pewności siebie tego faceta. Callahan bez wątpienia jest prawdziwym twardzielem.

Nie można odjąć mu tego, że jest również dżentelmenem – takim, który nie zdobędzie się na wplątanie wstawionej, upierdliwej sąsiadki w nic, co osoba trzecia mogłaby podpiąć pod romansowanie. Ryder bowiem odsuwa mnie od siebie tak prędko, jak tylko odzyskuje fason.

– Pomogę ci z tym bałwanem – odchrząkuje, co w jego ustach brzmi komicznie, bo, och... Ten poważny gbur i lepienie bałwana?

Ale wiem, że to nic innego jak pretekst, by się ode mnie odkleić.

– Wyrzuty sumienia? – Unoszę brew.

– Po tym, co usłyszałem o podwórkowym lodowisku? Nie sędzę – ironizuje Ryder.

– Więc... co to takiego? Bo na pewno żaden przejaw dobroci.

Mężczyzna pozbywa się papryczki chili ze śnieżnej kuli, posyłając mi groźne spojrzenie.

– Jeśli będziesz tak trajkotać, nie skończymy do czasu, aż przejdzie komisja.

Sprytne uniknięcie odpowiedzi. Brawo, przystojniaku.

– A przecież chcesz wygrać konkurs, podliznąć się tej żonie gliniarza i nadal mieć jakiś śmieszny immunitet, tak? – dodaje kpiarsko brunet, unosząc kącik ust.

Parskam niesłyszalnie pod nosem.

– Tak. – Potwierdzam skinieniem głowy, stwierdzając w myślach, że Ryder wygrał. Nie będę mu już wierzyć dziury w brzuchu. Czeka nas w końcu jeszcze przynajmniej kilkanaście minut pracy. – Więc co mam robić? – wypalam, nie wiem nawet dlaczego.

Mężczyzna mruży oczy z zaskoczenia.

– Oddajesz mi dowództwo? – pyta.

Szlag, nawet nieświadomie mu się podporządkowuję.

– Zacznijmy. – Odwracam wzrok i tym razem to ja unikam tematu.

Wychodzi na to, że oboje wolimy udawać, że nic się nie zmienia.

Po upływie dłuższego czasu wchodzę powolnym krokiem do domu. Chcę zamknąć za sobą drzwi, ale nagle przez próg przechodzi również Ryder. Odnajduję w mroku jego szare oczy i tracę na chwilę dech. Nie potrafię wykrztusić z siebie nic więcej prócz szeptanego:

– Dziękuję.

– Nie masz za co, Love. Śpij dobrze. – Uśmiecha się słabo.

Po tych słowach odwraca się w stronę wyjścia, zostawiając mnie samą w ciemnym, cichym korytarzu. Przetykam nagromadzoną w ustach ślinę. Smutek atakuje mnie zupełnie nagle. Nie wiem... Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego to robię. Dlaczego wyciągam rękę w kierunku Rydera, a potem zaciskam ją na jego szerokim ramieniu. Zaskoczony mężczyzna odwraca się w moją stronę. I chwila, w trakcie której nasze spojrzenia się ze sobą krzyżują, jest jak rażenie piorunem.

Bo nagle... nagle Ryder zachęcony niemałą prośbą, którą staram się wyrazić swoim dotykiem, po prostu popycha mnie na ścianę i miażdży moje usta w dzikim, niekontrolowanym pocałunku. Przyparta przez niego do twardej powierzchni nie mam drogi ucieczki. Ale nie chcę w tej chwili uciekać. Nie od niego, nie gdy goni za moimi ustami, błądzi dłońmi po moich biodrach, rozsuwa kolanem moje nogi, by znaleźć się jeszcze bliżej. Napięcie rozrywa mnie na strzępy, a serce kołacze w piersi już niemalże boleśnie. Nie panuję nad swoim ciałem, gdy ocieram się o Rydera, wyrывая z jego gardła niskie, ostrzegawcze warknięcia.

– Love – cedzi gniewnie, a jego ręce prześlizgują się na mój tyłek i ściskają go tak mocno, że aż podskakuję. Brunet wykorzystuje ten moment i ponownie odnajdując drogę do moich ust, podnosi mnie bez żadnego problemu, owija moimi nogami swoje biodra i znowu popycha na ścianę, na którą opadam plecami z głuchym odgłosem.

Wpłatom drżącą dłoń w miękkie pasma jego włosów. Nie myślę o tym, że oboje jesteśmy pijani, ani o tym, że pewnie jutro będziemy tego żałować. Po prostu odwzajemniam każdy pocałunek, każdą pieszczotę i każde westchnienie. Wypycham biodra coraz śmieiej, czując, że Ryder jest coraz bardziej pobudzony i twardy. Odrywa się od moich warg tylko po to, by zejść pocałunkami na linię mojej szczęki, a potem dotrzeć do szyi.

– Nie puszczaj mnie, proszę... – udaje mi się wykrztusić z siebie zdławione sapnięcie.

Słyszę, jak mężczyzna mruczy coś w mój obojczyk. Mocniej ciągnę go za włosy i klnę siarczyście, bo sposób, w jaki kąsa moją skórę, sprawia, że tracę całkowicie rezon. Ryder wyznacza szlak pocałunków wzdłuż mojego barku aż do ramienia. Jest paradoksalnie delikatny i agresywny, gdy wypycha biodra, a pokaźny wzwód ociera się o moje pulsujące potrzebą centrum. Wydaję z siebie głuchy jęk i odchyłam głowę.

Połykam kolejne hausty powietrza. Parodniowy zarost łaskocze mnie w szyję, kiedy mężczyzna podrywa głowę i znowu atakuje moje usta. Kładę zmarznięte dłonie na jego policzkach, przyciągając go do siebie jeszcze mocniej, jeszcze śmieiej, z jeszcze większą potrzebą poczucia, że jest blisko mnie. Jest blisko mnie i nigdzie się nie wybiera.

Wzdrygam się, bo w pewnym momencie odsuwa się od ściany. Zamyka kopniakiem drzwi wejściowe i zaczyna marsz przez ciemny korytarz, nie przestając całować mnie z pasją. Zmierza w kierunku mojej sypialni, gdzie zrzuca mnie na materac. Przez chwilę obserwuje moją twarz niebezpiecznie iskrzącymi się oczami. A potem zakasuje rękawy ciemnego swetra i powoli przybliży się do mnie, przeciągając torturę.

Chcę go całego dla siebie, chcę go w tej minucie, chcę, by obsypał moje ciało każdym rodzajem pocałunku. Znaczył skórę wilgotnymi muśnięciami, pieścił ją językiem, zapewniał mi pieszczoty, których nie doznałam nigdy dotąd. Ryder obserwuje mnie z powagą, porozumiewamy się niemym szyfrem, niewerbalnym kluczem, jakbyśmy oboje mieli świadomość tego, jak paraliżująca jest każda sekunda zwłoki.

Aż w końcu Ryder wdrapuje się na łóżko. Zaciska duże dłonie na moich nogach i pewnym ruchem ciągnie je w swoją stronę tak, że moje krocze zderza się z jego męskością. Wydaję z siebie niepowstrzymany jęk. Podnieca mnie sam fakt tego, że ten facet jest pewny swoich zamiarów, zwykła świadomość tego, jak bardzo jest doświadczony. Pociągam nosem oraz przymykam powieki. Nie muszę widzieć, by wiedzieć, że Ryder przybliży swoje usta do moich. Już niemalże stapiają się w kolejnym pocałunku, gdy mężczyzna mówi zmysłowym szeptem:

– Boże, Love. Domyślasz się chociaż odrobinę, co, do cholery, ze mną robisz?

Przetykam i kręcę głową.

– Nie chcę wiedzieć. Nie chcę niczego analizować ani prawić sobie wyrzutów. Po prostu zbliż się bardziej, a jutro znowu nie podchodź do mnie za blisko.

Z tymi słowami otwieram oczy. Niewiele jestem w stanie ujrzeć, kiedy Ryder kradnie mi przelotny pocałunek. Jest on tak słodki i krótki, że aż wydaje się nierzeczywisty.

– I tak ci powiem, co ze mną robisz – zapowiada cicho mężczyzna, a jego ogromne dłonie odnajdują moje biodra i zaciskają się na nich mocno.

– Zrobisz to, bo teraz nie myślisz trzeźwo – parskam śmiechem, zamykając w uścisku skostniałych palców policzki Rydera. – Och, no i chcesz mi zrobić na złość. Nie cierpię cię. – Kąciaki moich ust unoszą się jeszcze bardziej.

Zupełnie tak jak te Rydera, ale jego uśmiech jest nieco bardziej... leniwy. I atrakcyjny.

Naprawdę taki jest.

– Bystre spostrzeżenie – pomrukuje mężczyzna, składając na mojej szyi czuły pocałunek. A potem następny. Kolejne cmoknięcia. I jeszcze jeden ruch języka, pociągłe, gorące liźnięcie. – Wszystko, co wyprawiasz, sprowadza się do jednego. Staję się zachłanny. Spójrz jak bardzo, kurwa, zachłanny.

Mówi to i ociera się o mnie twardym wzwodem. Ściągam dłonie z jego policzków. Zaciskam je na materiale ciemnego swetra i przyciągam go do pocałunku.

– Zachłanny – dyszę mu prosto w usta.

Ryder opada na mnie całym ciałem, ciężar jego mięśni przyszpila mnie do łóżka. Tkwią pod nim i łaknę... łaknę... łaknę. Moje włosy są wilgotne od potu, skołtunione od pewnych szarpnięć palcami, które w którejś sekundzie zwyczajnie się w nich znalazły. Połykam tchnienie, wypychając biodra w akcie nadziei, że to napięcie w końcu mnie opuści.

– Bardzo – potwierdza nagle niski baryton. – Jak inaczej wytłumaczyć, że w tej jednej sekundzie chciałbym zagarnąć dla siebie wszystko, co leży w zasięgu moich dłoni, Love?

Gubię oddech. Ryder podnosi się odrobinę, by móc objąć uważnym spojrzeniem moją twarz. A potem obserwuje mnie bez słów, wodzi wzrokiem wszędzie tam, gdzie czuję, że oblewa mnie krwista czerwienią.

– Nie zastanawiaj się nad tym – mówi cicho i przymykając powieki, opada na pościel po mojej prawej stronie z ciężkim, udręczonym oddechem. – Po prostu zamknij oczy i śpij. Nie podejść do ciebie zbyt blisko, a zwłaszcza nie teraz, gdy przeholowałaś.

Rany, oboje przeholowaliśmy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY



RYDER

Ze snu wyrywają mnie cudze ciche, niespokojne wdechy. Otwieram powoli oczy i zamieram, gdy tylko orientuję się, kogo przytulam od tyłu. Czyj brzuch ciasno oplata moja ręka, czyje włosy łaskoczą mnie w twarz i czyj głośniejszy oddech nie pozwala mi spać.

Czuję, że gardło schnie mi momentalnie na wiór. Przez chwilę po prostu się nie ruszam i próbuję zrozumieć, jak doszło do tego, że wylądowałem w łóżku z Love Porter. Wspomnienia ostatniej nocy przelatują przez moją głowę niczym w kalejdoskopie – szybko przypominam sobie drogę do domu, pożegnanie w korytarzu i moment, w którym trochę nas poniosło.

Szlag by to, wyrzucam sobie, ale po chwili spycham pretensje do samego siebie na dalszy plan. Oddech Love bowiem zupełnie nagle staje się jeszcze szybszy i mniej naturalny. Słyszę, jak dziewczyna próbuje wyartykułować coś na kształt zdania, ale przychodzi jej to z trudem. Zaczyna wiercić się niespokojnie, więc nie wiedząc, co tak właściwie powinienem zrobić, przejeżdżam opuszkami palców po jej odkrytym brzuchu i przyciągam ją do siebie mocniej. Jej plecy przywierają do mojego torsu, jej ciało stapia się z moim, ale to wcale nie pomaga.

Nie pomaga, bo Love Porter wciąż wydaje z siebie szeptaną prośbę:

– Przestań... – Kwili przez sen, rzucając się jeszcze bardziej. – Proszę, przestań...

Przełykam z trudem. Błaganie tkwiące w jej łamiącym się głosie przyprawia mnie o zimny dreszcz na plecach. Opieram brodę na barku kobiety i zaczynam delikatnie nią kołysać, ale ona wciąż drży, jakby w pokoju panowała ujemna temperatura.

– Love – zaczynam cicho, zachrypniętym od dłuższego milczenia tonem. Jej koszmar jednak wciąż trwa. Trwa i wyzwała w niej coraz to większe spazmy, gdy kątem oka widzę, jak po bladym policzku spływa pierwsza samotna łza.

– Błagam cię – jęczy żałośnie, dławiąc się powietrzem.

Próbuję trzymać jej ciało przy sobie, ale ona wyrywa mi się, jakbym był tą jedyną osobą na świecie, która chciałaby ją skrzywdzić. A przecież nie jestem nią. Nie jestem nią, bo nie zamierzam zranić Love Porter bardziej, niż do tej pory została zraniona.

– Love – powtarzam nieco głośniejsz, gładząc wierzchnią częścią ręki jej brzuch. Czuję, jakby niewidzialny ciężar spoczął mi gdzieś w okolicach serca, gdy widzę ją w takim stanie. Pogruchoaną, zniewoloną przez własne złe wspomnienia. – Jestem tutaj – szepczę łagodnie.

– Weź sobie, cokolwiek chcesz... – prosi rozpaczliwie. – Ale nie to.

Co zostało ci odebrane, Love?

– Obudź się – mamroczę w ciemne włosy, chcąc wyrwać ją z tego kosmaru.

Dziewczyna próbuje się wyswobodzić. Chce stracić moją rękę ze swojego brzucha, ale jedyne, co robię, to chowam jej ciało szczelniej w ramionach i modłę się w duchu, by ta mara szybko ją opuściła. Z niewiadomego powodu świadomość, że Love przeżywa w tym momencie piekło, sprawia, że czuję, jakby ktoś przyłożył mi porządnie w twarz.

Wypuszczam powoli powietrze, a potem przyciskam delikatnie usta do jej karku. Love zanosi się jeszcze większym płaczem, który rani moje bębienki. Mija jeszcze parę dłuższych chwil, zanim dziewczyna otwiera załzawione oczy i zastyga w bezruchu. Nic nie mówi. Po prostu leży nieruchomo i patrzy martwo w przypadkowy punkt. I ja też nic nie mówię, chociaż chciałbym zadać jej milion pytań.

Ale nie mogę.

Cisza w sypialni jest niezachwiana, kiedy trwamy w tej jednej pozycji w absolutnym milczeniu. Pewna część mnie wydaje się dziwnie spokojna, gdy nadal trzymam przy sobie lekko dygoczące ciało

Love. Druga jednak nakazuje mi ją puścić i nie dawać powodu do strachu. Dotyk może albo koić ból, albo go powodować – zazwyczaj mogłem wyczuć, która z tych opcji wchodzi w danym momencie w grę. Problem rodził się, gdy dotykałem Porter.

Wtedy wszystko było inne. Niejednoznaczne. Nieszablonowe. Nie takie, jakie spodziewałem się, że będzie. Wtedy biłem się z myślami, bo nawet mimo pewnego doświadczenia w odczytywaniu ludzkich obaw nie umiałem tak po prostu stwierdzić, czy to, co wyprawiam, jest dla niej dobre. Chciałem jej pomóc. Naprawdę tego chciałem, ale nie wiedziałem jak.

– Wiem, że nie śpisz – wydycha nagle tak cicho, że ledwie jestem w stanie ją usłyszeć.

Znowu opieram brodę na jej ramieniu. I znowu nie umiem się powstrzymać, gdy delikatnie przyciskam usta do jej szyi. Ku mojemu zdziwieniu Love rozluźnia się odrobinę. Bierze krótki, bezdźwięczny wdech. Nakrywa swoją drobną dłonią moją, którą nadal trzymam na jej odkrytym brzuchu.

– Nie śpię – potwierdzam.

– Jak długo? – pyta.

– Wystarczająco, by wiedzieć o tym, że masz koszmary i paskudne wspomnienia, Love.

Brunetka pociąga nerwowo nosem. Śledząc wzrokiem jej nagie ramię, z którego zsunął się materiał swetra i ramiączko stanika, orientuję się, że pokrywa je gęsia skórka. Powoli przywieram więc do niej mocniej, a ona wcale mnie nie odtrąca.

– Jak często? – rzucam miękko.

Nie muszę nic dodawać. Love wie, o co mi chodzi, i mocniej ściska moją dłoń.

– Zbyt często.

– A czy teraz już jest dobrze? – upewniam się.

Nie dostaję konkretnej odpowiedzi:

– Już lepiej.

– Chcesz zostać sama? – Modlę się w duchu, by usłyszeć od niej krótkie „nie”. Dostaję jednak coś więcej. Coś, co sprawia, że robi mi się odrobinę ciepłej.

– Chcę, żebyś został ze mną. Przynajmniej jeszcze chwilkę – wyznaje speszona, odwracając się delikatnie w moją stronę. Jej oczy ciągle są smutne, ale nie ma już w nich śladu po łzach. Właściwie nie ma w nich już nic. Nawet głupiego błysku.

Mrugam powoli, uważnie śledząc wzrokiem jej mimikę. Kiedy zjeżdżam niżej, orientuję się, że ma niewielką bliznę pod linią szczęki. Idę dalej i napawam się wszystkimi detalami składającymi się na obraz dziewczyny, która zdecydowanie nie jest świadoma tego, jak zniewalająca jest dla kogoś, kto patrzy na nią z innej perspektywy. Moje spojrzenie łąduje na jej pełnych ustach, kiedy rzucam pod nosem obietnicę:

– Zostanę, ale trochę dłużej.

Love również wpatruje się we mnie uważnie.

– Jak długo? – dopytuje i przekręca się na plecy.

W tej pozycji może objąć wzrokiem całą moją twarz, może przesunąć swobodnie paznokciami wzdłuż mojego bicepsa, a ja wciąż mogę mieć dłoń swobodnie położoną na jej płaskim brzuchu. I jest coś zaskakującego w tym, jak naturalne i zwyczajne wydaje się to, że leżymy w tym łóżku i zachowujemy się, jakbyśmy jeszcze parę dni temu wcale nie chcieli sobie skoczyć do gardeł. Tak naprawdę wciąż tego chcemy. Ale czasami zdarzają się takie przerwy jak ta.

– Tak długo, dopóki nie stwierdzisz, że czujesz się dobrze, Love – mówię wyraźnie.

Dziewczyna nagle smutnieje. Spuszcza wzrok na pościel i zaciska usta.

– Nie mam prawa zabierać ci jeszcze więcej czasu, Ryder – wydusza z siebie w końcu po paru niemiłosiernie dłużących się sekundach. – Wystarczy mi, że będziesz tu tylko przez krótki moment. Potem...

Nie pozwalam jej dokończyć:

– Potem zostanę jeszcze na kolejny, jeśli wciąż będzie źle. Koniec tematu – zarządzam tonem, który nie oczekuje buntu czy innego sprzeciwu z jej strony.

Love wydaje się zrezygnowana, jakby zrozumiała, że nie zdoła zmusić mnie w żaden sposób do

zmiany zdania. Jej mina pozostaje jednak beznamiętna, kiedy patrząc mi prosto w oczy, pyta ledwie słyszalnie:

- A jeśli po prostu powiem ci to, co chcesz ode mnie usłyszeć, nawet jeśli to nie będzie prawda?
- Wtedy będę o tym wiedział – odpieram z przekonaniem.
- Będziesz?

– Wiem, kiedy kłamiesz, Love. Nie okłamuj mnie, skoro za każdym razem będę miał pojęcie o tym, że wciskasz mi kit. – Widząc, że splątane włosy zdążyły opaść na twarz dziewczyny, wyciągam dłoń, która do tej pory spoczywała na jej brzuchu, i zmiotam kosmyki z bladych policzków leniwym ruchem. Moment zetknięcia się jej skóry z moją jedynie rozpała we mnie pamięć o tym, co wydarzyło się wczoraj.

A wczoraj nie powinienem był pozwolić sobie na to, by ją pocałować czy tknąć w taki sposób. Nie powinienem był tego robić, bo, cholera, teraz, ze świadomością, jak to jest przeżywać coś takiego z Porter, będzie mi trudno odnaleźć w sobie chęć, by przeżyć coś podobnego z kimś innym. Biorę krótki wdech i ponownie chwytam kosmyk jej ciemnych włosów, tym razem zaczesując go za ucho. Nie cofam jednak ręki. Po prostu kładę ją swobodnie na jej policzku, który jestem w stanie ująć w całości.

– I proszę, spróbuj nie czuć się, jak ktoś, kto nie zasługuje na to, by mieć kogoś przy sobie – wzdycham po namyśle. – Spróbuj, okej?

– To będzie trudne. – Dziewczyna wydaje się zniechęcona.

Zasługujesz na więcej, niż sądzisz, Love. Dlaczego tak bardzo brakuje ci wiary?

– Będzie – przyznaję jej rację. – Ale spróbuj – powtarzam.

Kącik jej ust unosi się w słabym uśmiechu.

– Spróbuję – stwierdza i przymyka oczy w chwili, gdy przesuwam kciukiem po jej dolnej wardze.

Nigdy w życiu nie podejrzewałbym, że obdarzę Porter tak intymną pieśczęcią, ale, kurwa... Jej usta. Jej oczy. Jej złamanie. Wszystko w niej przyciąga mnie do siebie jak magnes. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czułem, jakby coś tak mocno jednocześnie mnie do kogoś popychało i od niego odpychało. Bo popychało mnie pragnienie bycia blisko niej, a odpychało... od tej dziewczyny odpychało mnie zdrowy rozsądek.

– Wczoraj zrobiłem coś złego, Love – mówię nagle, zwracając na siebie jej uwagę.

Love odchrząkuje nerwowo.

– Posłuchaj, ja... – zaczyna, ale nic sobie z tego nie robię i kontynuuję:

– Obiecałem ci, że pójdziemy na sanki. A obietnic powinno się dotrzymywać, prawda? –

Wzruszam krótko ramionami, jakby to była najbardziej oczywisty wniosek na świecie.

Porter otwiera szerzej oczy i rozchyła usta, wyraźnie zdziwiona. Ja w tym czasie zsuwam kciuk niżej, pod linię jej żuchwy.

– Ty... chcesz iść ze mną na sanki? – wydusza z siebie powoli.

W sumie to nie, ale w tym momencie zrobiłbym wszystko, żebyś poczuła się lepiej, myślę. A potem podpieram się na jednej ręce i cały czas, gapiąc się na nią, jak skończony szczeniak, siłę się na udawany entuzjazm i zadowolenie z tego, że – o jak super! – idziemy na sanki.

Kurwa.

– Mhm. – Kiwam głową.

Porter uśmiecha się jeszcze szerzej i w tym geście jest prawdziwa tona wdzięczności.

– Są w piwnicy. Ktoś, kto mieszkał tu przede mną, stwierdził, że już ich nie potrzebuje – wyjaśnia, cały czas utrzymując ze mną kontakt wzrokowy. A to, że nie ucieka wzrokiem po pokoju, jest dla mnie dobrym sygnałem. Bo Love, przynajmniej teraz, czuje się w mojej obecności komfortowo i nie szuka drogi ucieczki.

– Dobrze. Pójdziemy po nie – zgadzam się.

Dziewczyna zagryza niewinnie wargę.

– Ty – wypala.

– Co? – Marszczę czoło w niezrozumieniu.

– Ty po nie pójdziesz. Ja boję się myszy.

Prycham kpiąco i uśmiecham się w cwaniacki sposób.

– Nie ma sprawy. Wpuścimy tam Klakiera – sugeruję zadowolony.

Love mruży pretensjonalnie oczy. Mój pomysł najwyraźniej nie spotkał się z jej aprobatą, co tylko potwierdzają jej następne słowa:

– Nie? Moje podwórko zamieni się wtedy w mysi cmentarz.

Poważniej nagle i ściągam dłoń z policzka Porter, by przenieść ją na jej kolano.

– Serio? – pytam z udawanym zaskoczeniem, a potem sunę ręką wzdłuż jej nogi. – Wolisz mieszkać tutaj ze świadomością, że w każdej chwili coś może ci pełzać po...

– Ryder! – słyszę wysoki pisk, gdy szczypię tę małą jędrę w udo. Jej twarz oblewa dorodny rumieniec, a pierś podskakuje w szybkim tempie, jakby właśnie przebiegła maraton. Uśmiecham się półgębkiem. Widok zawstydzonej Porter uznaję w duchu za coś naprawdę satysfakcjonującego. Mógłbym doprowadzać ją do takiego stanu częściej.

– No już, cicho. Pójdę po te cholerne sanki. – Obracam się na plecy i chowam ręce pod głowę, przenosząc wzrok na sufit. Nie wierzę, że mam prawie trzydzieści cztery lata i zgadzam się na ten pomysł.

Może Love miała rację i to naprawdę dziwna odmiana kryzysu wieku średniego?

Jezu, nie. Oby nie.

– Jesteś coś zbyt chętny. To jakiś podstęp? – zastanawia się na głos.

– Tak. Zepchnę cię z góry tak mocno, że się połamiesz.

Love fuka niepokieszona i bije mnie pięścią w pierś. Ściągam brwi i odwracam głowę, by spojrzeć na nią z politowaniem. Jeśli myślała, że ten cios sprawi, że chociaż się wzdrygnę, to... nie. Nic takiego się nie dzieje. Właściwie ledwie jestem w stanie go poczuć.

– Wiedziałam, że jesteś zbyt miły – bąka.

– Zawsze jestem miły, Porter – odpowiadam spokojnie.

Brunetka zaciska usta, patrząc na mnie pretensjonalnie. Ale nie mija nawet sekunda, gdy coś zmienia się w jej spojrzeniu. Moja upierdliwa sąsiadka spogląda teraz na mnie z dziwnym tryumfem i powoli unosi kącik ust.

– Ta – rzuca drwiąco. – A ja nie porysowałam ci kluczami karoserii samochodu.

Jej słowa działają na mnie jak paralizator.

– Co zrobiłaś?!

Love parska melodyjnym śmiechem i widząc, że mam zamiar poderwać się do siadu, robi wszystko, by mnie powstrzymać. A przez „wszystko” rozumiem to, jak w ekstremalnie szybkim tempie przekłada nogę przez mój pas i uczepia się mnie niczym mała małpa. Cóż, biorąc pod uwagę, że Porter próbuje przyszpilić moją osobę do materaca całym ciężarem ciała, a on praktycznie nie istnieje, bo jest lekka jak piórko... z łatwością mógłbym ją zepchnąć.

Ale tego nie robię, bo jest mi tak kurewsko wygodnie.

– Cii... żartowałam. – Jej rozbawiony głos słyszę tuż przy uchu. – Gdy się denerwujesz, wyglądasz gorą... – ucina, jakby nagle oprzytomniała. – Chryste. Zamknij mi usta – wydaje z siebie żaloszny jęk.

Chciałbym, przechodzi mi przez myśl. Nawet bardziej, niż powinienem.

– Dlaczego? – Uśmiecham się. – Robisz się bardzo wylewna.

– Jeszcze słowo, a naprawdę porysuję ci samochód – cedzi zawstydzona.

Zwężam złowrogo oczy, a moje dłonie ześlizgują się na jej biodra. Wolę mieć pewność, że ze mnie nie spadnie. Znając ją, zleciałyby na ziemię i połamałyby sobie każdą możliwą kość. To Porter. Najbardziej pechowa dziewczyna na całym świecie.

– Spróbuj tylko – ostrzegam ją, brzmiąc poważnie.

– Bo co? – Unosi wyzywająco brew. – Przerobisz mnie na bałwana?

– Spioreę ci tyłek i wrzucę do piwnicy myszom na pożarcie.

Brunetka wstrzymuje oddech, jakby naprawdę przeraziła ją wizja tego, co mógłbym z nią zrobić. A mógłbym wyrwać jej wszystkie kudły z głowy, gdyby dobrała się do mojego ukochanego samochodu. To cacko jest moją świętością.

– Okej. Będę trzymać się od niego z daleka – stwierdza, ale ja wcale nie czuję się przekonany.

Już wiele razy mogłem zorientować się, jak nieobliczalna potrafi być ta roztrzępana wariatka.

– Pięknie, teraz codziennie będę robił przegląd i sprawdzał, czy trochę cię nie poniosło – rzucam zrezygnowany, na co Porter mruży oczy w jawnym zastanowieniu.

– Codziennie? – dopytuje.

Co ty kombinujesz?

– Codziennie, Porter – zapewniam ją.

– W porządku – mówi, a już po chwili nie czuję ciepła jej ciała, bo schodzi ze mnie niezgrabnie.

– Zaraz wracam. Idę zaparzyć herbatę – obwieszcza, kiedy stoi już na własnych nogach, i zaczyna kierować się w stronę wyjścia z sypialni.

Nie jest nawet w połowie dystansu do drzwi, gdy przywołuję ją spokojnym:

– Love?

Brązowooka odwraca się. Nie pyta o nic. Po prostu uśmiecha się promiennie w sposób, który sprawia, że włos jeży mi się na karku.

– Jest dobrze, Ryder – odpowiada, wiedząc, o co chcę zapytać. Tym razem wiem, że nie kłamię. Nie robi tego, bo w tej chwili te ciemne tęczówki są zbyt błyszczące i zbyt szczerze, by kłamać.

Od Porter wychodzę dopiero pół godziny później z zamiarem szybkiego ogarnięcia się i nakarmienia Klakiera, który z pewnością strzeli dzisiaj focha za to, że samotnie spędził noc. Kiedy jestem już na swoim podwórku, postanawiam jednak jeszcze coś sprawdzić. Jeden mały szczegół.

Podchodzę do auta i zaczynam oglądać je z każdej strony. Co prawda Porter zarzekała się jeszcze przed chwilą, że wcale nie przejechała po jego karoserii kluczykami, ale, szlag by to. To Porter. Po niej można się wszystkiego spodziewać. Biorę krótki wdech i z ulgą stwierdzam, że range rover jest nienaruszony. Potem robię kilka kroków w stronę domu i jeszcze po raz ostatni przelotnie zerkam na przód auta. Widok krótkiego napisu na zaśniewanej szybie zdecydowanie mnie zaskakuje.

Zbity z tropu próbuję odczytać, co Love na niej napisała. Musiała to zrobić wtedy, gdy wyszła „zaparzyć herbatę”. Mimowolnie się uśmiecham, kiedy udaje mi się zrozumieć, co nabazgrała:

Dzięki za wczoraj, L.

Kręcę głową z politowaniem i podchodzę do szyby, by napisać na niej palcem:

Do zobaczenia zaraz, R.

Wchodzę do domu i pierwsze, co widzę, to rudy kot siedzący na komodzie, patrzący na mnie oskarżycielskim wzrokiem. Wzdycham ciężko, podchodząc do niego, by pogłaskać go po grzbiecie. Nie miauczy, co znaczy, że jest naprawdę... zły.

Jakkolwiek to brzmi.

– Daj spokój. Ty też wracasz czasami nad ranem od swoich koleżanek – bąkam pod nosem, a Klakier w końcu wydaje z siebie dźwięk. Przeciągle miauknięcie. – No, tak. Żadna nie jest tak zajebista jak Porter. Też bym sobie zazdrościł. – Uśmiecham się i stwierdzam, że jestem naprawdę pojebany, skoro już prowadzę monologi z kotem.

Przecieram dłonią zmęczoną twarz. To był dziwny poranek.

Moja sąsiadka spóźnia się całe siedem minut i gdy już udaje jej się uporać z zamknięciem drzwi na klucz, mknie w moją stronę z lekkim uśmiechem, ciągnąc za sobą drewniane sanki, które wcześniej wyciągnąłem z jej piwnicy. Spod wełnianej czapki z pomponem i szalika, którym owinęła szyję, wystaje tylko jej zadarty czerwony nos. Porter wygląda śmiesznie. Może też trochę uroczo.

– Gdzie idziemy? – pyta, a ja odbieram od niej sznurek przyczepiony do przeklętych sanek.

– Ty mi powiedz.

– Do lasu? – Wskazuje na zalesiony teren za naszym domem.

– Może być las. A teraz wskakuj.

Love z lekkim ociąganiem usadawia tyłek na drewnianym sprzęcie. Nie wygląda jednak na tak szczęśliwą, jak myślałem, że będzie, gdy na niego wskoczy. W końcu... wydawała się cholernie podekscytowana naszym beznadziejnym wypadem na sanki.

– Ryder? – Jej głos wydaje się cichszy od szeptu.

– Hm?

– Jeśli nie będziesz dawał rady dłużej mnie ciągnąć...

Doznaję olśnienia. Od razu orientuję się, o co chodzi.

– Love – przerywam jej, puszczam sznurek i podchodzę do dziewczyny, by przed nią kucnąć. Patrzy na mnie smutno. Naprawdę... smutno. – Mógłbym nosić cię lub ciągnąć na tych pieprzonych sankach godzinami, a i tak nie miałbym dość.

Ona naprawdę uważa, że waży za dużo.

– Po prostu pamiętaj, że się nie obrażę. – Spuszcza wzrok na swoje buty.

– A ty pamiętaj, że jesteś moim ulubionym bagażem. – Posyłam Porter uśmiech i poprawiam jej szalik, by szczelniej oplótł szyję. – Jedziemy.

Słyszę, jak wzdycha, zanim zaczynam ciągnąć ją bez najmniejszego problemu w stronę lasu. Kiedy jesteśmy gdzieś w połowie drogi na sporą górkę znajdującą się około milę od naszych domów, Porter obwieszcza bezceremonialnie:

– Jutro jadę do schroniska. Podobno mają tam małego psiaka, który był czymś nietrafionym przedświątecznym prezentem i potrzebuje natychmiastowego domu. Może chciałbyś jechać po niego ze mną?

Szybko coś sobie przypominam.

– Pod jednym warunkiem. No dobra, dwoma – odpieram.

Odwracam głowę przez ramię. Porter patrzy na mnie z uniesioną brwią.

– Jakimi?

– Pierwszy: nie obrzyga mi tapicerki. Drugi: ty też gdzieś ze mną pojedziesz, ale dzisiaj – mówiąc to, zatrzymuję się, by przyjrzeć się jej uważnie. Wydaje się zaintrygowana, ale również zaniepokojona tym, co wymyśliłem.

– Gdzie? – dopytuje.

– Chloe wybiera się po południu z dwójką znajomych do Glenwood Springs. Mają tam baseny termalne, fajne knajpy i dobre jedzenie. Stwierdziła, że powinienem kogoś zgarnąć i też tam przyjechać – tłumaczę i wcale nie dziwi mnie fakt, że dziewczyna od razu markotnieje.

– Te baseny to konieczność? – mamrocze.

– Przecież nie zmuszę cię do wejścia do wody, Love. Możemy porobić coś innego. Na przykład pograć w bilard – sugeruję i znowu zaczynam marsz.

– Nie umiem grać w bilard.

– Nauczę cię. Jestem naprawdę dobrym nauczycielem. – Wyjmuję z kieszeni płaszczka telefon i wystukuję na klawiaturze krótką wiadomość do Chlo, że jednak zjawię się dzisiaj w Glenwood Springs. Odpowiedź otrzymuję od razu.

– Okej. W takim razie zgoda. Ja pojedę z tobą, a ty pojedziesz ze mną – podsumowuje Porter. – Cholera, wiedziałeś, że ta górka jest aż tak stroma? – Jej oczy przypominają pięciocentówki, gdy po paru minutach docieramy na miejsce.

– Inaczej bym cię tutaj nie zabierał. – Uśmiecham się.

Brunetka gromi mnie wzrokiem.

– Jeśli się połamię, będziesz mnie składał.

– Jakoś poskładał cię do kupy, Porter – rzucam pod nosem.

I wiem, że oboje wyczuwamy w tym drugie dno. Ale żadne z nas się nie odzywa. To jedna z tych chwil wypełnionych miłą ciszą, której nikt nie chce przerywać. Kiedy ona mija, my po prostu patrzymy na siebie, mając w głowie jedynie myśl, że to uspokajające.

Bo to naprawdę napawa spokojem.

– Dobra, popchnij mnie – rzuca nagle Love.

– Jesteś pewna?

– Nie – odpowiada szczerze. – Zjedź ze mną.

– Jak umrzeć, to razem? – pryham kpiąco.

– Siadasz czy nie?

Kręcę głową z politowaniem.

– Nie ma opcji.
– Prooooooszę. – Wydyma wargę.
– Nie patrz tak na mnie, Porter. – Zgrzytam zębami i unoszę wzrok na panoramę gór, byle tylko nie widzieć, jak ta podstępna wredota próbuje złapać mnie na ładne oczy. Wydaje się doskonale świadoma tego, że mam do nich niewyjaśnioną słabość.

– No dobrze – wzdycha zrezygnowana po kilkunastu sekundach.

– Dobrze? – pytam zdziwiony.

Nie spodziewałem się, że tak szybko odpuści.

– Popchnij mnie. Nie mamy całego dnia.

– Okej... – Wypuszczam powietrze z płuc i powoli zaczynam popychać ją do przodu.

– Do zobaczenia na dole – mówi, zanim sanki mkną powoli po śniegu, a ja... upadam na warstwę puchu zupełnie nagle przez sznurek, który oplata moją kostkę. I wszystko naprawdę dzieje się szybko, bo przez czas, w którym pędzę z góry, wstrzymuję oddech, widzę rozmazane drzewa i czuję, jak przez moje żyły przepływa adrenalina.

Dopiero będąc na dole, odzyskuję rezon. Przecieram dłonią twarz i pozbywam się z niej zalegającego śniegu. Porter opada na zaspę obok mnie i uśmiecha się tak szeroko, że mam ochotę wyrzucić jej naprawdę dużą krzywdę.

– Wybacz. To było silniejsze ode mnie – mruczy skruszona.

Zaciskam szczękę. Nie wierzę, że to zrobiła. Odwracam głowę i patrzę na nią wymownie, a potem po prostu... obracam się na bok i zawisam nad drobnym ciałem, unieruchamiając przekłętą Love Porter.

– Jeszcze raz? – pyta słodko.

– Zwariowałaś. – Dyszę ciężko w jej rozchylone usta wciąż zziębniętym pieprzonym wyścigiem. Brunetka kręci jednak głową z protestem.

– Źle mnie zrozumiałeś. – Uśmiecha się i trąca swoim czerwonym nosem mój.

– Tak? – Palę głupa, chociaż tym razem doskonale wiem, o co jej chodzi.

– Tak – potwierdza i kładzie zmarznięte dłonie na moich policzkach.

– Musisz być bardziej konkretna, Porter.

Love zagryza dolną wargę, a jej włosy rozsypują się po twarzy, kiedy przechyla odrobinę głowę w bok i po prostu przyciska swoje usta do moich. Całuje mnie delikatnie, niespiesznie, cholernie wolno i leniwie. Nie zabieram jej kontroli. Po prostu oddaję każdą pieszczotę, odnosząc wrażenie, że to wszystko jest nierealne. Nierealne, a zarazem wyjątkowe, gdy Love mocniej zaciska drobne dłonie na moich policzkach, nie przestając gonić za moimi ustami nawet na krótką chwilę.

Jedną ręką stabilizuję całe ciało, zaś drugą kładę na jej karku. Love bierze szybki wdech nosem, a ja dłużej nie mogę stłumić tej nieodpartej potrzeby zdominowania jej. Podgryzam pełną dolną wargę i z aprobatą przyjmuję krótki, połowicznie stłumiony w płucach jęk dziewczyny. Czuję, jak drży w moich ramionach, kiedy całuję ją szybciej, żarliwiej. Coraz to większe napięcie rozchodzi się po moim ciele, a kolejne westchnienia Love giną mi w gardle.

Aż w końcu brakuje jej tchu. Odsuwa się nieznacznie i pyta szeptem:

– Czy byłam wystarczająco konkretna, Ryder?

Oblizuję wargę i uśmiecham się zaczepnie.

– Jeszcze raz? – pytam.

– Ostatni. – Kiwa głową i odnajduje drogę do moich ust.

Ale wcale nie po raz ostatni.

ROZDZIAŁ SIÓDMY



RYDER

Równno o dziesiątej wrzucam na tylne siedzenia range rovera sportową torbę. Wcale nie dziwi mnie fakt, że Porter się spóźnia, więc biorę się za odsnieżanie przedniej szyby, a tym samym pozbywam się napisów, które pojawiły się na niej dzisiaj, choć śnieg zdążył je już nieco przykryć. Z westchnieniem kończę robotę i wyciągam z kieszeni telefon tak szybko, jak zaczyna wibrować. Widząc na ekranie numer Chlo, od razu odbieram.

– Co jest? – bąkam do słuchawki.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jednak przyjedziesz. – Entuzjazm w jej głosie jest wręcz namacalny. – Nie żebym narzekała, ale co cię tak nagle wzięło na wypad do Glenwood Springs? – dopytuje zaciekawiona, a ja w tym samym czasie dostrzegam wychodzącą z domu Porter.

Przez ramię przewiesiła wielką torbę, a włosy zaplotła w dwa warkocze.

– Ryder?

– Mam sesję z pacjentem dopiero o siódmej, więc mam trochę wolnego czasu. To tyle – odpieram, jak gdyby nigdy nic.

– Jasne. To dobrze, że chociaż na chwilę oderwiesz się od pracy. Wiem, że tytuł jednego z najlepszych psychologów w Kolorado jest wdzięczną nagrodą za to, ile przesiadujesz w gabinecie, ale błagam. Znaj umiar – prosi dziewczyna.

Wypuszczam ze świstem powietrze i opieram się o karoserię auta.

– Znam go, Chlo. Przy okazji... zabiorę kogoś ze sobą – obwieszczam bez ceregieli.

– Poznałeś jakąś dziewczynę?

Oczami wyobraźni widzę, jak siostrze zaczynają świecić się oczy. Rozchylam usta i znowu dopada mnie myśl, że to wszystko jest beznadziejne. Bo czasami, chociaż staram się wyprzeć z głowy podobne scenariusze, myślę o tym, co by było gdyby. I wtedy dociera do mnie, że nie mógłbym przewidzieć reakcji swoich najbliższych na moją relację z Porter. W końcu prawdopodobnie jest w wieku Chlo, a ona jeszcze wcale nie skończyła studiów.

Wygnam niechciane myśli z umysłu i zaciskam szczękę.

– Biorę ze sobą Love – wyznaję.

– O, super. Ekstra, że złapaliście wspólny język.

– Ta – rzucam pod nosem. – A od ciebie kto będzie?

– Isaac i Polly. Pamiętasz ich jeszcze?

Na moją twarz wstępuje grymas.

– Jak mógłbym zapomnieć o Polly?

– Nie martw się, powiem jej, że nie lubisz, gdy ktoś przekracza twoją przestrzeń osobistą – parska Chloe, na co wywracam oczami. Akurat jeśli chodzi o przyjaciółkę mojej siostry, Polly West, to jestem pewien, że ona nie wie, czym jest „przeźród osobista”. Ostatnim razem, gdy się widzieliśmy, była wobec mnie naprawdę... nachalna.

Od tego czasu skutecznie jej unikam.

– Widzimy się za półtorej godziny – mówię, gdy obok mnie nagle zjawia się Love. Chlo odpowiada mi krótkim „na razie”, więc kończę połączenie i chowam telefon do kieszeni spodni.

– Jedziemy? – pyta Porter, poprawiając torbę na ramieniu.

– Jedziemy. – Kiwam głową i biorę od niej bagaż, by wrzucić go na tyły samochodu.

Brunetka w tym czasie zasiada na miejscu pasażera. Przy okazji dobiera się do radia i podłącza do niego swój telefon. Mam szczerą nadzieję, że nie czeka mnie tak długa droga w towarzystwie jakiegoś

skrzeku.

Zasiadając na fotelu kierowcy, słyszę kolejne pytanie mojej towarzyszki:

– Chloe zabierze ze sobą dużo znajomych?

– Isaac jest w porządku, można się z nim dogadać. Gorzej z wkur... irytującą Polly. Sama się przekonasz, że ma trudny charakter i brak jej jakichkolwiek hamulców. – Przekręcam kluczyk w stacyjce, a Porter w tym czasie uśmiecha się i zaczyna przeglądać swoje playlisty.

– Ja też jestem irytująca – zauważa.

– Ale w sposób, który mnie nie odpycha – rzucam, wyjeżdżając z podjazdu.

– Więc co on z tobą robi, jeśli nie odpycha? – Jej ton głosu jest prowokacyjny.

Przecież nie powiem, że kręci albo podnieca, prychem pogardliwie w duchu i decyduję się na bezpieczną, chociaż wciąż szczerą opcję:

– Ciekawi. Jesteś ciekawa, Porter.

Pierwsze dźwięki *You Found Me* od The Fray rozbrzmiewają w samochodzie. Odwracam się w stronę swojej pasażerki, ale ona nie odwzajemnia mojego spojrzenia, wpatrzona w ekran swojego telefonu. Patrzy na niego jakby w zamyśleniu. Jakby odleciała gdzieś daleko.

– Naprawdę tak sądzisz? – Unosi w końcu wzrok.

– Tak – potwierdzam krótko. – Zatrzymamy się po drodze w jakimś barze, w porządku?

Na twarzy Love dostrzegam lekkie zawahanie, gdy odpiera:

– W porządku.

Ale wiem, że nie jest w porządku. Wiem to, bo gdy pół godziny później wchodzimy do odrobinę obskurnej, przydrożnej chaty, Love ze strachem patrzy na fast foody spoczywające na talerzach innych klientów. Wybieramy stolik znajdujący się na uboczu i zasiadamy na drewnianych ławach obitych czerwoną, gdzieniegdzie poobdzieraną skórą. Sięgam po kartę i ściągam brwi, kiedy Love jedynie podpira się na łokciach i rozgląda po lokalu, w którym echem rozbrzmiewa jakiś jazzowy kawałek.

– Na co masz ochotę? – pytam.

Brunetka wraca spojrzeniem do mojej osoby.

– Właściwie... – Robi krótką pauzę. – Nie jestem głodna.

Oczywiście, że jesteś. Nic dzisiaj jeszcze nie zjadłaś.

– Nalegam. To będzie długi dzień – mówię i sam sięgam po kartę Porter, by otworzyć ją i podsunąć jej pod nos. – Powinnaś coś zjeść.

– Nie, naprawdę. – Zwiesza głowę i przymyka powieki. Jej ramiona opadają, a ręce lądują na powierzchni drewnianego stołu przykrytego obrusem w kratę. Zrezygnowany przesuwam palcami wzdłuż grzbietu nosa.

Chciałbym z nią o tym porozmawiać.

– Love, może spróbujesz? – zaczynam po krótkiej chwili ciszy i nakrywam swoją dłonią jej dłoń.

Czuję, jak zaczyna lekko drżeć, więc zamykam ją w mocnym uścisku. – To tylko próba, nic więcej.

Widzę, że toczy z samą sobą porządną batalię. Jest niezdecydowana. Cholernie niezdecydowana, ale w końcu otwiera oczy, by spojrzeć wprost na mnie.

– Spróbuję – stwierdza.

Czuję dziwną ulgę, gdy zerka na kartę.

– Frytki?

– Czy jest pani gotowa na negocjacje, panno Porter? – Cofam dłoń i splatam palce na stole, nie spuszczać wzroku z twarzy siedzącej naprzeciwko Love.

– Nie, panie Callahan – odpiera cicho, ale jej kącik ust dźwiga ku górze. – Nie jestem.

– Twarda sztuka – komentuję z udawanym przekąsem.

– Nie cierpię cię, Ryder – wzdycha i ucieka spojrzeniem gdzieś obok, uśmiechając się przy tym naprawdę szeroko. Odwzajemniam gest, zamykam kartę i kiwam głową w kierunku kelnera. Wychodzi na to, że odniosłem dzisiaj swoje pierwsze małe zwycięstwo.

Knajpa, do której wchodzimy po kolejnych dwóch godzinach, jest tą, którą zawsze odwiedzam, kiedy jestem w Glenwood Springs. Całe szczęście o tej porze tylko kilka osób szwenda się po lokalu, więc niewielka klitka, w której znajduje się stół bilardowy, jest pusta. Love wchodzi do niej ostrożnie i

uważnie się rozgląda, podczas gdy ja sięgam po dwa drewniane kije.

– Mamy trochę czasu. Chlo i reszta stoją w korku – oznajmiam i podchodzę do stołu.

– Jasne – odpowiada Love i przyjmuje ode mnie kij. – Więc... czego mnie nauczysz?

– Wszystkiego, co umiem.

Porter przygląda mi się uważnie. Przez to, że rozpuściła warkocze, jej włosy teraz sterczą na wszystkie cztery strony świata. Gdy tylko zauważa, że się jej przyglądam, marszczy nos.

– W takim razie zacznijmy od podstaw – proponuje.

Podchodzę do stołu i spoglądam na powierzchnię wyłożoną suknem. Po przyjęciu pozycji uderzam w białą bilę i rozbijam pozostałe. Charakterystyczny dźwięk roznosi się echem po pomieszczeniu, gdy podnoszę się do pionu i spoglądam na beznamiętną minę swojej sąsiadki.

Stoi naprzeciwko mnie, oparta o stół bilardowy. I, o zgrozo, Love Porter prezentuje się po prostu nadzwyczajnie, kiedy stoi tak posągowo, zaciska palce na drewnianym kiju oraz wydyma niewinnie wargę, mówiąc:

– To naprawdę trudne.

Kręcę głową w geście protestu.

– Grunt to przyjęcie odpowiedniej pozycji, Love.

Brunetka unosi brew.

– Pokażesz mi?

Zagryzam wnętrze policzka, chwilę tocząc bitwę z samym sobą. Wiem, że nie powinienem porywać się na taką głupotę. Ale głos rozsądku tłumi to, co zawsze – tę chęć znalezienia się blisko niej. Przytakuję więc mimo tej cholernej świadomości, że to nieodpowiednie.

Podchodzę do niej bardzo powoli. Tylko odgłos moich kroków wygania ciszę z klitki. Jej plecy stapiają się z moim torsem w momencie, kiedy staję tuż za nią tak, że nie sposób byłoby wcisnąć pomiędzy nas głupiej kartki papieru. Słyszę, jak Porter bierze krótki, nerwowy wdech. Czuję, jak napina wszystkie mięśnie. Jak instynktownie przywiera całą sobą do stołu.

Powoli sięgam dłonią po kosmyk jej włosów, który owijam sobie wokół palca. Potem przybliżam usta do jej ucha i pozwalam, by spomiędzy nich wydostał się szepty rozkaz:

– Pochyl się, Love.

Dziewczyna zwiesza delikatnie głowę. Jedną rękę zaciska na krawędzi stołu, utrzymując pion, a palcami drugiej kurczowo oplata kij. Przez chwilę trwamy tak w milczeniu. Pośród ciemności, ciszy i tego dziwnego napięcia, gdy znajdujemy się ciało przy ciele.

– Jestem dobrym nauczycielem, ale pod warunkiem, że osoba, której chcę przekazać wiedzę, jest zaangażowana – mruczę nisko, przenosząc dłoń na jej krzyż. Leniwym ruchem ręki przejeżdżam po linii kręgosłupa dziewczyny w górę i w dół.

– Jestem...

– Jesteś? – dopytuję zaciekawiony.

– Jestem zaangażowana, Ryder.

Porter podrywa delikatnie głowę, a ja zastanawiam się, na ile mogę sobie pozwolić. Nie jest niespokojna, kiedy jej dotykam. Nie dziś, nie teraz. Widzę to i czuję. Mocniej dociskam więc swoją dłoń do jej krzyża i bez pośpiechu, wolno i delikatnie, sam ściągam drobne ciało niżej, tak że Love pochyla się idealnie nad powierzchnią wyłożoną zielonym suknem. Staram się nie myśleć o tym, że to, jak ociera się o mnie tyłkiem, jest powodem, dla którego krew odpływa mi wiadomo gdzie.

Wstrzymuję oddech i opieram obie dłonie na krawędzi stołu. Przez parę sekund po prostu podziwiam widok, który mam pod sobą, i usilnie staram się wyrzucić z głowy naprawdę niewłaściwe myśli. Kurwa. Ja naprawdę jej pragnę.

Pragnę Love Porter.

– Wspaniale, Love. Teraz chwyć odpowiednio kij bilardowy – mówię cicho i nakrywam swoją dłonią jej dłoń zaciśniętą na drewnie.

Z ust dziewczyny wypada udręczony, ciężki oddech. Podnoszę kij, przez co zmuszona jest go puścić. Ale nie trwa to długo, bo kładę go na stole i chwytam jej rękę, by móc prawidłowo umieścić drewno pomiędzy jej palcami.

– Trzymaj go stabilnie. Powinnaś czuć, jakby był przedłużeniem twojej ręki – dodaje i wycofuje się nieco, opierając dłonie na kształtnych biodrach dziewczyny. – Nie zmieniaj pozycji, Love. Stój tak, jak stałaś, dobrze?

Dziewczyna szepcze krótkie:

– Dobrze.

Przejeżdżam językiem po dolnej wardze i znowu opieram ręce na stole. Patrzę z góry na porozrzucane po nim bile, a potem zerkam w dół, na zarumienioną, powoli oddychającą brunetkę. Chciałbym wiedzieć, o czym myśli w tej chwili.. Wkraść się do jej umysłu i poznać ją całą. Jej historię. Jej wspomnienia. Może czasami chciałbym nawet stworzyć z nią jakieś *nasze* wspomnienia.

Ale tylko czasami.

– Czy czujesz się komfortowo, Love? – dopytuję miękko. – Wystarczy jedno twoje słowo, a odsunę się tak daleko, jak tylko tego zapragniesz.

– Nie skrzywdzisz mnie – wykrztusza z siebie i przymyka powieki, podnosząc się odrobinę do pionu.

Opieram brodę na jej ramieniu i zapewniam ją łagodnym tonem:

– Mam nadzieję, że wiesz, że nigdy tego nie zrobię.

– Wiem – odpowiada. – Wiem, Ryder.

Uśmiecham się słabo i odsuwam odrobinę, uprzednio składając przelotny pocałunek na jej karku. Love otwiera oczy i wzdycha błogo, jakbym zabrał z jej piersi prawdziwy balast. Jest coś pięknego w tym widoku. Coś tak pięknego, że mógłbym go podziwiać dłużej niż te parę chwil, które spędzimy w jednej z knajp w Glenwood Springs.

– Dziękuję – mamrocze, pocierając dłonią miejsce, w którym przed sekundą spoczęły moje usta.

Wsuwam dłonie do kieszeni spodni i pytam:

– Za co?

– Za to, że obchodzi cię to, czy czuję się dobrze – wyznaje. – Naprawdę... dziękuję.

Dlaczego dziękujesz mi tak bardzo za coś, co powinno być naturalne, Love? Wszyscy, którymi się otaczasz, powinni mieć na uwadze to, czy czujesz się komfortowo. Czy ktoś naprawdę miał to gdzieś?

Unoszę smutno kącik ust.

– Nie masz za co – zapewniam.

– Możemy kontynuować? – pyta i tym razem sama pochyla się lekko, sięgając po drewniany kij. Wygląda na porządnie zdeterminowaną. Faktycznie chce nauczyć się grać. Ta zawziętość jest cechą, którą w niej naprawdę podziwiam. Bo nie znam nikogo, kto byłby aż tak uparty jak Love Tykająca Bomba Porter.

– Możemy – zgadzam się. – Jedyne, co musisz zrobić, to za pomocą tej białej bili wbić swoje do luz. Rozumiesz? – Zerkam na nią przelotnie.

Love potwierdza skinieniem głowy.

– A co z czarną? – pyta.

– Czarną możesz wbić dopiero, gdy wbijesz resztę.

– Okej. Mogę już spróbować? – Jej wzrok ląduje na jednej z bil.

– Możesz – odpowiadam i obserwuję, jak Porter próbuje ustawić się tak, jak ja zrobiłem to wcześniej. Nie mija kilka sekund, a oddaje uderzenie. Biała bila nie trafia jednak w jej kolorową. Mija ją, odbija się od jednej ze ścian stołu i zatrzymuje idealnie przed moją zlokalizowaną przed luzą.

– Za mocno. – Sięgam po swój kij.

Podchodzę do krawędzi stołu znajdującej się naprzeciwko, a potem oddaję strzał. Odgłos bili wpadającej do luzy sprawia, że mina Love nieco rzednie. Dziewczyna krzyżuje ręce pod biustem, wyraźnie niezadowolona.

– Spokojnie. Niedługo będziesz umiała wyczuć, z jaką siłą uderzać. – Ponownie staję przy niej. Milczę, patrząc na to, co wyprawia skupiona do granic możliwości Porter. Obserwując ją z góry, przypominam ze spokojem:

– Love, pozycja.

– Jaka? – wypala, skoncentrowana na strzale.

Moje ramiona opadają.

– No... do bilardu.

Porter jakby instynktownie pochyla się jeszcze bardziej. Jej tyłek zderza się z moim kroczem, zanim zdążę odsunąć się na bezpieczną odległość. Moja grdyka drga niespokojnie, podczas gdy brunetka przymyka powieki, czerwieniąc się jak dorodny pomidor. Uchyła je po chwili i patrzy wszędzie, tylko nie w moim kierunku.

– Wybacz – mamrocze speszona.

– Jest w porządku – odpieram.

Chociaż nie jest, bo chyba cudem udaje mi się nie dać po sobie poznać, że pieprzona Love Porter właśnie rozpała mnie do czerwoności. Przecieram dłonią twarz, starając się jakoś ogarnąć i na szczęście to mi się udaje.

– Nie chciałam – usprawiedliwia się.

– Okej – rzucam, chcąc uciąć temat.

Brązowooka zastyga w bezruchu i nie ucieka spojrzeniem od bil.

– Love?

– Tak? – Jej głos przypomina bardziej szept.

– Pamiętaj o oddychaniu. – Odkładam kij na jedno z krzeseł ustawionych w rogu klitki i podchodzę do przeciwległej części stołu. Tam zaciskam dłonie na jego krawędziach i opieram na nich cały ciężar ciała, swobodnie obserwując swoją uczennicę.

– Jasne – przytakuje.

A potem oddaje uderzenie. I znowu nie trafia.

– Ugh – mruczy niepocieszona.

Kręcę głową z politowaniem. Czując wibracje w kieszeniach spodni, sięgam po telefon. Odczytuję wiadomość od Chlo, która pisze, że całą trójką są już w Glenwood Springs. Odpisuję krótkie „okej”, chowam komórkę z powrotem do kieszeni i krzyżuję spojrzenie z Porter.

– Koniec na dzisiaj – zarządzam.

Moja zawiedziona rywalka wydyma dolną wargę.

– Nie dokończymy?

– Pierwsza lekcja: *teoria* – mówię, odbijając się od stołu. Podchodzę do Love, zabieram od niej kij i odkładam oba na miejsca. Ostatni raz przeczesuję wzrokiem pomieszczenie, zanim ruszamy w stronę wyjścia.

– Więc będą następne? – Porter łapie mnie za słówka.

Nie protestuję. Bo chciałbym uczyć ją dalej, chociaż każda taka lekcja zapewne byłaby dla mnie zwykłą torturą. Ale cóż. Jestem tylko facetem z niewyjaśnioną słabością do wygadanej brunetki.

– Musimy w końcu przejść do praktyki, no nie? – Uśmiecham się.

– Polubiłam bilard, mimo że on nie polubił mnie – stwierdza Love, kiedy jesteśmy już przy wyjściu z lokalu. Najpierw sięgam po jej płaszcz i narzucam go na jej smukłe ramiona. – Dzięki. – Unosi kącik ust we wdzięcznym geście.

– Nie ma sprawy.

Wychodzimy z knajpy, a zimne powietrze atakuje nas niemalże od razu. Śnieg sypie z nieba przez całą drogę, którą pokonujemy, by dotrzeć do sławnych w tej okolicy basenów termalnych, gdzie na parkingu zostawiliśmy samochód. Od razu dostrzegam zaparkowanego obok swojego range rovera fordą należącego do Chlo.

Zaraz potem orientuję się, że trzy pary oczu wpatrują się we mnie i Love. By dodać jej nieco odwagi, kładę dłoń na jej krzyżu i posyłam lekki, ledwie zauważalny uśmiech. Mój gest zostaje szybko odwzajemniony.

– Wybaczcie za spóźnienie – rzuca Chlo, zanim porywa w ramiona Porter. – Rany, Love. Jak ty świetnie wyglądasz. Super, że wpadłaś z Ryderem. Sam nieczęsto tu przyjeżdża, a gdy byliśmy młodszy, to był nasz drugi dom.

W milczeniu biorę z tylnych siedzeń nasze torby i ignoruję obecność Polly, która zjawia się obok mnie znikąd. Ona nie ma zamiaru dać mi o sobie zapomnieć. Szatynka cmoka mnie znieścacka w prawy

policzek i mówi krótkie:

– Zdążyłam się stęsknić.

Ja nie.

– Hej, Polly – odpowiadam z rezerwą i ruszam znowu w stronę Porter, szukając przy niej schronienia. Może jeśli West zauważy, że przyjechałem tu z inną, po prostu sobie odpuści. Albo i nie. Wtedy naprawdę przedwcześnie osiwieję.

– A to kto? – Moje przekleństwo dopiero teraz zauważa brunetkę.

– To Love Porter – mówię spokojnie. – Przyjechała ze mną – zaznaczam wyraźnie. – Spotkamy się już w środku, tak?

Chło kiwa głową w geście zgody i ciągnie za sobą moją sąsiadkę, której uprzednio przekazałem torbę. Zastanawiam się, czy Love pokona swój strach i wskoczy do basenu. Co prawda zarzekła się, że tego nie zrobi, ale Porter, to Porter. Zmienna jak chorągiewka na wietrze. Nieprzewidywalna, nieobliczalna i ultraniebezpieczna.

Przebrany tylko w spodenki kąpielowe wchodzę do gorącej wody i rozglądam się za dziewczynami. Isaac miał jeszcze wykonać jakiś szybki telefon, więc dołączy zapewne dopiero za kilka minut. Przeczesuję wzrokiem przestrzeń dookoła i stwierdzam, że niewielu ludzi postanowiło dzisiaj odwiedzić Glenwood Springs. Baseny otoczone przez pasma górskie nie są bowiem ani trochę zatłoczone.

Opieram obie ręce swobodnie na barierkach, aż w końcu odnajduję spojrzeniem znajomą twarz. Love Porter idzie powoli przed siebie i wygląda, jakby czegoś szukała. Czegoś albo kogoś. Widzę to już z daleka, gdy wokół obłoków pary, czerni nieba i świateł lamp wyłapuję drobne ciało zziębniętej i zawstydzonej do granic możliwości dziewczyny. Sam widok jej, ubranej w ciemny, dwuczęściowy strój kąpielowy, odbiera mi dech. Czarne jak smoła włosy falują na wietrze i opadają jej swobodnie na biust, kiedy Porter stawia kolejny krok.

Przełykam z trudem i przywołuję ją krótkim:

– Porter!

Ramiona Love opadają. Dziewczyna ze zrezygnowaniem zaczyna marsz w moją stronę. Wydaje się naprawdę przerażona faktem, że widzę ją w takim wydaniu. Krzyżuje ręce pod biustem, jakby chciała się zakryć. Ale przecież nie ma do tego żadnego powodu.

Jest piękna. Bardzo piękna.

– Ryder... – zaczyna, kiedy stoi już nade mną, tuż przed wejściem do basenu z gorącą wodą. Nie odpowiadam jej jednak od razu. Po prostu wyciągam ręce, by swobodnie móc sięgnąć po Love i ułożyć ją na swoich kolanach. Woda chlusta naokoło, gdy zaskoczona dziewczyna nabiera w płuca powietrza i splata ręce za moim karkiem.

– Wyglądasz niezmiernie – mówię z uznaniem.

Porter rozluźnia się nieco i odpowiada mi lekkim uśmiechem.

– Długo cię szukałam – stwierdza.

– Wybacz. To miejsce jest chyba najbardziej oddalone od głównego basenu. Po prostu nie chciałem...

– Natknąć się na tę całą Polly? – dokańcza za mnie Love.

– W samo sedno, Porter. – Dłonią, którą miałem do tej pory ułożoną na jej plecach, zaczynam bawić się miękkimi kosmykami czarnych włosów.

– Chyba mnie nie lubi. Chło mówiła do mnie jak najęta, a Polly... cóż. Traktowała mnie jak powietrze.

– Najpewniej ci zazdrości – rzucam cicho i wyłapuję spojrzenie ciemnych oczu pośród unoszącej się pary. Brunetka przechyla delikatnie głowę.

– Ciebie.

Tego, jak dobrze wyglądasz, Love.

– Dobrze, że dzisiaj masz mnie na wyłączność. – Puszczam jej oczko.

– Czym sobie na to zasłużyłam? – Chwyta się teatralnie za serce.

Mrużę złowrogo oczy i szczypię ją w udo tak, że aż podskakuje.

- Na pewno nie tym, co zrobiłaś rano.
- Hej, to była zemsta – broni się.
- Za? – Unoszę brew.
- Za... – Robi krótką pauzę. – Makulaturę w skrzynce.

Prycham kpiąco, poprawiając Porter siedzącą na moich kolanach.

- W takim razie teraz mój ruch – rzucam z cwaniackim uśmiechem.

Prawdę mówiąc, na początku uważałem tę całą wojnę za szczeniacką i do przesady głupią. Nie mówiąc już o Love – ją miałem akurat za skończoną wariatkę, która zdecydowanie nie nadaje się do życia wśród ludzi. Z czasem jednak zacząłem patrzeć na to wszystko inaczej. Potyczki z nią były miłą odskocznią od rutyny. Czymś nieprzewidywalnym pośród nudnej, szarej codzienności i życia psychologa.

- Co planujesz? – pyta zaintrygowana dziewczyna.
- Chyba nie myślisz, że ci powiem? – wypalam drwiąco.
- Mnie nie powiesz? – Robi minę zbitego psa i przybliży swoje usta do moich.

Dziękuję nas centymetry i wystarczyłby jeden niechybny ruch, by nasze wargi spotkały się w połowie drogi. Jej oddech rozbija się na mojej twarzy i naprawdę muszę odnaleźć w sobie wiele samozaparcia, by nie pocałować jej na oczach ludzi korzystających z basenu.

No właśnie. Na oczach reszty.

– Chlo – wyrzuca z siebie nagle Love, zanim zeskakuje z moich kolan. Zaciskam usta w wąską linię i odwracam głowę przez ramię. Za sobą rzeczywiście widzę całą trójkę: swoją siostrę, Isaaca oraz... przeklętą Polly West, która nieprzypadkowo siada tuż obok mnie.

Zerkam na Porter, która nie wydaje się z tego faktu ani trochę zadowolona.

Zazdrośnica.

– Korzystając z okazji... rodzice kazali mi zapytać, czy wpadniesz do Denver na święta – zwraca się do mnie Chloe. Jednocześnie wchodzi do basenu i uśmiecha się z ulgą, czując gorącą wodę, która go wypełnia.

- Nie sądzę. Odwiedzę ich po – odpowiadam ze spokojem.
- Dlaczego? – Polly wydaje się aż zbyt przejęta moją nieobecnością w stolicy stanu.
- Mam dużo na głowie. A co u nich? – Zerkam na siostrę.

– Dobrze. Opowiadałam im, jak ci się mieszka w Aspen. Wspomniałam nawet o Love. – Chlo posyła Porter promienny, szeroki uśmiech, który brunetka odwzajemnia z nieco mniejszym entuzjazmem. – Masz szczęście, że trafiłeś na taką sąsiadkę.

– W Denver miał lepszą – wtrąca z zadowoleniem Polly, mając oczywiście na myśli siebie. Udaję, że nie rusza mnie jej piskliwy ton. Spoglądam w niebo i błagam w duchu wszelkie istniejące bóstwa o to, by zabrał ode mnie West.

– Wybacz, ale jestem pewna, że żadna do tej pory nie zapewniła mu tylu wrażeń co ja. – Love szczerzy się jak głupia i gasi entuzjazm siedzącej obok mnie dziewczyny. Unoszę kącik ust, bo ma rację. Nawet dużo racji.

Nikt jeszcze nigdy nie zapewnił mi tylu wrażeń, ile zapewniła mi ich ona.

- To prawda – wzdycha Chlo. – Tak się nie cierpicie, że aż iskrzy.

Moja siostra wachluje się dłonią przerysowanym, teatralnym ruchem. Wywracam oczami na ten gest i uciekam spojrzeniem do Porter, która wydaje się czuć zwyczajnie dobrze. A to wrażenie sprawia, że przez moje żyły przepływa dziwna ulga w naprawdę czystej postaci.

– A co ty niby mogłabyś mu zapewnić? – parska ofensywnie Polly, na co mrużę oczy. – Spójrz na siebie i zastanów się, czy ktoś taki jak on naprawdę mógłby czegokolwiek od ciebie chcieć.

Zaciskam szczękę. Love, mimo tego, że na pozór wygląda tak, jakby słowa West jej nie ruszyły, spuszcza wzrok na swoje ciało, którego kształty rozmywają się pod wodą. Nagle zapada niezręczna cisza. Niewiele myśląc, odsuwam się od Polly i podchodzę do Porter, by opleść jej talię ręką i popchnąć nieco w stronę wyjścia z basenu.

– Pójdziemy gdzie indziej – mówię jej wprost do ucha, a potem żegnam się z towarzystwem krótkim: „na razie”. – Love? – pytam, gdy wybieram inne miejsce, w którym kąpie się tylko kilka

nieznanych nam osób.

– Tak?

Głaszczę ją po biodrze i mówię spokojnie:

– Ktoś taki jak ja mógłby chcieć od ciebie więcej, niż mogłabyś przypuszczać.

Nie dostaję odpowiedzi. Jest tylko noc, cisza i pewne zranione wnętrza. I nic z tych rzeczy nie zmienia się, kiedy po szóstej wracamy do Aspen. Love wysiada z mojego range rovera, bierze swoją torbę z tylnego siedzenia i podchodzi do mnie leniwym krokiem, gdy stoję oparty o karoserię samochodu i wpatruję się w nią uważnie.

– Dziękuję, Ryder. – Uśmiecha się słabo. – To był miły dzień.

Odpowiadam jej skinieniem głowy i krótkim:

– Do zobaczenia, Love.

Zanim odchodzi, całuje mnie w kącik ust.

W poradni psychologicznej, w której mieści się mój gabinet, zjawiam się kwadrans przed umówioną wizytą z Devonem. W recepcji dowiaduję się, że to nie będzie moje ostatnie spotkanie dzisiejszego wieczoru. Ktoś bowiem w ostatniej chwili zapisał się na pierwszą sesję. Nie wybrał konkretnego psychologa, więc trafił do tego, który akurat miał wolny termin, czyli do mnie. Cóż, nie uśmiechało mi się siedzieć tutaj do nocy, ale akurat ta praca wymagała poświęceń i niekiedy zostawiania po godzinach.

Rozmowa z Devonem mija w spokojnej atmosferze. Opowiada mi dzisiaj o swoim samopoczuciu, które ostatnimi czasy na szczęście tylko się polepsza. To podobno zasługa jakiejś dziewczyny, o której chłopak na razie nie chciał nic mówić, a ja musiałem to uszanować.

Wzdycham i biorę się za uzupełnianie notatek dotyczących Devona. Tracę kompletnie poczucie czasu, ale to nic, bo mój ostatni pacjent najwyraźniej nie jest punktualny, skoro spóźnia się już na pierwszą wizytę. Przejeżdżam językiem po dolnej wardze i zerkam przelotnie na panoramę Aspen widoczną za oknem. Niemalże czarne niebo kontrastuje z migoczącymi światłami, które ozdabiają większość budynków w mieście.

Słyszac odgłos w pośpiechu stawianych kroków dochodzących z korytarza, odrywam wzrok od krajobrazu i spoglądam mimochodem na zegarek oplatający mój nadgarstek. Osiem minut spóźnienia. Zakasuję nieco rękawy białej koszuli i stukam zniecierpliwiony palcami o powierzchnię solidnego biurka. Chwytam w dłoń długopis, by złożyć ostatnią parafkę na papierach Devona. Czekam jeszcze trzy sekundy, bo dokładnie po takim czasie drzwi od mojego gabinetu otwierają się z impetem.

Unoszę spojrzenie znad dokumentów i zamieram na widok osoby, którą najmniej spodziewałbym się tutaj zobaczyć. Przełykając z trudem, wyduszam z siebie ledwie słyszalny szept:

– Love?

ROZDZIAŁ ÓSMY



RYDER

W pierwszej chwili jestem pewien, że mam pieprzone halucynacje i cały dzień spędzony w towarzystwie Love Porter odcisnął na mnie jakieś niezdrowe piętno. W drugiej, kiedy ona wciąż stoi w progu mojego gabinetu, blada i tak samo zaskoczona jak ja, zaczynam rozumieć, że to wszystko dzieje się naprawdę, a moim ostatnim pacjentem tego dnia jest... ona.

Dziewczyna z ogromnym bagażem niezdradzonych nikomu sekretów. Nie mogę oderwać od niej wzroku. Nie mogę przestać podejmować prób doszukania się w jej twarzy czegokolwiek, co nie jest tą beznamiętną maską, którą Porter zakłada w mgnieniu oka, by przysłonić pozorne zdumienie. Słowa giną mi gdzieś w gardle. Siedzę nieruchomo, a moje palce, dotychczas stukające w zniecierpliwieniu o biurko, teraz zaciskają się w pięść.

Drobna postać dziewczyny zlewa się z mrokiem, w którym pograżony jest gabinet pochłonięty przez ciszę. Wszystko wokół wydaje się nie istnieć, gdy Love Porter oplata ramiona drżącymi dłońmi i przelyka nagromadzoną w ustach ślinę. Obserwuję ją uważnie, zresztą ona wcale nie pozostaje mi dłużna. Patrzy na mnie jeszcze chwilę. Robi to, zanim... decyduje się cofnąć o krok. Wiedząc, co zamierza zrobić, kręcę głową i rozkazuję stanowczym szeptem:

– Zatrzymaj się, Love.

Brunetka zaciska na moment usta, spuszcza wzrok na podłogę.

– Ja... wybacz. Musiałam się pomylić.

– Pomylić? – pytam tonem, który daje jej do zrozumienia, że nie istnieje żadne wytłumaczenie, w które teraz bym jej uwierzył. Nie jestem głupcem. Love Porter zapisała się na sesję do psychologa, tylko nie miała pojęcia, na kogo trafi o tej porze.

Pech, bądź nie, chciał, że trafiła na mnie.

– Proszę, Ryder – mówi cicho. – Po prostu o tym zapomnij.

Po tych słowach bierze głęboki wdech i odwraca się na pięcie. Jej gwałtowny ruch wywołuje we mnie dziwny rodzaj paniki. Zupełnie tak, jakbym nagle poczuł, że muszę ją zatrzymać. Zatrzymać przy sobie i wykorzystać okazję, by zwyczajnie jej pomóc.

– Nie, Love. Nie zapomnę. – Podnoszę się z fotela i dodaję: – Daj mi szansę.

Poprawiam poły marynarki i zapalam lampkę na biurku. Światło rozświetla ciemność i pozwala mi dostrzec, że Love delikatnie się trzęsie. Wciąż stoi odwrócona do mnie tyłem, więc tylko tyle jestem w stanie zobaczyć.

– Szansę? – powtarza niemrawo.

– Szansę, by ci pomóc. O nic więcej cię nie proszę, tylko o jedną szansę.

Dziewczyna zwiesza wolno głowę. Korzystając z faktu, że bije się z myślami, ruszam się z miejsca. Powoli, niespiesznie, by jej nie spłoszyć. Podchodzę do drzwi, które zamykam. Ciche skrzypnięcie rozbrzmiewa po pomieszczeniu, ale nie sprawia, że Love unosi spojrzenie ponad swoje buty. Jest tak okropnie zagubiona.

Wypuszczam bezdźwięcznie powietrze z płuc. W trzech długich krokach podchodzę do dziewczyny i obserwuję ją z bezpiecznej odległości. Ona jednak wciąż nie jest pewna. Nie jest zdecydowana, czy chce tutaj zostać i dać mi szansę. A ja przecież nie mogę jej do niczego zmusić. Wystarczy, że powie jedno słowo i będę musiał je uszanować.

– Daj mi ją, a zrobię wszystko, żeby pomóc ci odciąć się od tego, co cię dręczy – mówię miękko.

– Zostań ze mną i zdradź mi wszystkie swoje sekrety, a wyrwę cię z tego koszmaru, Love. Pokażę ci, jak to jest żyć normalnie. Pokażę ci, jak wygląda prawdziwe szczęście.

Brunetka rozluźnia się odrobinę. Dodaje więc łagodnie:

– Powiedz tylko, że tego właśnie chcesz.

Love naciąga rękawy swojego swetra i chowa w nich dłonie, skubiąc nerwowo dolną wargę. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że właśnie kruszę pierwszą powłokę, która dzieli mnie od serca pewnej zranionej dziewczyny. Ta sama dziewczyna jeszcze przez paręnaście sekund raczy mnie ciszą, dopóki nie pociąga pospiesznie nosem.

– Chyba... Chyba tego chcę, Ryder.

Unoszę kącik ust w słabym uśmiechu.

– Chcę dać ci szansę i pozwolić, żebyś pokazał mi, jak wygląda prawdziwe szczęście – dokańcza i unosi wzrok, by na mnie spojrzeć. Przez każdy nerw mojego ciała przepływa pieprzona ulga. Dostałem to, czego chciałem. Teraz tylko nie mogę tego zmarnować.

Przytakuje powoli.

– Nie uciekniesz mi dzisiaj? – upewniam się, przesuwając spojrzeniem po jej twarzy.

– Nie ucieknę ci – potwierdza.

– Naprawdę chciałem to usłyszeć, Love.

Po wypowiedzeniu tych słów wycofuję się jeszcze bardziej i ruszam w stronę swojego biurka. Zasiadam na fotelu. Poprawiam rękawy koszuli, zerkam na srebrny zegarek oplatający mój nadgarstek i gestem ręki wskazuję sofę.

– Usiądź – nakazuję. – Musimy przedyskutować parę kwestii. Mam swoje zasady, które obowiązują podczas sesji z wszystkimi pacjentami. Z wszystkimi, bez wyjątku – podkreślam wyraźnie.

Przechylam głowę, by przyjrzeć się uważniej Porter, która zasiada na kanapie. Upřednio strzepuje ze swoich jeansów niewidzialny kurz i odkłada na bok swoją torebkę. Dopiero później spogląda mi prosto w oczy.

– Biorąc pod uwagę fakt, że znamy się prywatnie, będę musiał je dla ciebie odrobinę zmodyfikować. Jeśli je zaakceptujesz, będziemy mogli rozpocząć terapię – mówię z niezachwianym spokojem i wyciągam z szuflady czarny niezapisany notes.

Love w tym czasie nabiera powietrza w płuca. Wciąż czuje się tutaj nieswojo i wcale mnie to nie dziwi. Mój gabinet nie jest przytulny. Wręcz przeciwnie – ciemny, minimalistyczny i surowy, ale wbrew pozorom taki wystrój po pewnym czasie zaczyna odpowiadać pacjentom. Devon powiedział mi kiedyś, że gdy tutaj przychodzi i zaczyna swój monolog, czuje, jakby spowiadał się prosto w pustą przestrzeń. Jakby wyrzucał z siebie wszystkie emocje prosto w próżnię.

Otwieram notes na pierwszej stronie i dodaję:

– Jeśli będziesz mieć jakieś pytania, po prostu je zadaj. Chciałbym, by nie było między nami żadnych niejasności.

Love odpowiada mi krótkim skinieniem.

– Dobrze.

– W takim razie zaczniemy od samego początku – stwierdzam. – Podstawą naszych spotkań jest szczerść. Jeśli mam ci pomóc, musisz być ze mną szczerą. Nie oczekuję, że od razu wygłosisz monolog, w którym zawrzesz wszystkie swoje problemy. Nawet tego nie chcę. Wolałbym, żebyśmy powoli badali grunt i w spokojnym tempie dochodzili do pewnych wniosków, ale będzie to możliwe tylko wtedy, kiedy nie będziesz ukrywać przede mną tego, czego pacjent przed psychologiem nie powinien. To znaczy, że na początku każdej sesji będę pytał cię o to, jak się czujesz, i chciałbym, byś zawsze odpowiadała mi szczerze, rozumiesz?

Brunetka chwytą pomiędzy palce rąbek swojego swetra. Cieszy mnie to, że skupia na mnie całą swoją uwagę i nie ucieka spojrzeniem nigdzie indziej. Nie jest nieobecna, a w pełni skoncentrowana i zaangażowana w naszą rozmowę.

– Tak – przytakuje. – Jasne.

– Chciałbym również, żebyś zjawiała się w tym gabinecie punktualnie – kontynuuję. – Każdemu pacjentowi chcę poświęcić maksymalną ilość czasu, stąd ta prośba. Każda sesja trwa godzinę. Oczywiście w sytuacjach szczególnych mogę przedłużyć wizytę, jeśli pacjent czuje potrzebę, by porozmawiać ze mną dłużej. To nie stanowi żadnego problemu.

Love rozchyła delikatnie usta. Szybko je jednak zamyka.

– Wybacz za dzisiaj – odpowiada w końcu, drapiąc się nerwowo z tyłu głowy. – Do ostatniej chwili nie wiedziałam, czy rzeczywiście chcę tu przyjść...

Przyjmuję jej przeprosiny bez mrugnięcia okiem.

– Nic się nie stało. To tylko wizyta wprowadzająca – mówiąc to, zerkam na zegarek, by skontrolować, która jest tak właściwie godzina. Orientując się, że dochodzi dziewiąta, stwierdzam w duchu, że akurat to spotkanie z pewnością nieco się wydłuży.

Sięgam po czarny długopis i piszę na pierwszej stronie notatnika: *L. Porter*.

– Przejdźmy dalej. – Ponownie krzyżuję spojrzenie z siedzącą naprzeciwko dziewczyną. – Priorytetem jest dla mnie komunikacja. To znaczy, że jeśli nie poczujesz się komfortowo, gdy zacznę jakiś temat, proszę, powiedz mi o tym, okej? Chciałbym, żebyś czuła się tutaj dobrze i bezpiecznie. Wystarczy jedno twoje słowo mówiące, że wkraczam na zły grunt, a zostawiam ten wątek na kolejne spotkania. Wracamy do niego dopiero, gdy stwierdzisz, że jesteś gotowa, by o tym rozmawiać. Zrozumiałaś mnie, Love?

– Tak – słyszę w odpowiedzi.

– Świetnie – komentuję z aprobatą. – Kolejna sprawa... fakt, że znamy się prywatnie, nie jest w tej sytuacji na rękę ani tobie, ani mnie. Dlatego nie traktuj tego jako prośby, a jako warunek – kładę nacisk na ostatnie słowo i prostuję się na fotelu. – W tym gabinecie jesteśmy dla siebie obcy. Nie ma znaczenia to, że mieszkamy po sąsiedzku i spędzamy razem czas. Tutaj, za tymi drzwiami, ja jestem psychologiem, a ty jesteś pacjentem i oboje zachowujemy profesjonalizm. Zapamiętaj to, bo to kluczowa kwestia, Love. Nie będę traktował cię w sposób, w jaki robię to prywatnie. Pacjent – psycholog, tak? Wcale nie Love i Ryder.

Domyślam się, że mój poważny ton zbija ją z pantałyku, ale wiem, że jeśli coś ma przekonać ją do tego, że będę trzymał się swoich żelaznych zasad podczas naszych spotkań, to jedynie to.

– Jasne – zgadza się.

Pocieram dłonią skroń, wzdychając.

– I biorąc pod uwagę to, że jesteś na liście pacjentów... Wszystko, co wydarzyło się pomiędzy nami...

Brunetka unosi sugestywnie brew.

– Masz na myśli pocałunek? – precyzuje szeptem.

– Pocałunki – poprawiam ją i szybko zbieram myśli, by sekundę później dopowiedzieć: – To nie może się powtórzyć. Jestem profesjonalistą. Nie mam wpływu na to, że mieszkasz za ścianą, ale mam wpływ na to, co jest między nami. Dlatego... to już więcej się nie wydarzy. Nie dotknę cię ani nie pocałuję, Love. Nie pozwalają mi na to zasady i etykieta.

Kiedy kończę mówić, a gabinet znowu pochłania cisza, moja mina pozostaje tak samo kamienna jak wcześniej. Przeczucie i doświadczenie podpowiadają mi jednak, że to właściwe. Zaznaczenie pewnego dystansu pomiędzy mną a Porter jest w tym momencie niezbędne, jeśli naprawdę chcę jej pomóc i przy okazji nie wpakować się w szambo, które mogłoby wstrząsnąć moją karierą. W końcu ta branża zabrania bliższych kontaktów z pacjentami. A mój kontakt z Love... nie ma co ukrywać...

Zmierzał do tego, by stać się naprawdę bliski.

– Czyli gdyby nie to... – zaczyna niemrawo dziewczyna.

Odkładam długopis i kręcę głową z dezaprobatą. *Szlag by to.*

– Gdyby nie to, zrobiłbym to nawet teraz – przerywam jej, cały czas wpatrując się w brązowe tęczówki, które teraz błyszczą dziwną nadzieją.

Porter przełyka ślinę. Przez dłuższą chwilę po prostu milczymy i mierzymy się spojrzeniami. Dreszcz przeszywa mnie na wskroś, bo pewien rodzaj intymności włada tym momentem – gdy obdarowujemy się wzajemnie całą uwagą, jaką tylko moglibyśmy sobie dać. Szybko zaczynam wątpić w swoją powściągliwość, bo, cholera... Trzymanie rąk przy sobie w obecności tej dziewczyny może jeszcze przejść, ale stłumienie czegoś głębszego względem niej... Kurwa. To dopiero będzie wyczyn. Będzie, ponieważ Love wciąż budzi we mnie milion nowych doznań.

I boję się, że pewnego dnia obudzi coś niedobrego. Coś, czego tak łatwo w sobie nie zgaszę.

– Czy mógłbyś zrobić to ostatni raz? – Jej głos wyrywa mnie z krótkiego letargu. Szybko odzyskuję rezon i wsłuchuję się w szeptaną prośbę: – Proszę, Ryder. Ten ostatni raz.

Z westchnieniem rezygnacji opieram się plecami o oparcie fotela. Przecieram dłońmi zmęczoną twarz i próbuję wmówić sobie, że nawet ten ostatni raz będzie niewłaściwy pod każdym względem.

– Love... – Chcę zaprotestować, ale ona wstaje nagle z miejsca.

Odgłos obcasów uderzających o posadzkę zmusza moje serce, by bić w dokładnie takim samym rytmie, w jakim stawia kroki Love. A stawia je powoli i niespiesznie, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy. Tak, jakby chciała wy badać, czy mam coś przeciwko. A zdecydowanie mam, tyle że to wszystko przestaje mieć znaczenie, kiedy dziewczyna zatrzymuje się tuż przede mną i odgarnia swoje ciemne włosy na jedno ramię. Jest jednocześnie niewinna i zmysłowa. Tak bardzo nieświadoma tego, ile ma w sobie piękna i seksapilu.

Odnajduję w mroku błysk dużych, ciemnych oczu, a ich właścicielka kontynuuje:

– Potrzebuję tego – mówi. – Potrzebuję poczuć się bezpiecznie.

Przymykam powieki i biorę wdech nosem, gdy Love siada na moich kolanach. Usadawia się na nich wygodnie, a później obejmuje drobnymi dłońmi moje policzki i łączy nasze usta w subtelnym pocałunku. Pogłębia go bez żadnego namysłu, przy okazji przyciągając do siebie jej ciało. Kładę swobodnie ręce na kształtnych biodrach, które ściskam mocno, dając tym samym potwierdzenie Love, że w tym miejscu, przy mnie, jest najbezpieczniejszą dziewczyną w całym pieprzonym Kolorado.

Podgryzam jej dolną wargę i zabieram sobie spomiędzy jej ust ciche syknięcie. Ten krótki dźwięk wysyła po moim ciele falę znajomego pobudzenia. W jednej chwili wszystkie myśli wylatują mi z głowy, gdy Love wspiera się delikatnie i jeszcze mocniej oraz śmieiej zagarnia dla siebie moje usta. Całuje mnie wręcz desperacko, nadal obejmując drżącymi dłońmi moje policzki, zupełnie tak, jakby to wszystko miało za moment okazać się jedynie snem, a ja sam wytworem jej wyobraźni.

Przyjmuję każde westchnienie, każdy pocałunek, każdą pieśczootę, którą powinienem odrzucić. Przyciągam do siebie Porter jeszcze bliżej gwałtownym ruchem, uzyskując w odpowiedzi krótkie parsknięcie dźwięcznego śmiechu, stłumione przez natarcie moich ust na jej. Brunetka siada na mnie okrakiem, jej nogi swobodnie zwisają, a dłonie docierają na mój kark. Długie paznokcie zatapiają się w mojej skórze, gdy kładę ręce na kobiecych udach.

Nie mija parę sekund, a odrywamy się od siebie, by zaczerpnąć powietrza. Mrugam powoli, wpatrując się w ciężko oddychającą Porter. Ma lekko rozchylone usta, odrobinę zmierzwiłone włosy i spojrzenie tak intensywne, że jestem w stanie wyłapać je w mroku.

– Podczas wizyt nie wstajesz z sofy, Love – mruzcę stanowczo z pełną świadomością, że im większa odległość nas dzieli, tym lepiej. – Nie robisz tego, jasne? – Przesuwam dłońmi w górę i w dół zgrabnych ud.

Love kiwa pospiesznie głową.

– Jasne – wydusza z siebie pomiędzy wdechami. Ciemne kosmyki opadają na jej twarz, gdy spuszcza nieco głowę i znowu przybliżyła usta do moich. Tym razem kradnie mi przelotnego buziaka, uśmiechając się przy tym zupełnie szczerze.

– To, co dzieje się w tym gabinecie, zostaje w gabinecie. Nie wpływa na to, kim jesteśmy poza nim. Nie myśl, że będę katował cię psychologicznymi gadkami po godzinach – zapewniam ją, odgarniając lewą dłonią włosy sprzed jej nosa.

– Dobrze. – Uśmiecha się delikatnie.

– Czy na pewno wszystko jest dla ciebie zrozumiałe, Love? – pytam dla pewności.

Brunetka zagryza wargę, przytakując.

– Tak, panie Callahan.

Na jej odpowiedź ściągam brwi w politowaniu.

– Sorki, wczułam się – wypala, składając niewinnie usta w dzióbek. – Zawodowo jesteś tak samo sztywny jak prywatnie.

Na to stwierdzenie jedynie przewracam oczami.

– Przymknij się – burczę.

– Zmuś mnie.

W jej głosie tkwi najprawdziwsza prowokacja, a ja nie potrzebuję więcej niż sekundy, by zrozumieć, w jaki sposób Love Porter chciałaby zostać uciszona. Na początku mam ochotę palnąć jakąś ripostę, ale później... później świadomość, że to ten ostatni raz, kiedy mogę sobie na coś takiego pozwolić, uderza we mnie jak grom. Dlatego po prostu ponownie ją całuję, uznając w duchu te pełne usta za swój cholerny grzech. Słodki, uzależniający do bólu grzech.

– Będę za tym tęsknić – mamrocze Love.

Ja też. Kurewsko mocno.

– Wiesz, że tak już musi być. – Uśmiecham się smutno, odchylając głowę, by móc objąć spojrzeniem całą jej twarz. – To właściwe, skoro jesteś...

– Twoją pacjentką – przerywa mi. – Uwierz, że usłyszałam to dzisiejszego wieczoru wystarczająco dużo razy, by to pojąć, Ryder. I nie chcę splamić twojego wizerunku czy reputacji, dlatego po prostu podporządkuję się twoim zasadom.

Unoszę kącik ust w słabym, aczkolwiek wdzięcznym uśmiechu.

– Pomogę ci, Love. Naprawdę to zrobię – zapewniam ją.

– Wierzę w to – odpowiada tak cicho, że ledwie jestem w stanie to dosłyszeć.

– Muszę uzupełnić twoją kartę pacjenta.

Dłonie dziewczyny prześlizgują się na moją szyję, tuż pod linię szczęki. Porter delikatnie unosi moją głowę, a jej usta ocierają się niewinnie o moje. I tym razem nie ma w tym nic subtelnego. Jest tylko niema potrzeba, którą oboje potrzebujemy ugasić.

– Zrobisz to zaraz – mruczy Love.

– Będziemy siedzieć tutaj do nocy.

– Masz coś przeciwko?

Chyba zwariowałem, skoro nie mam.

Brunetka wypuszcza z ust ciężki oddech, a jej ręce tym razem błędzą po mojej piersi w powolnym tempie. I przysięgam, ten dotyk działa na mnie jak prawdziwa hipnoza. Patrzę na nią z dołu jak urzeczony szczeniak, a potem przełykam głośno ślinę. Chwytam gwałtownie pomiędzy dwa palce jej żuchwę i wciskam w jej usta kolejny pocałunek.

Te sesje naprawdę będą katogą. I lekcją powściągliwości, skoro nie będę mógł powtórzyć tego, co robię teraz. A teraz całuję Porter przeraźliwie zawzięcie. Wręcz obsesyjnie i nałogowo, jakby była moją najbardziej uzależniającą używką.

Czyż tak nie jest?

– Chyba jednak nie masz nic przeciwko – mówi uśmiechnięta, łapiąc oddech.

– Sio, Porter – wykrztuszam z siebie z pełną świadomością, że jeśli zaraz ze mnie nie zejdzie, nie dam rady dłużej powstrzymywać pieprzonych pierwotnych instynktów. Jestem tylko facetem, a to byłoby naprawdę chujowe, gdyby Love poczuła, jak cholernie mnie podnieca.

Dziewczyna wzdycha, ale posłusznie schodzi z moich kolan. Ponownie zajmuje miejsce na kanapie, jednak tym razem wydaje się bardziej rozluźniona. Przejeżdża językiem po dolnej wardze i upija łyk wody ze szklanki znajdującej się na stoliku.

– Zadam ci kilka pytań – uprzedzam.

– W porządku – nie protestuje. – Zadał je.

Wyciągam z teczki dokumenty, a potem kładę je na powierzchni biurka i przesuwam spojrzeniem po pierwszych rubrykach. Szybko dociera do mnie, że w końcu dowiem się co nieco o najbardziej tajemniczej dziewczynie na tej planecie. I z tą myślą jest mi naprawdę dobrze.

– Pełne imię i nazwisko? – zaczynam, chwytając w dłoń długopis.

– Jesteś leworęczny? – zmienia temat.

Kiwam głową i powtarzam:

– Pełne imię i nazwisko?

Dziewczyna zaczesuje kosmyk włosów za ucho.

– Love Leah Porter – mówi.

W milczeniu zapisuję jej odpowiedź na karcie.

– Gdzie się urodziłaś? – kolejne pytanie.

Kiedy przez dłuższą chwilę odpowiada mi cisza, unoszę wzrok znad papierów i spoglądam prosto na swoją pacjentkę. Jest dziwnie zamyślona oraz wpatrzona w jeden punkt po swojej lewej stronie, gdzie znajduje się szklana ściana, a za nią krajobraz zaśniewionych gór.

Dopiero po paru sekundach dziewczyna wybudza się z transu.

– W Carson City – mamrocze. – Stan...

– Nevada – dopowiadam za nią.

Love spina się nieznacznie, chociaż stara się tego nie okazywać. Jej dłonie są teraz wetknięte pomiędzy uda, a wzrok spuszczonej na panele, którymi wyłożony jest gabinet. A ja już wiem, że będę musiał na którymś spotkaniu zadać jej pytanie o to przeklęte Carson City. Zaznaczam to w swoim notesie i śledzę wzrokiem kolejne rubryki karty pacjenta.

– Twój wiek, Love? – kontynuuję standardowy wywiad.

Brunetka zagryza wargę, aż w końcu odpowiada:

– Mam dwadzieścia lat.

Rozchylam nagle usta. Czuję gwałtowne uderzenie gorąca, więc mimowolnie sięgam dłonią po swój krawat i zaczynam go niezgrabnie poluźniać. Nawet nie łudzę się, że mógłbym się przesłyszeć. Przecieram dłonią twarz i biorę naprawdę głęboki wdech. Love Porter jest młoda. Za młoda dla mnie. Za młoda, bym myślał o niej *w ten sposób*.

Zapisuję to przeklęte dwadzieścia i zaciskam szczękę.

– Ryder? – pyta cicho Porter.

– Mhm. – Długopis, którym piszę po kartce, niemalże dziurawi ją przez siłę nacisku, z jaką uzupełniam dokument.

– Spochmurniałeś – zauważa słusznie brązowooka.

– Nie. – Spoglądam na nią z neutralnym wyrazem twarzy.

– Widzę, że tak.

– To zmęczenie – odpieram, zerkając na srebrny zegarek oplatający nadgarstek, by dodać wiarygodności swojej wymówce. Wskazówki na tarczy wskazują dziewiątą.

Love opiera rękę na podłokietniku sofy i wplątuje palce we włosy.

– Może powinniśmy już skończyć? – sugeruje.

– Zbliżamy się do końca – odpowiadam zdawkowo i zadaję jej jeszcze kilka kluczowych pytań.

Aż w końcu docieramy do ostatniego: – Kiedy zjawisz się tutaj już na normalną sesję, Love? – Krzyżuję z nią spojrzenie i unoszę pytająco brew.

– Mogę przyjść tu znowu... w czwartek?

Odpowiadam jej skinieniem.

– O ósmej ci pasuje? – Zerkam w kalendarz. Dzisiaj mamy poniedziałek.

– Tak, jasne – stwierdza. – Czy to już wszystko?

Zamykam notatnik i wrzucam go do aktówki, którą podnoszę z podłogi.

– Wszystko. Podwieźć cię? – oferuję i wstaję, uprzednio gasząc lampkę na biurku.

Love waha się. Dopiero po kilkunastu sekundach mówi:

– Wolałabym się przejść.

Wzdycham niechętnie. Co prawda z poradni nie ma daleko do dzielnicy, w której mieszkamy, ale jest już późno. Najchętniej nie puszczałabym jej o tej godzinie samej, by włóczyła się po Aspen. Ale cóż. Nie chcę na nią naciskać. Chyba lepiej będzie, jak dzisiaj już po prostu od siebie odpoczniemy.

– Okej – rzucam pod nosem i podchodzę do niej tylko po to, by spojrzeć prosto w brązowe oczy i dodać: – *Żegnaj, Love*.

Porter posyła mi delikatny uśmiech. Rusza pierwsza do drzwi. Otwiera je i nie mija chwila, a znika z mojego pola widzenia. Zostaję sam w swoim gabinecie pośród ciemności, ciszy i nieodpartego wrażenia, że właśnie dzisiaj sam przypieczętowałem swój los.

Czy ja naprawdę zdołam trzymać się od niej z daleka?

Następnego dnia budzi mnie łaskotanie w nos. Nie otwieram oczu. Jedynie przekręcam się na

drugi bok i burczę:

– Odpieprz się.

Znajome miauknięcie brzmi bardzo pretensjonalnie.

– To nieludzka pora. Spieprzaj – powtarzam twardo oraz przyciskam policzek do poduszki. Mój pozorny spokój nie trwa jednak długo. Klakier trąca mnie łapą w twarz. Biorę głęboki wdech i obracam się na plecy, by chwycić kota w obie ręce i bez trudu go podnieść. – Co ci się, do cholery, dzieje? – cedzę.

Oczywiście nie uzyskuję odpowiedzi, bo to pieprzony kot. Kręcę głową z dezaprobatą i odkładam go na bok. Z wiedzą, że już nie zasnę, wstaję i ogarniam się w dość szybkim tempie. Jest dziewiąta, co oznacza, że za osiem godzin powinienem zjawić się pod szkołą baletową i odebrać stamtąd Porter, by później jechać z nią do schroniska po psa.

Ciekawe, jak sobie poradzi ze szczeniakiem. Jest dość... nieporadna. Z westchnieniem wchodzę do kuchni, skąd mam idealny widok na podwórko zarówno swoje, jak i sąsiadki. Klakier wskakuje na blat. Chodzi po nim dumny jak paw, ale nagle zasiada w jednym miejscu i wpatruje się uważnie w okno.

– O co ci chodzi, co? – Mrużę podejrzliwie oczy, drapiąc go po grzbiecie.

Dopiero po chwili dostrzegam jakieś auto stojące na podjeździe Love.

– Nie było pytania – mrużę pod nosem. Klakier miauczy przeciągle. – Ale to już nas nie dotyczy, stary. I tak nie mogę jej tknąć.

Od razu rozpoznaję tego frajera Kaydena. Porter wychodzi razem z nim z domu, uśmiechając się przy tym szeroko. Idą razem do samochodu, a potem odjeżdżają, cholera wie gdzie. Przez myśl przechodzi mi, że Sraiden jest dla niej bardziej odpowiedni niż ja. W końcu... są w podobnym wieku. Mają pewnie mnóstwo wspólnych tematów. Ich relacja pod każdym względem wygląda bardziej normalnie niż nasza.

Czas pogodzić się z myślą, że jedyne, co powinienem dać Love, to pomoc. Mogę pomóc jej stanąć na nogi. A coś więcej... coś więcej będzie musiał zaoferować jej ktoś inny. Ktoś, kto będzie dla niej bardziej właściwy.

– Nie gap się tak – wzdycham, klepiąc kompana po boku. – Chodź, dam ci śniadanie.

Po tych słowach wypuszczam powoli oddech z płuc i ruszam się z miejsca. Mimo że staram się wmówić samemu sobie, że tak już po prostu powinno być... wciąż otacza mnie dziwne wrażenie, że wcale nie wyjdzie mi to na dobre.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY



RYDER

O umówionej godzinie podjeżdżam pod szkołę baletową, w której teraz ćwiczy Love. Nie widzę jej nigdzie w pobliżu, dlatego wysiadam z range rovera i wsuwam dłoń do kieszeni płaszcza, decydując się jej poszukać. Budynek jest nieduży. W zasadzie nietrudno jest mi odnaleźć salę ćwiczeniową. Od razu zwracam uwagę na niewielki podest. Podest, na którym w tym momencie tańczy jedna z dziewczyn ubrana w charakterystyczny biały strój baletnicy.

Wzdycham i opieram się ramieniem o framugę drzwi. Łatwo jest mi rozpoznać w występującej tancerce Love Porter. Momentalnie zasycha mi w gardle, gdy śledzę uważnym spojrzeniem jej lekkie i subtelne ruchy. Brunetka porusza się płynnie jak diabli. Z gracją. Z wdziękiem i elegancją. I założę się, że z niewiedzą, w jak krótkim czasie potrafi wzbudzić w publiczności prawdziwy podziw.

Przestępuję z nogi na nogę. Dziwny rodzaj transu zdaje się pochłaniać mnie w każdym tego słowa znaczeniu, kiedy patrzę oniemiały na kolejne figury, które prezentuje Love. Nie wyobrażam sobie, jak wiele musiała poświęcić, by mogła być tak dobrze rozciągnięta i żeby teraz móc wykonać tak skomplikowany układ. Mimo tego, że włosy ma spięte w wysoki kok, pojedyncze kosmyki i tak opadają na jej bladą twarz.

Gdy kłania się w stronę niewielkiej publiczności złożonej z samych dziewczyn, zapominam, jak się oddycha.

Spośród tych wszystkich baletnic zebranych pod podestem tylko jedna kobieta klaszcze Love. Pozostałe obserwują swoje paznokcie, śmieją się między sobą albo patrzą w ekrany telefonów. Prycham pogardliwie na taki stan rzeczy, bo akurat ten występ zasługiwał na docenienie. Jeszcze przez chwilę stoję nieruchomo, a potem wstaję. Wracam do samochodu.

Love wsiada do niego krótko po mnie.

– Wybacz. Trochę się nam przedłużyło – mówi zziębnięta, w pośpiechu zapinając pas bezpieczeństwa. – Długo czekasz? – Spogląda na mnie przeproszająco.

– Nie – kłamię jak z nut.

Brunetka kiwa głową.

– To dobrze. – Uśmiecha się i rozplątuje włosy. Czarne kosmyki rozsypują się kaskadami po jej smukłych ramionach oraz plecach. – Coś się stało? – pyta zaciekawiona, zapewne widząc, jak się na nią gapię.

Momentalnie odwracam wzrok.

– Jedziemy – bąkam i przekręcam kluczyk w stacyjce.

Love odrzuca na tylne siedzenia swoją torbę i pociąga nosem.

– Rozmawiałam z dziewczyną ze schroniska – zaczyna podekscytowana. – Jeśli pracownicy uznają, że mogę wziąć Gargamela, zabiorę go do domu już dzisiaj.

Opieram rękę na drzwiach samochodu i zerkam przelotnie na Porter.

– Czy ty w ogóle dasz sobie radę z psem? – pytam.

Brązowooka fuka urażona.

– Przepraszam?

Wracam spojrzeniem do jezdni, wzruszając krótko ramionami.

– No wiesz. Jesteś trochę...

– Na pewno chcesz dokończyć? – prycha.

Uśmiecham się kącikiem ust.

– Boisz się prawdy?

– Chcesz zarobić w twarz? – odbija piłeczkę. Kątem oka widzę, jak przechyla głowę, by przyjrzeć mi się uważnie. – Czekaj, czy ktoś już mnie przypadkiem nie wyprzedził?

Spoglądam w lusterko wsteczne i dostrzegam zadrapanie na policzku. Zatrzymuję się na czerwonym i wzdycham ciężko, krzyżując spojrzenie z Porter.

– To Klakier – mówię.

– Kłopoty w raj? – Love parska kpiąco.

– Bardzo śmieszne. Lepiej spójrz na nawigację.

Dziewczyna posłusznie wyjmuje z kieszeni telefon i wystukuje na klawiaturze adres schroniska. Nie mija krótka chwila, a odpowiada mi krótkim:

– Teraz w lewo. Będziemy za pół godziny.

I rzeczywiście docieramy na miejsce po dokładnie trzydziestu minutach. Tyle samo zajmuje Love załatwienie wszelkich formalności. Kiedy wraca do samochodu z małym zawiniątkiem oraz stertą papierów, naprawdę zaczynam się modlić, by tapicerka w moim samochodzie jakkolwiek to przeżyła.

– Jest zestresowany – mówi cicho Porter, odkładając na bok dokumenty i przytulając do piersi małego szczeniaka. Szczerzy się przy tym jak głupia, co chcąc nie chcąc muszę uznać w duchu za okropnie urocze.

– Uduśisz go – ostrzegam i odpalam silnik.

– Miły jak zawsze. Spójrz tylko na niego. To mężczyzna mojego życia.

Odpalam silnik i zerkam na tego szczęściarza. Mały mlaska cicho i poddaje się pieszczotom swojej stukniętej właścicielki. To chyba golden retriever. Nie wiem, nie umiem rozpoznawać ras psów.

– Biedak – kwituję zgryźliwie.

– Sztyniak – słyszę w odpowiedzi.

– Nie jestem sztywny.

Love chce coś powiedzieć, ale szybko zaciska usta w wąską linię, jakby w ostatniej chwili się przed tym powstrzymała. Patrzę na nią przelotnie, ale ona odwraca wzrok w stronę okna, próbując ukryć fakt, że czerwieni się jak pieprzony pomidor.

Zajebicie.

– Pamiętaj o naszej umowie – przerywam niezręczną ciszę.

– Której? Było ich całkiem sporo.

– Tapicerka – mruczę.

– Gargamel jest bardzo grzeczny. Nie puści pawia.

Przejeżdżam językiem po dolnej wardze, wpatrując się w drogę rozpościerającą się przed nami. Od domu dzieli nas lekko ponad dwadzieścia minut, więc może rzeczywiście uda nam się dotrzeć do niego bez większych ekscesów.

Sam chyba nie wierzę w to, że nam się udaje, kiedy wchodzimy później do domu Porter. Brunetka kładzie psiaka na podłodze i pozwala mu stanąć na własnych łapach, by mógł obwąchać nowy dom oraz rozejrzeć się po całym jego metrażu.

– Myślisz, że szybko się zaaklimatyzuje?

Kiwam powoli głową.

– Myślę, że tak. Musisz mu tylko poświęcić trochę uwagi.

Love uśmiecha się zupełnie szczerze.

– Dostanie jej naprawdę dużo – stwierdza wesoło, ale jej mina szybko rzednie. – Idziesz już? – pyta, widząc, jak robię krok w tył. Chowam dłonie w kieszeniach płaszcza.

– Muszę zrobić zakupy, a potem coś na kolację. Możesz wpaść, jeśli chcesz – oferuję. – Z Gargamelem rzecz jasna.

Porter zagryza wargę, chwilę trawiąc sens moich słów.

– Chętnie – odpowiada w końcu.

– Klucze są...

– Pod doniczką na parapecie, po lewej stronie od drzwi – uprzedza mnie.

Rozchyłam usta, patrząc na nią jak na ostatnią wariatkę. Skąd ona, do diabła, wie, gdzie trzymam zapasowe klucze do domu? Chryste. Love Porter jest zdecydowanie bardziej nieobliczalna, niż na

początku sądziłem.

– Po prostu... wróć za kwadrans – wzdycham zrezygnowany i ruszam w stronę drzwi.

Nie spodziewam się usłyszeć za sobą szmeru. Odgłos małych łap odbijających się od podłogi towarzyszy mi aż do holu i dopiero tam orientuję się, że Gargamel szedł za mną przez cały korytarz. Uśmiecham się i kucam przy tym małym gnojku, by podrapać go za uchem. Szczeniak merda wesoło ogonem, wydając z siebie charakterystyczne mlaskanie. Wychodzę, czując na sobie nienawistne spojrzenie zazdrosnej Love Porter.

Do domu wracam z dwoma papierowymi siatkami wypełnionymi zakupami. Zamykając kopniakiem drzwi, rozglądam się wokoło, ale nigdzie nie widzę ani swojej sąsiadki i jej psa, ani swojego kota. Mrużę podejrzliwie oczy i ruszam do kuchni, gdzie odkładam na blat wszystkie swoje bagaże. Zrzucam z siebie jeszcze płaszcz, a potem unoszę wzrok ponad wyspę kuchenną, skąd widzę, co dzieje się w salonie, i dostaję chyba pieprzonej zapaści.

Przystaję w miejscu na widok zwierząt przebranych za cholerne elfy oraz wyraźnie zadowolonej z siebie Love. Dziewczyna, gdy tylko mnie zauważy, uśmiecha się szeroko, natomiast ja wciąż stoję oniemiały w progu pomieszczenia i próbuję zrozumieć, jakim cudem Klakier zgodził się na taką błazenadę.

– Ty masz nierówno pod sufitem, Porter – wypalam, kiedy kot ociera się o moje nogi, a przywieszony do jego szyi dzwonek wydaje z siebie irytujący odgłos.

– Nie mogłam się oprzeć – mówi niewinnie dziewczyna, wydymając dolną wargę. – Zresztą zaraz im to ściągnę – dodaje po krótkiej chwili i zmienia temat: – Długo cię nie było.

– Kolejki – wzdycham. – Mam nadzieję, że lubisz makaron i krewetki.

Odkładam płaszcz na sofę i kieruję się znowu do kuchni, gdzie zaczynam wyjmować zakupy z toreb. Love milczy przez chwilę, a ja nabieram przekonania, że wizja przygotowanej przeze mnie kolacji sama w sobie odbiera jej apetyt.

– Właściwie... – zaczyna, a wtedy spoglądam na nią z uniesioną brwią.

Porter kapituluje.

– Tak, lubię.

– Świetnie. To moja specjalność. – Posyłam jej uśmiech.

Brunetka odwzajemnia go z nieco mniejszym entuzjazmem. A później spuszcza wzrok na Gargamela, który śpi na jej kolanach, i zaczyna głaskać go po grzbiecie. Jest coś miłego w widoku Porter siedzącej swobodnie na dywanie w towarzystwie swoich elfów-pomocników.

Mój kącik ust mimowolnie wędruje ku górze. Koncentruję ponownie uwagę na zakupach i wyjmuję na blat wszystko to, co przyda mi się do przygotowania dania.

– Pomóc ci? – Love pojawia się przy mnie, nie wiedząc kiedy.

– Ty? – Patrzę na nią z politowaniem. – Możesz co najwyżej popatrzeć.

Dziewczyna wywraca teatralnie oczami i usadawia tyłek na blacie kuchennym.

– Chciałam być miła – broni się.

– Doceniam. – Puszczam jej oczko.

Porter opiera wyprostowane ręce za plecami, a jej policzki oblewa rumieniem.

– Ale przyznaj się, że przyszłaś tutaj tak naprawdę tylko po to, żeby skontrolować, czy cię niczym nie otruję – wypalam, wyciągając patelnię i garnek z szafki. Garnek napełniam wodą i kładę na płycie indukcyjnej. W dalszej kolejności wyciągam nóż i biorę się za krewetki.

Love nawet na sekundę nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Masz mnie. Często gotujesz? – pyta nagle.

– Kiedy mam czas. Skąd to pytanie?

– Polly, gdy wymieniała twoje zalety, wspomniała, że umiesz gotować. No i... że kiedyś ugotowałaś coś dla niej, gdy byliście na randce.

Prycham pogardliwie.

– Jedyne, co mogłem dla niej ugotować, to wodę na herbatę.

– Więc nie byliście nigdy na randce? – dopytuje Love.

– West lubi koloryzować swoje bajeczki. – Wzruszam krótko ramionami. – Nie wierz jej. Zrobi wszystko, by wykurzyć potencjalną konkurencję.

– Konkurencję?

Wrzucam krewetki na patelnię i zerkam na dziewczynę.

– Żyje w przekonaniu, że jeszcze kiedyś się za nią obejrzę.

Porter splata nogi w kostkach, gdy podchodzę do niej i opieram obie ręce na krawędziach blatu.

Moja sąsiadka nagle się prostuje. Nie spuszczając ze mnie wzroku, pyta zaciekawiona:

– Myślisz, że tego nie zrobisz?

– Nie, Love. Ja wiem, że tego nie zrobię.

– Dlaczego? – docieka, mrużąc wąpiąco oczy.

Zanim odbijam się od blatu, odpowiadam niskim głosem:

– Bo wciąż ją zaślaniaasz i kradniesz całą moją uwagę.

Po czterdziestu minutach następuje moment, którego tak bardzo się obawiam. Love kończy karmić Klakiera i Gargamela. Widzę, że stara się to robić jak najwolniej, ale i tak nie odwlecze kolacji, którą nakładam na dwa talerze. Przesuwam jeden w jej stronę, gdy zasiada na wysokim krześle barowym przy wyspie kuchennej oddzielającej kuchnię od salonu.

– Smacznego – mówię, wręczając jej również widelec.

– Wzajemnie – słyszę w odpowiedzi, zanim biorę pierwszy kęs.

Love nawija na sztuciec trochę makaronu. Robi to opornie i widzę, że się do tego zmusza. Jestem pewien, że gdyby nie było mnie obok, nawet nie spojrzalaby na danie, nie wspominając o zjedzeniu go chociażby w połowie. W końcu jednak bierze bezdźwięczny wdech i próbuje makaronu. Unosi kącik ust, mówiąc:

– Jest pyszne.

Ale wcale nie chcesz tego jeść.

– Cieszę się, Love. – Odwzajemniam gest.

Przez kolejne minuty w ciszy jemy kolację. I trwa to, dopóki ekran telefonu brunetki nie podświetla się, powiadamiając o nowej wiadomości. Dziewczyna szybko sięga drżącą dłonią po komórkę. Jest jednocześnie zdenerwowana, ale również... wygląda, jakby kamień spadł jej z serca, a nieopisana ulga zawładnęła nią w mgnieniu oka.

– Muszę zadzwonić – informuje mnie i wstaje z krzesła.

Nie patrzy mi w oczy.

– W porządku. – Kiwam głową, odprowadzając ją wzrokiem. Wiem, że właśnie skłamała. Patrę na jej do połowy pełny talerz i upijam łyk wody ze szklanki. Mam nadzieję, że poszła się tylko przewietrzyć albo pobyć chwilę sama.

Dziwię się jednak, gdy mija dziesięć minut, a ona wciąż nie wraca.

Marszczę czoło i ruszam na poszukiwania Porter. Nigdzie jej nie ma, ani w korytarzu, ani w mojej sypialni, ani nawet w gabinecie. W pierwszej chwili myślę, że poszła po coś do swojego domu, ale później... Później słyszę ciche łkanie dochodzące z pomieszczenia najbardziej oddalonego od kuchni. A jest nim łazienka.

Niespokojny ruszam w jej stronę. Nawet nie wiem, kiedy moje dłonie zaczynają się pocić, ale czuję to doskonale, kiedy kładę jedną na klamce od drzwi. Są zamknięte. Z łatwością jednak radzę sobie z zamkiem. Uchylam powoli drzwi i tracę dech, gdy odnajduję Love. Płacze cicho, klęcząc przed toaletą. Włosy opadają jej na skronie, kiedy zwraca zawartość swojego żołądka. Patrę na nią i czuję ukłucie w klatce piersiowej.

Tak bardzo mi przykro, Love.

Podchodzę do niej powoli i sięgam po czarne pasma, by zmieść je z bladych policzków. Love wzdryga się. Bierze niespokojny wdech i podrywa głowę, by spojrzeć na mnie zapłakanymi oczami. Widzę w nich nieme przeprosiny. Posyłam jej smutny uśmiech i czekam cierpliwie, aż skończy wymiotować. Czekam kilka długich minut.

Po ich upływie brunetka wstaje, spuszcza wodę i na wiotkich nogach podchodzi do umywalki,

gdzie przemywa usta pod strumieniem wody. Łzy nadal spływają ciurkiem po jej twarzy i skapują na łazienkowe płytki, podczas gdy Love patrzy na swoje odbicie oraz zagryza dolną wargę tak mocno, że ta pęka. Krew wydostaje się z kącika jej ust. Chcę coś powiedzieć, ale szybko jednak stwierdzam, że milczenie będzie w tym wszystkim o wiele lepsze. Przynajmniej dopóki ona sama nie zdecyduje się odezwać.

Ruszam się z miejsca i zatrzymuję tuż za nią. Dziewczyna przymyka powieki tak szybko, jak nasze spojrzenia krzyżują się w odbiciu lustra. Wyciągam dłoń w jej stronę tylko po to, by zetrzeć kciukiem z bladego policzka rozmazany tusz. Przez chwilę stoimy tak w milczeniu, dopóki nie oplątam palcami jej nadgarstka. Love otwiera oczy. Patrzy na mnie pytającym wzrokiem, ale pozwala się poprowadzić w stronę sypialni.

Kładę się na łóżku i wpatruję prosto w sufit. Towarzysząca mi dziewczyna jedynie wypuszcza powoli oddech z płuc i z wyraźnym wahaniem spogląda na czarną pościel. Wstydzi się. Czuję bijące od niej zawstydzenie pomieszane z niepokojem, kiedy bardzo powoli wchodzi na mebel, a później opiera policzek na moim brzuchu. Połykam tchnienie i wplątam dłoń w długie, czarne włosy, podczas gdy Love ponownie zamyka oczy.

– Przepraszam – mówi łamiącym się głosem.

– Nie przepraszaj mnie – odpieram równie cicho. – Nie oczekuję tego od ciebie.

– Wiem, że nie. Ale i tak... przepraszam.

Bawię się miękkimi kosmykami i dociera do mnie, że walka z zaburzeniami odżywiania Love będzie naprawdę trudna. Bo, nazywajmy rzeczy po imieniu – jej wstręt do jedzenia oraz jego zwracanie, a ponadto myślenie, że jest za gruba – to wszystko składa się na jedną diagnozę. I wiem, że będę musiał zrobić wszystko, by pomóc jej zdjąć klapki z oczu. Bo ona nie zasługuje na to, przez co przechodzi i przez co będzie przechodzić, jeśli ktoś jej szybko nie pomoże.

– Chciałam nad tym zapanować, bo wiem, że tobie zależy, Ryder – szepcze.

Nawet nie wiesz, jak bardzo mi zależy, Love.

– Zależy ci na tym, żebym była normalna – dokańcza.

– Nie żebyś była normalna, Love, bo jesteś taka. Jesteś normalna. Zależy mi na tym, żebyś po prostu była zdrowa. – Głaskam ją wierzchnią częścią dłoni po policzku, ale ona wciąż nie otwiera oczu. – Żebyś pewnego dnia spojrziała na siebie i stwierdziła, że podobasz się sobie. Kurwa, Love. Gdybyś tylko mogła wejść do mojej głowy i zrozumieć, jak cholernie mi się podobasz.

Brunetka otwiera oczy, które błyszczą od łez. Momentalnie zasycha mi w gardle. Patrzę w nie i czuję, jak przechodzi mnie zimny dreszcz, bo zaczynam rozumieć, jak bardzo nienawidzę tego widoku. Widoku płaczącej Love Porter.

– Gdyby nie ty, nawet bym się nie zawahała. Ale... to ty. Ty, Ryder. Tylko ze względu na to, że tobie *zależy*, chcę być normalna. Bo gdyby nie to... gdyby nie to, byłoby mi wszystko jedno, czy jestem taka, czy nie – wyznaje zupełnie szczerze, kładąc swoją dłoń na moim brzuchu. Jest zimna. Jak cała ona.

– Zdrowa, Love – poprawiam ją. – Ty jesteś normalna.

– Proszę, powiedz, że nie mówisz mi tego wszystkiego tylko dlatego, że... – zaczyna, ale nie pozwalam jej dokończyć, czując, jak buzuje we mnie potrzeba wybicia jej z głowy, że mógłbym tak po prostu się nad nią litować i kłamać jej w żywe oczy.

– Nigdy. Przenigdy. Bym ci tego. Nie zrobił – cedzę przez zaciśnięte zęby, ale szybko rozluźniam szczękę, gdy dociera do mnie, jak nieprzyjemnie brzmię. – Nie powiedziałbym ci tego wszystkiego tylko dlatego, że mi cię szkoda.

Przejeżdżam kciukiem po jej ustach i biorę krótki wdech nosem.

– Naprawdę, gdy na ciebie patrzę, nie mogę przestać myśleć o tym, jak cholernie jesteś ładna, Love. – Uśmiecham się blado. – Postaram się pokazać ci to, czego sama nie widzisz.

I to jest najgorsze, Love. Bo chcę ciebie. Chcę tego, czego nie powinienem chcieć.

– Postarasz się? – pyta, kładąc swoją drobną dłoń na mojej, wciąż znajdującej się na jej policzku. Pocieram kciukiem jej skroń, kiwając powoli głową.

– Właściwie to nie.

Cień smutku w jej oczach jest dla mnie w tym momencie doskonale widoczny. Znika on jednak

tak szybko, jak dodaję:

– Zrobię wszystko, by pokazać ci to, czego nie jesteś w stanie zobaczyć sama, Love.

W zamian otrzymuję uśmiech. Naprawdę piękny uśmiech od pięknej dziewczyny. Obserwuję ją, dopóki nie zasypia. Dopiero wtedy ostrożnie wstaję i kieruję się w stronę salonu, gdzie zostawiliśmy Klakiera i Gargamela. Czuję nieopisaną ulgę, gdy mój rudzielec śpi przytulony do również śpiącego psa. Biorę oba zwierzaki w ręce i zanoszę je do łóżka, gdzie zaspane Igną do Love i usadawiają się tuż obok niej.

Miły widok, myślę.

Sam podchodzę do biurka i odpalam laptopa. Przecieram dłonią zmęczoną twarz i wpisuję hasło. Dla każdego pacjenta zawsze tworzę osobny folder, taki sam robię również dla Love. Otwieram nowy plik. Zapisuję w nim to, co byłem w stanie dzisiaj zaobserwować i pograżam się na dłuższą chwilę we własnych myślach.

Z letargu wytrąca mnie dopiero ciche skomlenie. Spoglądam na zegar. Jedenasta. *Już późno*, orientuję się i odwracam w kierunku Gargamela. Szczeniak siedzi na brzegu łóżka i najwyraźniej potrzebuje wyjść na zewnątrz. Z westchnieniem wstaję i biorę go pod pachę. Zanim docieram do drzwi wejściowych, zgarniam z wieszaka losową bluzę. Dopiero będąc przed domem, puszczam psiaka wolno, a sam narzucam na siebie czarny materiał.

Opieram się o framugę drzwi i obserwuję, jak mój podopieczny merda wesoło ogonem, szukając właściwego miejsca w ogrodzie, by się załatwić. Krzywię się, gdy mając do wyboru tysiąc innych opcji, on drepta obok range rovera i sika prosto na jedną z opon.

– Chodź już, Gargamel – wołam go i klnę siarczyście, bo on najwyraźniej nie ma ochoty wracać do domu. – Chcesz iść na dłuższy spacer, co? – pytam ze zrezygnowaniem. – Poczekaj.

Odwracam się z zamiarem pójścia po płaszcz, ale zdecydowanie nie spodziewam się dostrzec stojącej za moimi plecami Love. Kącik jej ust unosi się w słabym uśmiechu, a w nieobecnych oczach czai się wdzięczność.

– Pójdę z wami – decyduje, ściągając z wieszaka swoją kurtkę.

– Nie wolisz się położyć? – upewniam się, przeczesując spokojnym wzrokiem nieco zdrowszej wyglądającą twarz dziewczyny. Kilka godzin snu wyszło jej zdecydowanie na dobre.

– Nie. Potrzebuję się przewietrzyć.

– W porządku. – Kiwam głową i zanim znikam w korytarzu, by poszukać płaszcza, głaszczę delikatnie jej policzek, by zmasać z niego ostatnią pozostałość po czarnym tuszu.

Po dosłownie minucie gaszę wszystkie światła i zamykam drzwi na klucz. Czuję, że robi mi się odrobinę cieplej, gdy dostrzegam klęczącą w śniegu Love, która bawi się z Gargamelem. Kiedy tylko mnie dostrzeże, wstaje i otrzepuje kolana z białego puchu.

– Idziemy? – pyta.

– Idziemy – odpieram i sięgam dłonią po leżącą na ziemi smycz, którą Porter najprawdopodobniej zdążyła zgarnąć z domu w czasie, gdy szukałem płaszcza. Przypinam ją do obroży psiaka i głaszczę go za uchem, na co ten wydaje z siebie uroczy pisk.

– Chcesz? – Wyciągam w jej stronę czarny sznurek.

– Nie. Ciebie będzie bardziej słucał – stwierdza.

Widzę, że Love chce schować dłoń do kieszeni, ale nie pozwalam jej tego zrobić. Splatam ją ze swoją i ciągnę w stronę chodnika. Śnieg prószy z nieba i jest doskonale widoczny w świetle ulicznych lamp, gdy ruszamy przed siebie pustą drogą.

– Gdzie nas zabierzesz? – pyta dziewczyna, posyłając mi przelotny uśmiech.

– W piękne miejsce – odpowiadam zdawkowo.

Moja rozmówczyni zagryza wargę.

– Piękne miejsce? – dopytuje.

– Takie, z którego zabierzesz same dobre wspomnienia, Love.

Brunetka mocniej ściska moją dłoń.

– Kiedyś powiedziałaś... – zaczyna, ale nie może zebrać myśli.

Wzruszam krótko ramionami, paląc głupa, chociaż tak naprawdę wiem, o co jej chodzi.

Doskonale wiem, o co jej chodzi.

– Powiedziałem w swoim życiu wiele – odpowiadam tajemniczo.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że w dokładnie takie miejsce zabrałbyś dziewczynę, której chciałbyś zaimponować – wykrztusza z siebie, podrywając odrobinę głowę, by skrzyżować swoje spojrzenie z moim. Pozostaję jednak poważny. Nie uśmiecham się.

Po prostu mówię:

– Może właśnie to chcę dzisiaj zrobić, Love. Zaimponować ci.

Chcę zabrać cię gdzieś daleko stąd.

Love milknie. Po prostu pozwala mi zabrać się na zamarznięte o tej porze roku jezioro znajdujące się kilka dobrych mil od domu. Brunetka przystaje na moment i rozgląda się wokoło. Patrzy na pomost, na pokryte szronem gałęzie krzewów i świecące na niebie gwiazdy. W pewnej chwili po prostu uśmiecha się i siada na starym pniu drzewa.

– Tutaj jest pięknie, Ryder – stwierdza.

Siadam obok niej i spuszczam ze smyczy Gargamela, by porządnie się wybiegał. Psiak otrzepuje się ze śniegu i zaczyna przebieżkę tam i z powrotem. Kiedy upewniam się, że nie czmychnie nigdzie dalej, przechylam głowę, by spojrzeć na Love.

Dziewczyna kładzie na pniu telefon i klucze, a potem podnosi się do pionu.

– Podejźmy bliżej pomostu? – pyta, a ja nie umiem jej odmówić.

– Jasne – odpieram.

Love rusza powolnym tempem przed siebie, a ja zostawiam na drzewie smycz oraz swój telefon, by przypadkiem nie wpadł do żadnego przerębla. Jest ich tutaj sporo. Wstaję i kątem oka widzę, że ekran komórki Porter podświetla się. Zanim zdążę odwrócić od niego wzrok, udaje mi się przeczytać na wyświetlaczu jedno imię:

Aaron.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY



LOVE

Mój koszmar wracał. I tym razem przybierał postać faceta o stalowych oczach, ciemnych włosach oraz tym zwalającym z nóg uśmiechu. A przynajmniej ostatnie jego zdjęcie, które mignęło mi na jednym z portali społecznościowych, wskazywało na to, że przez miniony czas, on nie zmienił się nawet odrobinę.

Mój koszmar wciąż był paradoksalnie piękny. Ale już nie dla mnie. Dla mnie był tylko paskudnym potworem.

Biorę w dłoń telefon i zaciskam szczękę na widok kolejnej wiadomości, którą mi wysłał. Usuwam ją, zanim zdążę poczuć ten sam rodzaj strachu, jaki czuję czasami, odkąd uciekłam z Carson City. Bo czasami... czasami boję się, że mój koszmar wróci nie do mnie, a po mnie.

Chowam komórkę do kieszeni kurtki i biorę głęboki wdech. Nawet nie wiem, kiedy zjawia się przy mnie Ryder, ale mam nadzieję, że tym razem umyka mu pewien szczegół – to, jak bardzo zdołała mnie rozproszyć na krótki moment jedna wiadomość.

Dla niepoznaki uśmiecham się i pytam:

– Wracamy do domu?

– Jasne. – Mężczyzna sięga po leżącą na pniu drzewa smycz. Krótco potem Gargamel jest już do niej przypięty i drepta wesoło przy nodze Rydera, kiedy ruszamy w drogę powrotną.

Chowam dłonie w kieszeniach spodni i zaciągam się rześkim powietrzem. Noc jest dzisiaj spokojna, a po ulicach nie przechadza się zbyt wielu ludzi, zapewne ze względu na ujemną temperaturę i późną porę.

W pewnym momencie Ryder odwraca głowę, by na mnie spojrzeć.

– Love? – pyta łagodnie, przez co czuję przyjemne ciepło w okolicach serca.

– Tak?

– Mam nadzieję, że pamiętasz o tym, że widzimy się w czwartek w moim gabinecie – mówi, nie wiedząc czemu, skanując uważnym, ale nienatarczywym spojrzeniem moją twarz. Przez moment przechodzi mi przez myśl, że musiał mieć jakiś powód, by napomknąć o naszej umówionej sesji.

Kiwam więc powoli głową, odpowiadając spokojnie:

– Pamiętam. Przypominasz mi o tym z jakiegoś konkretnego powodu?

Mężczyzna unosi kącik ust w wymuszonym uśmiechu.

– Nie, Love. Po prostu upewniam się, że przyjdiesz.

Przełykam z trudem, ale nie protestuję.

– Przyjdę – stwierdzam.

A potem oboje milkniemy.

Rano jest mi gorąco. Okropnie gorąco.

Powoli otwieram zaspane oczy i orientuję się, co jest tego powodem. Ręka Rydera oplata ciasno mój pas oraz przyciąga mnie kurczowo do twardego torsu skrytego pod materiałem czarnej koszulki. Ciężkie mięśnie niemalże stapiają się z moimi plecami, gdy wsłuchuję się w równomierny oddech mężczyzny i czuję, jak ciepłe powietrze rozbija się na moim karku.

Zagryzam wargę, tłumiąc w sobie westchnienie. Niewiele widzę przez włosy opadające na twarz, ale nie ruszam się nawet o cal, bo w tej pozycji jest mi cholernie wygodnie. Przez moment zastanawiam się, czy kiedykolwiek czułam się choć w małym stopniu tak bezpiecznie jak teraz, ale szybko dochodzę

do wniosku, że... nigdy się tak nie czułam. Bo nikt nie był dla mnie nigdy tak dobry jak Ryder.

Przejeżdżam delikatnie palcami po wierzchniej części męskiej dłoni. Skóra Rydera jest szorstka w dotyku. Pojedyncze żyły i niewielkie blizny zdobią jego ręce. Są duże, silne i ciepłe. Władczo zaciśnięte na moim brzuchu. Nie mija parę minut, a ich właściciel porusza się niespokojnie na łóżku, wydając z siebie przeciągłe chrząknięcie.

– Która godzina? – pyta gardłowo, jak gdyby nigdy nic.

– Nie wiem. Trudno jest wydostać się spod twojej kupy mięśni – wypalam, odwracając się delikatnie do Rydera, który uśmiecha się łobuzersko. Rany, taki widok z rana jest naprawdę strasznie seksowny.

– Nie próbowałaś tego zrobić – zauważa. – Poczuliśmy to.

– Nie próbowałam – potwierdzam.

– Dlaczego?

– Bo jest mi pod tobą całkiem dobrze – odpowiadam szczerze, patrząc prosto w grafitowe oczy, w których, mimo tego, że są chmurne i szare, zawsze jestem w stanie odnaleźć swoje upragnione ciepło.

Jest mi z tobą dobrze, Ryder.

– To całkiem miłe wyznanie, Porter – odpowiada czarnowłosa. – Ale rusz swój zajebisty tyłek i zobacz, która godzina.

– Sądziś, że mam zaje...

– Porter – przerywa mi zniecierpliwiony Ryder.

– Jezu, no już – burczę. – Nie pali się przecież.

Po tych słowach udaje mi się wygramolić spod mężczyzny i zastukać palcem w ekran telefonu, który leży na szafce nocnej. Ekran podświetla się, a ja dostrzegam na nim godzinę ósmą. Wykonuję w głowie szybką kalkulację i stwierdzam, że mam jeszcze dobre dwie godziny do treningu i cztery do rozpoczęcia zmiany w kinie.

Opadam znowu na materac i wypuszczam ze świstem powietrze.

– Ósma – rzucam w stronę Rydera, odwracając głowę, by na niego spojrzeć. – Masz dzisiaj jakieś spotkania z pacjentami? – pytam zaciekawiona.

– Jedno. Późnym wieczorem – słyszę w odpowiedzi.

– Więc... mogę ci oddać pod opiekę swoje dziecko na kilka godzin? – Wydymam dolną wargę w podkówkę.

Pan Przystojniak przeciera dłonią twarz, a potem patrzy na mnie z niesmakiem.

– Jesteś wyrodną matką.

– Hej, samotną! – bronię się, dźgając go paznokciem w pierś.

Ryder wzdycha z politowaniem.

– Okej, zajmę się nim – kapituluję. – A tak właściwie, gdzie on...

Wzdrygam się, gdy słyszę przeraźliwie głośny huk rozbrzmiewający po domu. Leżący obok mnie mężczyzna milknie nagle i marszczy w niezrozumieniu czoło. Cisza, która nastaje krótko po hałasie, wydaje się teraz do przesady złudna. Oboje z Ryderem zrywamy się z miejsca w mgnieniu oka.

– Zostań tu – rozkazuje stanowczo czarnowłosa, na co prychem pogardliwie.

– Zwariowałeś.

Ryder zaciska szczękę.

– To może być złodziej lub...

– Znam sztuki walki! – protestuję szeptem.

Mężczyzna puka się w czoło.

– Nie znasz.

– No nie – przyznaję się. – Ale mogę się przydać.

Mój rozmówca sznuruje usta w wąską linię i chwytając w dłoń jakiś przedmiot z regału. Zanim zdąży go powstrzymać, oplata mi ciasno nadgarstki losowym krawatem, przez co nie jestem w stanie poruszać rękami.

– Zostajesz – powtarza się i popycha mnie lekko na łóżko.

Łąduję na nim z cichym łoskotem. Klnę siarczyście, posyłając mężczyźnie nienawistne

spojrzenie. Próbuję wyswobodzić dłonie, ale nadaremnie. Pieprzony Callahan związał mnie cholernie mocno.

– Jestem bezbronna – warczę, gryząc ten przekłety krawat.

Ryder wznosi spojrzenie ku sufitowi. Najwidoczniej jego cierpliwość zostaje właśnie wystawiona na ciężką próbę. Ale, hej. Jestem pewna, że mogłabym naprawdę się do czegoś przydać, gdyby złodzieje grasowali po domu.

– Nie ruszaj się stąd – mówi na odchodne.

Zaraz potem wychodzi powolnym krokiem z pomieszczenia, zostawiając mnie w nim samą. Przeklinam tego dupka w duchu, a potem wstaję i ruszam pospiesznie za nim. Poruszam się chwiejnie, ale najważniejsze, że cicho. Rozglądam się wokoło z mocno bijącym sercem, dopóki nie wpadam w salonie na plecy Rydera. Mężczyzna kręci głową z pobłażaniem i bez słowa przyciąga mnie do swojej klatki piersiowej, by swobodnie móc wyszeptać mi do ucha zwykle:

– Nie cierpię tego, jak kurewsko jesteś uparta, Porter.

Posyłam mu niewinny uśmiech.

– Rozwiąż mnie.

– Nie.

– Ryder! – syczę gniewnie. – W tej chwili...

– W tej chwili zamykasz dziób na kłódkę – ucina.

– No wiesz co? – wykrztuszam z siebie.

– Co?

– Testuj swoje fantazje na kimś innym – wypalam zła, próbując znowu uwolnić ręce.

Ryder marszczy czoło i siada na sofie w nonszalanckiej pozycji. Opiera łokieć na podłokietniku mebla, przejeżdżając palcami wzdłuż ostrej linii szczęki. Mierzy mnie tym swoim surowym spojrzeniem, ale jest w nim również pewna doza... zaciekawienia, która sprawia, że miękną mi nogi.

Jezu, litości.

– Niby na kim, Porter? – pyta prowokująco.

Biorę wdech nosem i odpowiadam pośpiesznie:

– Na Polly. Jestem pewna, że z chęcią zostanie twoim królikiem doświadczalnym. – Ponownie wywracam oczami, na co Ryder wzrusza krótko ramionami.

– Nie chcę Polly.

Trzy słowa, które wypowiada ten facet, sprawiają, że mój żołądek robi fikołka. Nie daję jednak po sobie poznać, że jakkolwiek mnie poruszyły. Po prostu zadzieram brodę, prostuję się i znowu próbuję jakimś cudem rozplątać ten przekłety czarny krawat.

– Rozwiąż mnie – rozkazuję znowu.

– Nie.

– Nie ma tutaj złodzieja. – Tupię nogą zirytowana.

Mężczyzna przechyla głowę, by przyjrzeć mi się uważniej.

– Nie posłuchałaś mnie, więc teraz dostaniesz nauczkę – mamrocze.

Parskam ironicznym śmiechem.

– Rany boskie, jeszcze przerzuc mnie przez kolano, tatusiu. – Kręcę głowę, wciąż fałszywie się szczerząc, ale szybko poważnieję, gdy Ryder wygląda, jakby naprawdę rozważał tę opcję. Przetykam nagromadzoną w ustach ślinę, przestępując z nogi na nogę. – Dobra. Chyba jednak poczekam, aż ci przejdzie.

Mężczyzna wzdycha, uciekając spojrzeniem do rogu pomieszczenia. Również spoglądam w tamtą stronę i od razu orientuję się, co było powodem hałasu, który usłyszeliśmy. Choinka, która jeszcze w nocy prezentowała się naprawdę ładnie, teraz leży na ziemi, a wokół niej rozsypane są ozdoby świąteczne. Gdzieś wśród białych łańcuchów ukrywa się dwójka winowajców – przerażony Gargamel i nastroszony Klakier.

– Och – wyduszam z siebie. – Zabawa była przednia.

– Porter – karci mnie Ryder. – Ciekawe, kto to posprząta.

– Jak to: *kto?* – Patrzę prosto w grafitowe oczy, unosząc wyzywająco kącik ust. – Ten, kto może

poruszać rękami. – Sugestywnie unoszę swoje związane nadgarstki. – W każdym razie życzę ci powodzenia. Jestem pewna, że szybko się z tym uwi... Hej, co ty wyprawiasz? – Mrużę oczy, kiedy Ryder w paru krokach podchodzi do mnie i zaczyna walczyć z węzłem, który uciska moje przeguby.

– Unikam brudnej roboty – stwierdza.

– Cholera, jesteś takim dupkiem. – Zwężam złowrogo oczy, obserwując, jak mężczyzna w skupieniu rozwiązuje krawat. Z bliska jego oczy wydają się jeszcze bardziej chmurne.

– No już, ciiii. – Uśmiecha się zawadiacko i rzuca materiał na sofę. – Lepiej uspokój swoje dziecko. Trzęsie się.

Wydymam wargę, gdy tylko znowu spoglądam na Gargamela. Biorę szczeniaka na ręce i kołyszę nim delikatnie, mając nadzieję, że za moment się uspokoi. Ryder w tym czasie podejmuje próbę podniesienia choinki, ale drzewo... jest złamane na pół.

– Pięknie – mruczy mężczyzna. – Czeka nas wycieczka po nową – zarządza.

– Nas? – Unoszę brew.

– No tak. Zbieraj się.

Mrugam powoli, próbując odnaleźć na jego twarzy choćby cień rozbawienia, ale to na marne, bo Ryder naprawdę ma zamiar iść w tym momencie do lasu po jakieś głupie drzewo. Pal licha, że oboje jesteśmy w piżamach – ja, swoją drogą, w jednym z jego podkoszulków znalezionym gdzieś w szafie.

– Ale... tak teraz? – upewniam się, patrząc, jak Ryder wychodzi na taras.

– Idziesz czy nie? – woła na tyle głośno, bym była w stanie go usłyszeć, i narzuca na ramiona wcześniej znalezioną w salonie kurtkę.

Boże, idiota.

Odkładam na ziemię Gargamela i zgarniam swój płaszcz, a potem ruszam za mężczyzną. Na tarasie zakładam pierwsze lepsze buty. Szczeniak trzyma się blisko nas, kiedy jesteśmy już w ogrodzie. Ryder bierze w dłoń siekiere wbitą w pień drzewa i kładzie ją sobie swobodnie na szerokim ramieniu.

Jak się oddycha?

– Wyglądasz groźnie. – Zagryzam wnętrze policzka, podążając za Panem Przystojniakiem, który zmierza w stronę lasu. Nie mija nawet minuta naszego marszu, a zewsząd otaczają nas średniej wielkości choinki, które z pewnością godnie zastąpiłyby poprzednią.

Spuszczam wzrok, by upewnić się, że Gargamel wciąż jest pod moimi nogami. Psiak wydaje się naprawdę zadowolony, gdy biega po śniegu za Ryderem.

– Jestem groźny – odpowiada mężczyzna, posyłając mi przelotne spojrzenie.

Uśmiecham się, kręcąc głową z pobłażaniem.

– Po prostu znajdź tę przeklętą choinkę – wspominam mimochodem.

– Żadna nie wpadła mi jeszcze w oko.

– Jesteś wybredny.

Ryder wzrusza ramionami.

– Szukam tej jedynej. – Unosi kącik ust i krzyżuje ze mną na moment spojrzenie, zanim ucieka nim ponownie do otaczających nas drzew.

– Weź byle jaką – ponaglam go, sięgając po przypadkowy patyk i rzucając Gargamelowi.

– Nie chcę byle jakiej.

– Zaraz się zgubimy – stwierdzam, kiedy orientuję się, że już w zasadzie na tym etapie naszej wycieczki nie wiem, gdzie jesteśmy.

Idący przede mną mężczyzna jednak nie wydaje się przejęty moimi słowami. Ryder mocniej ściska trzon siekiery, aż w końcu przystaje w miejscu i mierzy uważnym wzrokiem jedną z choinek.

– Biorę tę – mówi, a potem tak po prostu... bierze zamach i mocno zaczyna uderzać ostrzem w pień.

Zasycha mi w gardle, gdy tak stoję jak kołek i obserwuję pracę jego rąk. Przysięgam, że nie istnieje bardziej seksowny widok o poranku niż Ryder Callahan z siekiere. Otrząsam się z transu dopiero, gdy mężczyzna układa sobie drzewko na ramieniu i w końcu odwraca się w moim kierunku.

– To teraz prowadź do domu, Porter – mówi nagle, na co rozchylam usta.

– Chyba żartujesz – wypalam.

– W sumie to tak. – Potwierdza skinieniem i podchodzi do mnie tylko po to, by ująć w dłoń moją szczękę i zamknąć mi buzię. – Wracamy, chodź. Zrobię śniadanie, a ty ubierzesz drzewo.

– No jasne. Jeszcze jakieś życzenia, panie Callahan? – parskam ironicznie.

– Związane z panią? Mam ich całkiem sporo, panno Porter – odpowiada nonszalancko, przez co czuję, jak moje policzki oblewa rumieniec.

Spuszczam wzrok na Gargamela i udaję, że flirtujący ze mną Ryder Callahan wcale nie robi na mnie żadnego wrażenia.

Na zajęciach zjawiam się punktualnie. Większość dziewczyn jest już na sali i żywo dyskutuje o zbliżającym się występie. Nawet nie spoglądam w ich kierunku. Po prostu zrzucam torbę z ramienia i podchodzę do drążka, by zacząć się rozciągać.

Nie wiem kiedy pojawia się przy mnie Ivory.

– Dobrze ci idzie, Love – chwali mnie, krzyżując ramiona pod biustem.

Kiwam głową w podziękowaniu i odpowiadam jej krótkim:

– Dzięki.

– Korzystając z okazji... – Kobieta zagryza wargę, jakby nie była pewna, czy powinna kontynuować. Szybko jednak reflektuje się i pyta: – Dlaczego jeszcze nie dostałam twojego zgłoszenia na przesłuchanie?

Przymykam na krótką chwilę powieki z pełną świadomością, że właśnie wpatruje się w nas kilkanaście wścibskich par oczu. Prawda jest taka, że reszta dziewczyn, które tutaj ćwiczą, nie pała do mnie szczególną sympatią i gdyby tylko mogły, wykurzyłyby mnie stąd w ekstremalnie szybkim tempie. Widzą we mnie jedynie konkurencję. Rywalkę, którą trzeba wyeliminować.

– Bo nie zamierzałam się zgłaszać – odpowiadam w końcu Ivory i uchylam powieki.

– Dlaczego? – Trenerka wydaje się naprawdę zdziwiona. – To byłaby dla ciebie ogromna szansa.

Kręcę głową, odbijając się od drążka.

– Jest mnóstwo lepszych baletnic. Rozejrzyj się, Ivory. – Rozkładałam ręce. – Nie mam szans, więc po co marnować czas?

Kobieta wzdycha, uważnie się we mnie wpatrując. W jej spojrzeniu czai się pewna doza troski.

– Love... trochę wiary w swoje możliwości. – Ivory robi krok w moją stronę i kładzie mi ręce na ramionach. – Jesteś naprawdę zdolna i jestem pewna, że gdybyś zdecydowała się wysłać zgłoszenie, w marcu miałabyś szansę wystąpić na ogromnej scenie.

Odwracam wzrok, wypuszczając powolny oddech z płuc. Gdy byłam młodsza, marzyłam o głównej roli w balecie, ale z czasem moje marzenie wyblakło, bo nie czułam się na tyle dobrą tancerką, by dźwigać na barkach aż taką odpowiedzialność. Kiedy więc po szkole baletowej rozniosła się wieść, że organizujemy występ na podstawie *Dziadka do orzechów*, nie zamierzałam wysłać swojego zgłoszenia ani brać udziału w przesłuchaniu.

– Przemyślisz to jeszcze? – nalega trenerka.

I chyba tylko dlatego, by dała mi spokój, odpieram:

– Przemyślę.

Ivory posyła mi jeszcze szerszy uśmiech.

– Wspaniale – stwierdza. – Ćwicz dalej, Love.

Przytakuję i wracam do rozgrzewki. Trening mija mi tak szybko, że nie wiem nawet, kiedy wsiadam do samochodu Kaydena. Zapinam pasy i zerkam na deskę rozdzielczą, by sprawdzić, która jest godzina. Od razu stwierdzam w duchu, że zdążymy dojechać do kina na długo przed rozpoczęciem naszej dzisiejszej zmiany.

– Co za niecodzienny widok. Uśmiechnięta Love Porter – rzuca kąśliwie Graves, wyjeżdżając z parkingu. Wiatr wpuszczony do auta przez uchyloną szybę rozwiewa jego włosy, które i tak już znajdują się w nieładzie.

Opieram plecy o oparcie fotela i wzruszam ramionami.

– Po prostu mam dobry dzień – mówię.

Mężczyzna zerka na mnie przelotnie.

– Widzę. Co jest tego zaśluga?

Od razu przypominam sobie minioną noc i dzisiejszy poranek. Czas spędzony w towarzystwie Rydera był po prostu... miły. Miły w każdym tego słowa znaczeniu. Już rozchyłam usta, by sprzedać Kaydenowi jakąś wymijającą odpowiedź, ale on dodaje:

– Okej, powinienem raczej zapytać: *kto?*

Jego twarz rozświetla naprawdę sugestywny uśmiech.

– Daj spokój. – Macham ręką w powietrzu, czując, jak gorąc oblewa moje policzki. Szlag by to. Nic nie poradzę, że na samą myśl o Ryderze robi mi się tylko odrobinę cieplej. Ale tylko odrobinę.

– Wszystko jasne – kwituje mężczyzna. – Pan Seksowny Psycholog.

Odwracam wzrok w stronę szyby. Jezu, odkąd zdarzyło mi się raz przyznać na głos, że mój sąsiad jest seksowny, Graves zaczął wykorzystywać ten fakt przeciwko mnie. Robił to często. Naprawdę często.

– Przestań mi to wypominać – bąkam pod nosem.

Mój przyjaciel wzdycha z fałszywym współczuciem.

– Nie ma się czego wstydić, Love. To, że cię pociąga...

– Kayden, milcz – przerywam mu stanowczym tonem i zwiężam złowrogo oczy, spoglądając na jego zadowoloną twarz. Graves odwzajemnia moje spojrzenie, gdy tylko zatrzymuje się na czerwonym świetle.

– No już, spokojnie – rzuca bez zbędnej drwiny. – Wiem, że próbujecie trzymać się wzajemnie na dystans i mógłbym sobie darować.

Pociągam nosem i przyznaję:

– Nie wychodzi nam.

Kayden dociska pedał gazu, uśmiechając się szeroko.

– Kto by się spodziewał?

Nie odpowiadam na ten jego ironiczny przytyk. Po prostu tępo wpatruję się w drogę przed nami i myślę, że mnie i Ryderowi naprawdę źle wychodzi przestrzeganie jego złotych zasad.

– Posłuchaj, Love – zaczyna po krótkiej chwili ciszy mój tymczasowy prywatny kierowca. – Czasami chemia pomiędzy dwojgiem ludzi jest tak silna, że nie da się jej zignorować, a co dopiero utrzymać ją w ryzach.

Marszczę nos i uciekam spojrzeniem do jego osoby.

– Przeczytałeś to w poradniku skutecznego podrywu? – pytam.

Kayden unosi wyzywająco brew.

– Może?

Chwytam pomiędzy palce materiał swojej sukienki i bawię się nim przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad słowami przyjaciela.

– Może to wcale nie jest chemia, tylko... chwilowa fascynacja – sugeruję szeptem, mając szczerą nadzieję, że się mylę. Nie chciałabym, by to, co jest pomiędzy mną a Ryderem, było chwilowe. Ja naprawdę... naprawdę bym tego nie chciała.

– Do czego zmierzasz? – dopytuje Kay.

Zaczესuję kosmyk ciemnych włosów za ucho i wyjaśniam:

– Co, jeśli zaraz się sobą znudzimy? Albo raczej: *on znudzi się mną.*

Graves ściąga brwi wyraźnie zaskoczony moimi słowami. Przez moment wpatruje się w jezdnię bez słów.

– Myślisz, że mógłby? – wydusza z siebie w końcu.

– Nie wiem – odpieram zgodnie z prawdą. – Ryder jest... mało czytelny. Ale czuję, że jeśli poczułby, że to nie jest to, nie zwodziłby mnie i powiedział mi to wprost. Zresztą, o czym my w ogóle rozmawiamy? On jasno dał mi do zrozumienia, że nie może nas łączyć nic poważniejszego.

– I łączą was tylko wspólne poranki w łóżku, długie spacerunki i rozmowy do późna. To wcaaaale nie jest poważne. – Mężczyzna specjalnie akcentuje słowo „wcale”. Mimowolnie krzywię się nieznacznie, kiedy tylko udaje mi się przetrwać sens jego wypowiedzi.

Rany, do czego to wszystko zmierza?

– Gubię się w tym, Kayden. – Przecieram dłonią zmęczoną twarz. – Nie chcę, żeby myślał, że robię to specjalnie albo że nie szanuję jego zasad.

Mój rozmówca kręci głową w geście protestu.

– Kiedy on sam ich nie szanuje, skoro cię nie odtrąca. Cholera, Love. Prędkiej czy później i tak pękniecie. Oboje – podkreśla. – Jeśli szukasz w kimś winy, to nie szukaj jej w sobie, tylko w was obojgu. Ryder to dorosły facet. Podejmuje świadome decyzje i najwyraźniej nie potrafi być od ciebie daleko, choćby chciał.

Opieram rękę o drzwi samochodu, wsłuchując się w głos przyjaciela:

– On ryzykuje, bo uważa, że jesteś warta tego ryzyka, Love. Gdybyś nie była, dałby sobie spokój i nie pozwalał ci spędzać nocy u siebie – dopowiada z takim przekonaniem, że może nawet odrobinę zaczynam wierzyć w to, że w jego słowach mogłoby tkwić chociażby głupie ziarno prawdy.

– Może wcale nie jestem warta tego ryzyka. Nie chcę, żeby ryzykował dla mnie – szepczę, sznurując usta w linię.

Nie zasłużyłam, by ktoś taki jak Ryder ryzykował dla mnie cokolwiek.

– To bez znaczenia – mruczy Kay, a ja unoszę wzrok znad swoich paznokci i orientuję się, że już prawie dojechaliśmy na miejsce. Od kina dzieli nas ledwie mila. – Nie sprawisz, że nagle przestanę chcieć przebywać blisko ciebie.

– Więc co mam zrobić? – Patrzę mężczyźnie prosto w oczy.

Ten unosi kącik ust w pokrzepiającym uśmiechu.

– Bądź cierpliwa. Jestem pewien, że w pewnym momencie on sam powie ci, że dłużej już tak nie może.

– I co wtedy? – Przełykam z trudem.

Kayden wypuszcza ze świstem powietrze z płuc, mówiąc:

– Wtedy... bądź szczęśliwa, Love.

Spoglądam na budynek kina i pogrążam się we własnych myślach.

ROZDZIAŁ JEDENASTY



LOVE

Do domu wracam wczesnym wieczorem. Zmęczona po odbytej zmianie w kinie zrzucam z ramienia torebkę i wchodząc do salonu, odkładam ją na sofę. Z westchnieniem upinam włosy w koński ogon oraz stwierdzam w duchu, że zaraz wybiorę się do Rydera, by odebrać od niego Gargamela. Odruchowo zerkam w stronę wiszącego na ścianie lustra. Wyglądam... znośnie. Chyba nie zrobię z siebie pośmiewiska w oczach swojego ulubionego sąsiada.

Chcę ruszyć ponownie do drzwi frontowych, ale zanim obracam się na pięcie, widzę w odbiciu lustra coś więcej niż swoją sylwetkę. Podskakuję w miejscu, gdy napotykam w zwierciadle spojrzenie brązowych oczu, tak ładząco podobnych do moich.

I nagle robi mi się zimno. Dreszcze uderzają we mnie jak pieprzony grom. Zastygam w bezruchu, a przez moje żyły przepływa adrenalina w najczystszej postaci, kiedy stoję tak jak słup soli i wpatruję się z rozchyłonymi ustami w mężczyznę, który jest za mną.

– Co ty tu robisz? – wykrztuszam z siebie z niemalym trudem.

Niezapowiedziany gość uśmiecha się arogancko, wsuwając leniwie dłonie do kieszeni spodni. Wciąż wygląda tak samo jak wtedy, gdy widziałam go po raz ostatni. Jego czarne jak smoła włosy są lekko przyszczyżone, a spojrzenie jeszcze mniej przyjemne.

Połykam haust powietrza do płuc, słysząc głęboki tembr jego głosu:

– Tak witasz się ze swoim ulubionym bratem, tancereczko? – pyta ciemnooki z fałszywym zawodem, a potem wzdycha i podchodzi do sofy, na której bez ceregieli siada.

Jego pewność siebie wysyła po moim ciele zimny prąd. Wzdrygam się, bo znowu uderzają we mnie setki niemiłych wspomnień. Takich, o których wolałabym nie pamiętać.

Biorę wddech nosem. Udaję nieprzejętą jego obecnością, chociaż tak naprawdę w gardle czuję żółć. Mdli mnie na samą myśl, że tu jest. W moim azylu, który już wcale nie jest bezpieczny.

Odwracam się i zaczynam:

– Gavin...

Mój brat jednak nie daje mi dokończyć.

– Przynieś mi wodę. Zaschło mi w gardle – kieruje w moją stronę rozkaz wypowiedziany szorstkim tonem.

Staram się powstrzymać drżenie dolnej wargi. Zagryzam ją niemalże boleśnie, cały czas z zapiętym tchem obserwując oblicze własnego brata. Gavin Porter roztacza wokół siebie aurę niebezpieczeństwa. I doskonale wiem, że ten mężczyzna właśnie taki jest. Jest niebezpieczny. Zdolny do wszystkiego. Tak samo jak jego najlepszy przyjaciel.

– Mam powtórzyć? – warczy zniecierpliwiony, wrywając mnie tym samym z transu.

Mój żołądek robi fikołka. Spuszczam wzrok i wycofuję się, by posłusznie pójść do kuchni, a tam drżącą ręką przelać do szklanki wodę. Na końcach wszystkich nerwów czuję ten sam rodzaj strachu, który czułam zawsze, gdy Gavin czegoś ode mnie chciał.

A raczej czego ode mnie wymagał.

– Nikt nie wspominał, że przyjdiesz – mamroczę, wchodząc ponownie do salonu i kładąc na stoliku kawowym szkło. Mój brat przygląda mi się z obojętnością. Przechwytuje szklankę, unosi brew oraz uśmiecha się mrocznie.

– Nie jestem obcy, żeby ktoś musiał mnie zapowiadać – parska rozbawiony, upijając łyk wody. Szybko wypluwa ją jednak, a jego usta wykrzywiają się w grymasie. – Za ciepła. Gdzie lód?

Zwieszam głowę, spoglądając na swoje buty. Nie mija sekunda, a słyszę trzask tłuczonego szkła.

Zamykam oczy i liczę w głowie do dziesięciu. Łudzę się, że to tylko kolejny koszmar, z którego zaraz się obudzę. Moje nadzieje szybko jednak blakną.

– Nieważne. Musimy pogadać – stwierdza beznamiętnie Gavin.

Unoszę powoli wzrok i pytam ledwie słyszalnie:

– Musimy?

– Owszem, musimy. – Rosły mężczyzna wygodniej rozsiada się na sofie. Jedną rękę swobodnie kładzie na jej oparciu. – Nie odpisujesz na wiadomości ani moje, ani Aarona.

Na dźwięk znajomego imienia czuję ukłucie w piersi. Panika rodzi się gdzieś w moim sercu i wprawia je w szybsze bicie. Prostuję się nerwowo na fotelu, a potem odchrząkuję, starając się brzmieć jak najbardziej naturalnie:

– Zmieniłam numer.

Gavin mruży podejrzliwie oczy, w których wyłapuję pewną dozę dezaprobaty. Wiem jak szybko jego niezadowolenie może przemienić się w czysty gniew, więc mimowolnie podkurczam palce u stóp. Chciałabym go już nigdy nie spotkać. Jego i Aarona. Kiedy wyniosłam się z Carson City, miałam szczerą nadzieję, że nasze drogi rozeszły się na zawsze.

Ale tak się nie stało.

– Czyżby? – Mężczyzna obraca między palcami kluczyki do samochodu. – Ostatnio rozmawiałaś z mamą. Przepisałem numer i to był ten sam, który masz od kilku lat.

Włos jeży mi się na karku. Gavin przechyla głowę, by uważniej mi się przyjrzeć. Jego spojrzenie jest nachalne. Natarczywe. Do przesady przerażające.

– Dlaczego łziesz, siostrzyczko? – Jego oschły szept brzmi jak wyrok.

Mój brat wstaje. Ja również podnoszę się gotowa do ucieczki. Strach zdaje się przysłaniać mi w tym momencie zdolność racjonalnego myślenia. Ale jestem pewna, że nawet zachowując zimną krew, nie zdołałabym odsunąć się tak szybko, by uniknąć tej jednej chwili, w której Gavin doskakuje do mnie w trzech długich krokach i chwyta mocno pomiędzy dwa palce moją szczękę. Oddycham ciężko, od razu próbując się wyrwać, ale mężczyzna tylko wzmacnia swój uścisk, sprawiając mi ogromny ból.

– Puść mnie – dyszę z trudem, wpatrując się w jego oczy.

Gavin uśmiecha się drwiąco. Nachyla się nad moją twarzą tak, że dzielą nas ledwie centymetry. Każdy mięsień w moim ciele napina się, gdy kąciki ust mężczyzny opadają. Mój brat zupełnie nagle poważnieje i cedzi z niezadowoleniem:

– Nie mam pojęcia, dlaczego Aaron nagle zechciał cię z powrotem. Jesteś paskudna i ważysz niewiele mniej niż pierdolony słoń.

Zamykam oczy. *To tak bardzo boli.*

– Puść... – kwilę żałośnie, próbując ściągnąć jego dłoń ze swojej szczęki. Ale on obejmuje ją jeszcze mocniej. Zaczyna brakować mi tchu.

– Taka obrzydliwa – dodaje zimno. – Gruba. Nie masz nic do zaoferowania. Naprawdę nie wiem, dlaczego, do kurwy, ty.

W kącikach moich oczu zbierają się łzy. Drżę roztrzęsiona, uchylając powieki. Gavin wciąż obserwuje mnie uważnie, jakby karmił się moim strachem. Jakby uwielbiał patrzeć na to, do jakiego stanu mnie doprowadza. Skomlę z bólu, kiedy on nadal mnie nie puszcza. Jestem pewna, że jego uścisk zostawi po sobie ślad.

– Mógłby przebierać w dziewczynach, które byłyby go godne. Sam nigdy w życiu nie chciałbym takiego żalostnego gówna jak ty – wypluwa, kręcąc głową z jawnym obrzydzeniem.

– Gavin – wyduszam błagalnie.

Nie powstrzymuję łez. Te po prostu spływają po moich policzkach ciurkiem, by ostatecznie roztrzaskać się na drewnianych panelach. W myślach błagam siły wyższe, by go ode mnie zabrały. Nie chciałam, żeby Gavin wracał. Nie chciałam, by ponownie siał chaos w moim życiu.

Nie chciałam, by znowu wyrządał mi krzywdę.

– Ale nie mam zamiaru mu doradzać – dodaje z niesmakiem mój brat. – Sam wie, na co się pisze. Chce ciebie, więc dostanie ciebie i stworzycie tak piękny związek jak kiedyś. Tylko, siostrzyczko... musisz postarać się o jego względy.

Łkam jak dziecko, gdy mężczyzna mnie puszcza. Ulga jednak nie trwa długo. Moja szczęka odskakuje w bok, gdy ciemnooki wymierza mi mocny policzek. Chwytam się za piekące miejsce i oddycham coraz ciężej, coraz głośniejsz, coraz bardziej niespokojnie.

Niewiele widzę przez łzy, gdy mówię zdławionym szeptem:

– Nie chcę.

Gavin prychnął pogardliwie.

– To nieistotne, czego chcesz.

– Nie chcę go znać. – Mój głos jest niewiele głośniejszy od szeptu. *Ale ja naprawdę nie chcę.* Nie chcę znać Aarona. Nie chcę znać Gavina. Chcę zapomnieć. O obu. Chcę żyć tak, jakby nigdy nie zmienili mojego życia w piekło.

Jakby... po prostu nie istnieli.

– Posłuchaj mnie. – Chłopak kładzie nagle silne dłonie na moich drżących ramionach. Jęk bólu wydostaje się z mojego gardła w niekontrolowany sposób, gdy Gavin szarpie mną niczym szmacianą lalką. Nie mogę od niego uciec, mimo że tak bardzo staram się ściągnąć z siebie jego łapska. – W tej chwili napiszesz mi, że w sumie to nie masz do niego żalu i chcesz odnowić kontakt – cedzi rozjuszony mężczyzna.

– Nie – protestuję płaczliwie. – Ja nie chcę.

Kolejny policzek. Kolejne łzy. Głośniejszy szloch.

– Ile razy mam ci powtarzać, że gównu mnie obchodzi, czego ty chcesz? Jesteś niczym innym jak tylko towarem, który trzeba opchnąć we właściwe ręce – podkreśla wyraźnie Gavin, a jego głos brzmi w moich uszach jak najbrzydsza melodia. – Aaron musi mieć przy sobie jakąś laskę. Jego ojciec wymaga, żeby się ustatkował. A ja jestem dobrym kumplem i dam mu cię za darmo.

Nie widzę już nic przez łzy. Nie czuję policzka. Robi mi się duszno. Jestem coraz słabsza i chyba cudem utrzymuję się na własnych nogach. Biorę kolejne wdechy do płuc. Nie wierzę, że to mój brat. Nie wierzę, że chce mnie znowu oddać na rzeź swojemu przyjacielowi.

Kiedyś myślałam, że starszy brat będzie moim rycerzem w lśniącej zbroi. Będzie tym, który zapewni mi ochronę i poczucie bezpieczeństwa. Ale szybko uświadomiłam sobie, że Gavin nigdy nie będzie moim wybawicielem. Bo wciąż popychał mnie w ramiona najgorszego potwora. Robił to i był z siebie tak przerażająco dumny.

– Nie możesz znowu mnie mu oddać, Gavin – mówię szeptem pomiędzy kolejnymi spazmami płaczu.

– Mogę i to zrobię. – Zimne oczy patrzą na mnie z nienawiścią. Zaraz jednak uciekają do mojej torebki. Mężczyzna wyciąga z niej telefon i wciska mi go w drżącą dłoń. – Twój telefon. Pisz.

Nie ruszam się nawet o cal. Po prostu stoję nieruchomo, tym samym jeszcze bardziej rozwścieczając wpatrzonego w moją mokrą od łez twarz brata.

– Pisz, do cholery – cedzi przez zaciśnięte zęby, a kiedy wciąż nie spełniam jego rozkazu, wrywa mi z ręki komórkę i popycha mnie na fotel, warcząc wściekle krótkie: – Idiotka. Nie chcę słyszeć, że nie jesteś dla niego miła. W końcu jeszcze parę lat temu błagałaś o jego uwagę. Masz to, o co prosiłaś. Ciesz się tym, siostrzyczko.

Wpłatałam dłoń we włosy i ciągnę z niemocą za końcówki. Gavin w tym czasie wystukuje wiadomość do Aarona z mojego telefonu. Gdy kończy, mruży ostrzegawczo:

– I pamiętaj. On wybaczył ci to, jak go oczerniłaś. Nie próbuj znowu tego robić – grozi mi, a potem mruży podejrzliwie oczy, kiedy w domu rozbrzmiewa dzwonek do drzwi. – Otworzę. Lepiej zachowuj się naturalnie i przestań, do kurwy, beczeć.

Pospiesznie ścieram z policzków łzy. Stłumione przez odległość dzielącą salon od holu głosy docierają do mnie jakby w zwolnionym tempie. Kręci mi się w głowie. Jest mi tak cholernie słabo. I czuję się jeszcze gorzej, gdy dostrzegam w korytarzu Rydera, który trzyma na rękach Gargamela.

Dla niepoznaki uśmiecham się szeroko, wiedząc, że jeśli coś pójdzie nie po myśli brata, ja za to oberwę.

– Love? – Gavin sili się na miły ton. – Masz psa?

Kiwam głową, w milczeniu wpatrując się w Gargamela. Nie mam odwagi, żeby skrzyżować

spojrzenie z Ryderem.

– Zwracam zgrabę – oznajmia miękko mój sąsiad. – Wszystko w porządku, Love?

Nie zastanawiam się długo nad odpowiedzią.

– Tak – przytakuję.

– Wszystko zajebicie. A teraz wybacź, stary, ale trochę przeszkadzasz. – Mój brat wcale nie bawi się w bycie uprzejmym. Czuję na sobie ciężar spojrzenia Rydera. Czuję go doskonale, bo gdy poświęca mi swoją uwagę, mój brzuch rozrywa stado motyli.

Gavin chrząka zniecierpliwiony. Odzyskując fason, stwierdzam:

– Lepiej będzie, jeśli wyjdiesz Ryder.

Wciąż gapię się tępo na Gargamela.

– Jesteś pewna? – upewnia się mężczyzna.

– Tak.

Nie. Zostań, błagam.

Nie wiem, ile mija. Może minuta, a może kilka. Wiem, że gdy ponownie zostaję sama z Gavinem, zewsząd znów ogarnia mnie to przeraźliwe zimno. Oplatam ramiona drżącymi dłońmi i z trudem podnoszę się do pionu, widząc, jak bardzo przerażony jest Gargamel. Piesek skomle, zwracając na siebie uwagę mojego brata. Mężczyzna spluwa na panele i spogląda z obrzydzeniem na szczeniaka.

– Co za kupa gówna – mówi i robi krok w jego stronę.

Otwieram szerzej oczy, przeczuwając, co zamierza zrobić. Zanim Gavin zdąży jednak kopnąć psa, upadam na kolana tuż przed swoim pupilem. But mężczyzny wbija się boleśnie w mój brzuch, a paraliżujący ból promieniuje przez całe moje ciało. Łkam cicho i wypluwam odrobinę krwi na panele, podczas gdy Gavin jedynie kręci głową z politowaniem.

– No i po co ci to było? – pyta obojętnie.

Nie zamykam oczu. Pusto wpatruję się w buty brata, podczas gdy on wzdycha manierycznie i tak po prostu przy mnie kuca.

– Nic tu po mnie. – Przejeżdża powoli palcem po moim wciąż piekącym policzku. – Pamiętaj, siostrzyczko. Jestem zawsze o krok przed tobą.

Po chwili zostaję w domu sama.

Dopiero kilkanaście minut później, po beczynnym leżeniu na podłodze, udaje mi się wstać. Pierwsze, co robię, to przemywam pod strumieniem wody zakrwawione usta. Potem przykładam do policzka lód i niechętnie dopuszczam do siebie przecucie, że siniak, który się na nim znajduje, będzie dobrze widoczny jeszcze przez parę następnych dni.

Niewiele myślę, gdy wyciągam z barku czystą wódkę. Już nie płaczę. Po prostu siadam na łóżku w sypialni i modłę się, by na chwilę zapomnieć. O Gavinie. O Aaronie. O wszystkim, co mnie dręczy. O wszystkich swoich koszmarach i sekretach skrywanych na dnie pokruszonego serca. Wlewam w siebie kolejne łyki mocnego alkoholu. Po pewnym czasie odczuwam nieopisaną ulgę i czuję się coraz bardziej beztrosko.

Aż w końcu słyszę głośny huk.

Połykam tchnienie. Rozglądam się po sypialni, ale pośród mroku, który ją spowija, nie jestem w stanie dostrzec absolutnie niczego. Mrugam powoli, by wyostrzyć wzrok, ale obraz jak na złość wciąż pozostaje lekko rozmazany. Krew szumi mi w uszach niczym dzwon, a serce nieżnośnie kołacze w piersi. Skronie pulsują tęnym bólem, gdy powoli podnoszę się do pionu i próbuję odnaleźć wzrokiem coś, co mogłoby posłużyć mi do samoobrony.

Jeśli Gavin wrócił, wiem, że znowu oberwę. Ale tym razem mocniej. W końcu każdy następny raz bolał *bardziej*.

Chwiejnym krokiem podchodzę do biurka. Chwytam w dłoń oparty o nie kij hokejowy znaleziony na strychu. Zaciskam palce na jego trzonie, drugą ręką zaś wyciągam z szuflady biurka niewielki gaz pieprzowy. Pieprzyć to. Jeśli Gavin znowu spróbuje mi coś zrobić, po prostu będę się bronić.

Wypuszczam powolny oddech z płuc. Pod językiem wciąż czuję gorzki posmak naprawdę mocnego alkoholu, kiedy na wiotkich nogach przechodzę do korytarza. Czerń, która mnie otacza, zlewa

się w jedną wielką plamę. Ból nadal promieniuje w moich skroniach a suchość w ustach nieprzyjemnie drapie w gardło.

Krzywię się, dostrzegając uchylone drzwi na taras. Mróz dobiegający z podwórka szczypie mnie w rozgrzaną skórę, gdy z szybko bijącym sercem podchodzę do okna. Słyszę jakiś szmer, więc mocniej ściskam kij. Zasłony przyczepione do karniszy podrygują targane przez wiatr. Robię po cichu jeszcze jeden krok. I kolejny. I następny, aż w końcu podchodzę do progu. Widzę przed sobą jakiś cień. Intruz powoli podnosi się z desek przy ogrodzeniu, więc nie waham się ani chwili.

Po prostu uderzam go kijem z całą siłą w tył głowy. Słyszę jego cichy jęk, więc przekonana, że zaraz się na mnie rzuci jeszcze bardziej rozjuszony, rozpylam gaz. Całkowicie roztrzęsiona nie spodziewam się jednak, że to ja oberwę swoją własną bronią, kiedy nieproszony gość złapie mnie za rękę.

W jednej sekundzie czuję, jakby oczy paliły mnie żywym ogniem. Gromadzą się w nich pierwsze łzy, które od razu znajdują ujście, spływając po mojej twarzy. Chcę jeszcze raz uderzyć kijem, tym razem na oślep, ale nagle słyszę naprawdę znajomy głos.

Głos, który zdecydowanie nie należy do Gavina:

– Oszalałaś, Porter?!

– Ryder?! – Chlipię pretensjonalnie, becząc już jak dziecko przez szczypanie oczu. Zamykam je i puszczam kij, upadając z głośnym łoskotem na deski.

Boże, jak to piecze.

– Kurwa, żyjesz? – Słyszę, jak mężczyzna klęka przy mnie, oddychając ciężko.

Beczę jeszcze głośniejsze, przecierając oczy dłońmi. Nie mogę złapać tchu. Wszystkie bodźce docierają do mnie szybciej. Czuję je coraz mocniej, gdy siedzę tak na zimnej podłodze, desperacko trąc piekące powieki.

– Nie. – Kaszlę.

Moje gardło zamienia się w jeszcze większą pustynię. Drapie mnie w nim jak diabli. Zaczynam naprawdę... porządnie panikować.

– Co... co tu robisz? – skomlę pomiędzy łapczywymi wdechami.

To tak bardzo szczypie. Nagle dwie duże dłonie owijają się wokół moich nadgarstków i powstrzymują mnie przed dotykaniem oczu.

– Nie trzymaj – mamrocze Ryder.

– Czy ja oślepnę? – pytam, podczas gdy mężczyzna wzdycha ze zrezygnowaniem i bierze mnie na rękę.

– Jak ci w końcu wydłubię oczy za te twoje pojebane pomysły, to tak. Oślepniesz, Porter.

Pociągam nosem, wydając z siebie kolejny jęk bólu. Nie mogę oddychać. Wszystko mnie pali, piecze i drapie. Mocno ściskam bluzę Rydera, tonąc we własnych łzach jak ostatnia panikara.

– Myślałam, że to złodziej! – bronię się, zaciskając powieki już niemalże boleśnie.

– Chryste – wzdycha męczeńsko mężczyzna, mocniej przyciągając mnie do swojej piersi. – Nie wierć się tak.

– Nie mogę.

– Nie panikuj – kolejny rozkaz.

– Łatwo ci mówić.

– Przymknij się.

Znowu kaszlę.

– Ja nie chcę umierać. – Wydaję z siebie niemrawe chrząknięcie.

Ryder kładzie mnie na łóżku. Wciąż nic nie widzę, bo mam zamknięte oczy. Jedynie słyszę ciężkie kroki niosące się po domu.

– Pośpiesz się – kwilę głośno.

– Mam chyba wstrząs mózgu, więc pozwól mi zastanowić się, jak wygląda pierwsza pomoc – słyszę w odpowiedzi warknięcie swojego sąsiada.

– Gdybym tylko wiedziała, że to ty. – Znowu przecieram oczy palcami, oddychając szybko i z trudem.

– Tak, wiem. Nie uderzyłabyś mn...

– Oberwałbyś mocniej – chlipię. – Zrób coś, bo nie wytrzymam.

– Za jakie grzechy? – Burknięcie pod nosem jest ostatnim, co słyszę, zanim odgłosy wskazujące na to, że Ryder jest w pokoju, cichną.

Po chwili mężczyzna jednak wraca. Czuję jego obecność, gdy materac łóżka ugina się pod jego ciężarem.

– Musisz otworzyć oczy – mówi.

Odchrząkuję, ale gardło zaczyna piec mnie jeszcze bardziej. Uchylam powoli powieki. Wciąż jedyne, co widzę, to rozmyty obraz.

– Przemyję ci je, więc postaraj się znieść to jakoś... spokojnie – mruczy miękko Ryder, a chwilę później czuję, jak wciela w życie swój zamiar.

Jest delikatny. Bardzo delikatny, ale to nadal niemiłosiernie szczypie, że mam ochotę wydłubać sobie gałki oczne.

– Co ty tu właściwie robisz? – Pociągam nosem, ściskając pomiędzy palcami kołdrę.

Ryder przez chwilę raczy mnie ciszą, po prostu w skupieniu wykonując swoją pracę. Czuję na sobie ciężar jego spojrzenia, ale wciąż nie mogę go odwzajemnić.

– Gargamel skomlał na tarasie – odpowiada, a potem widząc, że próbuję poderwać się do siadu, dodaje: – Leży obok mnie. Nie wstawaj.

Biorę głęboki oddech.

– Skomlał tak samo, gdy był u ciebie tamten chłopak. Gargamel chyba się go boi – stwierdza szeptem Ryder.

Zaciskam palce na pościeli jeszcze mocniej. I jestem pewna, że nie umyka to mężczyźnie.

– A ja przyszedłem tutaj, bo chyba nie tylko on się go boi, co? – pyta ostrożnie czarnowłosa, obejmując dużą dłońią mój policzek.

Spinam się na samo wspomnienie Gavina. Mimo tego, że chciałabym zaprzeczyć, powiedzieć Ryderowi, że mówi nieprawdę, to... nie mogę. Nie mogę tego zrobić, bo ja naprawdę się go boję. Boję się własnego brata.

– Chciałaś... – zaczynam, ale nie jest mi dane dokończyć, bo Ryder mi przerywa:

– Rany, Love. Chciałem po prostu upewnić się, że jesteście bezpieczni.

Sama już nie wiem, czy beczę tak, bo oberwałam gazem pieprzowym, czy to świadomość, że komuś na mnie zależy, wywołuje we mnie w tym momencie aż przesadne wzruszenie.

Cóż, w każdym razie... to miłe uczucie.

– Ile wypijaś?

Wzdycham, bo orientuję się, że Ryder naprawdę widzi więcej, niż mogłabym sądzić. Jego dłoń nadal obejmuje mój policzek i głaszcze go delikatnie. Jednocześnie mężczyzna nawet na sekundę nie przestaje obmywać mi oczu.

– Wystarczająco – odpowiadam cicho.

– Wystarczająco, by...?

Gryzę się w policzek.

– By na chwilę nie pamiętać.

Ryder już o nic więcej nie pyta. Po prostu dokańcza to, co zaczął, a potem znika na chwilę, by przynieść mi z kuchni butelkę wody. Teraz, gdy mogę w końcu zobaczyć jego nadal lekko rozmazaną twarz, dostrzegam na niej nic innego jak tylko zwykłą troskę.

Zaczesuję kosmyk włosów za ucho i sugeruję:

– Możemy jechać do szpitala, jeśli...

Mężczyzna siada obok mnie.

– Mówiłem, że będziesz żyć. Nie ma takiej potrzeby – ucina temat.

– Jeśli rzeczywiście masz wstrząs mózgu – dokańczam zawstydzona. – Przepraszam. Nie chciałam cię uderzyć ani nie chciałabym tego zrobić mocniej.

Ryder uśmiecha się delikatnie. Opierając się o wezglowie łóżka, po prostu oplata ręką moją talię i przyciąga mnie do siebie tak, że mogę swobodnie ułożyć policzek na jego twardej piersi i poczuć się

zwyczajnie... bezpiecznie.

Bo przy nim nic mi nie grozi.

– Jest okej – mamrocze w moje włosy.

Zaciągam się jego zapachem i czuję błogą ulgę.

– Na pewno? – upewniam się.

– Tak.

Podrywam delikatnie głowę, by spojrzeć prosto w grafitowe tęczówki.

– Ale czy na...

– Love – wzdycha Ryder. – Jest okej.

Skinieniem potwierdzam, że zrozumiałam.

– Dzięki za pomoc. Jednak żyję. I nie osleplam. – Uśmiecham się słabo.

Mężczyzna odwzajemnia gest, głaszcząc delikatnie dłonią mój policzek.

– Jesteś sierotą, wiesz? – mruczy gardłowo.

– Wiem. A ty jesteś moim bohaterem, wiesz?

Ryder przytakuje, przyciskając usta do mojej skroni i kołysząc delikatnie moim bezwładnym ciałem. Jest przy tym tak bardzo opiekuńczy. Tak strasznie troskliwy, że mam ochotę błagać, by ze mną dzisiaj został.

– Powinnaś odpocząć – stwierdza nagle.

– Odpoczywam. Z tobą. Nie idź jeszcze.

Mężczyzna nie protestuje:

– W porządku.

Przez chwilę trwamy w tej jednej pozycji i nic nie mówimy. Ale nie ma w tym nic niezręcznego. Jest tylko ten piękny rodzaj uspokajającej ciszy, którą po kilku minutach postanawia przerwać Ryder:

– Kim on jest?

To jedno pytanie sprawia, że znowu robi mi się zimno. Mimowolnie wzdrygam się, co obejmujący mnie mężczyzna momentalnie zauważa, bo przyciąga mnie do siebie mocniej. Bijące od niego ciepło walczy z chłodem, który ogarnia mnie na myśl o Gavinie.

– To mój brat – odpowiadam ledwie słyszalnie.

– Nie był dla ciebie dobry.

Uśmiecham się smutno, rysując paznokciem nieokreślony wzorek na szyi Rydera.

– Zanim się pojawiłeś, nikt nie był dla mnie dobry.

Czarnowłosy gwałtownie nabiera powietrza w płuca. Przez dłuższą chwilę trawi w duchu sens moich słów, aż w końcu prosi łagodnym tonem:

– Spróbuj zasnąć.

Przełykam ślinę.

– Nie wiem, czy dam radę – bąkam pod nosem.

– Jak dobrze, że podobno mam usypiający głos.

Ryder sięga po przedmiot leżący na mojej szafce nocnej. Na widok egzemplarza *Dziadka do orzechów* unoszę kącik ust.

– Poczytasz mi? – pytam z nadzieją.

– A chcesz?

Wtulam się w jego pierś.

– Lubię cię słuchać, Ryder – przyznaję szeptem.

Mężczyzna opiera czule brodę na moich włosach.

– „Dnia dwudziestego czwartego grudnia nie wolno było dzieciom pana radcy zaglądać do salonu ani do przyległego pokoju”¹ – zaczyna czytać, więc przymykam powieki, uważnie wsłuchując się w jego głos. – „Fred i Klara siedzieli skuleni w najbardziej oddalonym kąciku mieszkania i zrobiło im się nieswojo, kiedy zmierzch już zapadł, a światła, jak to się zwykle działo w dniu wigilii, nie wnoszono...”

I zanim zasypiam, słyszę tylko, jak Ryder szepcze do mojego ucha, że już nic mi nie grozi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY



RYDER

Do zapamiętania: *nigdy nie ufać Love Porter, gdy obieca, że przyjdzie punktualnie*. Naprawdę nie wiem, dlaczego chociaż przez sekundę łudziłem się, że równo o ósmej wieczór drzwi gabinetu otworzą się, a w jego progu stanie moja najbardziej tajemnicza pacjentka.

Spoglądam na zegar ścienny. *Trzy minuty spóźnienia*. Już sięgam po telefon leżący bezwiednie na powierzchni biurka z zamiarem napisania krótkiej wiadomości do Porter, gdy nagle słyszę charakterystyczny odgłos obcasów ścierających się z posadzką. Podrywam głowę w chwili, w której Love wchodzi do gabinetu niczym huragan i od razu, wciąż dysząc jak po przebiegnięciu maratonu, posyła mi przepaszające spojrzenie.

– Zanim coś powiesz... – zaczyna z trudem, ale uciszam ją gestem ręki.

– Po prostu usiądź, Love.

Myślę, że oboje nie mamy wątpliwości. Moje słowa zabrzmiały jak rozkaz. Czarnowłosa przelyka ślinę i przytakując pospiesznie, podchodzi do sofy, na której siada z gracją. W dalszej kolejności ściąga z ramion płaszcz i spogląda mi prosto w oczy.

Nachylam się lekko do przodu, splatam palce na biurku oraz pytam:

– Możemy już zaczynać?

– Jestem gotowa. – W jej głosie słyszę odrobinę nerwowo ton. Cóż, spodziewałem się tego, że podczas pierwszej normalnej już sesji Porter nie będzie cholernie śmiała, a jedynie skryta i zmieszana. Jakby nie patrzeć to dziewczyna, która nie zwierza się byle komu.

Kiwam głową ze zrozumieniem.

– Jak się czujesz, Love? – zadaję standardowe pytanie i nie spuszczam wzroku ze swojej pacjentki nawet na marną sekundę. Ona również nie ucieka spojrzeniem od mojej osoby, jak gdyby naprawdę zamierzała grać fair i zdradzić mi dzisiaj wyłącznie prawdę.

– Niezbyt dobrze – odpowiada cicho.

– Cieszę się, że jesteś ze mną szczerą. – Unoszę delikatnie kącik ust, starając się dodać jej otuchy. W duchu jednak czuję tę nieznośną niemoc. Bo choćbym chciał w tej chwili poznać przyczynę takiego stanu Love, to wiem, że nie mogę nic zrobić w tym kierunku. Wszystko bowiem zależy od niej. Absolutnie wszystko od niej zależy.

– Jestem – potwierdza, uśmiechając się smutno. – Ale jestem też mało konkretna, skoro nie znasz powodu tego stanu.

Czy ty czytasz mi w myślach? Poprawiam się na krześle i przez chwilę uważnie wpatruję w pierwszą stronę notatnika, na której widnieje krótkie „L. Porter”. Zastanawiam się, jak to rozegrać. Spotkania z Love przypominają ciągłą zabawę w sapera. Muszę działać ostrożnie, by przypadkiem nie doprowadzić do wystrzału ładunku wybuchowego. Jeden nieostrożny ruch, jedno źle dobrane słowo i ta dziewczyna zrazi się do naszych sesji.

I już więcej nie poprosi nikogo o pomoc.

– Mam nadzieję, że pozwolisz mi go poznać – odpowiadam miękko.

Love wzdycha, gdy ponownie krzyżujemy spojrzenia.

– Chcę, byś go poznał – mówi, a potem milknie na moment. – Ale tak okropnie się boję, Ryder.

– Czego się boisz, Love? – pytam łagodnie.

Dziewczyna przymyka powieki i wyrzuca z siebie z trudem szczerą odpowiedź:

– Tego, że chociaż się do tego nie przyznasz, poczujesz się rozczarowany.

Zimny dreszcz jak na zawołanie przebiega wzdłuż mojego kręgosłupa. Zdecydowanie nie takich

słów się spodziewałem. Zbieram myśli. Próbuję ułożyć sobie wszystko w głowie, ale zanim zdążę to zrobić, Love otwiera oczy. Otwiera swoje duże, mętne oczy.

– Bo wiem, że robisz wszystko, żeby mi pomóc, a ja... znowu zawodzę zarówno ciebie, jak i siebie. – Wzrusza ze zrezygnowaniem ramionami, uśmiechając się smętnie.

– Nie zawodziś mnie, Love – stwierdzam szeptem, bo wiem, że niezależnie od tego, co usłyszę, nie poczuję się zawiedziony.

Brunetka pociąga nosem i przyznaje:

– Nie czuję się dobrze, bo nic dzisiaj nie zjadłam. Wiem, że to złe. I wiem, że muszę jeść, by normalnie funkcjonować. Sęk w tym, że... bardzo chcę patrzeć na jedzenie i nie liczyć w głowie, ile mogłoby mieć kalorii, albo domyślać się, jak będzie wyglądać moje ciało, gdy pozwolę sobie na posiłek. Ale nie umiem. Chcę, ale naprawdę nie umiem – dokańcza przygnębiona, oplatając ramiona drżącymi dłońmi.

Na widok pierwszych łez kumulujących się w kącikach jej oczu nie robię nic. Nie robię nic, bo będąc tutaj, w tym gabinecie, nie mogę posunąć się do niczego, co ktoś trzeci mógłby uznać za niepoprawne i niestosowne. Dlatego nie poruszam się nawet o cal, tylko patrzę na nią ze zdławionym w płucach oddechem.

– Ukrywam to przed wszystkimi – kontynuuje. – To mój sekret. Ludzie patrzą na takie osoby jak ja jak na dziwadła. Kiedyś w szkole baletowej widziałam, jak reszta dziewczyn kpiła z takiej jednej, która otwarcie mówiła o tym, co jej dolega. Nie chciałam, żeby mnie też wytykali palcami. Już wolałam, by po prostu... traktowali mnie jak powietrze – mamrocze.

– Jesteś świadoma tego, że cierpisz na zaburzenia odżywiania – bardziej stwierdzam, niż pytam, sięgając po długopis i notując coś w swoim notesie. Potem znowu unoszę wzrok na bladą twarz Love. Dziewczyna potwierdza moje słowa krótkim, niepewnym skinieniem.

– Jestem – mówi. – Ale nie umiem sobie z tym poradzić. Próbuję. Naprawdę próbuję, Ryder. Ale to wciąż za mało, bo gdy przychodzi co do czego, nie mogę uwolnić się od tych wszystkich myśli i przekonania, że jeśli coś zjem, naprawdę zacznę przypominać słonia.

Po tych słowach Love spuszcza wzrok i bierze wdech. Domyślam się, że niełatwo jest jej o tym mówić. A jednak gdy po chwili ponownie patrzymy sobie w oczy, myślę, że w brązowych tęczęwkach swojej pacjentki widzę wręcz namacalną obawę oraz załóżek... ulgi. Zupełnie tak, jakby było jej odrobinę lżej po tym, jak pozbyła się tego, co leżało jej na sercu.

– Najważniejsze, że próbujesz z tym walczyć, Love – odpowiadam łagodnie. – I że doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że to nie jest dla ciebie dobre. Z resztą ci pomogę. Poradzimy sobie z tym, tak? – Unoszę brew i posyłam jej delikatny, pocieszający uśmiech.

Ramiona dziewczyny opadają, gdy opuszcza ręce i kładzie drżące dłonie na kolanach.

– Tak. – Unosi nieznacznie kącik ust.

– Świetnie – komentuję krótko. – Jak długo to trwa?

Love spina się lekko, ale szybko odzyskuje fason. Wygląda, jakby coś sobie przypomniała, ale potem natychmiast zapragnęła wymazać to ze swojej pamięci. Przyglądam się jej bacznie, ale nie nachalnie. Chcę, by czuła się tutaj absolutnie komfortowo.

Mija parę minut, zanim otrzymuję odpowiedź:

– Od ponad trzech lat.

Trzy lata męczarni.

– Ponad trzy lata temu przestałaś podobać się sobie – odpieram szeptem.

– Ponad trzy lata temu przestałam podobać się sobie – potwierdza równie cicho.

Nagle czuję dziwne ukłucie w sercu. Mój wyraz twarzy wciąż pozostaje jednak taki sam. Nieczytelny, nieprzejrzysty, beznamiętny. Odkładam długopis na powierzchnię biurka i poprawiam krawat, który oplata moją szyję. Potem opieram obie ręce na podłokietnikach fotela i pytam:

– Czy ktoś miał na to wpływ, Love?

Brunetka bez mrugnięcia okiem wykrztusza z siebie krótkie:

– Tak.

– Czy ten ktoś nadal jest w twoim życiu?

Moja pacjentka wzdycha i zaciska palce w pięści, aż bieleją jej knykcie. Instynktownie mrużę oczy i przechylam głowę, by przyjrzeć jej się uważniej. Wydaje się... odrobinę przestraszona na samą myśl o tym, kto wpędził ją w to gówno.

– Te dwie osoby chyba nigdy się z niego nie wyniosą. – Wypuszcza powoli powietrze.

– A więc chcesz, żeby się wyniosły.

Love zaczesuje kosmyk włosów za ucho.

– O niczym innym nie marzę, wiesz? Ale to nie jest takie proste.

Przez głowę przemyka mi myśl, że jedną z tych osób mógłby być jej brat. Nie traktował jej dobrze. Nie traktował jej tak, jak na to zasługiwała. Nie miałem wątpliwości, że się go bała albo że robił jej krzywdę. Jeszcze wczoraj, gdy spała, mogłem zobaczyć na jej brzuchu paskudną pamiątkę po spotkaniu z nim, kiedy bluza podwinęła jej się do góry. Cholernie świeżego siniaka, który był wielkości piłki do golfa. I nikt nie wmówiłby mi, że Porter była aż tak ślamazarna, by nabić go sobie sama. Fakt, była ostatnią łamagą, ale to, co miała na brzuchu... to mógł zrobić jej tylko ten sukinsyn.

I już wtedy, gdy zrozumiałem, że śmiał tknąć ją palcem, wiedziałem, że jak tylko wróci, połamie mu obie ręce.

– Nie pozwól już więcej ciągnąć się na dno, Love – mówię miękko. – Nie zasługujesz na to, by przez kogoś mieć zakrzywiony obraz tego, jak wyglądasz. Będziemy dążyć, żebyś po spojrzeniu w lustro zobaczyła taką wersję siebie, którą pokochasz od nowa. To wymaga czasu, ale pewnego dnia... poczujesz się dobrze z samą sobą.

Dziewczyna bierze głębszy wdech.

– Dziękuję, Ryder – rzuca pod nosem z wręcz namacalną wdzięcznością.

– Nie dziękuj mi. Jeszcze nie. – Uśmiecham się lekko i znowu biorę w dłoń długopis. – Ile najczęściej jesz posiłków w ciągu dnia? – pytam neutralnym tonem, nieco poważniejąc.

Love zagryza wargę. Widzę, że toczy ze sobą wewnętrzną batalię. Ale nie kłamie. Jest ze mną szczerą, kiedy wyznaje:

– Jeden.

– Wiesz, że...

– To za mało – przerywa mi. – Wiem.

Jesteś tak cholernie zagubiona, Love.

– Przede wszystkim spróbuj nie myśleć o jedzeniu jak o kaloriach. Człowiek musi jeść, by mieć energię i czuć się dobrze. To naturalna ludzka potrzeba – dodaję rzeczowo, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. Cieszę się, że jest tak zasłuchana. Cieszę się, że koncentruje swoją uwagę tylko wokół tego, co mówię. – Nie ma nic złego w tym, że zaspokajasz głód. Bo to naturalne, Love. I odmawianie sobie jedzenia wtedy, gdy czujesz, że go potrzebujesz, sprawi jedynie, że będziesz czuć się źle i słabo.

Dziewczyna odpowiada mi krótkim skinieniem.

– Bariera, którą masz w głowie... Ona nie jest nie do zburzenia. Ona zniknie, a ty wyprzesz z umysłu tę wersję siebie, którą wmówiono ci, że jesteś. Do tego potrzeba cierpliwości i czasu, ale sama zobaczysz, jak wolna się poczujesz, kiedy spojrzysz na siebie jak na prawdziwą Love. Tą, którą widzę przed sobą właśnie teraz ja.

Moja pacjentka przetyka bezdźwięcznie ślinę. Jej wzrok przesuwają się po mojej twarzy absolutnie swobodnie, przez co czuję, jak ogarnia mnie spokój. Bo od początku chciałem, by ta dziewczyna czuła się tutaj komfortowo. By widziała we mnie przyjaciela, a nie wroga. A przecież często pacjenci widzą w swoich psychologach jedynie wścibskiego lekarza.

– Myślisz, że na początek... dwa lekkie posiłki w ciągu dnia będą w porządku? – pyta zdeterminowana, co bardzo mi imponuje.

Imponuje mi jej zawziętość i upór. Fakt, że chce zrobić wszystko, by pozbyć się tego ciężaru, który od ponad trzech lat spoczywa na jej barkach. Unoszę kącik ust w ciepłym uśmiechu i skinieniem głowy potwierdzam, że tak. Dwa lekkie posiłki dziennie będą w porządku.

– Metoda małych kroków. Świetnie, Love. Wypracujemy pewne nawyki. – Zwilżam językiem dolną wargę i zapisuję naszą umowę w notesie. Po chwili jednak podrywam głowę, by spojrzeć na siedzącą naprzeciwko dziewczynę. – Jest jeszcze coś...

– Co takiego? – Love ściąga delikatnie brwi.

– Nie miej do siebie pretensji ani nie załamuj się, jeśli za którymś razem nie będziesz mogła się przemóc, dobrze? Nikt nie przykłada ci noża do gardła i nie myśl o naszej „umowie” jak o żelaznej zasadzie. – W moim głosie pobrzmiwa jedynie prośba i nadzieja, że Love weźmie ją sobie do serca.

Przez moment gabinet spowija niezachwiana cisza. A my po prostu patrzymy na siebie bez słów, podczas gdy dziwne napięcie zdaje się unosić w powietrzu. Ignoruję je jednak i wyganim z głowy wspomnienie Porter siedzącej na mnie okrakiem. Mimo że jest piękne i wysyła po moim ciele falę przekłętego ciepła, zapominam o nim jak najszybciej.

– Dobrze – odiera w końcu czarnowłosa.

– I nie zniechęcaj się już na starcie. To, z czym się zmagasz... jak mówiłem. By się od tego uwolnić, potrzeba czasu i cierpliwości. Ale dasz sobie radę, Love. Jesteś cholernie zawzięta. Zresztą ja też. Skoro dostałem szansę, by ci pomóc, zrobię, co w mojej mocy, żebyś czuła się dobrze – stwierdzam po krótkiej chwili namysłu.

Love spuszcza wzrok, a jej policzki oblewa rumieniec.

– Masz wagę w domu? – pytam jeszcze, zerkając kątem oka na zegarek. Dochodzi dziewiąta. Do końca wizyty zostało niecałe dziesięć minut. Love nie wygląda, jakby czuła silną potrzebę, by ją przedłużyć, więc domyślam się, że zbliżamy się już do końca.

– Mam – potwierdza nieco zbita z tropu.

– Mogłabyś ją schować? – kolejne pytanie.

Dziewczyna podrywa głowę i patrząc mi prosto w oczy, ponownie napiera zębami na dolną wargę. Tłumię w sobie wszelkie pragnienia związane z cholerną Porter. Chryste, ona nawet nie wie, że te jej niewinne gesty działają na mnie jak magnes. Ale nie mogę jej tknąć. Nie, kiedy wciąż jest moją pacjentką.

– Mogłabym... spróbować – wypala bez przekonania.

– Okej. – Kiwam głową. – Masz jakieś pytania do dzisiejszej wizyty, Love?

Brunetka rozchyła delikatnie usta, przez moment trawiąc w duchu sens moich słów. A ja przyłapuję się na tym, że przyglądam się jej w sposób, w jaki nie powinienem. Bo psycholog zdecydowanie nie powinien myśleć o tym, jak ładny uśmiech ma jego pacjentka.

Karczę się w myślach i zaciskam szczękę.

– Nie... – stwierdza. – Wszystko było dla mnie zrozumiałe.

Love wstaje i bierze do ręki płaszcz oraz torebkę.

– To wszystko na dziś, tak? – pyta dla pewności.

– Tak – przytakuję.

Dziewczyna unosi kącik ust.

– Więc... do zobaczenia, Ryder – mówi na pożegnanie, na co wypuszczam cicho powietrze z płuc i odpowiadam jej krótkim:

– Żegnaj, Love.

Jest rano, gdy tradycyjnie budzi mnie Klakier. Z westchnieniem ściągam z siebie sierściucha i podrywam się do siadu, przecierając dłonią zaspaną twarz. Potrzebuję kawy. Nie, zdecydowanie potrzebuję kawy. Z tą myślą podnoszę się do pionu i powolnym krokiem ruszam w stronę wyjścia z sypialni, a potem do kuchni. Karmię kota, gotuję wodę w czajniku i idę w tym czasie do łazienki, żeby względnie się ogarnąć.

Gdy z niej wychodzę, nie spodziewam się usłyszeć dzwonka do drzwi. Bo umówmy się – kto, u licha, składa komuś wizytę o siódmej rano? Szybko przekonuję się, że osobą z grona tych nienormalnych okazuje się Love Porter, która stoi w progu moich drzwi, uśmiecha się słodko i trzyma w dłoni małą porcelanową solniczkę.

– Cześć – wypala na jednym wdechu. – Pożyczysz mi sól?

Patrzę na nią jak na wariatkę, drapiąc się z tyłu głowy.

– Chcesz ode mnie... sól? – upewniam się.

– No tak. Taką wiesz...

– No przecież nie jestem debilem.

Love obnaża zęby.

– Chcesz się kłócić? – Puszczą oczko, a mi mimowolnie robi się cieplej. Ale tylko odrobinę. Przecieram palcami oczy, zastanawiając się, czy na pewno porządnie się rozbudziłem i czy może obecność Porter w moich drzwiach nie jest jedynie jakimś durnym wytworem mojej własnej wyobraźni. Na to się jednak nie zanoszę, bo ta mała harpia korzystając z chwili mojej nieuwagi, po prostu prześlizguje się do środka.

A za nią drepta merdający ogonem Gargamel.

– No tak. Możecie wejść – mruczę pod nosem, zamykając drzwi.

– Ukradnę ci tylko trochę – obiecuje, otwierając wszystkie szafki w kuchni w poszukiwaniu przeklętej soli. Ja w tym czasie zalewam wrzątkiem kawę i ukradkiem spoglądam na swojego gościa. Love nie ma nałożonego makijażu, włosy spięła w niechlujny kok, a jej drobne ciało zakrywa jedynie materiał satynowego topu i krótkich szortów. No i na nogach ma kaptcie.

W renifery. Rany.

– Okej. – Wzruszam swobodnie ramionami.

– Klakier, skarbie – słyszę, jak Porter rozczuła się nad sierściuchem, który jedynie miauczy z aprobatą, kiedy otrzymuje upragnioną uwagę swojej ulubionej sąsiadki. – Mam nadzieję, że to nie ty zmajstrowałaś młode kotce tej starej raszpli na końcu ulicy.

Love zagryza wargę, a ja unoszę brew.

– Nie słyszałaś? Właściciel tego „łobuza” poszukiwany jest osiedlowym listem gończym. – Dziewczyna patrzy na mnie z ukosa.

– Nie?

– Może to i lepiej. – Macha ręką w powietrzu. – W każdym razie, sól.

Wzdycham, upijając łyk gotowej już kawy i wpatrując się w Porter, która przetrząsa wszystkie moje szuflady. Schyla się nieco, by sięgnąć do tej, która znajduje się najniżej, a ja szybko odwracam wzrok, bo widok jej wypiętego tyłka to jakaś pierdolona tortura.

Poważnie, nie żartuję.

– Powiesz mi, gdzie ją trzymasz? – pyta.

– Nie.

Love podnosi się do pionu, patrząc na mnie spod przymrużonych powiek.

– A to dlaczego? – kontynuuje.

– Bo lubię, gdy się irtujesz. To miły widok.

– Dureń – prychna pogardliwie i wywraca oczami, ponownie koncentrując całą swoją uwagę na meblach kuchennych.

– Wariatka – fukam obruszony.

– Twoja ulubiona. – Love szczerzy się jak nienormalna.

Nie protestuję. Po prostu odkładam kubek z kawą na blat i kucam przy Gargamelu, który przysiadł sobie na moich stopach. Drapię psiaka za uchem, na co ten wydaje z siebie bliżej niezidentyfikowany dźwięk.

– Może jakaś podpowiedź? – mruczy moja zrezygnowana sąsiadka. – Albo zagramy w ciepłozimno? – sugeruje z nadzieją.

Wzdycham z politowaniem.

– Ile ty masz lat, Porter?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Chryste, nie. – Sznuruję usta.

Chcę wymazać to z pamięci.

– No okej, to jak będzie? – Uśmiecha się z tryumfem.

– Zimno – bąkam z niesmakiem, wciąż mając w głowie przeklętą liczbę dwadzieścia. Boże, gdy byłem w jej wieku, ona dopiero uczyła się czytać. Przejeżdżam językiem po przednich zębach i wstaję, krzyżując ręce na torsie.

Love w tym czasie robi krok w moją stronę i przetrząsa kolejne kuchenne zakamarki. Robi to jednak bezowocnie, bo nigdzie nie odnajduje cennego łupu, po który taszczyła tutaj swój zgrabny tyłek. Jej sugestywny wzrok nagle krzyżuje się z moim, kiedy Porter zbliża się do mnie o kolejny metr.

– Ciepłej – stwierdzam krótko.

Dziewczyna ściga brwi i plądruje kolejne szuflady. Ale w nich również nic nie znajduje, więc robi kolejne dwa kroki w moją stronę. Stoję oparty o krawędź blatu i przyglądam się jej uważnie. Jest już porządnie... wpieniona.

– Jeszcze ciepłej – informuję.

Aż w końcu Porter staje przede mną. Czubki jej reniferowych kapci zderzają się z moimi palcami, gdy ich właścicielka zadziera brodę i mierzy mnie zirytowanym spojrzeniem. Jej palec wskazujący podąża nagle w moim kierunku, a paznokcie wbija się po chwili w twardą pierś.

– Gorąco – rzucam gardłowo, czując, jak zasycha mi w gardle. Szlag by to. Naprawdę pragnę teraz zrobić ze swoją sąsiadką dużo nieprzyzwoitych rzeczy. I choćbym chciał nie czuć do niej żadnego pociągu, to jest silniejsze ode mnie.

Love unosi niewinnie brew.

– Gorąco? – powtarza za mną i wciąż patrzy na mnie z dołu tymi dużymi brązowymi oczami. Przełykam z trudem, czując, jak rodzi się we mnie fala niechcianego pobudzenia.

Matko, litości.

– Przesuniesz się? – pyta niewinnie brunetka, dostrzegając za mną ostatnią szufladę.

– Jeśli ładnie poprosisz. – Przechyliłam odrobinę głowę w bok.

Porter kręci głową z rozbawieniem, a potem tak po prostu... schyla się, a ja momentalnie odskakuję w bok. Jeszcze tego by brakowało, żeby krew odpłynęła mi nie tam, gdzie trzeba. Biorę głęboki wdech nosem i patrzę na dziewczynę, która trzyma w swoich dłoniach paczkę przeklętej soli, uśmiechając się przy tym szeroko.

– Dziękuję. – Klepie mnie po ramieniu i podchodzi do blatu, by przesypać trochę łupu do swojej solniczki. Niesforny kosmyk włosów opada jej na twarz, więc Love zmiata go sprzed nosa machnięciem ręki. A potem przystępuje do okradania mnie z soli.

– Właściwie to po co ci ona? – pytam, marszcząc w zaniepokojeniu czoło.

Dziewczyna unosi kącik ust.

– Robię śniadanie – odpowiada, a ja momentalnie czuję pewien rodzaj ulgi. – Omlet. Będzie prze... CHOLERA! – krzyczy wniebogłosy, a potem wybiega jak poparzona z kuchni, upuszczając paczkę z solą, która rozsypuje się po całym blacie i podłodze.

Wytrzeszczam oczy, patrząc to na bałagan, to na mknącą przez korytarz Porter, która omal nie zabija się w tych swoich reniferowych kapciach. Przeczuwając, że stało się coś złego, również ruszam biegiem do jej domu i tak szybko, jak przekraczam jego próg, słyszę westchnienie pełne ulgi. Wchodzę do kuchni i dostrzegam Love stojącą przy płycie. Brunetka obraca swój omlet na drugą stronę i przeciera przegubem ręki czoło.

– Jak dobrze, że żyje. Spójrz, jest idealny. – Żeby to udowodnić, brązowooka przystawia mi pod nos patelnię z rzeczywiście ładnie wyglądającym daniem. Uśmiecham się, bo wiem, że Porter wzięła sobie naszą umowę do serca i teraz próbuje jeść dwa posiłki dziennie.

– Wygląda dobrze – stwierdzam.

– Zjemy na pół? – pyta z nadzieją, wyciągając talerz.

Naprawdę nie mam serca jej odmówić. Dlatego już po chwili, gdy podstawia mi pod nos przyrządzone przez siebie danie, nabieram kawałek omleta na widelec i próbuję z myślą, że smakuje tak dobrze, jak wygląda. Szybko jednak wypluwam go z powrotem na talerz.

Love patrzy na mnie z niesmakiem.

– To było niemiłe.

– Jezu, Porter. Ile dodałaś pieprzu?

Czując, jak pali mnie całe gardło, podchodzę do zlewu i przepłukuję usta. Na języku wciąż jednak mam ten nieprzyjemny ostry posmak. Dlatego rozglądam się w poszukiwaniu wody. I to wszystko pod czujnym okiem Pani Gospodarz Domu, która drapie się z tyłu głowy, wzdychając:

– Szczyptę? – Uśmiecha się nerwowo.

Wypuszczam powoli powietrze i wyrzucam jej popisowe danie do kosza.

– Chodź. Zrobimy go razem – sugeruję i oplatając palcami szczupły nadgarstek, ciągnę Love w stronę wyjścia z jej własnego domu.

– Puszczaj mnie – fuka obruszona. – Nie potrafisz docenić prawdziwego talentu.

– Mhm. – Wywracam z rozbawieniem oczami i po paru minutach ponownie wchodzę do swojej kuchni. W salonie dostrzegam zajmujących się sobą Klakiera i Gargamela, więc przynajmniej nie muszę zastanawiać się, gdzie są.

Porter, która nadal się dąsa, wyswobadza się z mojego uścisku i zakładając ręce pod biustem, mówi zimno krótkie i sarkastyczne:

– No dalej. Pokaż, na co cię stać, Panie Szeffie Kuchni.

Uśmiecham się półgębkiem, wyciągając z lodówki wszystkie potrzebne składniki, a z szafki – odpowiedniej wielkości patelnię. Love przygląda się uważnie moim poczynaniom, jakby tylko czekała, aż popełnię jakiś błąd.

Jej niedoczekanie, parskam w duchu.

– Myślałem, że będziemy gotować razem – wzdycham z fałszywym smutkiem.

– Wypchaj się.

– Strzelasz focha? – Unoszę brew.

– Nie, po prostu śmiesz mnie to, że...

– O Boże, nie kończ – przerywam jej z pełną świadomością, że jak Love Porter się rozkręci, to już jej nie uciszę.

– Nie cierpię cię – kontruje zirytowana.

– No już, cii. – Posyłam jej uśmiech, sięgając po jajka.

– Mam ochotę rozwalić ci jedno... – mruczy. – Na twarzy.

Spoglądam na nią nieprzejęty.

– Spróbuj.

Love mruży oczy. Zaraz potem chwyta w dłoń jajko i tak po prostu zbliża się do mnie z oczywistym zamiarem. Jest czujna. Przeczuwa, że nie pozwolę jej rozwalić go na mojej twarzy, ale nie spodziewa się jednak, że w ułamku sekundy obrócę ją do siebie tyłem, przyciągnę do klatki piersiowej i unieruchomię, oplatając ręką jej płaski brzuch. A drugą, w której cały czas trzymam swoje jajko, uniosę nad jej głowę.

– Wiedziałam, że to jest zbyt proste – wypływa niepocieszona.

– No i co ja mam z tobą zrobić, co? – mruczę, głaszcząc kciukiem ciepłą skórę dziewczyny. Love napiera zębami na wargę i milczy. Przez moment stoimy w tej pozycji, nie poruszając się nawet o głupi cal i tak po prostu czerpiąc z tej bliskości dziwną przyjemność.

I trwa to, dopóki w domu nie rozbrzmiewa pewien głos:

– Ryderze Thomasie Callahanie.

Zastygam nagle w bezruchu. Nieszczęsne jajko, które trzymam w dłoni, wciąż znajduje się nad głową Porter, gdy unoszę powoli wzrok na dwie osoby stojące w korytarzu. Dwie osoby, które najmniej spodziewałbym się tutaj zastać o tej porze.

Opuszczam powoli ręce i odsuwam się od Love na bezpieczną odległość. Odchrząkuję, myśląc, że wyglądam jak skończony debil, i kieruję w stronę swoich gości krótkie i nerwowe:

– Mamo, tato. Jak miło was widzieć.

Stojąca przede mną Porter spina się nagle i wytrzeszcza oczy. Nawet stąd jestem w stanie usłyszeć, jak głośno przełyka ślinę. Jest przerażona, gdy patrzy to na mnie, to na moich rodziców z rozdziawionymi ustami. Postanawiam jakkolwiek uratować tę beznadziejną sytuację. Odkładam jajko na blat, biorę wdech nosem i zwracam się do Jane i Richarda, mówiąc:

– To moja sąsiadka. Love Porter. Love, to moi rodzice – przedstawiam ich sobie i patrzę, jak dziewczyna ściska najpierw dłoń mamy, a potem taty.

– Gdzieś już o tobie słyszałam. – Jane mruży podejrzliwie oczy, uśmiechając się i cały czas wpatrując w pobladałą Love.

– Zapewne Chloe coś napomknęła – mamrocze dziewczyna.

– Zapewne tak. Nie wiedziałam tylko, że wasze sąsiedzkie stosunki są aż tak... – Kobieta robi krótką pauzę. – Bliskie.

Love już otwiera usta, by coś powiedzieć, ale uprzedzam ją zwykłym:

– Daj spokój, mamo. Powiedz lepiej, po co przyjechaliście.

– Jak to po co? – Richard podchodzi do mnie, by uścisnąć również moją dłoń. Przez myśl przechodzi mi, że ojciec mimo upływu czasu wciąż wygląda tak samo. Jego czarne włosy są przyprószone siwizną, a szare oczy wydają się tak samo zmęczone jak zawsze.

Za to mama... to elegancka kobieta. Nienaganny kok, długi płaszcz z najnowszej kolekcji Bóg wie jakiego domu mody oraz promienny uśmiech. Jane Callahan mogłaby śmiało chodzić po wybiegach jak modelka z prawdziwego zdarzenia.

Po krótkiej chwili wyduszam z siebie:

– Powiecie mi w końcu, czym zasłużyłem na tę niezapowiedzianą wizytę?

– Och, Ryder. Dziś jest dwudziesty pierwszy. Ty i ojciec macie urodziny. Naprawdę ci to umknęło? Wiedziałam, że się przepracowujesz, ale żeby aż tak? – Mama nie kryje swojej dezaprobaty, kiedy kręci głową.

Cholera jasna.

– No tak – wzdycham. – I co w związku z tym?

– Organizujemy z tej okazji bankiet – wyjaśnia Richard. – W posiadłości. Może wpadniesz? Oczywiście razem z Love, jeśli ma dzisiaj wolny wieczór. – Mężczyzna spogląda na Porter, której oczy przypominają w tym momencie spodki.

– Prawdę mówiąc... – zaczyna, ale nie dokańcza.

– Wpadniemy razem – decyduję, przerywając jej.

Dziewczyna gromi mnie spojrzeniem, a ja już wiem, że oberwę za tę samowolkę. Posyłam jej cwaniacki uśmiech, co oczywiście nie umyka mojej matce, która wydaje się naprawdę podejrzliwa, gdy patrzy na nas z zaciekawieniem.

Błagam. Zero pytań, mamo.

– To wspaniale. – Richard unosi kącik ust. – W końcu trzydzieści cztery lata kończy się raz w życiu, synu. – Mężczyzna klepie mnie po ramieniu, a ja sznuruję usta w wąską linię, gdy dociera do mnie, że Love czerwieni się w tej chwili jak pieprzony pomidor.

Rany boskie, niech ktoś wykurzy ich z tego domu.

– Taa – mówię cicho.

– To ja już może... sobie pójdę. – Love cofa się o krok.

– A śniadanie? – Patrę na nią z uniesioną brwią.

– Zjem u siebie.

Dziewczyna już jest przy frontowych drzwiach, kiedy wołam:

– Porter!

– Co? – Ciemnooka wychyla głowę zza ściany.

– A pies?

– Jaki... O Boże. – wypala zawstydzona. – Gargamel, chodź tutaj – prosi już niemalże żałośnie, a kiedy psiak do niej podbiega, ostatni raz posyła nerwowy uśmiech moim rodzicom. – W takim razie... do widzenia.

– Do zobaczenia, Love. – Mama odwzajemnia gest.

Niecałą minutę później zostajemy w domu we trójkę. I przysięgam, że cisza, która spowija kuchnię, jest tak niezręczna i gęsta, że można by równie dobrze kroić ją pieprzonym ostrzem. Wzdycham. Zaczynam sprzątać kuchnię, czując na sobie cały czas dwie pary oczu.

– Wiesz, że ona jest prawdopodobnie w wieku twojej siostry? – pyta Jane.

Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego wypalam:

– Jest młodsza.

Ktoś powinien zamknąć mi gębę.

– Och – rzuca mama. – Nie przeszkadza ci to?

– To moja sąsiadka, nie kandydatka na żonę – mruczę i postanawiam nawet nie wspominać, że Love jest moją pacjentką. Gdybym o tym napomknął... cóż. Dostałbym taką burę, że pewnie zapamiętałbym ją do końca życia.

– A szkoda. – Ojciec zaplata ręce na klatce piersiowej.

– Dlaczego? – dopytuję.

– Bo wydawała się miła, a ty zostaniesz starym kawalerem, jeśli tak dalej pójdzie – wtrąca Jane, wywracając oczami z jawnym niesmakiem.

Kładę dłonie na biodrach i opieram się plecami o krawędź blatu.

– Więc nie wydaje wam się to... dziwne? Ta różnica wieku? Oczywiście to czysto niezobowiązujące pytanie – podkreślam i spoglądam to na tatę, to na mamę, którzy zgodnie kręcą głowami.

– Dlaczego to miałoby być dla nas dziwne, Ryder? – Richard ściąga brwi.

– Ludzie różnie patrzą na taką różnicę wieku. – Wzruszam krótko ramionami.

Naprawdę nie takiej reakcji się spodziewałem. W gruncie rzeczy teraz sam już nie wiem, na co tak właściwie liczyłem.

– Wiek to tylko liczba, a my chcemy, żebyś był po prostu szczęśliwy – odpiera Jane. – Chętnie poznam Love bliżej. Wydawała się bardzo miła.

– Nie jest miła – mówię, zanim zdążę ugryźć się w język.

– Pozwól, że przekonam się o tym sama. – Mama podchodzi do mnie, obejmuje dłońmi moje policzki, a potem całuje mnie w jeden. – Zrobię herbatę. Nie zajmujemy ci dużo czasu. Zaraz wracamy do Denver. Musimy upewnić się, że służba przygotowała wszystko tak, jak należy.

Z westchnieniem kiwam głową.

– Następnym razem uprzedźcie, zanim zdecydujecie się wpaść z wizytą – pomrukuje.

– Uprzedzaliśmy. Dzwoniłam do ciebie piętnaście razy, Ryder. – Wzrok mamy wydaje mi się teraz naprawdę pretensjonalny, a ja nie przypominam sobie, bym słyszał dzwonek własnego telefonu. Szybko orientuję się, że musiałem zostawić go w samochodzie.

– Zaraz wrócę – mówię i ruszam w stronę drzwi frontowych, uprzednio zgarniając z blatu kluczyki do range rovera. Pokonuję korytarz i hol, aż w końcu docieram na podjazd. Otwieram drzwi auta, zgarniam z niego komórkę i mrużę oczy, gdy mając zamiar tak po prostu wrócić do domu, dostrzegam coś na zaśniewanej szybie pojazdu.

Uśmiecham się, odczytując w myślach krótki napis:

Wszystkiego najlepszego, stary bałwanie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY



KIEDYŚ

Brzydka. Tak bardzo brzydka, gruba, ciężka jak cholerny słoń. Od początku mieli rację. Mieli ją, kiedy po raz pierwszy nazwali mnie obrzydliwym grubasem, który za niedługo będzie szerszy niż ta ogromna futryna drzwi Aarona.

Nie mam pojęcia, dlaczego próbowałam wypierać z głowy myśl, że to nieprawda. Rany, przecież... przecież moje ciało jest wystarczającym dowodem na to, że wyglądam obleśnie. Mam ogromne uda, wielgachny brzuch i pulchną twarz. Powinnam coś z tym zrobić, przecież tak bardzo nie chcę przypominać spasionej świni.

Aaron twierdzi, że wystarczy, jak zacznę odmawiać sobie niektórych posiłków i w końcu spróbuję robić coś więcej podczas szkolnych ćwiczeń na zewnątrz – wtedy będę prezentować się przynajmniej odrobinę lepiej niż w tym momencie. Tak wstrętnie, jakbym miała za chwilę odstraszyć swoim paskudnym wyglądem wszystkich ludzi, którzy zerkną na mnie choćby na głupią sekundę i pomyślą: „jak można było się tak zapuścić?”.

Brzydzę się tym, czym jestem. Tak bardzo, bardzo, bardzo brzydzę się tym ciężkim potworem, którym się stałam. Ostatnio w ogóle nie patrzę w stronę okna, jestem przerażona myślą, że mogłabym dostrzec w nim zarys swojej sylwetki. Nie mogę nawet oprzeć się temu przeczuciu, że w końcu niewinne, oceniające spojrzenia ludzi, których mijam na ulicy, zamienią się w wytykanie palcami. Jedyne, co mogę zrobić, to pokładać wszystkie nadzieje w słowach Aarona. Jeśli to zrobię, być może uda mi się uniknąć bycia przykładem obleśnego potwora.

Być może będę już tylko obleśna.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY



RYDER

Oparty o framugę drzwi w milczeniu patrzę na Love, która tłumaczy temu całemu Kaydenowi, jak obchodzić się z Klakierem oraz Gargamelem. W Denver mieliśmy spędzić noc ze względu na to, że droga stamtąd do Aspen zajmuje około cztery godziny, więc Porter wytypowała swojego kumpla do roli niańki dla naszych pupili. Ja się nie kłóciłem, chociaż wcale nie przepadałem za Srajdendem.

– Na pewno wszystko wiesz? – pyta brunetka, zgarniając z komody torebkę.

– Jezu, Love. Nie histeryzuj – odpowiada jej Graves, cały czas gapiąc się w ekran swojego telefonu. – Wszystko czaję. Jedź już.

– No dobrze – wzdycha Porter i po pożegnaniu zarówno z psem, jak i z kotem podchodzi do mnie z delikatnym uśmiechem. – Możemy już jechać.

Odpowiadam jej skinieniem, a później podchodzę do drzwi, które przed nią otwieram.

– Będziemy jechać około czterech godzin – informuję.

– Długo – stwierdza moja towarzyszka, zaciągając się świeżym powietrzem. Śnieg prószy z nieba lawinowo, kiedy ruszamy w stronę range rovera. Wsiadamy do niego w milczeniu. Chcę już odpalić silnik, ale zanim zdążę włożyć klucze do stacyjki, palce Love oplatają przegub mojej ręki.

Spoglądam na nią pytająco.

– Mam dla ciebie prezent. – Dziewczyna uśmiecha się delikatnie i wyciąga z jednej papierowej torby czerwone pudełko.

– Love, niepotrzebnie coś...

– Przymknij się. To nic cennego. Mam nadzieję, że ci się spodoba. I że prezent dla twojego taty również mu się spodoba – dodaje, odkładając drugi pakunek i torebkę na tylne siedzenia samochodu. – Masz, otwórz.

Mając w rękach tajemnicze pudełko, wzdycham.

– To bomba? – Odwijam wstążkę.

– Och, nie wystarczy ci, że ja jestem wybuchowa? – Love przykłada dłoń do serca w teatralnym geście i puszcza mi oczko.

Patrzę na nią z pobłażaniem.

– Okej, nie było pytania – mruczę i otwieram prezent.

Na widok swetra z reniferem dla mnie i takiego samego wdzianka dla Klakiera wypuszczam powoli powietrze z płuc. Rany, tylko Porter mogłaby mi kupić coś takiego. Posyłam jej spojrzenie z kategorii: „jesteś naprawdę nienormalna”.

– Nie mogę się doczekać, aż mi się w nim pokażesz. – Szczerzy się.

– Tylko jeśli nie będzie w pobliżu ludzi – odpieram z wiedzą, że prezenty powinno się doceniać. I chociaż ten sprawi, że będę wyglądał jak skończony kretyń, to wiem, że osoba, która mi go dała, naprawdę się starała.

– Jesteś kochany. – Love wspiera się delikatnie, by pocałować mnie w policzek. – Wszystkiego najlepszego.

Fala gorąca przepływa przez moje żyły, gdy czuję jej usta na swojej skórze. Nie daję jednak po sobie poznać, że ten czuły gest przyprawił mnie o szybsze bicie serca. Po prostu odpalam silnik, uprzednio dziękując skinieniem głowy i odkładając prezent na tyły.

– Mogę ci zadać pytanie? – wypalam nagle.

– Jasne.

– Czy ten twój kolega wie, że widać go w oknie?

Porter mruga powoli i spogląda na swój dom.

– Wiesz... nie zwracaj na niego uwagi. Po prostu już jedźmy – stwierdza zawstydzona.

Kiwam powoli głową, wyjeżdżając z podjazdu.

– Myślisz, że ten cały Graves jest zazdrosny? – zagajam.

Love opiera rękę na drzwiach samochodu i wplata palce w ciemne włosy.

– On? Nie – stwierdza z przekonaniem.

– To dlaczego się tak gapił?

– Wiesz... on tak ma – odpiera Love i zmienia szybko temat: – Urodziłeś się tego samego dnia, co twój tata? – mówiąc to, brunetka spogląda na mnie kątem oka. Kiedy zatrzymujemy się na czerwonym świetle, również uciekam wzrokiem do jej osoby.

– Mhm. Miałem wycucie czasu.

– Z pewnością. – Porter unosi kącik ust.

– Jesteś zła, że podjąłem decyzję za ciebie? – pytam. – No wiesz. Że musisz tam ze mną jechać. Zazwyczaj nie pokazuję się na tych bankietach i innych bzdetach, ale dzisiaj pomyślałem, że pokażę ci trochę...

– Swojego życia? – dokańcza za mnie dziewczyna.

– Swojego życia – potwierdzam.

– Więc bardzo chętnie poznam cię lepiej, Ryderze Callahanie. – Twarz Porter rozświetla naprawdę szeroki uśmiech. Przelykam ślinę i wracam spojrzeniem do jezdni. Wciskam gaz, przed oczami nadal mając ten cholerny, przerażająco piękny uśmiech.

Szlag by to.

Kiedy dojeżdżamy do Denver, jest już wczesny wieczór.

Love wygląda na naprawdę zafascynowaną widokiem stolicy stanu. Błądzi spojrzeniem po mijanych przez nas wysokich wieżowcach czy sztyldach klubów i knajp, zaciekle wylapując różnice, jakie istnieją pomiędzy Denver a zaśnieżonym Aspen.

– Love? – zaczynam w pewnym momencie, kiedy zbliżamy się już do właściwej dzielnicy, zerkając na nią.

– Tak? – Dziewczyna odwraca się w moją stronę, by móc swobodnie skrzyżować swoje spojrzenie z moim. Jej oczy iskrzą ekscytacją, której mam nadzieję nie zgasi cała ta formalna i snobistyczna otoczka bankietu, na którym zaraz się zjawimy.

– Jeśli nie będziesz się tam dobrze czuła, daj mi znać, okej? – pytam, a później ponownie spoglądam na ulicę. Niewiele aut przemieszcza się po dzielnicy, w której mieści się mój rodzinny dom.

– Dlaczego miałabym...

– Po prostu daj mi znać, tak? – przerywam jej, a Love otwiera szerzej oczy, gdy widzi, że stajemy przed ogromną mosiężną bramą. Jestem pewien, że ochrona właśnie w tym momencie sprawdza na kamerach numery rejestracyjne mojego samochodu. Tak szybko, jak orientują się, do kogo należy to auto, skrzydła bramy rozsuwają się powolnym tempem.

– Boże – wykrztusza z siebie Love. – Mieszkałeś w takim pałacu?

Wzdycham, omiatając wzrokiem ogromny budynek. Rezydencja rodziców rzeczywiście zawsze robi na przyjeźdźnych wrażenie. Posiada szklane ściany, a przed nią znajduje się ogromny posąg rzeźbiony przez jakiegoś wybitnego artystę. Całość dopełnia otaczające posiadłość jezioro. Ogólnie rzecz biorąc, jej widok przywodzi na myśl jedynie podziw.

– Gdy byłem młody. Potem poszedłem na swoje. – Wzruszam niedbale ramionami.

– Czyli mam spodziewać się snobów i innych nadętych oraz obrzydliwie bogatych ludzi? – Entuzjazm Love rzeczywiście nieco blaknie, gdy tylko brunetka dostrzeżę rzędy samochodów na parkingu. – Wow, ile gości.

– Mhm. Czasami można się poczuć jak sardynka w puszcze – przyznaję, parkując na wolnym miejscu.

– Jezu, a ja wyglądałam tak... zwyczajnie.

– Wyglądasz pięknie, Love. – Gaszę silnik i spoglądam na nią z uśmiechem. – Przywitamy się z resztą, a potem zabiorę cię na górę, okej?

– Nie chcę, żebyś przeze mnie rezygnował z dobrej zabawy. – Dziewczyna spuszcza na moment wzrok, wyraźnie niepokieszona.

– Uwierz, nigdy nie bawię się tutaj dobrze. Dlatego po prostu tu nie przyjeżdżam, gdy organizowane są takie bzdurne bankiety. – Wyciągam klucz ze stacyjki i ponownie zerkam na swoją pasażerkę. – Zresztą... dobrze bawię się z tobą, Love. Niezależnie gdzie.

Love uśmiecha się delikatnie i kiwa głową.

– Okej.

– Nie ruszaj się – rozkazuję, grożąc jej palcem.

– Ale Ryder... – protestuje, kiedy zwlekam się z fotela kierowcy.

Okrażam samochód tylko po to, by otworzyć jej drzwi. Przerysowanym szarmanckim gestem ręki pokazuję, że może już wysiąść z range rovera, na co Love parska śmiechem i chwyta moją dłoń.

– Prawdziwy dżentelmen – komentuje.

– Tylko dla ciebie. – Unoszę kącik ust.

Kładę rękę w okolicach jej krzyża i prowadzę w stronę dwuskrzydłowych drzwi frontowych. Już od progu rezydencji atakuje nas sztuczne światło dawane przez szklane żyrandole. Któryś z kelnerów zabiera od nas płaszcze, a kolejny oferuje szampana na tej przeklętej srebrnej tacy. Zarówno ja, jak i Love odmawiamy.

– Czuję się jak obiekt w muzeum – wyznaje niechętnie brunetka.

– Zaraz znajdą sobie inny cel. Ich uwaga w końcu skupi się na czymś innym – mówię, bo doskonale wiem, o co jej chodzi. Reszta gości spogląda na nas niekoniecznie dyskretnie, gdy ruszamy w stronę właściwej sali, gdzie z pewnością znajdziemy państwa Callahanów.

– Hej! – słysząc nawoływanie, oboje z Porter odwracamy głowy.

Widząc wiecznie uśmiechniętą Chloe w towarzystwie cholernej Polly, mój uśmiech rzadnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Oddycham ciężko i mówię:

– Hej.

– Raine wyhaczył was w tłumie. Chciał się przywitać – stwierdza moja siostra, a ja dopiero teraz zauważam małego chłopca uczepionego jej nóg. Kucam, widząc, że dzieciak wyciąga ręce, by sprzedać mi przytulasa. Przyciągam go do siebie i trzymam w uścisku kilka długich sekund.

– Cześć, Raine – rzucam swobodnie.

– Cześć, wujku. – Mały przymyka powieki, gdy odsuwam się i mierzwię mu dłonią włosy. – Kto to jest? – pyta zaciekawiony, wskazując na stojącą obok mnie Love.

Już chcę mu odpowiedzieć, kiedy uprzedza mnie Polly:

– Nikt ważny, skarbie.

Mrużę oczy, wpatrując się w West z jawną dezaprobatą.

– No co? – prychna dziewczyna, poprawiając ramiączko swojej fioletowej kieciki.

Zerkam przelotnie na Porter, która, cóż. Jest zmieszana i odrobinę... smutna. Niewiele myślę, gdy kładę dłoń na jej biodrze i przyciągam ją do siebie bez żadnego wysiłku, kierując swoje słowa do małego Raine'a:

– Love to twoja przyszła ciocia.

I tyle wystarczy, by zamknąć usta Polly. Dziewczyna staje jak wryta, a potem tak po prostu odrzuca włosy za plecy, prychna pogardliwie oraz obraca się na pięcie, by obruszona udać się w przeciwnym kierunku. Uśmiecham się cwaniacko w stronę Love, która tylko bije mnie delikatnie pięścią w ramię.

– Jesteś durniem. Słodkim durniem. – Pociąga nosem.

– Mówisz mi to już dzisiaj drugi raz – zauważam i spoglądam tym razem na Chloe. – Gdzie są rodzice?

– Nie złapiesz ich teraz. No, chyba że ustawisz się do kolejki razem z osobami, które chcą złożyć tacie życzenia... – wzdycha ciemnowłosa, tuląc do siebie Raine'a. – Fajnie, że wpadłeś Ryder. Właściwie jeszcze lepiej, że wpadłeś tu z Love. – Uśmiecha się.

Odwzajemniam gest, głaszcząc nieświadomie biodro Porter.

– Pójdę zobaczyć, co z Polly. I hej, to było całkiem niezłe, braciszku – stwierdza, zanim rusza na poszukiwania swojej przyjaciółki.

Zwilżam językiem wargę i krzyżuję spojrzenie ze stojącą przy mnie dziewczyną.

– Idziemy na górę? Może później uda nam się pogadać z rodzicami.

– Jasne. – Porter przytakuje i pozwala poprowadzić się na piętro. Ma lekko rozchylone usta z wrażenia, kiedy pokonujemy kolejne schody w drodze do mojego starego pokoju znajdującego się na końcu korytarza na pierwszym piętrze.

Otwieram jej drzwi i próbuję dostrzec na bladej twarzy jakąkolwiek reakcję.

– Wow. Trochę tu... ciemno – rzuca, siadając na zaścielenym czarną pościelą małżeńskim łóżku.

– Chyba każdy nastolatek marzy o takim pokoju – dodaje, kiedy omiata wzrokiem szare ściany i meble wykonane z cedru.

Wsuwam dłonie do kieszeni spodni i błędzę spojrzeniem po znajomym wnętrzu. Jest... w zasadzie nijakie. Zwyczajne i w żadnym stopniu ekstrawaganckie. Siadam obok Love i biorę wdech nosem. Rześkie powietrze wpada do pomieszczenia przez uchylone okno.

– Masz stół bilardowy? – Porter zerka w stronę drugiej części pokoju. Tam, gdzie znajduje się duża sofa, ogromny telewizor i konsola oraz, rzecz jasna, stół wyściełony charakterystycznym zielonym sukmem.

– Mhm. Kiedy byłem młodszy, naprawdę lubiłem grać – przyznaję szczerze.

– To dlatego jesteś taki dobry.

Opieram wyprostowane ręce za plecami i patrzę Love prosto w oczy.

– To co? Lekcja druga?

W pierwszej chwili myślę, że ta mała harpia jakoś się wymiga, ale ona... kiwa ochoczo głową i wstaje na równe nogi.

– Z przyjemnością, panie Callahan.

Po tych słowach rusza w stronę stołu, kołysząc subtelnie biodrami. Obserwuję ją spod przymrużonych powiek i ani na sekundę nie odwracam wzroku. Love nachyla się nad stołem oraz opiera na jego krawędziach przedramiona, tocząc ze mną batalię na spojrzenia.

Coś elektryzującego unosi się w powietrzu, gdy tak trwamy w bezruchu i wsłuchujemy się w niezachwianą ciszę, która spowija pokój. Wstaję nagle i z leniwym ociąganiem podążam tropem dziewczyny, by po kilkunastu sekundach znaleźć się dokładnie naprzeciwko niej.

– Wiesz, że przegrasz z kretešem? – pytam niskim głosem.

Love wzrusza niewinnie ramionami.

– Praktyka czyni mistrza – odpiera, zagryzając wargę.

Uśmiecham się kącikiem ust, a później sięgam po dwa kije. Jeden podaję Love, a drugi zachowuję dla siebie. Kiedy upewniam się, że oboje jesteśmy gotowi na rozgrywkę, bąkam krótkie:

– Zaczynamy?

Porter odpowiada mi krótkim skinieniem.

– Zaczynamy.

Rozbijam bile. Wszystkie rozsypują się po stole, a jedna trafia do luzu. Love uważnie śledzi wzrokiem ustawienie kul. Oddaję kolejne uderzenie. Ponownie trafiam. Dopiero za trzecim razem bila odbija się od krawędzi i nie wpada tam, gdzie chciałbym. Oczywiście specjalnie uderzam z przesadną energią. Co to za zabawa, gdy jedno z nas wygrywa już po kilku rundach? Zamierzam przeciągać grę najdłużej, jak się da.

Moja przeciwniczka nachyla się delikatnie nad stołem, a ja odwracam wzrok, bo przez to, że Love przyjmuje taką pozycję, jej dekolt staje się jeszcze bardziej widoczny. A ja wolałbym nie wyjść na takiego, który gapi się na jej cycki. Chociaż naprawdę mi się podobają. Jak cała ona. Jest idealna w każdym tego słowa znaczeniu.

Połykam tchnienie i patrzę, jak Porter uderza w białą bilę. Ta, ku mojemu zdziwieniu, uderza w czerwoną, która po chwili toczy się prosto do luzu. Love uśmiecha się cwaniacko i ponownie omiata wzrokiem sytuację na stole, zapewne, by odnaleźć dogodny dla siebie położenie kul.

– Nie idzie ci tak tragicznie – komentuję.

– Miałam dobrego nauczyciela. – Porter puszcza mi oczko.

Wywracam z rozbawieniem oczami, przejeżdżając kciukiem wzdłuż linii szczęki. W skupieniu przyglądam się Love i zwracam uwagę na najmniejsze detale. Na to, jak przy każdym szerszym uśmiechu w jej policzkach formują się niewielkie dołeczki. Albo jak za każdym razem, gdy nie uda jej się trafić bilą do luzu, zaciska usta w linię.

Nie lubi przegrywać. I to naprawdę do niej pasuje.

– Twoja kolej. – Jej głos wyrywa mnie z krótkiego letargu.

Okrażam stół, wiedząc od razu, w którą kulę celować. Przyjmuję pozycję, oddaję strzał i wsłuchuję się w charakterystyczny odgłos bili białej do luzu. Nie ruszam się nawet o cal, dostrzegając kolejne dogodnie dla mnie usytuowanie.

Nachylam się nad stołem i już chcę uderzyć kijem w białą kulę, gdy nagle czuję obok siebie obecność Porter. Stoi tuż przy mnie. Wystarczyłyby centymetry, by nasze ciała zetknęły się ze sobą. Jej ciepły oddech owiewa okolice mojego ramienia. Czuję natarczywe spojrzenie wędrujące swobodnie po moich plecach ukrytych pod materiałem białej koszuli. Zastygam w bezruchu wiedziony dziwną ekscytacją. Jest coś absolutnie pochłaniającego w tym, jak duszące zupełnie nagle wydaje się powietrze w pokoju. Robi mi się gorąco. Przez moje żyły przepływa już tylko adrenalina.

– Dlaczego nie uderzasz? – pyta szeptem Love.

Przełykam ślinę. Moje jabłko Adama drży.

– Rozpraszasz mnie – odpieram gardłowo.

– Doprawdy? – Jej ton ocieka fałszywym zaskoczeniem.

– Nie bądź paskudną manipulatką.

Oczami wyobraźni widzę, jak dziewczyna uśmiecha się naprawdę szeroko.

– A poprosisz? – Językiem muska płatek mojego ucha.

Kurwa, litości.

– Ja nie proszę, Love – mruczę zachrypniętym tonem.

Porter wędruje paznokciami po całej długości mojego bicepsa, a ja naprawdę chyba cudem powstrzymuję się przed tym, by nie posadzić jej na tym stole, a potem zrobić z nią to, na co tylko mam ochotę.

– Więc co robisz? – dopytuje cicho.

– Dyktuję zasady. – Odsuwam się, by spojrzeć jej w oczy. W te duże, błyszczące oczy. Przez chwilę wpatruję się w nie bez słów, aż w końcu dokańczam: – A ty... Rany, Love. Jesteś jedyną zasadą, którą tak cholernie pragnę złamać.

Obejmuję dłonią jej policzek. Love przymyka powieki i unosi delikatnie kącik ust, poddając się całkowicie tej pieszczocie. Wpatruję się w nią jak zwykły szczeniak i w duchu stwierdzam, że nigdy nie czułem czegoś podobnego. Czegoś tak... przyjemnego. Nie stoimy w tej pozycji jednak długo. Po chwili wracamy do gry i kiedy po dłuższym czasie kończymy, oboje stwierdzamy, że czas znowu znaleźć się wśród gości bankietu.

Ruszamy w stronę wyjścia z pomieszczenia. I naprawdę nie wiem, dlaczego Love przystaje nagle w miejscu, w samym progu drzwi prowadzących na korytarz. Brodę ma zadartą wysoko, więc również podrywam głowę i zamieram.

Moje gardło schnie na wiór, gdy widzę, co jest powodem zdumienia malującego się na twarzy Porter. Nad naszymi głowami... cóż. Znajduje się pierdolona jemioła, której na pewno wcześniej tutaj nie było. Ktoś musiał zastawić na nas pułapkę, niezależnie od tego, jak kurewsko absurdalnie to brzmi. Biorę głęboki wdech nosem i zastanawiam się, czy życie naprawdę musi sobie tak ze mnie kpić?

Love patrzy zaciekle w moje oczy, jakby próbowała dojrzeć w nich jakiś sygnał lub znak. A ja spoglądam zupełnie tak samo na nią, sam nie wiedząc, co tak właściwie powinienem zrobić. Stoimy nieruchomo przez kilkanaście sekund, aż w końcu Porter niespodziewanie obejmuje drobnymi dłońmi moje policzki i całuje mnie przelotnie w kącik ust.

A później speszona odchodzi, zostawiając mnie samego.

I spragnionego *więcej*.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY



LOVE

Jezu, oby nie wziął mnie za drugą Polly, myślę, kiedy zbiegam po schodach z zamiarem wmówienia później Ryderowi, że to przez ten krótki wysiłek fizyczny mam tak cholernie czerwone policzki. Oczywiście czujny Pan Przystojniak zapewne mi nie uwierzy, ale z grzeczności nie będzie kwestionował moich tłumaczeń albo wysnuwał swoich teorii.

Połykam głęboki wdech do płuc i nadal mknę przed siebie po tych szalenie długich schodach. *Rany, ja mu chyba już nie spojrzę w oczy*, bąkam żałośnie w duchu i przeklinam swoje szczęście, bo kiedy obcas mojego buta wygina się na jednym ze stopni pod nienaturalnym kątem, od upadku ratuje mnie duża męska dłoń. Chwyta moją w locie i, jak na złość, jestem zmuszona spojrzeć prosto w te przeklęte grafitowe tęczówki, gdy ich właściciel trzyma mnie ciasno w ramionach, nie pozwalając mi spaść w spektakularnym stylu.

Ciche westchnienie opuszcza moje usta mimowolnie, gdy Ryder prycha:

– Nie tak prędko, mój Kopciuszku.

Teraz już na pewno przypominam pieprzonego buraka.

– No już, dzięki za ratunek, księciuniu, ale teraz sio – burczę, próbując wyrwać się z męskiego uścisku. Mężczyzna jednak otacza mnie szczelniej ciężarem swoich mięśni, uśmiechając się przy tym z nieukrywaniem zadowoleniem. No jasne, że zobaczył ten pieprzony rumieniec.

Matko, gdzie jest jakiś bunkier?

– Psujesz romantyczny nastrój – fuka mój obruszony wybawca.

– Ty codziennie psujesz mi nerwy, ale jakoś ci tego nie wypominam.

Ryder ściąga brwi.

– Ja tobie? – wypala pretensjonalnie.

– Ty mnie.

– Ja cię kiedyś oskalpuję, Porter.

– Niby książkę, a jednak rzuca groźbami na prawo i lewo. – Wydymam niewinnie wargę, na co mężczyzna przechyla nieco głowę i wywraca oczami z jawną dezaprobatą. Przez chwilę patrzy na mnie z pokerową miną, a potem stwierdza beznamiętnym tonem:

– Trzymaj się.

– Czego? – Marszczę czoło zdezorientowana.

Nie uzyskuję jednak odpowiedzi, bo Ryder nagle tak po prostu przerzuca mnie sobie przez ramię i zaczyna marsz po schodach. W pierwszej chwili nie wiem, co się dzieje, gdy zwisam głowę w kierunku ziemi, ale w drugiej odzyskuję zimną krew.

– To porwanie! – unoszę się, klepiąc tego dupka w tyłek.

Ryder pozostaje niewzruszony, gdy naciąga materiał mojej kiecki nieco w dół, by inni goście nie oglądali moich majtek. Wykrzywiam usta w grymasie, bo nie wiem, gdzie Pan Przystojniak, do jasnej cholery, zamierza mnie zanieść.

– Być może. – Mężczyzna wcale się nie kłóci.

– Zmieniam zdanie. Nie jesteś księciem – warczę, podskakując na szerokim ramieniu z każdym krokiem Rydera.

– Więc niby kim?

– Kojarzysz Shreka? On też porywał niewinne księżniczki – bąkam, zmiatając sprzed nosa kosmyki czarnych włosów.

– Hej, Shrek uratował Fionę – burzy się mój rozmówca.

– Nie-e. On ukradł ją sprzed nosa innemu – protestuję. – Hej, masz trzydzieści cztery lata i oglądasz Shreka? – Unoszę brew, chociaż facet, na którego ramieniu podskakuję, nie może przecież tego zobaczyć.

– Chryste, Porter, przymknij się – ucisza mnie Ryder.

– Niech zgadnę: wszyscy się gapią i przynoszą ci wstyd? – sugeruję.

Mój rozmówca milczy przez moment. Szum krwi, który słyszę w uszach, towarzyszy muzyce klasycznej rozbrzmiewającej po ogromnej posiadłości. Dopiero po chwili, gdy uderza we mnie zimne powietrze, orientuję się, że jesteśmy już na zewnątrz. I właśnie wtedy, jak gdyby Ryder chciał, by na pewno nikt nie był w stanie tego usłyszeć, znowu ciągnie w dół materiał mojej sukienki, przyznając z powagą:

– Wszyscy się gapią i podziwiają widok, który tej nocy chcę mieć tylko dla siebie – mówiąc to, mój ultraatrakcyjny sąsiad pozwala mi stanąć na własnych nogach. Zanim zdążę się otrząsnąć po jego słowach i zwisaniu przez dłuższy moment głową w kierunku ziemi, mężczyzna narzuca mi na ramiona mój własny płaszcz.

– Shrek też był czasami słodki. – Szczerzę się.

– Na litość boską, skończ z tym Shrekiem.

– I też miał kota. Jeśli kupimy Klakierowi buciki...

Nie dokańczam. Ryder zamyka mi buzię, przyciskając dłoń do moich ust.

– Już. Koniec. Tematu. Shreka.

Kiwam niechętnie głową, na co mężczyzna ściąga rękę.

– Więc... gdzie idziemy? – Wsuwam dłonie do kieszeni płaszcza.

– Nie wiem. Wrócimy tutaj później, jak skończy się ten cyrk – stwierdza czarnowłosa i odblokowuje pilotem range rovera czekającego na nas przed posiadłością. W milczeniu wsiadamy do samochodu i zapinamy pasy bezpieczeństwa.

– Okej. – Wzruszam swobodnie ramionami i mrużę oczy na widok czegoś czerwono-białego wystającego ze schowka. – Co to jest? – pytam, sięgając po skrawek materiału. Nie mija sekunda, a mam w dłoniach... czapkę świętego Mikołaja.

Po co, u licha, Ryderowi czapka świętego Mikołaja?

– Serio, Porter? – prychna pogardliwie mężczyzna. – To...

– Wiem, co to jest. Ale do czego ci to potrzebne. – Uśmiecham się i zanim Ryder zdąży wyjechać z posesji swoich rodziców, nakładam mu tę nieszczęsną czapkę na głowę. On jedynie zerka na mnie spod byka. Gdyby jego wzrok mógł zabijać, pewnie teraz wiózłby mnie do krematorium, by spalić moje zwłoki, a nie Bóg jeden wie gdzie.

– Po coś. Nie interesuj się – mamrocze w odpowiedzi mój ulubiony sąsiad.

– Och, no weź. – Robię minę zbitego psa i patrzę, jak Ryder sprawnie manewruje kierownicą.

– Porter, przymknij się – mruczy pod nosem mężczyzna.

– Nie uciszaj mnie znowu.

– To i tak nie działa – wzdycha.

– No właśnie – zgadzam się z nim. – Więc po co ci ta czapka?

Ryder wjeżdża na ulicę, pocierając wolną dłońią skroń.

– Raine musi dostać prezent od starego dziada z brodą – tłumaczy mój rozmówca.

Parskam śmiechem, wygodniej rozsiadając się na fotelu.

– Czemu ty się tak właściwie przebierasz? Po prostu zapuść bro... AUĆ! – piszczę, czując pacnięcie w kolano. Od razu czuję jak u zbiegu moich ud kumuluje się dziwne ciepło. Na litość boską, TA dłoń mogłaby ścisnąć stanowczo moje kolano zdecydowanie częściej.

Dawno nie byłam tak bardzo spragniona czyjegoś dotyku. A dotyk Rydera... był inny. Nie sprawiał, że czułam się osaczona lub przerażona. Ryder kojarzył mi się z delikatnością i bezpieczną stanowczością – niczym innym. Sposób, w jaki mnie dotykał, nie przyprawiał mnie o strach. Raczej o spokój i ulgę. Ufałam mu. Chociaż nie znaliśmy się długo, był jedną z dwóch osób, którym ufałam, i byłam pewna, że mnie nie skrzywdzi.

Bo to był Ryder Callahan. Ten sam, który od początku chciał mi pomóc.

– Bardzo śmieszne. – Z letargu wyrywa mnie jego cierpki ton.

– No już, nie dąsaj się. – Cmokam w powietrze.

Mężczyzna zerka na mnie kątem oka, nie kryjąc irytacji.

– Lubię twój wiek – wypalam, nie wiedzieć czemu.

Momentalnie sznuruję usta w wąską linię. Boże, dlaczego to powiedziałam?

– Lubisz? – Ryder unosi kącik ust w rozbawieniu.

Nie rumień się, nie rumień się, nie rumień... kurwa.

– No... tak. Masz stabilne życie, wiesz, czego od niego chcesz, masz doświadczenie w wielu dziedzinach... to całkiem imponujące – dokańczam i napieram zębami na dolną wargę, by nie powiedzieć już nic więcej.

Mój kierowca przez moment milczy.

– W porządku – odpowiada w końcu i zmienia temat: – Pokażę ci więc, co wywijałem, gdy byłem w twoim wieku. I nie, wbrew pozorom nie było to lata świetlne temu – zaznacza z przekąsem, posyłając mi wymowne spojrzenie.

Parskam, bo Rydera Callahana, który patrzy na mnie groźnie, mając na głowie czapkę Mikołaja, nie da się traktować poważnie. Unoszę jednak ręce w geście obrony i wykrztuszam z siebie rozbawiona:

– Nie mów, że byłeś wzorowym złym chłopcem.

Mężczyzna uśmiecha się półgębkiem, co jedynie potęguję moją ciekawość. Instynktownie rozglądam się wokoło, ale nie widzę nic prócz ciemności spowijającej najbliższą okolicę. Ściągam w niezrozumieniu brwi, a Ryder w tym czasie przyspiesza tak, że aż mnie wbija w fotel. Totalnie oszołomiona połykam haust powietrza.

– Byłem chłopcem, który lubił szybką jazdę. – Mężczyzna swobodnie odchyła się na fotelu i cały czas wpatrzony w pustą drogę rozpościerającą się przed nami prowadzi samochód z zawrotną prędkością.

– Zabijesz nas – piszczę, trzymając się kurczowo drzewi.

Nie mija sekunda, a Ryder zwalnia. Oddycham z ulgą.

– To ma się we krwi, Porter. Tego się nie zapomina.

– Więc... ścigałeś się? – dociekam, prostując się na miejscu pasażera.

Czarnowłosa zatrzymuje się nagle na poboczu, kiwając głową.

– Mhm. Typowe szczeniackie hobby.

– Wow. Nie spodziewałam się – stwierdzam zgodnie z prawdą i w momencie, w którym Ryder wysiada z samochodu, ja również to robię.

Rzeńskie, zimne powietrze rozbija się na mojej twarzy, gdy stawiam obcas buta na leśnej drodze. Potem oboje ruszamy w stronę ogromnego, aczkolwiek z pewnością zapomnianego amfiteatru. Jest zbudowany z kamienia, który teraz pokrywają bluszcz i korzenie, co świadczy o tym, że dawno tutaj nikogo nie było. U jego podnóża znajduje się również kamienna scena.

– Przychodziłeś tu lata świetlne temu? – Uśmiecham się, chowając zmarznięte dłonie w kieszeniach płaszcza. Ryder jedynie zerka na mnie z wyraźnym niesmakiem, mruczając:

– Dokładnie wtedy. Zazwyczaj przed wyścigami rozkręcały się tutaj dobre imprezy.

– Rany. Jestem chyba jedyną osobą, która nie korzysta z życia studenckiego – wykrztuszam z siebie, kiedy schodzimy do sceny. Otaczający to miejsce las dodaje mu jedynie tajemniczości i pewnej grozy. Wzdrygam się, spoglądając prosto w czarne niebo.

– To nic złego, że korzystasz z niego inaczej niż reszta. – Szarooki wzrusza krótko ramionami, a nasze spojrzenia krzyżują się zupełnie nagle. Żadne z nas jednak nie odwraca wzroku. Po prostu patrzymy na siebie z zainteresowaniem, stojąc już po kilku sekundach na ogromnej kamiennej scenie.

– Tak sądzisz? – Uśmiecham się lekko i unoszę brew.

Ryder stoi naprzeciwko mnie w absolutnym milczeniu. I wciąż obserwuje moją twarz. Wydaje się pogrążony we własnych myślach. Sama nie wiem, kiedy słyszę, jak spomiędzy jego ust wypada kilka zdań wypowiedzianych szeptem:

– Masz pasję. A pasja jest cenniejsza niż kilka imprez i wpasowanie się w jakieś studenckie standardy. – Jego grdyka porusza się niespokojnie, gdy dopowiada cicho: – Zatańcz, Love. Tu i teraz. Na tej scenie i w tej chwili.

Nie uciekam spojrzeniem od jego oczu. Patrzę w nie jak zahipnotyzowana i orientuję się, że jedyne, czego chcę w tym momencie, to to, by Ryder podziwiał. Podziwiał mnie. Patrzył na mnie z zainteresowaniem. Z uwagą. Zupełnie tak, jakby nic się nie liczyło. Jakbym była jedynym punktem, który skupia wokół siebie jego myśli.

Nie odpowiadam. Po prostu bardzo powoli zsuwam z nóg obcasy. Zostaję boso. I uśmiecham się delikatnie, odtwarzając w głowie układ, który nie wymaga specjalnego rozciągania przed jego wykonaniem. Z szybko bijącym sercem przypominam sobie kroki. Wszystkie figury. Wszystkie najdrobniejsze szczegóły.

I z niezmiennym błogim uśmiechem na twarzy zmuszam kończyny do ruchu. Poruszam się po kamiennej scenie z lekkością, mając w głowie jedynie wyuczony na pamięć taniec. Tańczę pod osłoną nocy, pod okiem mężczyzny, który zabiera ode mnie koszmary. Tańczę pod okiem mężczyzny, który nie odwraca ode mnie wzroku nawet na sekundę. Czuję ciężar jego spojrzenia przesuwany się po każdym skrawku mojego ciała. Czuję chłód i gorąc. Ulgę i spokój. Czuję tak dużo, że po raz pierwszy od dawna nie mogę oprzeć się wrażeniu, że los nie rzuca mi kłód pod nogi.

Nawet nie wiem, kiedy przystaję w miejscu. Moja klatka piersiowa unosi się i opada w szybkim tempie. Zerkam w stronę Rydera, którego oczy wyrażają jedynie pewien rodzaj podziwu. Zakładam obcasy, unoszę kącik ust i podchodzę do mężczyzny.

– Zatańczyłam – rzucam szeptem, obejmując dłonią jego policzek.

Mężczyzna kiwa powoli głową, pokrywając swoją dłonią moją.

– To było piękne, Love.

Uśmiecham się szerzej. Ryder odwzajemnia ten gest.

Kiedy wracamy do posiadłości państwa Callahanów, skład gości rzeczywiście wygląda, jakby porządnie się wykruszył. Służba krząta się po rezydencji i uwija z bałaganem, który powstał w czasie bankietu, a ostatnie osoby opuszczają mury domu, żegnając się z gospodarzami. Szybko przypominam sobie imiona rodziców Rydera, które padły podczas naszej rozmowy w aucie, gdy tutaj zmierzaliśmy: Jane i Richard.

Podchodzimy do nich leniwym krokiem, uprzednio kładąc prezenty w przeznaczonym do tego miejscu. Stres krąży gdzieś w moim krwiobiegu, kiedy tylko Callahanowie zwracają na nas swoją uwagę. Uśmiecham się delikatnie i biorę krótki wdech do płuc.

Naprawdę chciałabym dobrze przed nimi wypaść.

– Mamy nadzieję, że dobrze się bawiliście – zagaja Richard.

Spoglądamy na siebie z Ryderem porozumiewawczo. Po chwili przenoszę wzrok na jego ojca i odpieram:

– Było świetnie. I jeszcze raz wszystkiego najlepszego, panie...

– Wystarczy Richard. – Mężczyzna przerywa mi, a potem sięga po dwa kieliszki szampana wciąż stojące na stole. – Mów mi po imieniu.

Parskam śmiechem, przyjmując od niego szkło. Jane wywraca na to z rozbawieniem oczami, przyglądając nam się zaciekle. Rany, rodzice Rydera są tak cholernie mili, że naprawdę mu tego zazdroszczę. Stukam się kieliszkiem z panem Callahanem, a potem wlewam w siebie jego zawartość. Krzywię się, czując gorzki posmak na języku, ale moje myśli koncentrują się wokół słów Richarda:

– Większość gości obstawiła, że następną okolicznością do zorganizowania podobnej uroczystości będzie wesele. – Mężczyzna spogląda sugestynnie na swojego syna, a kącik jego ust unosi się w prowokującym uśmiechu. – I wcale nie mieli na myśli wesela Chloe.

– Tato – burczy nieprzyjemnie Ryder.

– Tylko mówię, jakie doszły mnie słuchy. – Gospodarz unosi rękę w obronnym geście. – To chyba nie zbrodnia, prawda synu?

Zerkam na milczącą Jane. Wydaje się doprawdy... rozbawiona tematem rozmowy, gdy patrzy na swojego męża. A ja, spoglądając na nią, dostrzegam coś dziwnego. Liść jemioli, który przyczepił się do jej granatowej sukienki. I nagle dostaję olśnienia.

To musiała być ona, orientuję się. To ona zawiesiła pieprzone zielsko w pokoju Rydera.

– Pójdziemy poszukać Chloe i Raine’a – rzuca w odpowiedzi Ryder i kładąc mi dłoń na biodrze, popycha mnie lekko do przodu. – Na razie.

Kręcę głową z politowaniem, zerkając na idącego obok mężczyznę. Minę ma pokerową, chociaż przez tę czapkę świętego Mikołaja i brodę, które zakłada, gdy przemierzamy ogromny hol, wygląda raczej strasznie uroczco. Raine ma naprawdę cudownego wujka.

– Ile lat ma twój siostrzeniec? – pytam nagle, stawiając obcas buta na pierwszym stopniu schodów. Tym razem robię to ostrożnie, chociaż wiem, że gdybym znowu nie złapała równowagi, Ryder zareagowałby szybciej, niż zdążyłabym się zorientować, że spadam.

Zawsze jest krok przede mną.

– Cztery – odpowiada mężczyzna.

Kiwam głową w geście zrozumienia. Mimo tego, że mam w głowie kilka pytań, nie zadaję ich na głos. Ale Ryder jakby czytał mi w myślach, dopowiada spokojnym tonem:

– Chloe urodziła go, gdy miała osiemnaście lat. Razem ze swoim ówczesnym chłopakiem zaliczyła wpadkę, kiedy była w ostatniej klasie liceum – wyjaśnia, a ja w pierwszej chwili czuję podziw. Bo siostrze Rydera z pewnością musiało być ciężko pogodzić wychowanie dziecka i dalszą edukację. Podobno teraz kończy studia.

Milknę na moment, spoglądając tępo na schody wyłożone długim czerwonym dywanem. Popadam w chwilowy letarg, czując przepływającą przez żyły melancholię. Ryder zerka na mnie kątem oka, a później tak po prostu, jak gdyby to było zupełnie naturalne, splata swoją dużą dłoń z moją. Momentalnie czuję uderzenie znajomego ciepła.

– Czy ten chłopak jej teraz pomaga? – pytam nieco ciszej.

Ryder wypuszcza powoli powietrze z płuc.

– Pomagał. Ojciec Raine’a był żołnierzem. Zginął dwa lata temu podczas jednej z misji.

– Boże. – Przyciskam dłoń do ust.

– Chloe długo nie mogła się pozbierać. – Mężczyzna zwilża językiem dolną wargę. – Przez kilka miesięcy przypominała raczej cień samej siebie. W końcu straciła kogoś, bez kogo nie wyobrażała sobie życia. I to był naprawdę trudny czas dla nas wszystkich.

– Przykro mi. – Zwieszam głowę, na co Ryder mocniej ściska moją dłoń.

– Chodź, damy małemu prezent – rzuca i wchodzi do swojego starego pokoju tylko po to, by zgarnąć z niego średniej wielkości pudełko.

– Co to jest? – pytam, gdy szarooki wraca do mnie.

– Klocki lego – odpowiada. – Raine je uwielbia.

Uśmiecham się i ruszam za swoim rozmówcą w stronę drzwi znajdujących się nieopodal. Ryder puka kilka razy w drewno, a gdy słyszymy ciche „proszę”, naciska na klamkę. Kiedy drzwi się uchylają, dostrzegam siedzącą na łóżku Chloe. Na jej kolanach siedzi senny Raine oglądający bajkę na telewizorze. Chłopiec na widok stojącego obok mnie Pana Przystojnego Mikołaja momentalnie się jednak ożywia.

Poważnie, jego oczy przypominają pięciocentówki.

– Mamooo, miałas rację. Dostanę prezent! – piszczy wesoło mały, a Chloe dyskretnie wskazuje na drzwi znajdujące się obok mnie. Zaglądam przez szparę i widzę tam jeszcze kilka zapakowanych w świąteczny papier upominków. Uśmiecham się znacząco w stronę dziewczyny.

Widok Rydera-Mikołaja konwersującego ze swoim siostrzeńcem sprawia, że moje serce zaczyna topnieć. To naprawdę rozczulające. To, jak Ryder zasiada na fotelu, kładzie sobie dzieciaka na kolanie i zaczyna sobie z nim żartować. Przez głowę w ekstremalnie szybkim tempie przemyka mi myśl, że ten facet... cóż. Byłby dobrym ojcem.

– Teraz moja Pani Pomocnik poda mi kolejny prezent – słyszę naprawdę niski głos Rydera, który sprawia, że momentalnie odzyskuję rezon. Unoszę kącik ust i odbijam się od ściany, by zgarnąć pakunek z małego pomieszczenia i po chwili podać go chłopcu.

– Wesołych świąt, Raine – mówię z uśmiechem, czując na sobie spojrzenia trzech par oczu. To jednak ta jedna para grafitowych tęczówek wpatrzona we mnie uważnie wprawia moje serce w nieco szybsze bicie. Chcę się oddalić, ale Pan Mikołaj wciąga mnie na swoje drugie kolano. Otwieram szerzej

oczy, patrząc na Rydera z uniesioną brwią.

On jednak jedynie wzrusza krótko ramionami, obejmując mnie ręką w pasie.

I cholera. Mogłabym zostać w tej pozycji już na zawsze.

ROZDZIAŁ SZESNASTY



LOVE

Do Aspen wracamy około trzeciej w nocy. Kayden, który wcale o tej porze nie śpi, przerywa grę na telefonie i machając lekceważąco ręką oraz burcząc coś o byciu niańką, opuszcza mój dom, by, jak sam stwierdza: „udać się na wieczny spoczynek do swojego wygodnego łóżka”. I w tej chwili naprawdę nie żałuję, że zdecydowaliśmy się wrócić z Denver nieco wcześniej, bo widok szczęśliwego Gargamela sprawia, że uśmiecham się szeroko.

Mina jednak rzędzie mi, gdy szczeniak zamiast do mnie podbiega do Rydera. Zdziwiony mężczyzna patrzy na psiaka z uniesioną brwią, ale finalnie kuca, by podrapać go za uchem.

– No tak – prychnę, a potem zakładam ręce pod biustem, wywracając teatralnie oczami. – Mój własny pies traktuje mnie jak powietrze.

– Nie myśl, że powiem, jak bardzo jest mi z tego powodu przykro – rzuca z przekąsem mój sąsiad, spoglądając na mnie z dołu. Jego wzrok jest naprawdę okropnie prowokujący.

– Wcale tak nie myślę. W końcu nazywasz się Ryder Callahan – wzdygam, przenosząc spojrzenie na widoczną za oknem panoramę gór. Przez chwilę wpatruję się w krajobraz i wpadam nagle na szalony pomysł. – Ryder? – zagajam.

– Mhm.

– Nie chce mi się spać – przyznaję. – A tobie?

Mężczyzna mruży podejrzliwie oczy.

– Co ty kombinujesz? – pyta.

– Pójdiesz gdzieś ze mną? – odbijam piłeczkę i sięgam po swoją torebkę. Wrzucam do niej kilka znalezionych w kuchni rzeczy, a później wracam do Rydera, który nadal nie wygląda, jakby był przekonany do mojego pomysłu.

– Niby gdzie? – docieka.

– No przecież nie na koniec świata. – W moim głosie króluje rozbawienie.

Mężczyzna podnosi się do pionu. Bierze do ręki smycz Gargamela, natomiast ja sięgam po niewielki koc. Noc mimo tego, że nie jest dzisiaj ekstremalnie mroźna, nie jest również szczególnie ciepła. Lepiej, bym miała w co zawinąć psiaka.

Spoglądam z uśmiechem na śpiącego Klakiera i ruszam w stronę holu, w którym stoi już Ryder ze szczeniakiem wesoło merdającym ogonem. Nie mija minuta i w trójkę kierujemy się w stronę jedyne go wyciągu narciarskiego w Aspen, który działa całą dobę.

– Chyba nie zamierzasz zjeżdżać o tej porze na nartach, co Porter? – prychnę mój towarzysz, kiedy po dziesięciu minutach marszu jesteśmy już przed kolejką linową. O tej porze korzysta z niej niewiele osób, ale wciąż jest ich przynajmniej kilkanaście.

– Zwariowałaś. To pomoże nam w dostaniu się na górę – rzuca mi i przypominam sobie drogę do miejsca, w które zabrał mnie kiedyś Kayden. Tak się składa, że zapadło mi ono w pamięć. Było ciche, oddalone od ludzi i miało swój klimat.

– Jesteś pokręcona – stwierdza mężczyzna.

– Za to mnie uwielbiasz. – Obnażam zęby.

Ryder spogląda na mnie z politowaniem.

– Nie dopowiadaj sobie – mamrocze, kiedy wsiadamy już do wagonika. Kolejka porusza się wolno, więc trochę minie, zanim znajdziemy się na jej końcu. Zagryzam wargę, rozglądając się wokół. Otaczają nas jedynie zaśnieżone góry, za to nad nami rozpościera się czarne niebo.

Miły widok, stwierdzam w duchu. A potem spoglądam na Gargamela – zawinięty w koc, by nikt

nie mógł go dostrzec, siedzi grzecznie na kolanach Rydera.

I stwierdzam, że to jeszcze lepszy widok.

– Podobało mi się w Denver – rzucam nagle i tak po prostu, bez zbędnego namysłu, opieram głowę na szerokim męskim ramieniu. Zaciągam się powietrzem. Przymykam powieki, myśląc, że w tym momencie czuję się zwyczajnie dobrze.

– Wybacz tę gadkę o weselu. To było...

– To było zabawne. – Uśmiecham się i otwieram oczy, napotykać wzrokiem otaczający nas górski krajobraz. – Twój rodzic są naprawdę ekstra.

W przeciwieństwie do moich.

– Love? – Ryder zerka na mnie mimochodem. – Posmutniałaś.

– Nie, po prostu...

– Przecież widzę – upiera się mężczyzna.

– Trochę wam tego zazdroścę. Tego, jakie więzi łączą waszą rodzinę – przyznaję zupełnie szczerze. – Widać, że wszyscy się kochacie. I że skoczylibyście za sobą w ogień.

Moja rodzina by mnie jedynie do niego wepchnęła.

– Chcesz o czymś pogadać, Love? – pyta miękko Ryder.

Chwilę waham się nad odpowiedzią. Aż w końcu odpieram:

– Tak, ale nie dzisiaj. Na następnej wizycie w twoim gabinecie.

– W porządku. – Mężczyzna nie protestuje.

A potem oboje milkniemy, jednak wcale nie na długo, bo po kilku minutach docieramy na górę. Wsiadamy z wagonika, a ja szybko odnajduję w pamięci drogę do miejsca, które pokazał mi kiedyś Kayden. Wygląda ono tak samo jak wtedy. Pomiędzy ułożonymi równoległe do siebie przewalonymi pniami drzew niedbale leżącymi na ziemi znajduje się otoczona kamieniami niewielka kupka drewna.

– Rozpalisz? – pytam, wyciągając z torebki zapalniczki. – Ja poszukam trochę więcej podpalki – sugeruję, rozglądając się za odpowiednimi gałęziami. Grafitowe tęczówki skanują mnie przez chwilę w skupieniu, aż w końcu ich właściciel kiwa powoli głową. Odkłada na ziemię Gargamela i przyjmuje ode mnie niewielkie pudełko.

Posyłam Ryderowi uśmiech, który odwzajemnia.

– Zrobiłeś to szybciej niż Kayden – parskam, gdy wracam po kilku minutach. Na wspomnienie guzdrającego się z ogniskiem Gravesa ogarnia mnie czyste rozbawienie. Zasiadam na pniu obok swojego sąsiada, uprzednio wrzucając kilka gałęzi do ognia.

– Sr... Kaydena też tutaj zabrałaś? – pyta mężczyzna z uniesioną brwią.

Nie komentuję jego dziwnego zająknięcia.

– To on zabrał mnie tutaj bardzo dawno temu – tłumaczę. – Właściwie chyba tylko dzięki niemu odnalazłam się w Aspen. Poznałam go na studiach i jakoś tak wyszło, że się zaprzyjaźniliśmy. Jest dla mnie jak brat.

Ryder kiwa głową w geście zrozumienia. Ja w tym czasie wyjmuję z torebki paczkę pianek, zza pleców zaś dwa długie patyki.

– Trzymaj. – Wręczam mu jeden, nabijając wcześniej na jego koniec piankę.

Szarooki wzdycha, przyjmując ode mnie kij.

– A twój prawdziwy brat? – pyta nagle.

W moim gardle zupełnie nagle zawiązuje się niewidzialny supeł. Patrzą na obwąchującego śnieg Gargamela i uśmiecham się smutno.

– Mój prawdziwy brat nie zasługuje, by się nim nazywać. Kiedyś powiem ci dlaczego. Powiem ci o nim i o... – Robię pauzę, czując, że na samo wspomnienie tego chłopaka po moim ciele rozchodzi się fala zimnych dreszczy. Nie dokańczam zdania. Biorę głębszy wdech i przymykam powieki, czując, że oczy zaczynają mnie piec.

– Spokojnie, Love – odpiera łagodnie Ryder i obejmuje mnie wolną ręką. Przywieram do jego ciepłego ciała, wciąż czując niepokój na myśl o tym, kto tyle razy sprawił, że czułam się bezwartościowa.

– Przecież to możesz zrobić *kiedyś*. A dzisiaj... dzisiaj możesz po prostu zamknąć oczy i pomyśleć o czymś miłym.

– Miłym? – wykrztuszam z siebie cicho.

Mężczyzna odpowiada mi krótkim skinieniem.

– O czymś, co cię uszczęśliwia.

To ty mnie uszczęśliwiasz.

– W porządku. – Uśmiecham się delikatnie i przysmykam powieki.

Przez chwilę siedzimy w ciszy, dopóki nie przerywa jej Ryder:

– Love? – pyta szeptem.

– Tak? – Połykam tchnienie.

– O czym myślisz?

Nawet nie waham się nad odpowiedzią.

– O tobie.

Mimo że nie widzę twarzy Rydera, całą sobą czuję, że w tej sekundzie pojawia się na niej prawdziwy, szczerzy uśmiech. I cóż. Taki sam pojawia się również na mojej.

Budzę się w pościeli, która pachnie Ryderem Callahanem. Kiedy otwieram oczy, by odnaleźć wzrokiem swojego sąsiada, orientuję się, że nie ma go w jego własnej sypialni. Podrywam się delikatnie do siadu i biorę krótki wdech nosem. Potem wstaję z łóżka i ruszam na poszukiwania swojej zguby.

Odnajduję go w kuchni przygotowującego śniadanie. Ryder jest do mnie odwrócony plecami, więc przez dłuższą chwilę mogę go bezczelnie podziwiać. Tyle że... nie do końca mogę to robić dyskretnie, bo zapominam, że w połyskujących marmurowych płytkach wszystko się odbija. Nawet moja osoba.

– Dobrze, że jesteś. Zjemy śniadanie i jedziemy – obwieszcza mężczyzna, przerzucając na talerz nieszczęsny omlet. Słyszając jego słowa, jedynie mrużę w niezrozumieniu oczy. Podchodzę do wysokiego barowego krzesła, na którym siadam, i pytam:

– Gdzie niby jedziemy?

Ryder podsuwa mi pod nos jedzenie, a potem opiera wyprostowane ręce na krawędziach blatu. Powoli mknę spojrzeniem od męskich dłoni przez umięśnione bicepsy aż docieram do spokojnej twarzy. Kosmyk ciemnych włosów opada na czoło mężczyzny, a ja tłumię w sobie ochotę na to, by go odgarnąć.

Chryste, ten facet jest gorętszy niż piekło.

– Był tutaj Kayden – mówi.

– Po co? – Marszczę czoło, sięgając po widelec.

– Wspomniał, że dzisiaj jest przesłuchanie w twojej szkole baletowej, a ty się na nie wcale nie wybierasz, więc przyszedł, żeby cię tam zaciągnąć.

– Och – wyduszam z siebie. – Dobrze, że go spławiłeś.

Mężczyzna kręci głową z politowaniem.

– Zrobiłem to tylko dlatego, żeby samemu cię tam zaciągnąć.

Zastygam w bezruchu, rozchylając delikatnie usta. Szybko je jednak zamykam.

– Ryder... dzięki za chęci, ale to naprawdę nie ma sensu. Gdybym tam pojechała, tylko zmarnowałabym czas. Jest tyle lepszych, bardziej utalentowanych ode mnie dziewczyn – bąkam i z lekkim oporem wkładam do ust kawałek omleta.

– Co ci szkodzi spróbować? Graves mówił, że zawsze chciałaś wziąć udział w czymś takim.

– Bo chciałam. Ale nie mam w sobie tyle talentu, by konkurować z kimś, kto tańczy wręcz wybitnie. – Opieram brodę na zgiętej w łokciu ręce i wypuszczam powoli powietrze z płuc. – O rolę Klary bije się kilkadziesiąt dziewczyn. To nie wypali.

– Dlaczego tak bardzo w siebie nie wierzysz, Love? – pyta łagodnie Ryder.

Uśmiecham się smutno, gdy coś sobie przypominam.

– Bo nigdy nie byłam wystarczająco dobra, by podbić świat.

Mężczyzna ściąga brwi. Przez chwilę patrzy na mnie bez słów, gdy jem w milczeniu śniadanie. Robię to powoli, ale po około dziesięciu minutach trzy czwarte dania zostaje przeze mnie zjedzone. Wstaję z miejsca i ruszam w stronę kosza, by wyrzucić to, czego nie dałam rady dokończyć.

– Dzięki, było pyszne – przyznaję szczerze, podchodząc do mężczyzny i opierając brodę na jego szerokim ramieniu. Parodniowy zarost drapie mnie delikatnie w skroń, kiedy Ryder przechyla odrobinę głowę i wzdycha:

– Nie musisz podbijać świata, Love. Możesz pójść tam z myślą, że on już leży u twoich stóp. – Długie palce głaszczą moje biodro uspokajająco. Przymykam powieki i biorę krótki wdech. Obecność tego faceta jest jak najlepsze lekarstwo.

– I co wtedy? – pytam cicho.

– Wtedy tylko udowodnisz wszystkim, dlaczego należy do ciebie. – Wsłuchuję się w jego niski głos jak zaczarowana. I naprawdę nie wiem, z jakiego powodu, w którym momencie, w której sekundzie tak po prostu pozwalam, by spomiędzy moich ust wydostało się krótkie, niekontrolowane:

– Będziesz tam ze mną?

Ryder nie waha się nad odpowiedzią.

– Przez cały czas.

Wyszeptuję z trudem krótkie: *zgoda*.

Kiedy idę później przez długi korytarz szkoły baletowej, czuję się straszliwie zdenerwowana. Wiem jednak, że nie ma już odwrotu. Jestem na liście osób zgłoszonych na przesłuchanie i już za parę minut zostanę zaproszona na scenę. Oddaję klucze do pomieszczenia, w którym mogłam porządnie rozgrzać się przed występem, stojącej przed drzwiami sali teatralnej Ivory, a potem wracam do stojącego przy ścianie Rydera, który ani na moment nie spuszcza ze mnie wzroku. Patrzy na mnie ze swego rodzaju dumą.

I po raz pierwszy od dawna czuję, że ktoś naprawdę we mnie wierzy.

– Gotowa? – zagaduje mężczyzna, wsuwając dłonie do kieszeni skórzanej kurtki.

– Bardziej nie będę – wzdycham, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

– Dziwne, że Graves tak łatwo rano odpuścił i po prostu odjechał. Wyglądał, jakby chciał kibicować ci przed przesłuchaniem.

Na zagadkowy ton głosu Rydera przechylam odrobinę głowę.

– Słucham? – dopytuję.

– On chciał to zrobić, ale z jakiegoś powodu przekazał mi pałeczkę. – Brunet wzrusza krótko ramionami, jakby rzeczywiście nie wiedział, dlaczego Kayden tak po prostu odpuścił.

Ale ja wiem, dlaczego to zrobił. Bo, do cholery, popychał mnie w ramiona Rydera, odkąd wyznałam mu, że mój sąsiad podoba mi się zdecydowanie bardziej, niż powinien. Wykorzystywał każdą okazję, byle tylko spiknąć mnie z Panem Przystojniakiem.

– Z jakiegoś powodu – mówię cicho pod nosem. – No tak.

– Zabiorę cię gdzieś po przesłuchaniu.

– Doprecyzujesz gdzie? – dociekam, ale Ryder jest nieugięty. Kręci głową i studzi moje nadzieje na to, że dowiem się, w jakim miejscu spędzę najbliższe godziny.

– Oczywiście, że nie.

– Ryder. – Wydymam niewinnie dolną wargę.

– Porter, nic ci nie powiem.

– Ale... – zaczynam, lecz nie jest dane mi dokończyć.

– Love Porter! – woła mnie jakaś kobieta. Nie pamiętam nawet jej imienia. Biorę głęboki wdech do płuc. *Teraz albo nigdy*, myślę, ruszając się z miejsca. W tej samej chwili słyszę znajomy głos dochodzący zza pleców:

– Love?

Odwracam głowę. Ryder posyła mi ledwie zauważalny uśmiech.

– Powodzenia.

Odzwajemniam gest i dziękuję mu skinieniem głowy. A później z szybko bijącym sercem przechodzę przez próg pomieszczenia, w którym spędzam niecały kwadrans. Kiedy z niego wychodzę, nadal mam w głowie pokerowe miny osób odpowiedzialnych za dobranie obsady do występu. Właściwie nie mam zielonego pojęcia, czy mogłabym mieć jakieś szanse na to, by dostać upragnioną rolę.

Wiem jednak, że całe zdenerwowanie ulatuje ze mnie tak szybko, jak wsiadam z Ryderem do

range rovera i słyszę, że jedziemy za miasto razem z Chloe i jej synkiem, który bardzo chciał obejrzeć farmę reniferów. Oboje już podobno tam byli.

– To miłe, że Raine o nas pytał – mówię nagle, uśmiechając się na samą myśl, że mały aż tak się za nami stęsknił. Tak przynajmniej twierdziła Chlo, gdy z samego rana zadzwoniła do brata z pytaniem, czy nie chcemy pojechać z nimi w pewne miejsce.

– Naprawdę cię polubił – stwierdza mężczyzna, zerkając na mnie przelotnie.

– Tak sądzisz?

– Powiedział mi coś w sekrecie – mruczy kpiąco Ryder.

Ściągam brwi, absolutnie zbита z tropu. Zerkam również na deskę rozdzielczą, by sprawdzić, która jest godzina. Nie ma jeszcze południa, a wyniki przesłuchań będą mogła sprawdzić dopiero około siódmej wieczorem w budynku szkoły baletowej. Wszystko przez to, że farma, na którą jedziemy, znajduje się bardzo blisko Denver oddalonego od Aspen o około cztery godziny drogi. Ale nie narzekałam na podróż samochodem z Ryderem.

Lubiłam z nim jeździć.

– Co takiego? – pytam zaciekawiona.

– Że gdybyś nie była zajęta, próbowałby coś ugrać. – Mężczyzna unosi kącik ust.

Zagryzam wewnątrz policzka, odwracając się w stronę szyby. Patrzę na mijane przez nas budynki, próbując nie myśleć o tej dziwnej fali gorąca, która nagle oblała całe moje ciało. Jezu, sama, chociaż nieprawdziwa, świadomość, że jestem „zajęta” przez Rydera, budzi we mnie tak wiele emocji, że nie mogę oprzeć się wrażeniu, jakbym miała za moment wybuchnąć od ich nadmiaru. Połykam tchnienie i mówię:

– Raine jest cholernie uroczy.

– Ma to po wujku – rzuca dumnie Ryder.

– Oczywiście. – Uśmiecham się, kręcąc głową z politowaniem. – Masz dzisiaj jakąś wizytę? – pytam, spoglądając tym razem na ładny profil mojego towarzysza.

– Około siódmej. Skoro o tym mowa... – Szarooki zatrzymuje się przed skrzyżowaniem i korzystając z okazji, że stoimy na czerwonym, krzyżuje ze mną spojrzenie. – Pamiętasz, że jutro widzimy się na ostatniej wizycie przed świętami, prawda?

Kiwam głową na potwierdzenie zgody.

– Pamiętam.

– Świetnie. Tylko się upewniam. – Ryder znowu dociska gaz.

A ja już wiem, który sekret mu jutro zdradzę.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, od razu dostrzegam stojących obok drewnianej chatki Chloe oraz Raine’a. Wraz z Ryderem wysiadamy z range rovera, nie tracąc czasu. I tak podróż tutaj zabrała nam go wystarczająco dużo.

– Wujek! – woła mały, podbiegając do stojącego obok mnie mężczyzny z naprawdę cholernie szerokim uśmiechem przyklejonym do twarzy. Rozczulona patrzę na to, jak Ryder porywa siostrzeńca w ramiona, a potem bierze go na ręce.

– Co tam, Raine? – pyta, mierzwiąc wolną dłonią misterną fryzurę dzieciaka.

– Nie dałeś mi się przywitać z ciocią. – Chłopiec robi minę zbitego psa, spoglądając na mnie z wyraźnym smutkiem.

Zachłystuję się powietrzem, gdy Ryder spogląda na mnie z cwaniackim uśmiechem. Nie wyprowadza Raine’a z błędu. Po prostu ponownie krzyżuje z nim spojrzenie, mówiąc:

– Później przywitasz się z ciocią Love.

Po tych słowach mężczyzna rusza z małym w stronę kas, nie zwracając uwagi ani na mnie, ani na swoją siostrę, która zerka na mnie z rozbawieniem. Podchodzę do niej i razem ruszamy za dwójką, która wyprzedziła nas już o przynajmniej kilka dobrych metrów.

– Nie wiem, jak ty to zrobiłaś, ale nie ma wśród Callahanów kogoś, kto by cię nie lubił – parska Chlo, chowając dłonie w kieszeniach długiego płaszcza.

– Błagam, po prostu wszyscy jesteście strasznie mili. Już wiem, dlaczego Ryder jest takim dżentelmenem. – Spuszczam wzrok na śnieg, unosząc kącik ust w uśmiechu, którego przyczyny nie potrafię wytłumaczyć.

– Uwierz, że to nie dlatego wszyscy za tobą przepadają. Polly jest moją przyjaciółką od małego, a moi rodzice i Ryder nigdy nie spojrzeli na nią z takim uwielbieniem, jak patrzyli wczoraj na ciebie – rzuca z niebywałym przekonaniem brunetka.

– Może to Ryder coś im... – zaczynam, ale dziewczyna nie pozwala mi dokończyć.

– Rany, Love. Po prostu coś w sobie masz. I hej, czy możesz mi powiedzieć, w którym momencie przestaliście kopać pod sobą dołki? – Chlo mierzy mnie podejrzliwie, a ja kulę się w sobie, bo, szlag. Sama chciałabym wiedzieć, kiedy przestałam marzyć o przebiciu wszystkich opon w samochodzie Rydera Callahana.

– Czy to przesłuchanie? – odbijam piłeczkę, zgrabnie unikając odpowiedzi.

Spoglądam w stronę swojego sąsiada, który stoi z małym przy kasach i kupuje bilety. Przy okazji wskazuje na nas palcem, zapewne by powiadomić kasjerkę, że wchodzimy razem z nimi. Zaciągam się rześkim powietrzem i wypuszczam je powoli.

– Skądże. Tylko ludzka ciekawość – broni się moja rozmówczyni.

– W takim razie twoja jest naprawdę silna. – Uśmiecham się.

– Och, daj mi się nacieszyć myślą, że mój brat w końcu oszalał na punkcie jakiejś dziewczyny. – Panna Callahan wywraca oczami, na co ściągam brwi w politowaniu.

– Za dużo sobie dopowiadasz, Chlo.

– Jak to stwierdził mój tata: „między tą dwójką iskrzy” – odpowiada moja towarzyszka.

– Lepiej dogońmy ich, zanim zwieją nam sprzed nosa – wypalam i zanim Chloe zdąży zaprotestować, podbiegam do chłopaków. Mały Raine idzie obok Rydera i wydaje się naprawdę zafascynowany widokiem otaczających nas zewsząd reniferów.

– Czemu jesteś taka czerwona? – pyta mnie mężczyzna, a jego brew szybuje w górę.

– Ja... zimno mi – wypalam to, co mi ślina na język przynosi.

Ryder kręci głową z dezaprobatą.

– Mogę wrócić się do samochodu. Mam tam na pewno jakąś bluzę – oferuje.

– Nie! – bąkam pospiesznie. – To znaczy... nie. – Odchrząkuję i odwracam wzrok, by utkwic go w tych przeklętych reniferach.

– Jezu, Porter. Trudno cię rozgryźć.

– Po prostu... chodźmy już. – Skupiam się na wszystkim, tylko nie na słowach przeklętej Chloe Callahan. Bez wątplenia wszyscy z tej rodziny wiedzieli, jak zawstydzić mnie na milion sposobów.

– Okej... – wzdycha Ryder.

Posyłam mu szeroki uśmiech.

Nie liczę na nic, kiedy ponownie tego dnia przemierzam korytarz szkoły baletowej. Jest już siódma, co oznacza, że za moment budynek zostanie zamknięty i to moja ostatnia szansa, by przed świętami dowiedzieć się, czy może jakimś cudem dostałam jakąkolwiek rolę w wydarzeniu, które odbędzie się za kilka miesięcy.

Poprawiam połę płaszcza i biorę krótki wdech. Nie dziwi mnie fakt, że w drodze do odpowiedniej sali nie mijam nikogo, a światła są pogaszone. W końcu jest już późno, a większość zainteresowanych zapewne już dawno tutaj była, by sprawdzić, czy ich nazwisko znalazło się w gronie szczęśliwców, którzy zachwycili swoim występem cały skład jurorów.

Wstrzymuję oddech, gdy wchodzę do właściwej sali. Na stole, który znajduje się w jej centrum, znajduje się kilka kopert dla uczestników przesłuchania. Są w nich albo pozytywne, albo negatywne odpowiedzi od komisji. Dobrze, że mam latarkę w telefonie. Dzięki niej z łatwością odnajduję kopertę ze swoim nazwiskiem. Zniecierpliwiona po prostu rozdieram papier, który trzymam w dłoni. Maszerując już korytarzem w stronę wyjścia z budynku, zaczynam śledzić wzrokiem treść listu.

I chyba dostaję zawału, gdy uświadamiam sobie, że otrzymałam upragnioną rolę. Momentalnie

gaszę latarkę i przytykam dłoń do rozdziawionych ust. Boże, nie wierzę. Nie wiem, jakim cudem udało mi się przekonać do siebie komisję, ale chyba nigdy... chyba nigdy nie czułam się tak dumna z siebie, jak w tym momencie.

Szok pomieszany z radością jednak ucieka ze mnie, kiedy w zaciemnionym korytarzu słyszę cudze kroki. Leniwe, ciężkie i mrozące krew w żyłach kroki. Szybko odnajduję w głowie jedno wspomnienie – bo tylko jedna osoba miała taki chód. Tak powolny. Tak niespieszny, a jednocześnie stanowczy. Ogarnięta paniką rozglądam się po długim przedsionku. *To niemożliwe*, powtarzam w duchu jak mantrę, ale wciąż jedyne, co robię, to patrzę wokoło i poszukuję dowodu na to, że mój brat gdzieś tutaj jest.

Wycofuję się. Mocniej ściskam kopertę w dłoni. Robię parę kroków w tył, czując, jak narasta we mnie strach. Fala zimnych dreszczy przesywa całe moje ciało. Każdy włos jeży się na karku. Nie mogę jednak wydusić z siebie żadnego dźwięku. Nie mogę pozwolić, by Gavin mnie znalazł. Z pewnością wygarnie mi za to, że znowu ignorowałam wiadomości od niego i Aarona.

Zachowywałam się tak, jakby nie istnieli.

A oni nie tolerowali, kiedy się ich ignorowało.

Zmuszam kończyny do ruchu. Przemieszczam się bezdźwięcznie po korytarzu z nadzieją, że to jednak nie Gavin. Jednak gdy dostrzegam w niewielkim oknie niemalże opustoszały parking, orientuję się, że to musi być on. Przed budynkiem stoi jego mercedes. Odwracam się gwałtownie. Przeczesałam wzrokiem ciemność i wciąż nie dostrzegając w niej choćby zarysu męskiej sylwetki, ale nadal słysząc te charakterystyczne kroki, czuję, jak mocno wali mi serce.

Struga potu spływa po moich plecach. Gavin zapewne nie zna drogi do wyjścia ewakuacyjnego. Ze zdławionym w płucach oddechem ruszam więc przed siebie, starając się mieć oczy i uszy szeroko otwarte. I wtedy słyszę, jak osoba stawiająca kroki przyśpiesza. Wydaję z siebie zduszony jęk, gdy teraz już kolejne metry pokonuje truchtem. Słyszę równomierne uderzanie podeszw o posadzkę. Również zmuszam się do biegu. Czuję, jak adrenalina buzuje w moich żyłach, a przerażenie powoduje skurcz żołądka.

Wręcz desperacko pociągam za klamkę drzwi, za którymi znajduje się przejście ewakuacyjne. Są otwarte, więc z ulgą je zamykam i zbiegam po schodach, trzymając się kurczowo barierki. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że serce za moment wyskoczy z mojej piersi. Jest mi naprzemiennie gorąco i zimno. Boję się. Tak cholernie się boję, że mnie dopadnie.

Otwieram kolejne drzwi. Wybiegam na tyły budynku, a potem na pusty chodnik. Mróz szczypie mnie w policzki, a chłodne powietrze zewsząd obłapia, kiedy nie zatrzymując się nawet na sekundę, biegnę w znanym sobie kierunku. W stronę domu. Modlę się w duchu, by Ryder był u siebie. Gdy tylko dostrzegam stojącego na podjeździe range rovera, czuję, jak oblewa mnie ulga. Zziębnięta podbiegam do drzwi. Pukam w nie drżącą dłonią i maniacko rozglądam po podwórku. Jest puste.

– Love? – słysząc znajomy gardłowy głos, odwracam się w stronę Rydera.

– Cześć. – Posyłam mu nieszczerzy uśmiech. – Mogę wejść?

Mężczyzna mruży podejrzliwie oczy.

– Wszystko w porządku? – pyta łagodnie, przepuszczając mnie w drzwiach.

– Dlaczego pytasz? – odbijam piłeczkę, zrzucając z ramion płaszcz.

– Bo ty nigdy nie pytasz, czy możesz wejść – zauważa słusznie szarooki.

Przecieram dłońmi twarz i przyznaję, mijając się odrobinę z prawdą, bo „ktoś” nie brzmi wcale jak „mój brat”:

– Po prostu wydawało mi się, że... ktoś za mną idzie.

Ryder zaciska szczękę.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Byłam zajęta zabawą „spieprzam gdzie pieprz rośnie”. – Krzywię się i biorę na ręce Gargamela, który podbiega do mnie, merdając wesoło ogonem. – Możemy już o tym nie rozmawiać? – Czuję, że jeszcze moment i ze strachu zwymiotuję.

Stojący obok mężczyzna niechętnie przytakuje.

– Gdyby coś takiego się powtórzyło...

– Będziesz pierwszą osobą, która się o tym dowie – przerywam mu.

– I pierwszą, która odrąbie sukinsynowi łeb siekierą – mamrocze pod nosem Ryder.

Unosząc ledwie zauważalnie kącik ust, przybliżam się do mężczyzny, a później całuję go delikatnie w policzek. Nie wiem, czym sobie zasłużyłam na troskę kogoś takiego jak on. Nigdy nie czułam się dla kogoś tak cholernie ważna, jak teraz dla Rydera.

– A czy ty nie miałeś mieć pacjenta? – pytam zdziwiona.

– W ostatniej chwili odwołał wizytę. Idź do salonu, zrobię herbatę – nakazuje głosem, który nie oczekuje buntu. – Cała się trzęsiesz. – Czarnowłosa spogląda mi w oczy z wręcz namacalną troską. W grafitowych tęczówkach jest jednak coś jeszcze. Pewien rodzaj... dziwnego gniewu.

Kiwam głową w geście zgody i ruszam z Gargamelem do salonu. Wciąż czuję lekki niepokój na końcach wszystkich nerwów. Gavin jest blisko. Jestem tego pewna. Siadam na podłodze przed kominkiem i opieram się plecami o sofę. Patrzę beznamiętnie w tłący się za szybą ogień. Nawet nie wiem, w którym momencie Ryder siada obok mnie. Kładzie gdzieś po swojej prawej stronie dwa parujące kubki z herbatą, a później... później pozwala mi oprzeć policzek na swojej piersi i wsłuchać się w powolne bicie swojego serca.

I nagle słyszymy stłumiony odgłos walenia pięścią w drzwi.

Ale nie w drzwi Rydera.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY



RYDER

Chcę wstać, ale drobna dłoń, która oplata przegub mojej ręki, zatrzymuje mnie w miejscu. Patrzę to na palce oplatające mój nadgarstek, to na twarz Love, na której maluje się strach pomieszany z troską. Brunetka kręci głową w geście protestu, prosząc szeptem:

– Nie idź.

Wzdycham i obejmuję wolną dłonią blady policzek dziewczyny. Głaszczę go swobodnie kciukiem, starając się uspokoić roztrzęsioną Porter.

– Ktoś zaraz wyważy ci drzwi, Love – odpieram opanowany.

– Niech to zrobi, ale nie idź – powtarza łamiącym się głosem.

– Love... – zaczynam, ale nie dokańczam, bo brązowooka najpierw puszcza moją rękę, a potem wczołguje się na moje kolana. Przywiera kurczowo do mojego torsu i najwyraźniej żywi naiwną nadzieję, że w ten sposób mnie powstrzyma. Opieram brodę na kobiecym barku i składam na nim krótkie, aczkolwiek czułe muśnięcie ust.

– Zostań ze mną – mruczy dziewczyna, wplatając drżącą dłoń w moje włosy. Ciągnie za nie mocno, na co wzmacniam uścisk palców na wyraźnie zarysowanym wcięciu w jej talii. – Zostań, Ryder. Ten ktoś w końcu sobie pójdzie.

– Love – rzucam ostrzegawczo. – Albo ze mnie zejdziesz, albo cię zrzucę.

– Nie możesz tam iść.

Czuję, jak przechodzi mnie zimny dreszcz, gdy z jej piersi wrywa się niemalże płaczliwy jęk. Drobne ciało trzęsie się w moich ramionach, więc oplatom je jeszcze szczelniej. Love bierze nerwowe wdechy do płuc, gdy w oddali znowu rozlega się walenie w drzwi.

– Nie możesz tam pójść, bo się o ciebie boję. Bardzo... boję – wykrztusza z siebie z trudem, przelękając nagromadzoną w ustach ślinę.

– Nic mi nie będzie – zapewniam i delikatnie zrzucam ją ze swoich kolan. Love patrzy na mnie z dołu, gdy wstaję na równe nogi, a potem ruszam w stronę drzwi prowadzących na taras. Zimne powietrze przyjemnie mnie orzeźwia, kiedy sięgam po tkwiącą w pniu drzewa siekiere i kieruję się w stronę podwórka Porter.

I naprawdę spodziewam się zobaczyć przed nieszczęsnymi drzwiami jej brata. Wygląda na nieźle rozjuszonego. Wciąż uderza zawzięcie w drewno i krzyczy coś na kształt: „wiem, że tam jesteś”. Patrzę na niego ze współczuciem. Takich knypków ojciec uczył mnie przeganiać, gdy byłem jeszcze gówniarzem.

– Jakiś problem? – pytam nonszalancko i mocniej ściskam trzon siekiery, który swobodnie opieram na ramieniu.

Wysoki chłopak odwraca głowę i przez krótką chwilę taksuje mnie obojętnym spojrzeniem. Odwdzięczam mu się tym samym, myśląc, że rzeczywiście jest podobny do Love. Widać, że są ze sobą spokrewnieni.

– To ty – mruczy w odpowiedzi, jak mniemam, Gavin. – Szukam siostry.

– A wydawało mi się, że Porter nie jest głucha. – Uśmiecham się drapieźnie. Prowokująco i bezczelnie. Niezapowiedziany gość wsuwa jedynie dłonie do kieszeni skórzanej kurtki oraz odpiera arogancko:

– Najwyraźniej jest mało gościnna, skoro każe mi tutaj tak długo czekać.

Kręcę głowę z rozbawieniem.

Co za kutas.

– Posłuchaj mnie – mówię ze stoickim spokojem i robię kilka powolnych kroków w jego stronę, niczym myśliwy polujący na swoją ofiarę. Kiedy dzieli nas niecały metr, patrzę na niego z góry i dodaję z niezachwianą powagą: – Jeśli to coś ważnego, chętnie jej przekażę.

Na moment pomiędzy nami nastaje cisza, gdy tak po prostu obserwujemy się bez słów, ale za to z jawną pogardą.

– Jak to: *przekażesz?* – parska w końcu chłopak.

Znowu unoszę kącik ust. To zabawne, że jest tak kurewsko wyszczekany.

– Tak się składa, że twoja siostra wyleguje się w moim łóżku i uwierz, naprawdę nie ma ochoty przejmować się obecnością idioty, który nie pojmuje, że nie jest tu mile widziany – wypalam bez emocji i przechylam leniwie głowę w bok. Mój uśmiech staje się jeszcze szerszy.

Stojący przede mną facet jedynie zaciska szczękę.

– Mała dziwka – bąka pod nosem.

Zwężam oczy. Przez moment zastanawiam się, czy on naprawdę palnął coś takiego o Porter. A potem odrzucam siekiere gdzieś w bok i niewiele myśląc, tak po prostu oplatam palcami gardło tego sukinsyna i popycham go na drzwi. Chłopak opada na nie z głośnym łoskotem i momentalnie próbuje się wyswobodzić, ale bezskutecznie. Każda jego próba strącenia mojej ręki kończy się tym, że wzmacniam uścisk wokół jego krtani.

Prycham pogardliwie i nie spuszczam wzroku z jego poczerwieniałej twarzy.

– Naprawdę powinieneś ważyć słowa. – Zwilżam językiem wargę i czuję nieopisaną satysfakcję na widok gówniarza zdanego na moją łaskę. – Bo cena, którą możesz później za nie zapłacić przy odrobinie twojego pecha i mojego braku kontroli nad sobą, może okazać się cholernie wysoka.

– Kurwa, naprawdę chcesz obracać kogoś takiego jak ona? – wydusza z siebie jadowicie brunet.

Od razu jeszcze mocniej zaciskam palce na jego gardle.

– To chyba nie jest twój interes, co?

Gavin charczy, próbując nabrać powietrza. Przygwożdżony do drewnianych drzwi powoli opada z sił. Z trudem wykrztusza jednak krótkie:

– Ona i tak wróci do niego. Zawsze wraca, jak jebany kundel do swojego właściciela.

Mimo że nie rozumiem nic z tego, co ten sukinsyn mówi, nie pozwalam, by przez moją twarz przemknęła chociaż jedna beznadziejna emocja. Z niewzruszeniem nadal trzymam dłoń na jego gardle i patrzę, jak jeszcze bardziej pąsowieje.

– Jeszcze raz cię tu zobaczę, a przysięgam, że nie będę taki delikatny, jak byłem dzisiaj – mówiąc to, puszczam chłopaka i obserwuję, jak chwytając się za gardło, połyka głębokie wdechy. Jego klatka piersiowa podskakuje w zawrotnym tempie, a oczy nadal są przekrwione. – Zbliź się do niej, a naprawdę odjebię ci wszystkie palce – ostrzegam zimno.

A później odwracam się na pięcie. Chwytam w dłoń siekiere i z przecuciem, że to jednak wcale nie jest koniec ekscesów z upierdliwym braciszkiem Love, ruszam w stronę własnego ogrodu. Tam wbijam ostrze w pień. Ostatni raz spoglądam prosto w czarne niebo, zanim przechodzę przez drzwi tarasowe. Zamykam je z trzaskiem i krzyżuję spojrzenie z wyraźnie zdenerwowaną dziewczyną, która siedzi na sofie z dłońmi wetkniętymi pomiędzy uda. Gdy do niej podchodzę, nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Nic ci nie jest? – pyta, kiedy kucam przed nią i opieram przedramiona na jej kolanach. Obserwując ją z dołu, przypominam sobie te wszystkie słowa tamtego skurwiela. Do kogo niby Love miałyby wrócić? Kogo porównał do jej właściciela?

Powoli sięgam po jej dłoń. Czuję, jak Love wzdryga się, kiedy wyciągam je pomiędzy zgrabnych ud. A potem delikatnie muskam ich wierzchnią część ustami, odpierając ze spokojem:

– Nic a nic. Nie martw się już.

– Nie mogę – wydycha Love. – Nie mogę, bo nie cierpię każdej myśli, która zakłada, że coś ci grozi – dodaje i zwiesza głowę, przymykając powieki. Zupełnie tak, jakby po tym wyznaniu nie chciała na mnie patrzeć.

– Hej – mówię szeptem. – Nie wstydz się, Love. Nie masz czego.

Mój ton jest miękki i łagodny. Zupełnie inny od tego, którym zwracałem się do jej brata. Przez moment trwamy tak bez słów, w tej samej pozycji. Aż w końcu znowu przyciągam dłoń dziewczyny do swoich zimnych warg i zaczynam:

– Nie masz czego, ponieważ mi też...

Przełykam z trudem, bo słowa, jak na złość, nie chcą opuścić moich ust.

– Tobie też co, Ryder? – Ciemne oczy patrzą na mnie z ufnością.

– Mi też zależy – odpowiadam w końcu. – Na tym, żebyś była bezpieczna. Zależy mi... cholera.

– Robię krótką pauzę, a później wyznaję zupełnie szczerze: – Na tobie, Love. Chcę cię chronić i mieć pewność, że już nikt więcej cię nie zrani.

Dziewczyna unosi kącik ust w smutnym uśmiechu.

– Nie możesz mówić mi nic podobnego – odpiera szeptem.

Siadam na dywanie, opieram plecy o sofę, a później ciągnę Love za nogi i z łatwością wciągam ją na swoje kolana. Jest lekka jak piórko. I zdecydowanie smutna. To, jak odwraca wzrok, byle tylko nie spojrzeć mi w oczy, sprawia, że czuję, jak ogarnia mnie nagle przeraźliwe zimno. Ściągam brwi i pytam zaciekawiony:

– Niby dlaczego nie mogę?

Porter nadal na mnie nie patrzy. Ustawiam więc ją na sobie tak, by usiadła na mnie okrakiem i tym razem nie miała drogi ucieczki. By musiała skrzyżować ze mną spojrzenie. A ona po krótkiej chwili robi to. Z wyraźnym oporem, bez przekonania, ale podnosi wzrok.

– Bo gdy to robisz, czuję się coś warta – mówi cicho. – A ja przecież...

Nie pozwalam jej dokończyć. Po prostu wypalam z przekonaniem krótkie:

– Jesteś warta więcej, niż sądzisz.

– Ale nie jestem warta ciebie.

Kładę dłonie na jej udach i wsuwam kciuki pod nitki czarnych kabaretek. Jej skóra jest miękka i ciepła, gdy przesuwam po niej opuszkami palców. Love rozluźnia się nieco i z westchnieniem opiera brodę na moim ramieniu.

– Rany, Love. Gdybyś wczoraj w nocy też kazała mi przyznać, co mnie uszczęśliwia, usłyszałaś swoje imię – mówię szczerze, zaciągając się słodkim zapachem jej perfum i nadal głaszcząc odkryte uda. – Ty też mnie uszczęśliwiasz. Na cholernie dużo sposobów. I gdyby nie to, że tak trzeba, już dawno spróbowałbym zrobić wszystko, żebyś... spojrzała na mnie inaczej. Tak, jakbyś brała pod uwagę to, że moglibyśmy być dla siebie *kimś więcej*.

– Ale tak trzeba – mruczy mi w szyję brunetka.

– Tak trzeba – potwierdzam cicho, gapiąc się beznamiętnie w sufit.

Jeśli kiedykolwiek myślałem, że znałem definicję słowa *rozdarto*, to zdecydowanie byłem bardzo naiwny. Bo dopiero teraz na własnej skórze przekonuję się, jak bardzo na sercu może ciążyć jeden dylemat. Masz dwie drogi wyjścia. Chcesz podążyć obiema, ale przecież nie możesz. Musisz podjąć decyzję.

I ja musiałem ją podjąć w momencie, w którym zaoferowałem Love Porter pomocną dłoń. Zrobiłem to jako psycholog, tym samym skazując naszą relację na tor, który mijał się z czymś, co może kiedyś udałoby nam się nazwać *czymś więcej*. Ale z dnia na dzień pragnąłem cofnąć czas i nie wpisywać jej tamtego wieczora na listę pacjentów. Bo mimo tego, że starałem się tłumić w sobie wszystko to, co zaogniała we mnie jej obecność, moje starania zawsze sprowadzały się do punktu wyjścia – do świadomości, że Love Porter mnie fascynuje.

A wcale nie powinna.

– Ryder? – szept dziewczyny wyrywa mnie z krótkiego letargu.

Wzdycham cicho i odpieram:

– Tak?

– Nie cierpię tego, że tak trzeba – słyszę w odpowiedzi.

– Ja też, Love – mówię zgodnie z prawdą. Bo również tego nie cierpię. Nie cierpię myśli, że nie mogę chwycić dwóch srok za ogon. Nie mogę jednocześnie pomagać tej dziewczynie i pozwolić sobie na to, by czuć do niej coś więcej.

– Ale uwielbiam to, że gdy wychodzę z twojego gabinetu, chociaż przez moment czuję się lepiej ze sobą. Chociaż przez krótką chwilę czuję się bardziej wolna niż kiedykolwiek wcześniej – wyznaje Love.

Przez moment trawię w duchu sens jej słów. A ten działa na mnie jak paralizator. Bo znowu czuję

się jak skończony dupek, który przekracza granice. Dlatego też ściągam delikatnie Love ze swoich kolan. Podnoszę się powoli do pionu w akompaniamencie zdziwionego tonu dziewczyny:

– Powiedziała coś...

– Nie – kłamię jak z nut. – Zimno ci.

W gruncie rzeczy naprawdę jestem w stanie dostrzec na jej ciele gęsią skórę. Porter odpowiada mi więc krótkim skinieniem, dlatego ruszam w stronę korytarza. Zanim udam się do sypialni, skręcam jednak do łazienki, gdzie chlustam sobie zimną wodą w twarz. Patrę przez chwilę na swoje odbicie w lustrze i zaciskam mocno palce na umywalce. Dopiero po kilkunastu sekundach bicia się z własnymi myślami prostuję się i kieruję do właściwego pomieszczenia. Z szafy wyciągam losowy sweter, a później wręczam go Love.

– Trzymaj.

– To ty miałeś mi się w nim pokazać – wypala, a ja dopiero teraz orientuję się, że dałem jej ten nieszczęśny ciuch z reniferem. Z westchnieniem opadam znowu na podłogę, jednak tym razem zachowuję pomiędzy nami półmetrowy dystans.

– To ty jesteś zmarzluchem. – Wzruszam ramionami.

Obserwuję, jak Love wciąga na siebie sweter. Jest na nią sporo za duży, w końcu ta dziewczyna jest tak strasznie drobna. Musi porządnie zakasać rękawy, by jej nie przeszkadzały. Kiedy uznaje, że jest jej już w nim wygodnie, mruczy pod nosem:

– I tak chcę cię w nim zobaczyć.

– Może kiedyś – odpieram, wciąż wpatrując się w nią bez wyrazu.

A ona to zauważa.

– Ryder – zagaja szeptem.

– Tak?

– Powiedz coś.

– Do twarzy ci w bieli.

Sięgam po herbatę. Jest już letnia, gdy upijam łyk. Spoglądam na siedzącą obok brunetkę, która w tym momencie prezentuje się jak dorodny pomidor. Uśmiecham się kącikiem ust, dodając:

– W czerwieni też.

Jedyne, na co zdobywa się moja sąsiadka, to pacnięcie mnie pięścią w ramię. Wywracam z rozbawieniem oczami, bo to uderzenie jest tak lekkie, że ledwie wyczuwalne. Zerkam w stronę ognia palącego się w kominku i nawet nie wiem, w którym momencie Love podsuwa mi pod nos jeden z dwóch długopisów.

Patrę na nią z wyraźnym niezrozumieniem.

Co ona kombinuje?

– Kółko czy krzyżyk? – pyta, wskazując sugestywnie na swoje nogi.

No tak, o zgrozo. Ma na sobie te przekłete kabaretki.

– Love, to dziecinne – staram się z tego wykręcić, ale ona wsuwa mi pomiędzy palce długopis.

– Kółko czy...

– Krzyżyk – pomrukuję w końcu i patrę, jak dziewczyna wpisuje w jedno oczko swoich rajstop kółko. Uśmiecha się przy tym tak szeroko, że przez chwilę zastanawiam się, czy nie bolą jej przypadkiem policzki. Zaznaczam krzyżykiem oczko znajdujące się w lewym górnym rogu naszego prowizorycznego pola do gry.

– Jeśli przegrasz, dasz mi poprowadzić swój samochód – wypala Porter.

– Śniesz – ucinam krótko i bez emocji.

– O tym, jak rozwalam twoje cacko? Co noc.

Podrywam głowę, by na nią spojrzeć. Ta mała harpia puszcza mi oczko.

– A jeśli to ty przegrasz? – pytam.

– Wtedy będę twoją złotą rybką i spełnię twoje życzenie.

Ściągam brwi, patrząc na to, jak moja rywalka wpisuje kółko w oczko znajdujące się na dole, pomiędzy skrajnymi polami. Jestem okropnie skupiony, kiedy śledzę wzrokiem rozstawienie tych beznadziejnych kółek i krzyżyków. Przecież nie dam jej swojego samochodu. Love Porter jest

roztrzepana, a ja nie marzę o wymianie części auta.

- Złota rybka spełniała trzy – zauważam słusznie.
- Nie wdawajmy się w szczegóły.
- Moja złota rybka jest podróbą.

Dziewczyna zwęża oczy, prychnąc pogardliwie:

- Hej, nawet jej jeszcze nie złowiłeś.
- Kwestia czasu. – Unoszę kącik ust.

– Chciałbyś – odpiera drwiąco, a potem śledzi wzrokiem nasze pole gry. Nie uciekam spojrzeniem od jej zamyślonej twarzy, dostrzegając tę ledwie zauważalną bruzdę, która klaruje się pomiędzy jej zmarszczonymi w zastanowieniu brwiami. – Nie rozpraszaaj mnie.

Unoszę ręce w obronnym geście i protestuję:

- Nie rozpraszam cię.

Love kręci głowę z jawną dezaprobatą. Ja w tym czasie przyciskam lekko końcówkę długopisu do jej skóry i starannie zaznaczam zajęte przez siebie oczko.

- Perfekcjonista – komentuje dziewczyna.

Ponownie odsuwam się od niej na bezpieczną odległość, by mogła swobodnie przeanalizować sytuację.

– Lepiej się skup, Porter – sugeruję, a mój głos przesiąka kpina. Brunetka jedynie parska pod nosem i niewiele myśląc, zaznacza kółkiem swoje oczko. Robi to jednak zdecydowanie zbyt szybko, bo nie zauważa pewnego szczegółu.

- Uwierz, jestem tak skoncentrowana, że nie masz szans na to, by... co?
- Szach i mat – mówię ze spokojem, patrząc z satysfakcją na rząd swoich krzyżyków.
- To chyba jakiś żart – wypluwa Love.
- Umiejętności – poprawiam ją.

Obruszona brunetka krzyżuje ręce pod biustem, a ja stwierdzam w duchu, że naprawdę liczyła na przejażdżkę moim samochodem. W jej oczach dostrzegam jedynie niezadowolenie w bardzo klarownej postaci.

- Dobrze sobie. Pieprzyć tę grę – mamrocze niepokieszona Porter.
- A moja nagroda? – dopytuję, odkładając długopis gdzieś obok.

Potem ponownie zerkam w stronę swojej sąsiadki, która zaciska usta w wąską kreskę. Zupełnie tak, jakby nagle zrozumiała, że nie tylko nie dostanie kluczyków do mojego range rovera, ale również będzie musiała podporządkować się mojemu żądaniu.

- Czego sobie życzysz, hm? – pyta po krótkiej chwili ciszy.
- Powiem ci w swoim czasie.
- Nie jestem cierpliwa. – Love krzywi się nieznacznie.
- Wiem – odpieram szczerze.
- I robisz to specjalnie.
- Może? – Uśmiecham się półgębkiem.

– Drań – kwituje dziewczyna i z leniwym ociąganiem podnosi się do pionu. Patrząc na to, jak poprawia rękawy swojego, a właściwie to mojego swetra, i zadzierając hardo brodę, rusza w kierunku korytarza. Jej kroki są lekkie i bezdźwięczne.

- Gdzie idziesz? – dociekam.
- Jak najdalej od ciebie.

Kręcę głowę z pobłażaniem i wołam za nią:

- Nie umiesz przegrywać!

Love w odpowiedzi pokazuje mi środkowy palec, zanim znika w ciemnościach korytarza. Nawet nie wiem, w którym momencie mój uśmiech staje się jeszcze szerszy. Również wstaję na równe nogi. Następnie podnoszę z podłogi kubki po herbacie, mrużąc pod nosem:

- I w dodatku jesteś wulgarna.

Ale lubię cię taką, jaka jesteś, Love.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY



RYDER

Nie odrywam wzroku od ekranu laptopa nawet na sekundę. Odgłos obcasów uderzających o podłogę rozbrzmiewa po moim gabinecie, ale jakaś zwykła potrzeba przekonania się, kto wszedł do niego bez pukania, nie odwodzi mnie od szybkiego uzupełnienia notatek dotyczących Devona.

– Dokumenty, o które prosiłeś – słyszę znajomy głos, a potem szelest kartek stykających się z powierzchnią biurka. Skupiony na pracy odpowiadam recepcjonistce skinieniem i krótkim:

– Dziękuję, Elise.

– Gdybyś jeszcze czegoś potrzebował, po prostu zadzwoń – rzuca uprzejmie, a ja w końcu uciekam wdzięcznym spojrzeniem do jej twarzy, którą zdobi niezobowiązujący szczery uśmiech.

– Jasne – odpieram i znowu koncentruję uwagę wokół notatek.

Odgłos stukających w posadzkę szpilek staje się mniej słyszalny, co podpowiada mi, że Elise opuściła już gabinet. Szybko jednak zastępuje go cichy szmer i pytanie zadane przez moją ostatnią dzisiejszego dnia podopieczną:

– Kto to był?

Wzdycham, ale wciąż gapię się w ekran laptopa.

– Ciebie też miło widzieć, Love – rzucam ze spokojem.

– Twoja pacjentka? – dopytuje wścibsko dziewczyna.

– Jak spędziłaś dzień? – Dopisuję ostatnie zdanie w pliku.

– Często tu bywa?

Zamykam klapę sprzętu i mimo rozbawienia, które czuję w każdym skrawku ciała, wyduszam z siebie krótkie oraz poważne:

– Bardzo.

Love marszczy nos. Udaje, że moja odpowiedź nie robi na niej wrażenia, gdy zasiada na sofie, odkłada na bok płaszcz i torebkę, a później rozgląda się po gabinecie, jakby zjawiała się w nim przynajmniej po raz pierwszy w życiu. Patrzą na nią przez chwilę w milczeniu. A potem tak po prostu wyciągam z szuflady czarny notes.

– To druga recepcjonistka. Wróciła właśnie z macierzyńskiego – wyjaśniam, obserwując jej reakcję. Brunetka rozchyła delikatnie usta, ale szybko sznuruje je w wąską linię.

– Och – burczy pod nosem po kilku sekundach.

Widząc, że zwiesza głowę, by ukryć rumieniec, postanawiam zmienić temat.

– Nie spóźniłaś się – zauważam i spoglądam na zegarek oplatający mój nadgarstek. Za minutę będzie ósma, co oznacza, że Love Porter najwyraźniej potrafi czasem być punktualna.

– Nie – potwierdza i kładzie rękę na podłokietniku sofy.

Kiwam głową i sięgam po długopis.

– W porządku. Gotowa? – Patrzą jej prosto w oczy, jakbym chciał upewnić się, że nie dostrzegę w nich chociażby grama protestu.

– Myślę, że tak.

Otwieram notes na niezapisanej jeszcze stronie. Poprawiam mankiety czarnej marynarki i zapisuję w rogu kartki dzisiejszą datę. Później ponownie krzyżuję spojrzenie z siedzącą naprzeciwko dziewczyną i pytam neutralnym tonem:

– Jak się dzisiaj czujesz?

Love chwilę zastanawia się nad moimi słowami.

– Nie powiem ci, że świetnie, ale nie powiem również, że tragicznie – stwierdza po namyśle,

zakładając nogę na nogę. W dalszej kolejności brunetka splata palce na kolanie i zaczyna bawić się rąbkiem swojej sukienki.

– Więc tak pół na pół? – podpowiadam jej.

– Pół na pół – stwierdza z przekonaniem.

Przytakując, prostuję się swobodnie na fotelu.

– Chciałbym porozmawiać z tobą dzisiaj o twojej rodzinie. Czy twoje samopoczucie pół na pół się na to zgodzi? – pytam spokojnie, nie siląc się ani na zbyt łagodny, ani na zbyt formalny ton. Panuję nad swoim głosem, by ten pozostał po prostu wyważony.

Love zaczesuje kosmyk włosów za ucho.

– Myślę, że moje samopoczucie pół na pół się na to zgodzi – odpiera.

– W razie czego...

Zanim zdążę dokończyć, moja rozmówczyni przerywa mi:

– Tak. Powiem ci, jeśli wkroczysz na niepewny grunt.

– Cieszę się, że o tym pamiętasz – zaznaczam i pochylam się lekko do przodu, by oprzeć przedramiona na solidnym biurku. – Aspen nie jest twoim rodzinnym miastem – zaczynam, przypominając sobie naszą pierwszą rozmowę w tym gabinecie.

– Nie – potwierdza Love. – Pochodzę z Carson City. Tam mieszkają moi rodzice i moje rodzeństwo.

Obserwuję, jak dziewczyna mocniej ściska pomiędzy palcami materiał sukienki. Jak napiera zębami na dolną wargę i ucieka spojrzeniem do panoramy Aspen widocznej za przeszkloną ścianą. Zaśnieżone szczyty gór chowają się za gęstą mgłą spowijającą miasto.

– Gdy o nich mówisz, stajesz się niespokojna – dodaję ostrożnie.

– Bo oni wszyscy zabrali mi mój spokój już dawno temu, Ryder. – Brązowooka uśmiecha się smutno. To nie jest jednak gest pełen niepokojenia i przejęcia. To gest tak obojętny i letargiczny, że momentalnie uderza we mnie pewna świadomość.

Love nie czuje nic. Nawet żalu do tych, którzy ją skrzywdzili.

– Znajdziemy sposób, byś odzyskała swój spokój – stwierdzam, a dziewczyna odwraca głowę, by na mnie spojrzeć.

– Znajdziemy? – pyta szeptem.

– Wspólnie. – Potwierdzam skinieniem.

– To będzie trudne.

Wzruszam ramionami, nadal utrzymując z nią kontakt wzrokowy.

– Nie boję się wyzwań – oznajmiam z przekonaniem.

– Kiedy zapytałeś ostatnio, przed przesłuchaniem, dlaczego w siebie nie wierzę... pomyślałam wtedy o nich – wyznaje po kilkunastu sekundach Love.

– O rodzinie – bardziej stwierdzam, niż pytam.

– Tak.

– Ale nie powiedziałaś tego na głos. – Przypominam sobie naszą rozmowę i pocieram dłonią linię szczęki w zastanowieniu. Jestem pewien, że gdy rozmawialiśmy w kuchni, nie usłyszałem, że to rodzina stoi za jej brakiem wiary w siebie. Jasne, domyślałem się tego, ale potwierdzenie tej tezy dostaję dopiero teraz.

– Bo to boli podwójnie – stwierdza szczerze dziewczyna, a ja wciąż wpatruję się w nią uważnie.

– Gdy ktoś mówi ci, że jesteś nikim i nic nie osiągniesz, bo niewiele potrafisz. To boli. Ale gdy mówią ci to najbliżsi przy każdej możliwej okazji... to boli dwa razy bardziej, bo w pewnym momencie zaczynasz w to wierzyć. Wierzysz w to, co jest ci wpajane i powtarzane bez przerwy. Wierzysz komuś i przestajesz samemu sobie. Bo skoro kilka osób, które cię znają, potwierdza tę samą myśl, musi tkwić w niej ziarno prawdy.

Zapisuję krótki wniosek w notatniku, a później, podrywając głowę, pytam:

– Sądzisz, że te osoby naprawdę cię znały?

Love ściąga nieznacznie brwi, jakby zdziwiły ją moje słowa.

– Mieszkaliśmy pod jednym dachem... – odpiera.

– To czasami zbyt mało, by kogoś znać – mówię. – Czy te osoby wiedziały, że nie cierpisz koloru fioletowego? Że uwielbiasz muzykę klasyczną? Albo że gdy się stresujesz, maniakalnie poprawiasz włosy?

Moja rozmówczyni przez moment zastanawia się nad tym, co ode mnie usłyszała.

– Ja... – Robi krótką pauzę. – Sądzę, że nie.

– Ludzie z reguły lubią wysnuwać wnioski na czyjs temat, nie mając pojęcia, jaki ten ktoś naprawdę jest. A takie wnioski to zwykle bzdury, bo jak możesz ocenić wiarygodnie coś, o czym nie masz zielonego pojęcia, Love? – Opieram wygodnie kostkę na kolanie, uprzednio biorąc do ręki notes i długopis. Potem znowu spoglądam na siedzącą na sofie brunetkę.

– Nie mogę ocenić tego wiarygodnie... – przyznaje mi rację.

– I to jest właśnie słowo klucz: *wiarygodnie*. Bo ocenić cię może każdy. Ale ktoś, kto cię nie zna, nigdy nie zrobi tego wiarygodnie. Czasami myślenie, że rodzina wie o tobie wszystko, bo życie razem w jednym domu, jest naiwne. Bo zdarzają się takie sytuacje, gdy z rodziną najlepiej... wychodzi się jedynie na zdjęciu – dokańczam swoją myśl.

Love przymyka na moment powieki.

– Zawsze byłam tą gorszą – zaczyna beznamiętnie.

– Od kogo, Love?

– Od mojego rodzeństwa. – Jej głos jest niewiele głośniejszy od szeptu. – Starszego brata i młodszej siostry. Wiecznie byłam jedynie kozłem ofiarnym, który obrywał za wszystko. Wiecznie byłam tym nieudanym dzieckiem niepasującym do obrazka perfekcyjnej rodziny Porter. – Dziewczyna nadal nie otwiera oczu. Zupełnie tak, jakby prościej jej było w ten sposób wyrzucać z siebie kolejne zdania. Jakby w odmętach podświadomości próbowała odnaleźć swoje wspomnienia i ubrać je w słowa, a potem wypowiedzieć na głos w przestrzeń.

Nie odzywam się. Po prostu słucham tego, co mówi Love.

– Gavin był idealny – kontynuuje. – Jeden z najlepszych zawodników drużyny futbolu. W ogólniaku, a potem na studiach. Idealne, złote dziecko ze świetnymi ocenami i perspektywami. No i z potencjałem, by stać się godnym następcą ojca, gdy ten zdecyduje się przejść na emeryturę i oddać mu kancelarię. Gavin był zawsze wzorem, a ja musiałam go doścignąć. Miałam być taka jak on. Wzorowym dzieckiem państwa Porterów. Ale nie wyszło. – Zastygam w bezruchu, gdy Love wzrusza z nieprzejęciem ramionami.

Nie spuszczam z niej wzroku. Chłonę jej szczere wyznania, zachowując przy tym kamienną twarz.

– Dostawałam burę za każdą złą ocenę – wzdycha moja rozmówczyni. – Pamiętam dzień, w którym przyniosłam do domu swój sprawdzian, na którym po raz pierwszy napisany był najniższy stopień. Wtedy ojciec powiedział mi, że jestem głupia i nic w życiu nie osiągnę. A przecież byłam tylko... dzieckiem, któremu powinna się noga.

Love otwiera oczy. Kącik jej ust znowu unosi się w smutnym uśmiechu.

– I tak było za każdym razem. Każde moje niepowodzenie kończyło się tak samo. „Nie ma dla ciebie przyszłości”, „żałuję, że jesteś moją córką”, „wolałbym, żebyś się nigdy nie urodziła, bo jedyne, co robisz, to przynosisz mi wstyd”. Mój ojciec nie miał dla mnie litości. Cokolwiek bym nie zrobiła, on zawsze miał w pogotowiu kolejną wiązaną przekleństw. I słowa, które naprawdę potrafiły sprawić, że nocami płakałam w poduszkę. Ale nie płakałam dlatego, że mój ojciec taki był. Płakałam, bo ja nie byłam taka, jaka chciał, bym była – szepcze, przechylając głowę i wplatając dłoń w ciemne włosy.

Jej wzrok łąduje gdzieś w martwym punkcie zlokalizowanym za oknem.

– Próbowałam robić wszystko, by być idealna. Ale w końcu dotarło do mnie, że nigdy taka nie będę. Więc pogodziłam się ze świadomością, że jestem beznadziejna i bezwartościowa. Nie zasługiwałam na nic. Nawet na odrobinę miłości własnego ojca – wydycha, a ja nie poruszam się nawet o cal. Zaszuchany, skoncentrowany na Love i jej wyznaniach, śledzę spojrzeniem jej cholernie spokojną, pozbawioną wyrazu twarz.

– Gavin patrzył na to z uśmiechem. Wiedział, że to się już nie zmieni. I nie miał oporów. Wiedział, że skoro własny ojciec tak mnie gnoi, nie oberwie mu się, jeśli będzie zachowywał się tak

samo. Mówił mi wiele przykrych rzeczy. I teraz wiem, że poszedł w ślady ojca. Mój brat jest taki sam jak on.

Na wspomnienie brata Love instynktownie mocniej zaciskam palce na przeklętym długopisie. Poluźniam uścisk, dopiero gdy w niewielkim przedmiocie coś strzyka. Siedząca parę metrów dalej brunetka na szczęście tego nie słyszy. Albo jest tak pogrążona we własnych myślach, że nie chce słyszeć absolutnie niczego.

– Mama patrzyła na to wszystko z boku. Bała się odezwać. Ojciec był tyranem, ale stawał się prawdziwym sukinsynem, gdy ktoś stawiał mu opór. To zabawne, że tak wiele ludzi brało go za kulturalnego biznesmena bez nawet maleńkiej skazy. A moja siostra... chyba była zbyt mała, by rozumieć, co się tak właściwie dzieje. W końcu miała tylko sześć lat. Ojciec prał mi mózg zawsze w miejscu, w którym nikt nie mógł usłyszeć, jak się na mnie wydziera. Ale nigdy mnie nie tknął. Po prostu... ranił słowami.

Zapisuję kolejny wniosek w notesie. Gdy unoszę znad niego wzrok, nadal widzę bladą twarz Love. Siedzi nieruchomo, wpatrzona w krajobraz Aspen.

– Są takie dni, kiedy chciałabym płakać – wyznaje. – Ale nie mogę, bo wszystkie łzy wypłakałam już dawno, gdy byłam młodsza, a słowa moich bliskich naprawdę rozdzierały moje serce. Ale teraz... teraz niezależnie od tego, co by powiedzieli czy jak zawsze by uznali, że do niczego się nie nadaję... nie obeszłoby mnie to. – Love wzrusza ramionami i tym razem odwraca się, by na mnie spojrzeć. – Nie umiem już płakać, gdy ktoś rani mnie słowami. Jestem pusta. Po prostu... pusta, Ryder.

Spoglądam uważnie na brunetkę i myślę, że obojętność jest gorsza niż smutek. Bo Love Porter już nie czuje.

Love Porter po prostu wegetuje.

Zabito w niej *wszystko*.

– Stałaś się obojętna – odpieram zachrypniętym od dłuższego milczenia głosem. – I teraz... wszystko ci jedno, bo sądzisz, że już zawsze będziesz taka, za jaką cię mają.

Dziewczyna unosi brew i pyta szeptem:

– Czy tak jednak nie jest?

– Czy jesteś gotowa spróbować udowodnić im, że tak nie jest? – odbijam piłeczkę, a później odkładam notes wraz z długopisem na powierzchnię biurka. Zaplatając na nim palce, dodaję: – Że jesteś *kimś*, Love?

Moja rozmówczyni kręci głową. Jest zagubiona. Cholernie zagubiona.

– Nie jestem – wykrztusza z siebie z trudem, a jej dłonie zaczynają się delikatnie trząść. – Nie wiem jak. Nie wiem, czy będę w stanie. Ja...

– Musisz zacząć od próby udowodnienia samej sobie, że jesteś wartościowa i zasługujesz na to, co wydaje ci się, że jest poza twoim zasięgiem – odpowiadam z niezachwianym spokojem, na co Love przeciera dłońmi twarz.

Kiedy ponownie krzyżujemy spojrzenia, docieka:

– Jak mam to zrobić?

– Spróbuj walczyć – odpieram. – Nie rezygnować z tego, czego pragniesz. Choćby przeszłość krzyczała ci do ucha złe słowa, spróbuj robić, co w twojej mocy, by nie zagłuszyła tego, o co prosi serce. Spróbuj pozwolić sobie na pragnienie. Sukcesów, pochwał, a nawet... kogoś. Oczekuj od życia. Spróbuj nie błagać go o to, co ci się przecież należy. Bo tak jak każdy *zasługujesz*, Love. Zasługujesz na zdecydowanie więcej, niż po tym wszystkim uważasz, że mogłabyś zasługiwać.

W brązowych oczach wyłapuję jedynie zagubienie.

– Zasłużyłaś na docenienie – kontynuuję. – Na zdobycie upragnionej roli po tym, jak oczarowałaś komisję na przesłuchaniu. To ci się należało, a wiesz dlaczego? Bo za długo walczyłaś o to, by być w tym miejscu, w którym jesteś, i umieć to, co umiesz, by nikt tego teraz nie docenił. I spójrz, kim będziesz już niedługo, Love. Gwiazdą sceny.

Brunetka rozchyła delikatnie usta. Zwiesza głowę i stwierdza:

– Chyba nadal w to nie wierzę...

– Więc to właściwy czas, by spróbować uwierzyć – odpowiadam z opanowaniem. – W siebie.

Swój sukces. W swoją wartość i możliwości.

Love pociera dłonią kark.

– To nie będzie łatwe – stwierdza.

– Lubisz wyzwania? – Unoszę brew.

– Chyba tak.

Widok słabego uśmiechu na jej twarzy powoduje u mnie przyjemny dreszcz.

– Ale boję się, że długo zajmie mi odbudowanie siebie – dopowiada, a jej kąciki ust momentalnie opadają. Zupełnie tak jak ramiona, które Love zwiesza ze zrezygnowaniem. Patrzę na nią i kiedy upewniam się, że ona również wpatruje się we mnie, mówię zwyczajnie:

– Przecież nigdzie nam się nie śpieszy.

Brunetka przetyka ślinę.

– Nam – powtarza za mną.

– Dokładnie to powiedziałem – przytakuję. – Przecież jestem obok, Love. Gotowy, by ci pomóc.

Odzyskasz swój spokój. Może nie od razu, ale z czasem... odzyskasz go. I sięgniesz po to wszystko, czego pragniesz, a o co boisz się teraz prosić los z obawy, że zostaniesz wysmiana.

– Chciałabym po to sięgnąć – odpowiada dziewczyna. – Będę próbować... będę próbować walczyć. – W głosie Love króluje prawdziwa determinacja, która naprawdę mi imponuje.

– Chciałabyś porozmawiać ze mną dłużej? – pytam, orientując się, że jest już parę minut po dziewiątej.

Dziewczyna kręci głową w geście protestu.

– Nie.

– Masz może w takim razie jakieś pytania? – Zamykam notes i nie spuszczam wzroku z brunetki, która podnosi się do pionu. Włosy opadają jej na twarz, a usta wykrzywają się w ledwie zauważalnym uśmiechu, kiedy trzymając już w rękach wszystkie swoje rzeczy, Love odwraca się w moim kierunku.

– Nie – odpiesa. – Pójdę już.

Tak jak zawsze odpowiadam jej krótkim:

– *Żegnaj, Love.*

Naprawdę nie wiem, dlaczego uwierzyłem Chloe, że pojedziemy do sklepu po jakiś prezent dla rodziców z okazji ich, Bóg jeden wie której, rocznicy ślubu. Może gdybym był bardziej czujny, nie gniłbym teraz na jednej z obitych czerwona skórą kanap w lokalnej kręgielni i nie czekał, aż moja siostra łaskawie skończy pindrzyć się w kiblu.

Wzdycham i z nieprzeniknioną żadną emocją miną wpatruję się w ekran własnego telefonu. Nie dostrzegam na nim nic interesującego, ale muszę jakoś zabić czas. Zanim Chloe zdąży tutaj przyjść, miną najpewniej wieki. Przecieram dłonią twarz i nie wiem nawet, kiedy dobiega mnie znajomy głos:

– Kim jest Chloe?

Mrużę oczy, ale nie odwracam się ze świadomością, że ktoś właśnie usiadł na kanapie za moimi plecami. Przejeżdżam językiem po wardze i wpatruję się w losowy punkt przed sobą.

– Moją znajomą. – Druga osoba postanawia się odezwać.

A ja otwieram szerzej oczy, bo, Chryste. Za mną siedzi Love Porter. Zanim zdąży przetrwać w duchu ten fakt, słyszę, jak ona i Graves kontynuują swoją gadkę.

– Uważaj, bo pomyślę, że ktoś chce mnie wykurzyć z roli najlepszego kumpla na świecie – mruczy podejrzliwie Kayden.

Jego rozmówczyni wzdycha.

– Chloe po prostu zapytała, czy nie mam wolnego popołudnia. A skoro umówiłam się już z tobą na kręgle... co stoi na przeszkodzie, żebyśmy poszli we trójkę? Daj spokój. Jechała tutaj aż z Denver – odpiera Love.

– Okej. Może będzie miła.

Czy Chlo naprawdę uknuła jakiś spisek i specjalnie mnie tutaj ściągnęła? Wznoszę spojrzenie ku sufitowi i przeklinam w duchu własną siostrę. Ja pierdolę. To jakiś nonsens. Ona nawet nie wie jeszcze,

jak za to oberwie.

- Wszyscy z rodziny Callahanów są mili. – Moja sąsiadka mówi to z przekonaniem.
- Z rodziny... co? – wypluwa Kayden.
- To siostra Rydera.

Na wzmiankę o sobie czuję się jak jebany szpieg. Ale hej. Nikogo nie śledzę. Zostałem tu ściągnięty, a oni przypadkiem usiedli zaraz za mną.

- O Boże, ty już próbujesz wkupić się w łaski szwagierki? – parska Graves.

Ściągam brwi z politowaniem i spoglądam w stronę toalet, z których właśnie wychodzi Chloe. Od razu rusza w moim kierunku, nieświadoma tego, kto za mną siedzi.

- Zamknij się – warczy wściekle Love. – Ona może tutaj zaraz przyjść.
- Powiedz jeszcze, że poznałaś już teściów – prycha niezawodny Kayden.

Uśmiecham się i wstaję, gdy podchodzi do mnie siostra. Oboje robimy ledwie parę kroków w stronę sąsiedniej kanapy. Kiedy stajemy wraz z Chlo przed szklanym stolikiem, Graves wypala jedynie:

- O chol...

Nie jest jednak w stanie dokończyć. Love przyciska mu dłoń do ust.

- Czyli jest nas czwórka – zauważa Porter, uśmiechając się nerwowo.
- Chloe? – Zerkam wymownie na siostrę.

- Tak, wiem, mieliśmy jechać gdzie indziej, ale nie możesz być takim zgorzkniałym frajerem.

Pogramy z Love i jej kolegą w kręgle, a potem pozwolę, żebyś znowu zaszył się w domu z kotem i nudnym filmem. – Brunetka wyrzuca to z siebie na jednym wdechu, a potem, jakby miała gdzieś swoją reakcję, tak po prostu kieruje swoje pytanie do siedzącej na kanapie dwójki: – Wy kontra my?

Love nie protestuje.

– My kontra wy – potwierdza, a potem szepcze do Gravesa ciche, aczkolwiek słyszalne: – Musimy ich pokonać.

Ściągam brwi, powstrzymując uśmiech pełen pobłażania. Porter zapewne wciąż nie doszła do siebie po przegranej ze mną w tak beznadziejną grę jak kółko i krzyżyk. Całe szczęście w głowie już powoli klarował mi się plan, jak wykorzystać swoje wygrane życzenie.

- Jestem mistrzem w kręgle – odpiera równie konspiracyjnie Kayden.

Oczy Love przypominają w tym momencie spodki.

- Serio? – odszeptuje z nadzieją.
- Nie.

Tłumię w sobie prychnięcie.

- Kay... – jęczy żałośnie Porter.

– Idź pierwsza. – Chłopak wskazuje sugestywnie na kule do kręgli. Wraz z Chlo zasiadamy na kanapie, podczas gdy Love się z niej podnosi. Robi to z ociąganiem, jakby oczami wyobraźni już widziała mój kolejny zwycięski bezlitosny uśmiech.

Obserwuję ją z kamienną miną, gdy bierze jedną z kolorowych kul. Przedmiot wydaje się jej ciężki, więc dziewczyna nie stoi długo jak słup soli. Pochyliła się lekko do przodu, a po krótkiej chwili śledzi wzrokiem drogę, jaką pokonuje kula. W sumie zbija trzy kręgle.

- Teraz ktoś od was – mówi, na co unoszę kącik ust.

Wstaję, biorę swoją kulę i wyrzucam ją do przodu. Zbijam wszystko.

- To było proste – stwierdzam, spoglądając wyzywająco na Porter.

Ta jedynie prycha pogardliwie.

– Jeszcze zobaczymy – mruczy i zerkając kątem oka na swój telefon, odchrząkuje. – Zaraz wracam – informuje wszystkich, zanim rusza w stronę korytarza oddalonego o kilkanaście metrów od naszego stolika.

Odprowadzam ją wzrokiem, przeczuwając, kto do niej dzwoni. Tylko wtedy, gdy dobijał się do niej jej brat, Love reagowała tak... gwałtownie i niespokojnie. Kiedy mija już kilka rund, a ona nadal nie wraca, postanawiam jej poszukać. Mówię to towarzystwu i ruszam w kierunku, który wcześniej obrała Porter.

I odnajduję ją, siedzącą na ławce przy jakimś pomieszczeniu gospodarczym. Wypuszczam ze

świstem powietrze z płuc, by jej nie przestraszyć i zawiadomić o swojej obecności. Brunetka odwraca głowę. Nie mówi nic, gdy siadam obok niej.

– Z kim rozmawiałaś? – pytam, zerkając sugestywnie na trzymany przez nią telefon.

Love spuszcza wzrok na swoje buty.

– Z bratem – odpiera cicho.

Pierdolony Gavin.

– Pytał, czy przyjadę na święta – dodaje dziewczyna. – Powiedziałam, że nie. Ale nie był zły, gdy to usłyszał. Nie wiem, co on kombinuje.

Słyszac w jej głosie zdenerwowanie, dopytuję:

– Myślisz, że coś kręci?

– To Gavin. On ciągle coś kręci. – Love podrywa głowę, by spojrzeć mi prosto w oczy. Przez chwilę obserwuje mnie w milczeniu, aż w końcu stwierdza: – Ale teraz nie chcę o tym myśleć. Wracamy? Nie czeka na moją odpowiedź. Po prostu wstaje i odchodzi.

Dzień świąt to jakaś pomyłka. Poważnie, nie pamiętam, by ten czas kiedykolwiek przypominał taką katastrofę, zaczynając od cudem unikniętej makabry związanej z tragiczną śmiercią kolejnej choinki, a kończąc na wybitnym popisie kulinarnych zdolności Love Porter, która znowu przyrządziła do przesady gorzkie pierniki.

Nie wiem już, co było gorsze. Zamach tych sierściuchów na Bogu ducha winne drzewo czy strzelony przez Love foch, który minął dopiero parę minut temu, gdy łaskawie pozwoliłem jej spróbować narąbać trochę drewna do kominka.

Od początku wiedziałem, że to nie skończy się dobrze, ale teraz, gdy patrzę na to, jak sięga nieudolnie po siekiere, jestem już pewny, że nigdy nie przystanę na podobną prośbę. Chciałem ją tylko udobruchać, a nie przyczynić się do katastrofy.

– To chyba zły pomysł – stwierdzam i biorę głęboki wdech na widok Love, która oplata palcami trzon narzędzia.

– Chcę spróbować – upiera się.

– Zaraz dojdzie do tragedii.

Porter wywraca teatralnie oczami, jakbym przynajmniej nazwał ją ostatnim nieudacznikiem.

– Przecież to nie może być takie... – Robi krótką pauzę w chwili, w której podnosi siekiere i czuje jej ciężar. – O Boże, jakie to cholerstwo jest ciężkie.

Kręcę głową z politowaniem i podchodzę do niej leniwym krokiem. Stojąc już obok niezadowolonej z obrotu sprawy Love, wyciągam w jej stronę rękę i mówię:

– Pozwól.

Moja sąsiadka z westchnieniem rezygnacji podaje mi narzędzie. Uśmiecham się na widok ulgi, która wykwita na jej twarzy, gdy pozbywa się balastu. Na moment wbijam ostrze w pień drzewa i podciągam rękawy czarnej bluzy aż do łokci, by te mi nie przeszkadzały. Dopiero potem zabieram się za rąbanie drewna.

Love patrzy na moje poczynania bez entuzjazmu.

– Przynajmniej zaniosę to do domu – bąka zrezygnowana, sięgając po kawałki drewna. Korzystając z okazji, zwracam się do niej z krótką prośbą:

– Sprawdzisz, co z indykiem?

– Jasne.

Przez chwilę odprowadzam ją wzrokiem i patrzę, jak znika gdzieś w salonie. Dopiero potem ustawiam pod odpowiednim kątem kolejny kawałek drewna na pniu, biorę zamach i uderzam w niego mocno. Powtarzam ten ruch jeszcze kilka razy, dopóki Love nie wraca i nie podchodzi do mnie, a potem owija moją szyję białym szalikiem.

Marszczę czoło, patrząc na nią z góry.

– Love? – pytam, łapiąc oddech.

– No co? Musi ci być zimno – mamrocze odrobinę zawstydzona, poprawiając biały materiał,

którym mnie otuliła. W pierwszej chwili mam ochotę przyznać szczerze, że jest mi kurewsko gorąco, ale widząc tę niegasnącą troskę w jej oczach, pozwalam, by to puchate gównem tkwiło na mojej szyi jeszcze przez długi czas.

– Dzięki – odpieram, uśmiechając się lekko.

– Nie ma problemu. – Brunetka odwzajemnia mój gest. – Mogę cię o coś zapytać?

– Śmiało. – Znowu wbijam ostrze w pień i zakładam dłonie na biodrach, czekając na pytanie

Love.

– Graliśmy ostatnio w kółko i krzyżyk. Wygrałeś – zaczyna, na co kiwam głową.

– Tak – potwierdzam.

– Nie powiedziałeś mi, jakie masz życzenie... – Porter zagryza wargę, na co przechylam głowę, by przyjrzeć się jej uważniej. Jest naprawdę... zaciekawiona. Cholernie zaciekawiona, więc postanawiam nie owijać niczego w bawełnę.

– Leć ze mną do Chicago – wypalam ze spokojem.

Love najwyraźniej myśli, że się przesłyszała, gdy wydusza z siebie krótkie:

– Słucham?

– Leć ze mną do Chicago – powtarzam. – Dzień przed sylwestrem.

Dziewczyna parska śmiechem, a mi mimowolnie robi się odrobinę cieplej.

– To szalone – stwierdza. – I dlaczego Chicago?

– W sylwestra odbędzie się tam ślub mojego dobrego znajomego ze studiów – tłumaczę, jak gdyby nigdy nic.

Love szybko łączy wątki.

– Mam ci towarzyszyć? – dopytuje.

– Aż tak bardzo nie chcesz? – odbijam piłeczkę i unoszę brew.

Dziewczyna kręci głową niemalże od razu.

– Nie, w zasadzie... bardzo chętnie.

– W takim razie lecimy do Chicago – obwieszczam, a potem coś sobie przypominam: – A co z tym indykiem?

Love rozchyła usta, spomiędzy których wypada krótkie:

– O Boże...

Tak. Te święta to zdecydowanie pomyłka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY



KIEDYŚ

Im dłużej żyłam na tym świecie, tym dobitniej przekonywałam się, jak niewiele mam do zaoferowania. Podczas gdy Gavin wspinał się na wyżyny i osiągał wszystko, co było możliwe, ja czołgałam się po dnie z nadzieją, że moja kolejna porażka przejdzie bez echa.

Ostatnio znowu oblałam historię. Tacie się to bardzo nie spodobało, w końcu był prawnikiem – uważał, że powinnam mieć ją w małym palcu. Tak wiele razy naciskał, bym w końcu się do niej przyłożyła. Sęk w tym, że robiłam wszystko, by ją zrozumieć, ale to nigdy nie przynosiło oczekiwanych rezultatów. Po prostu nie czułam, że jest ona moją mocną stroną. A gdy powiedziałam to tacie, usłyszałam ironiczne pytanie: „czy ty w ogóle masz jakiegokolwiek mocne strony, Love?”.

Przez całą noc analizowałam jego słowa. Aż w końcu, nad ranem, siedząc w pokoju z podkulonymi nogami i wysychającymi łzami na twarzy, uświadomiłam sobie, że... że nie mogę mieć za złe tacie tej ironii. Bo przecież powiedział mi prawdę. Nie miałam mocnych stron. Byłam jedynie głupią, beznadziejną Love skazaną na niepowodzenia. Byłam tą zawsze od kogoś gorszą, tą, w którą nie opłacało się wierzyć ani pokładać nadziei. Po co pokładać nadzieje w kimś, kto wciąż udowadnia, jak bardzo jest żalosny?

Muszę pogodzić się z prawdą. W końcu tata jedynie wyznał mi, jak bardzo żałuje, że się urodziłam – a ja, kiedy stawiam się na jego miejscu, zaczynam go rozumieć. Nie wiem, czy chciałabym na siebie patrzeć. Na chodzącą porażkę. Nie wiem, czy chciałabym myśleć o sobie jak o swoim dziecku, chyba byłoby mi zwyczajnie wstyd.

I kiedy dłużej o tym myślę, sądzę, że powinnam wymazać wszystkie „nie wiem”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY



LOVE

Jestem pewna, że gdyby nie Ryder, zgubiłabym się w przeklętym Chicago przynajmniej dwadzieścia dziewięć razy. To miasto to jakiś cholerny gąszcz. Niezależnie, w którą stronę spojrzę, szybko nawiedza mnie przeczucie, że już tutaj byłam, i jedyne, co robię, to zataczam błędne koło, przechadzając się od dłuższego czasu ulicami stolicy stanu Illinois.

Jednego jednak nie można temu miejscu odjąć – prezentuje się naprawdę bajecznie z tymi wysokimi drapaczami chmur, odbijającymi się w tafli Michigan gwiazdami i kolorowymi plakatami porozwieszanymi po całym mieście. Oczywiście, gdy tylko wyczytałam z nich, że nieopodal centrum Chicago znajduje się wesołe miasteczko, poprzysięgłam sobie, że zaciągnę tam wiecznie sztywnego Rydera i przekonam się, czy ta jego powaga i opanowanie nie zmyją się z jego piekielnie atrakcyjnej twarzy, gdy tylko przejdziemy, a właściwie przepłyniemy przez słynny tunel strachów.

A sam Pan Przystojniak nie miał za wiele do gadania, dlatego teraz zrzędzi mi do ucha:

– Może jednak wybierzemy inną atrakcję? – pyta z niesmakiem, wsuwając dłonie do kieszeni długiego płaszcza.

– A może jednak przestaniesz marudzić? – odbijam piłeczkę, odwracając wzrok i przeczesując nim najbliższe otoczenie. Wokół nas bawi się naprawdę multum ludzi.

– To po prostu dziecinne.

– „Po prostu” to jedynie kij w twoim tyłku utknął zbyt głęboko. – Wywracam oczami.

W odpowiedzi jedynie czuję, jak Ryder szczypie mnie w pośladek.

– Hej, mój zostaw w spokoju – wypalam zaskoczona, sprzedając mu pacnięcie w rękę.

– Twoje życzenie jest dla mnie...

– Rozkazem? – dokańczam za mężczyznę i przechylam głowę, spoglądając na jego leniwy uśmiech.

– Ofertą do odrzucenia – mówi wybitnie z siebie zadowolony i kładzie swobodnie dużą dłoń na moim biodrze. – To gdzie ten tunel strachów?

Unoszę kącik ust i rozglądam się wokoło. Widzę kilka karuzeli, wiele stoisk z nagrodami, ogromny diabelski młyn, a na samym końcu wejście do sporego budynku. To cel naszego spaceru. Słynny tunel strachów, który przepływa się na łódkach.

– O tam. – Wskazuję na ogromną kolejkę.

– Zanim znajdziemy się w środku, miną wieki – stwierdza Ryder.

– Nie wydajesz się tym faktem strasznie zniechęcony – zauważam słusznie i mrużę podejrzliwie oczy, bo mężczyzna rzeczywiście nie wygląda na porządnie wpienionego.

– Bo oczami wyobraźni widzę, jak wypycham cię z tej cholernej łodzi – tłumaczy mrukliwie, na co zaciskam usta w wąską linię.

– Burak.

Ryder uśmiecha się półgębkiem. A mi momentalnie zasycha w gardle, bo, o zgrozo... To, jak bardzo podoba mi się jego uśmiech, jest niemożliwe do wyrażenia słowami. Dlatego po prostu napawam się tym widokiem i myślę, że mogłabym tak w nieskończoność spacerować pod gołym niebem, mając obok siebie tego mężczyznę.

– No już, Porter. Tak naprawdę będę do twojej dyspozycji. – Jego kpiący ton wrywa mnie z krótkiego letargu.

– Dyspozycji? – dopytuję zbita z tropu, gdy zajmujemy miejsce w kolejce.

– Oboje wiemy, że jesteś panikarą. Możesz się do mnie przytulić, jeśli się przestraszysz. – Ten

drań szczerzy się, jakby powiedział najbardziej śmieszny dowcip, jaki mógłby istnieć.

Zwęzam pretensjonalnie oczy i ściągam jego dużą dłoń ze swojego biodra. Robi mi się odrobinę zimno, ale tłumię w sobie to nieprzyjemne uczucie. Staję przed mężczyzną, wymierzam w jego stronę oskarżycielsko palec i wciskam go w twardą pierś.

– Powiedziałeś, że kim jestem? – cedzę przez zęby.

– Panikarą – rzuca nieprzejęty.

– To patrz, mięśniaku. Wchodzę tam i powieka mi nawet nie drga – mówiąc to, odrzucam włosy i odwracam się do niego plecami. – Nie potrzebuję ciebie ani żadnej innej przytulanki. Jestem dzielna i odważna.

– Love... – wzdycha Ryder.

– Zamilcz.

– Nie strzelaj focha. – Czuję, jak jego tors stapia się z moimi plecami. Brunet znajduje się niebezpiecznie blisko, a mnie... cholera. Mnie się to naprawdę podoba, bo uwielbiam czuć bijące od niego ciepło i bezpieczeństwo. Mimo wszystko zachowuję kamienną twarz.

– Nie strzelam focha – burczę.

– Strzelasz.

– Strzelę to cię zaraz w tę piękną twarz. Zostaw mnie.

Mój towarzysz wypuszcza powoli powietrze z płuc. Ja za to zakładam ręce pod biustem i patrzę na mężczyznę, który po dłuższej chwili przepuszcza nas do właściwej części tunelu strachów. Kiedy wsiadam z Ryderem do jednej łódki, zachowuję pomiędzy nami jak największy dystans.

– Zamierzasz się tak cały czas dąsać? – pyta nagle.

Rozglądam się po tunelu. Jest ciemny i zewsząd otacza nas czerń. Chlust wody odbija się echem od ścian, gdy łódka zaczyna poruszać się do przodu. Zgrzytam zębami, dostrzegając pajęczynę, która zwisa z sufitu i smaga mnie w twarz, a potem odwracam się w stronę Rydera.

– Coś sobie ubzdurałeś – rzucam cicho.

– Jesteś uparta jak osioł.

– Teraz jeszcze wyzywa mnie od osłów – prychem pogardliwie.

Mężczyzna przeciera dłonią twarz.

– Dobrze wiesz, że nie chodzi mi...

Ryder nie dokańcza. Przerrywam mu moim naprawdę głośnym piskiem, który wrywa się z moich ust, gdy nagle w moją stronę wyskakuje jakaś pieprzona maskotka klauna. Mimowolnie podskakuję w miejscu i nie mija sekunda, a przywieram do twardej piersi niewzruszonego bruneta, który jedynie dopowiada szeptem:

– O to.

– Kurwa – klnę, ciężko oddychając.

Bardzo powoli unoszę wzrok i spoglądam na profil Rydera. Jest spokojny, opanowany, a jego usta wcale nie wyginają się w kpiącym uśmiechu. Z westchnieniem przymykam na moment powieki, biorę głęboki wdech i staram się uspokoić moje niemiłosiernie kołatające serce.

– Dobra. Miałeś rację – przyznaję niechętnie.

– Hm?

– Jestem panikarą.

– Uroczą panikarą – dopowiada Ryder.

Modłę się w duchu, by ten gorąc, który czuję na policzkach, był wynikiem strachu. Ale moje nadzieje szybko bledną, bo orientuję się, że słowa tego faceta znowu mnie najzwyczajniej w świecie zawstydziły. Boże, zwariuję, jeśli mężczyzna jego pokroju będzie mówił mi takie rzeczy. Po krótkiej chwili otwieram oczy.

– Czy twoja propozycja nadal jest aktualna? – pytam szeptem.

– To znaczy?

– Pytam, czy mogę się do ciebie poprzytulać – mamroczę.

Ryder jedynie obejmuje mnie w talii i przyciąga bliżej siebie.

– Myślę, że możesz się do mnie poprzytulać, Love.

– Ale robię to tylko dlatego, że troszkę się boję – zaznaczam.

Wcale nie dlatego, że uwielbiam, gdy mnie dotykasz.

– Tylko dlatego – potwierdza mężczyzna.

Wzdrygam się, gdy przeraźliwy śmiech zupełnie nagle rozbrzmiewa po tunelu. Przywieram kurczowo do Rydera, który siedzi nieruchomo i pozostaje tak samo niewzruszony, jak był na początku naszej podróży. Szlag by go.

– Ryder? – zaczynam nagle.

– Tak?

– Nigdy ci tego nie powiedziałam, ale cieszę się... – Robię pauzę, czując, jak słowa grzęzną mi gdzieś w gardle.

– Cieszysz się, ponieważ?

– Cieszę się, że pojawiłeś się w moim życiu.

Oparta o szerokie męskie ramię i całkowicie skupiona na powolnym oddechu Rydera myślę, że ten facet od samego początku był nikim innym, jak moim aniołem stróżem. Był moim drogowskazem – prowadził mnie tam, gdzie wiedziałam, że w końcu poczuję szczęście. Do pewnego momentu w moim życiu, gdy będę mogła pożegnać „starą Love”. I odetchnąć pełną piersią. Być naprawdę szczęśliwa z taką wersją siebie, którą sama pokocham.

Ryder Callahan był moim ratunkiem. Niezaprzeczalnie nim był.

– I nie miałabym nic przeciwko, gdybyś został w nim trochę dłużej – dodaję cicho.

Mężczyzna przechyla nieznacznie głowę, by spojrzeć mi prosto w oczy. Jego grafitowe tęczy skanują moją twarz w sposób, przez który czuję ciarki na całym ciele. Przez który niewidzialne napięcie kumuluje się gdzieś we mnie, a ja nie potrafię w żaden sposób się go pozbyć.

– Jak długo, Love? – pyta niskim głosem.

– Długo... – odpieram wymijająco.

W tym samym momencie coś znowu wyskakuje w naszą stronę, więc instynktownie mocniej przywieram do Rydera, który jedynie szczerzej oplata mnie swoją ręką. Zaciągam się zapachem jego perfum i niemalże topię, gdy czuję gorąc bijący od twardych mięśni.

Jezu, chyba naprawdę go chcę, jeśli tak bardzo potrzebuję czuć, że jest blisko.

Chcę Rydera Callahana, ale nie mogę go mieć.

– W takim razie zostanę w nim na długo – przytakuje brunet.

Uśmiecham się, gdy delikatnym ruchem dłoni zmiata mi sprzed nosa kosmyk włosów. Lubię gdy to robi. Naprawdę to lubię.

– A teraz chodź. Chyba masz już dość wrażeń, co? – parska Ryder, gdy po kilku minutach docieramy do końca tunelu. Z westchnieniem ulgi wstaję, a potem chwytam wyciągniętą w moją stronę dużą dłoń i z pomocą mojego towarzysza, próbuję wysiąść z łódki. Nie wiem jednak sama, w którym momencie ta chwije się na niespokojnej wodzie, a ja nie chcąc zaliczyć kąpieli, przechylam się do przodu i wpadam prosto na Rydera.

Nie mam zielonego pojęcia, które z nas jest tym bardziej zaskoczona. Wiem tylko, że momentalnie wyswobadzam się spomiędzy szerokich ramion mężczyzny, burcząc pod nosem ciche „przepraszam” i ruszając ścieżką wydeptaną przez ludzi.

Ten facet miał rację. Jestem ostatnią łamagą.

– Chodź. – Dłoń Rydera odnajduje moją, tak że czarnowłosa jest w stanie bez problemu pociągnąć mnie w sobie tylko znanym kierunku. – Pójdziemy coś zjeść. Umieram z głodu, a podobno w centrum Chicago mają całkiem dobre jedzenie.

– Pod jednym warunkiem. – Uśmiecham się, gdy czuję, jak płatki zimnego śniegu rozbijają się na mojej rozgrzanej twarzy. Odruchowo spoglądam w niebo. Biały puch spada z niego wręcz lawinowo, chociaż wcześniej się na to nie zapowiadało.

– Pod jakim? – Ryder przygląda mi się podejrzliwie.

– Później przejdziemy się wzdłuż Michigan – zarządzam.

Mężczyzna wdycha.

– Fanka romantycznych spacerów w śniegu? – pyta, choć doskonale zna prawdę.

– Fanka romantycznych spacerów w śniegu – potwierdzam i wspieram się na palcach tylko po to, by pocałować go w policzek. – A teraz chodźmy. Też jestem głodna.

Wypuszczam ze świsem powietrze z płuc, gdy w milczeniu za pomocą pilota przerzucam kolejne kanały w telewizorze, ale nadal żaden film nie przykuwa mojej uwagi. Aż w końcu moja cierpliwość się kończy, więc sięgam po laptopa i ruszam z nim w stronę ogromnej plazmy. Podłączam do niej przy użyciu kabla swój sprzęt, a już po chwili na ekranie pojawia się pierwsza scena sławnej komedii romantycznej, którą uwielbiam oglądać zimowymi wieczorami.

Kiedy upewniam się, że wszystko działa tak, jak należy, opadam z powrotem na łóżko i zakopuję się w pościeli. Wiele wskazuje na to, że dzisiejszą noc spędzę właśnie tak. Oglądając film w hotelowym apartamencie, w jednej z dwóch sypialni, które się w nim znajdują. Nie spodziewam się jednak, że coś, a raczej ktoś, szybko zweryfikuje moje plany:

– Dlaczego nie śpisz?

Bardzo powoli odwracam głowę w stronę drzwi, w których stoi, rzecz jasna, Ryder. Ubrany w czarną bluzę i tego samego koloru dresy opiera się o framugę i patrzy na mnie z założonymi rękami i uniesioną brwią. Momentalnie zamykam rozchylone usta. Odchrząkuję, odwracam wzrok w stronę telewizora i mam szczerą nadzieję, że gdy przestanę mieć przed oczami obraz tego faceta w takim wydaniu, przestanę również czuć ten cholerny gorąc w podbrzuszu.

– Oglądam – odpieram neutralnym tonem, nie uciekając spojrzeniem od ekranu.

Ryder nie wydaje się jednak zaspokojony moją wymijającą odpowiedzią.

– Co takiego? – docieka.

– Film.

– Jaki?

Biorę głębszy wdech i odpowiadam:

– Komedie romantyczną.

– To znaczy?

– W zasadzie... – zanim zdążę dokończyć, mężczyzna podchodzi leniwym krokiem do łóżka, a potem opada na nie z głośnym łoskotem i wpatrując się w telewizor, pyta:

– Oglądasz *To tylko seks*?

– Jak widać.

– Lubię ten film – stwierdza Ryder.

– Więc możemy obejrzeć go razem. – Wciąż na niego nie patrzę. – Dopiero włączyłam.

– Ze względu na Justina Timberlake'a?

– Czy to ma znaczenie? – Ściągam brwi.

– Podoba ci się?

– Czy to ma znaczenie? – powtarzam.

– Myślisz, że...

– Chryste, moje łóżko – moje zasady, więc bądź już cicho – wypalam, a potem niewiele myśląc odwracam się w jego stronę i przyciskam dłoń do jego ust. Dopiero gdy Ryder marszczy czoło, orientuję się, co wyprawiam. Otwieram szerzej oczy i zabieram rękę. – Nie podoba mi się ten aktor – mamrocze, a potem nastaje pomiędzy nami chwila ciszy.

Ponownie wpatruję się w telewizor, unikając palącego spojrzenia bruneta. Udaję, że scena, w której Jamie i Dylan spotykają się po raz pierwszy, pochłania mnie w każdym tego słowa znaczeniu. Prawda jest jednak taka, że mam ochotę zacząć wiercić się na tym przeklętym łóżku i pozbyć wrażenia, jakby głupie motyle miały mi zaraz rozerwać brzuch.

Matko, oszalałam.

– Jakie jeszcze są twoje zasady, Love? – pyta nagle mężczyzna zachrypniętym od dłuższego milczenia głosem.

– Co?

– Czego jeszcze nie mogę robić w twoim łóżku oprócz przeszkadzania ci w oglądaniu komedii

romantycznej? – precyzuje tonem tak neutralnym, że ogarnia mnie zakłopotanie.

– No... w moim łóżku nie możesz przebywać w butach, kraść mi kołdry albo spać na jego lewej stronie... – wyliczam, a Ryder przez ten cały czas bacznie mi się przygląda. – Nie patrz tak na mnie. Tak już mam.

– Nie oceniam – stwierdza brunet.

– Gapisz się – zauważam.

– Zapamiętuję twoje zasady.

Marszczę nos i zdobywam się na to, by skrzyżować spojrzenie z mężczyzną. Ryder podpira głowę na zgiętej w łokciu ręce, nie przestając skanować wzrokiem mojej twarzy.

– To głupie – bąkam.

– Zasady czy to, że je zapamiętuję?

– Oba – odpieram i zanim zdążę to przemyśleć, pozwalam, by kolejne zdania opuściły moje usta:

– Bo i tak je nagniesz. Nie umiemy przestrzegać zasad, dlatego chcę cię o coś prosić.

Nie ma odwrotu, uświadamiam sobie.

– O co takiego?

– Skreśl mnie z listy pacjentów.

Ryder zastyga w bezruchu. Mimo że mimika jego twarzy nie zmienia się nawet odrobinę, domyślam się, że zaskoczyłam go swoją prośbą. Nie mija kilkanaście sekund, a mężczyzna siada, a potem wstaje na równe nogi. Przeciera dłonią twarz. Zaciska szczękę i splata dłonie na karku, podchodząc do szklanej ściany, za którą rozpościera się panorama oświetlonego milionami światel Chicago.

Moja klatka piersiowa unosi się i opada w powolnym tempie. Nawet serce wydaje się bić nieco wolniej, gdy siedzę tak na łóżku i wpatruję się w plecy Rydera. Głowa pęka mi od nadmiaru myśli. Zastanawiam się, co on o tym sądzi. Zastanawiam się, czy zgodzi się spełnić moją prośbę. Zastanawiam się nad tym i wstrzymuję oddech, gdy mężczyzna odwraca się, mówiąc cicho krótkie:

– Love...

Nie wie, jak ma postąpić.

– Znajdziemy inny sposób, Ryder – przekonuję go, patrząc mu cały czas głęboko w oczy. – Przecież możesz mi pomóc inaczej. Musi być inne wyjście. Inna furtka. Możesz pomagać mi tak, jak do tej pory, tylko nie jako... psycholog.

Ryder opuszcza ręce wzdłuż tułowia. Opiera dłonie na biodrach. Stoi odwrócony do mnie przodem, a jego stalowe spojrzenie wybija się na tle mroku spowijającego pomieszczenie. Podrywam się do góry i siadam na klęczkach, nie przerywając naszego kontaktu wzrokowego.

Bądź z nim szczerą, powtarzam sobie w duchu.

– Nie wiem, czy dłużej dam radę. Jest mi tak cholernie trudno, bo im bardziej się wzbraniam, żeby cię nie dotknąć lub żebyś ty nie dotknął mnie, tym bardziej tego chcę i potrzebuję. Bo cały czas mam w pamięci to, jak dotykałeś mnie kiedyś. I naprawdę za tym tęsknię... – Kręcę głową, czując, jak nawarstwia się we mnie coraz więcej emocji.

Spuszczam wzrok i dodaję szeptem:

– Bardzo za tym tęsknię.

Mój żołądek robi fikołka. Stres kumuluje się w każdej komórce ciała. Powietrze, które wypełnia sypialnię, nagle staje się tak parne, że niemalże duszące, kiedy odpowiada mi głucha cisza. Chcę podnieść głowę i spojrzeć na Rydera, ale najzwyczajniej w świecie się boję.

Boję się tego, że da mi jasno do zrozumienia, że nie powinnam na nic liczyć.

– I wiem, że mogę teraz brzmieć samolubnie, ale ja naprawdę starałam się trzymać twoich zasad przez cały ten czas. Starałam się je szanować i nie robić nic, co mogłoby prowadzić do tego, że je złamiemy. Ale nie musimy ich łamać. Już nie, jeśli wykreślisz mnie z listy, Ryder – kontynuuję, a mój ton głosu nieznacznie słabnie.

Zadzieram delikatnie brodę. I znowu spoglądam na stojącego przy oknie mężczyznę. Jest poważny, nieczytelny, niemożliwy do rozszyfrowania. *Enigma, zagadka, tajemnica. Piękna, kusząca, przyciągająca jak magnes*, wyliczam w głowie, czując coraz to większą obawę rodzącą się w sercu.

Gryzę się w język i czekam. Czekam w nieskończoność, bo Ryder nadal trwa w bezruchu, nic nie mówiąc. Połykam kolejny haust powietrza. Aż w końcu, nie mogąc znieść czekania na jego odpowiedź, wykrztuszam z siebie ostatnie żalose:

– Błagam cię, skreśl mnie.

I tyle wystarczy. Bo właśnie przekroczyłam pewną granicę. Sprawiałam, że Ryder drgnął. A teraz jedyne, co mogę zrobić, to patrzeć na to, jak jego oczy ciemnieją. Patrzeć, jak mężczyzna w czterech długich krokach podchodzi do łóżka, na którym klęczę, a później czuć zarówno niepokój, jak i ekscytację, gdy staje przede mną, a potem obejmuje dużymi dłońmi moje rozgrzane policzki. Rozchyłam delikatnie usta. Patrzę na niego, a on patrzy na mnie.

– Nie tylko tobie jest trudno, Love. – Ryder uśmiecha się słabo.

Przełyka ślinę, a potem spuszcza wzrok na krótką chwilę. Szybko jednak reflektuje się i znowu spogląda mi prosto w oczy.

– Bo, uwierz, ja też cholernie cię pragnę. Ale tak samo mocno chcę ci pomóc. – Głaszczę kciukiem moją skroń, na co przysmykam powieki i wydaję z siebie cichy pomruk zadowolenia. Jest mi tak dobrze. Chryste, tak paskudnie dobrze.

– Znajdziemy inny sposób... – powtarzam się jak zacięta płyta.

– Boże, Love. Ja naprawdę przez ciebie wariuję.

Otwieram oczy. Zanim zdążę dojrzeć cokolwiek w jego, mężczyzna popycha mnie lekko do tyłu tak, że łąduję plecami na materacu. Potem sam opada na mnie swoim ciałem i z cichym warknięciem odnajduje drogę do moich ust. Moment, w którym podgryza moją dolną wargę, wysyła po moim ciele falę gorących dreszczy. Wyginam plecy w łuk i płonę, gdy mój biust stapia się z jego twardą klatką piersiową.

Ryder zjeżdża na moment pocałunkami na moją linię szczęki, a gdy jest blisko ucha, szepcze wprost do niego krótkie:

– Wariuję i nie mogę przestać.

Oddycham ciężko. Wsuwam dłonie pod materiał jego czarnej bluzy i chyba cudem udaje mi się zdusić w sobie westchnienie ulgi, gdy w końcu mogę swobodnie przesunąć dłońmi po wyrzeźbionym torsie. Zbadać każdą jego krzywiznę. Poczuc, jak jego ciężar przygważdża mnie do łóżka i nie pozwala mi uciec spod mężczyzny, który znowu całuje mnie do utraty tchu.

Z mojej piersi wyrywa się niekontrolowane sapnięcie, kiedy Ryder wzmacnia uścisk dłoni na mojej żuchwie. Jego język tak dobrze współgra z moim. Ciało perfekcyjnie nieprzyzwoicie ociera się o moje. Zatapiam paznokcie w twardych mięśniach i wypycham biodra w potrzebie. Ryder reaguje na to jedynie kolejnym niskim syknięciem. Przypiera mnie mocniej do materaca, a potem miażdży moje usta kolejnym pocałunkiem.

Rozchyłam nogi. Mężczyzna kładzie dłoń na jednym z moich ud i ścisza je ostrzegawczo. Mimowolnie odchylam głowę do tyłu i otwieram oczy. Ryder dobiera się do mojej szyi i odnajduje najbardziej wrażliwy punkt. Pieści go językiem, a potem kąsa zażarcie, zabierając sobie z mojego gardła głośny jęk. Zachłystuję się powietrzem, mając go nad sobą, zdyszanego i pobudzonego.

– Jesteś bardzo piękna, Love – szepcze mi w usta, zanim przywiera do nich wilgotnymi wargami.

– Najpiękniejsza.

Uśmiecham się i wplatam palce w miękkie kosmyki jego włosów, uprzednio zmiatając mu z czoła niesforne pasmo. Pokażny wzwód smaga mnie w udo, ale Ryder wciąż jedyne, co robi, to mnie całuje. Całuje mnie tak, jakby to miał być nasz ostatni pocałunek, zanim znowu powiemy sobie, że nie powinniśmy. Podkurczam palce u stóp i pogłębiam pieściznę, czując, jak mocno kołacze mi serce.

Jednak zanim zdążę się tym wszystkim nasycić, Ryder zsuwa się ze mnie i mówi:

– Śpij dobrze, Love.

A potem całuje mnie w czoło.

Wychodzi.

Rano czuję się tak, jakbym miała kaca, chociaż to niedorzeczne, bo przecież nie wypłam ani

kropli alkoholu. Ale może to stan, w który w nocy wpędził mnie dotyk Rydera, sprawił, że teraz nie mogę oprzeć się wrażeniu, jakbym wypiła zdecydowanie za dużo?

Patrzę na swoje odbicie w lustrze i wzdycham cicho. Wygładzam dłońmi materiał długiej granatowej sukienki, a potem poprawiam jeszcze czarne pasma włosów spływające swobodnie wzdłuż ramion. Kiedy uznaję w duchu, że jestem już gotowa na to, by towarzyszyć Ryderowi podczas dzisiejszej uroczystości, znowu słyszę, jak jego głos echem rozbrzmiewa gdzieś w mojej głowie:

Jesteś bardzo piękna. Najpiękniejsza.

Uśmiecham się kącikiem ust. Odwracam się i zgarniam z komody torebkę na łańcuszku, zanim ruszam w stronę centralnej części apartamentu. W niej dostrzegam siedzącego na sofie Rydera. W pierwszej chwili mnie nie zauważa. Jest kompletnie zaabsorbowany widokiem panoramy Chicago widocznej za oknem, więc mogę sobie powzdychać, jak dobrze wygląda w garniturze i skrytej pod nim białej koszuli.

– Jestem gotowa – mówię i tym samym zwracam na siebie jego uwagę.

Mężczyzna odwraca głowę oraz taksuje mnie uważnym wzrokiem. Jak zwykle na jego twarzy nie maluje się choćby cień emocji.

– W takim razie możemy już iść – stwierdza, wstając i poprawiając mankiety. Kiedy do mnie podchodzi, po raz kolejny błądzi spojrzeniem po moim ciele, dodając: – Wyglądasz obłądnie.

Na jego komentarz jedynie uśmiecham się z wdzięcznością.

– Dziękuję – rzucam pod nosem i po chwili pozwalam, by Ryder narzucił na moje ramiona płaszcz. – Gdzie odbędzie się ten ślub? – dopytuję.

– W kościele na obrzeżach miasta.

– Myślisz, że będzie wielu gości? – Oplatom szyję ciepłym szalikiem.

– Tak sądzę. Ryan zawsze lubił huczne imprezy i uroczystości – mówiąc to, mężczyzna otwiera przede mną drzwi. Dziękuję mu skinieniem głowy i stojąc już w korytarzu, patrzę, jak chowa do kieszeni swojego płaszcza kartę do apartamentu. Kiedy upewniamy się, że mamy już wszystko, idziemy w kierunku windy.

– Długo się znacie? – Unoszę brew.

– Od czasu studiów. Tak wyszło, że na pierwszym roku złapaliśmy wspólny język. Po ostatnim wyniósł się do Chicago, ale nadal utrzymywaliśmy kontakt – słyszę w odpowiedzi.

– To miłe, że cię zaprosił – rzucam, wchodząc do windy.

Ryder opiera się ramieniem o jej ścianę i wciska odpowiedni guzik na panelu. Drzwi zamykają się, a my stoimy naprzeciwko siebie, taksując się spojrzeniami.

– To nie jedynie zwykła uprzejmość, Love – wzdycha brunet.

– Więc co takiego? – Nie ukrywam, że jego odpowiedź zbija mnie z tropu.

– Zakład.

Ściągam brwi, koncentrując całą uwagę na spokojnych grafitowych oczach.

– Jak to: zakład?

– Kiedyś jako gówniarze stwierdziliśmy, że ten, kto ustatkuje się jako ostatni, funduje reszcie towarzystwa wakacje na wyspie. Wiele wskazuje na to, że przegrałem. – Ryder nie wydaje się z tego faktu wybitnie niezadowolony.

– Ilu was było? Czy ty się w ogóle wyplącisz? – pytam z pobłażaniem.

– Trzech. Nie klepię biedy, a tak się składa, że jestem honorowy i przyjmę porażkę na klatę – stwierdza mężczyzna, zanim odbija się od ściany windy, gdy jej drzwi rozsuwają się na parterze. Nie mija parę sekund, a oboje ruszamy przez lobby w stronę wyjścia z hotelu.

– Słono za nią zapłacisz.

– Przynajmniej będę pewny, że kobieta, której może włożę na palec pierścioneł i która może urodzi mi dzieci, będzie tą jedyną – podsumowuje ze spokojem Ryder, zanim ponownie otwiera mi drzwi. Znowu dziękuję mu krótkim skinieniem i próbuję odszukać na podjeździe naszą taksówkę. Szybko ją znajduję.

– Będzie szczęściarą – mówię zupełnie szczerze.

Bo ta kobieta naprawdę będzie cholerną szczęściarą, mając przy sobie kogoś takiego jak Ryder

Callahan. Ten facet to mężczyzna niemalże idealny. I chociaż na początku byłam pewna, że to zwykły gbur i prostak, z biegiem czasu zaczynałam rozumieć, jaki był naprawdę. A był dżentelmenem. Był opiekuńczy, traktował mnie dobrze i wielokrotnie stawiał mój komfort ponad swój. Był po prostu dobrym materiałem na faceta, z którym chciałoby budować się coś więcej niż przelotny związek.

Siedząc już w taksówce, odwracam się w stronę szyby i przez chwilę myślę, że i ja chciałabym zbudować z kimś takim bliską relację.

Przed kościołem zbiera się sporo ludzi. Nie znam nikogo, co jest oczywiste, ale nawet Ryder nie wydaje się kojarzyć twarzy każdej osoby, która nas mija. Dlatego po prostu ciągnie mnie w stronę wejścia do ogromnego budynku, a potem do jednej z drewnianych ławek, na której zasiadamy, nie zwracając na siebie szczególnej uwagi.

Niestety, albo stety, ktoś nas jednak zauważa. Jakiś mężczyzna siada po mojej lewej stronie i kieruje do nas, a raczej do Rydera, zwykle:

– Kopę lat, Callahan.

– Andrew – rzuca pod nosem mój towarzysz, kiwając głową w geście powitania.

– Możemy już wybierać termin wycieczki? Z Ryanem myśleliśmy o wakacjach na Kubie – prycha drwiąco ubrany w czarną kamizelkę i białą koszulę mężczyzna. Domyślam się, że skoro wie o zakładzie, jest starym kumplem Rydera.

Również jest przystojny, ale nie w moim typie. Niejaki Andrew to blondyn o aż przesadnie ostrych rysach twarzy. Ma wąskie usta i oczy niebieskie jak niebo. Widząc, że także mi się przygląda, prostuję się w ławce.

– Jestem Andrew. Miło mi – mówi i wyciąga w moją stronę dłoń.

Od razu zauważam na niej obrączkę.

– Love – odpieram uprzejmie, podając mu rękę.

Nie spodziewam się jednak, że facet złoży na jej wierzchniej części pocałunek. Okej, nie wydałoby mi się to dziwne, gdyby jego usta nie dotykały mojej skóry odrobinę zbyt długo. Ryder, dostrzegając moje zakłopotanie, odchrząkuje.

– Gdzie zgubiłeś Carlę? – pyta, a potem tłumaczy mi: – Carla to jego żona.

Andrew uśmiecha się i macha ręką w powietrzu.

– Zagadała się z kimś.

– Powinieneś jej poszukać, zanim ktoś ci ją ukradnie – sugeruje Ryder.

– Nawet jeśli, to nic. – Mężczyzna wzrusza ramionami i zerka na mnie, obnażając zęby.

– To nic? – pytam.

– Żyjemy w otwartym związku – tłumaczy Andrew.

– Och – wykrztuszam z siebie.

– My żyjemy w zamkniętym – burczy pod nosem Ryder, dostrzegając sposób, w jaki gapi się na mnie jego stary przyjaciel. A potem, zanim zdążę zorientować się, co on tak właściwie wyprawia, siedzę już na samym krańcu ławki, a po mojej lewej siedzi mój sąsiad.

Uśmiecham się i spuszczam wzrok. Ryder jest naprawdę... terytorialny.

– Więc jesteście w związku – wysnuwa wniosek blondyn.

Cały czas wpatruję się w swoje buty. Jezu. Zaraz tutaj zejdem.

– Mhm – potwierdza mój towarzysz.

– W takim razie przegrałeś o włos, Callahan – parska śmiechem Andrew, zanim dopowiada: – Pójdę poszukać Carli. Złapiemy się później.

Mężczyzna odpowiada mu krótkim „jasne”.

– Ryder? – zagajam, gdy zostajemy sami.

Szarooki spogląda na mnie z góry z uniesioną brwią.

– Jesteś moim bohaterem – stwierdzam i opieram głowę na jego ramieniu.

I nie muszę patrzeć na jego twarz, by wiedzieć, że się uśmiecha.

Rezydencja, w której Ryan i Amber organizują wesele, jest spora. Gości, mimo że uroczystość

odbywa się w ostatni dzień roku, również jest sporo. Większość żywo konwersuje ze sobą, siedząc przy stołach, ale znaczna część okupuje także parkiet. Nawet mnie udało się zaciągnąć na niego Rydera. Cóż, przynajmniej raz.

A teraz przysłuchuję się rozmowie trójki starych przyjaciół, którzy już planują wyjazd na Kubę. Cóż, wszyscy, bez wyjątku, wydają się tym tematem przejęci, włącznie z panem młodym, więc domyślam się, że ta wycieczka naprawdę dojdzie do skutku. I zapłaci za nią nie kto inny jak Ryder. Upijam łyk wody ze szklanki i już mam zamiar odłożyć ją na stół, gdy nagle zwraca się do mnie Ryan:

– A ty, Love? Pojedziesz z nami?

Przełykam i od razu kręcę głową. Muszę się jakoś wymigać. Przecież ja i Ryder nawet nie jesteśmy razem. Jezu, co za farsa.

– Nie... w zasadzie myślę, że wyjazd mocno kolidowałby z moimi studiami – odpieram, niewiele myśląc. Zerkam w stronę swojego sąsiada, który zachowuje kamienną twarz. Najwyraźniej nie zamierza się wtrącać. A mógłby.

– Studiujesz? – Andrew podchwytuje temat. – Jesteś na ostatnim roku?

Rozchyłam delikatnie usta. Mam skłamać? Czy powiedzieć prawdę?

– Nie jest – uprzedza mnie Ryder. – Nie bądź wścibski, Andrew.

– Ludzka ciekawość – kwituje blondyn. – Po prostu Love wygląda dość młodo.

– Jest młoda – potwierdza mój towarzysz. – Ale co z tego?

– Nic. Wypijmy za was, w takim razie. Może niedługo spotkamy się na kolejnym ślubie. – Ryan błyska w moją stronę szerokim uśmiechem i unosi szkło. Zdążyłam go polubić. Jest naprawdę w porządku i widać, że szczerze kocha swoją żonę, Amber. Przynajmniej nie rozgląda się za innymi, tak jak Andrew.

Ryder nawet się nie krzywi, gdy odstawia kieliszek na stół.

– Może tak – dopowiada pod nosem. – Wybór terminu zostawiam wam. Ja się dostosuję – stwierdza. – A teraz wybaczenie, Love lubi tę piosenkę.

Mężczyzna nagle wyciąga w moją stronę dłoń, którą zaskoczona przyjmuję. Nie wiem, czy to przypadek, czy nie, ale utwór, który rozbrzmiewa teraz w sali naprawdę jest jednym z moich ulubionych. Uśmiecham się i pozwalam Ryderowi zaprowadzić się na parkiet. Tam kładę dłoń na jego szerokim barku, a on na mojej talii. I cholera. Gdy ten facet zaczyna prowadzić mnie w tańcu, czuję się tak wyjątkowa, jak nigdy wcześniej.

– Co za świetna wymówka, panie Callahan – komentuję rozbawiona.

Ryder unosi kącik ust.

– Pani wymówki za to nie łyknęli, panno Porter. Ani oni, ani ja.

Nie uciekając spojrzeniem od grafitowych oczu, pytam:

– To znaczy?

– To znaczy, że będziesz musiała się bardzo wysilić, jeśli chodzi o szukanie powodu, dla którego nie mogłabyś wybrać się ze mną na tę beznadziejną Kubę. – Mężczyzna przechyla głowę, a jego wzrok zjeżdża na moje usta.

– A jeśli tego właśnie chcę?

Ryder wzmacnia uścisk dłoni na moim biodrze. Czuję, jak ogarnia mnie ekscytacja, kiedy trzyma mnie przy sobie tak stanowczo i jednocześnie ostrożnie. A później brunet nachyla się delikatnie nad moją twarzą, by wyszeptać mi wprost w lekko rozchylone wargi:

– Wtedy powiem ci, że liczyłem na to, że tego właśnie będziesz chcieć, Love.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY



LOVE

Kiedy wracamy do apartamentu, jest kwadrans po jedenastej. Wspólnie z Ryderem już wcześniej stwierdziliśmy, że przed północą przejdziemy się przez centrum Chicago, gdzie przy Michigan na pewno mieszkańcy będą świętować nadejście nowego roku. Wcale nie dziwi mnie więc fakt, że mój sąsiad, zanim wyszedł do swojej sypialni, by odbyć krótką rozmowę z Chlo, stwierdził, iż zaraz wróci i za dosłownie chwilę będziemy mogli już wyjść na miasto.

Sęk w tym, że ja wcale nie chciałam nigdzie wychodzić.

Chciałam zostać tutaj. Z nim.

Przełykam nagromadzoną w ustach ślinę i stojąc przy szklanej ścianie, za którą rozpościera się widok na obsypane śniegiem Chicago, zrzucam z siebie płaszcz. Ciężki materiał z łoskotem ląduje na podłodze. Gęsia skórka momentalnie ogarnia moje ciało, kiedy bardzo powoli zaczynam rozpinać sukienkę. Przymykam delikatnie powieki i przechylam głowę, rozmasowując wolną dłonią spięty kark. Żołądek zaciska mi się z nerwów w jeden wielki supeł, a serce boleśnie dudni w piersi.

Co, jeśli mnie odtrąci?

Wstrzymuję oddech. Granatowa kreacja również spada na ziemię. Zostają tylko w białym komplecie koronkowej bielizny. Ale nie patrzę na swoje ciało. Nie patrzę na nie, bo boję się, że gdy spuszczę wzrok i na nie spojrzę, przestanę czuć odwagę, którą czuję teraz.

A teraz czuję się odważna, bo nie boję się prosić o to, by Ryder mnie dotknął.

Jest mi zimno i jednocześnie gorąco, gdy stoję tak nieruchomo i czekam na moment, w którym trzaskną drzwi. Oczyszczam umysł. Koncentruję swoje myśli tylko wokół jednego pragnienia. Pragnienia ponownego poczucia, że Ryder jest blisko.

Zasługuję na to, by znalazł się obok mnie. Jestem tego warta.

Delikatny uśmiech wdziera się na moją twarz. Ale znika tak szybko, jak orientuję się, że facet, na którego czekam, zapewne już dawno zakończył rozmowę. Otwieram oczy.

Odwracam powoli głowę i mrugam powoli, gdy dostrzegam Rydera, który stoi w mroku, oparty ramieniem o framugę drzwi, z dłońmi wsuniętymi do kieszeni spodni. Zasycha mi w gardle. Bo on nie odwraca ode mnie wzroku. Po prostu śledzi nim w skupieniu każdą krzywiznę mojego półnagiętego ciała, na którym znajduje się jedynie koronkowy komplet bielizny.

– Lubię cię w bieli, Love – przyznaje szeptem, od którego przechodzą mnie ciarki. Rozchyłam usta, by coś z siebie wykrztusić, ale szybko je zamykam, bo mężczyzna w paru długich krokach podchodzi do mnie i delikatnym ruchem ręki odgarnia moje włosy za plecy. – Lubię cię w każdym wydaniu.

Uśmiecham się. Przymykam powieki i czekam. Czekam, aż Ryder się odezwie.

– Znajdziemy inny sposób – mówi w końcu tak cicho, że ledwie jestem w stanie go usłyszeć. Jego głos w pierwszej chwili wydaje się jedynie piękną iluzją. A ja zatracam się w niej na amen, nie trawiąc w duchu nawet przez moment sensu wypowiedzianych przez niego słów.

Dopiero kilka sekund później, z opóźnionym refleksem, odwracam delikatnie głowę, uprzednio otwierając dotychczas przymknięte powieki. Na linii mojego spojrzenia znajduje się skrawek odsłoniętej, przez odpięte dwa pierwsze guziki koszuli Rydera, klatki piersiowej, więc zadzieram odrobinę głowę, by przyjrzeć mu się z uwagą.

A on, tak samo wpatrzony we mnie, dokańcza ze zdecydowaniem, które tak bardzo mi się z nim kojarzy:

– Skreśliłem cię z listy.

Paraliżuje mnie jednocześnie ekscytacja i dziwny strach. O Boże, pragnęłam tych kilku słów. Bardzo chciałam odtwarzać je sobie w głowie tak długo, dopóki nie pojęłabym, że to dzieje się naprawdę. Ale teraz, w tej chwili... matko, boję się tego, że moje nikłe doświadczenie wcale nie zadowoli Rydera. W końcu on, cholera. On z pewnością miał wiele kobiet, które miały pojęcie, jak sprawić, by poczuł się dobrze.

– Już nie jestem twoją pacjentką – podsumowuję speszona i odwracam głowę, by znowu omieść wzrokiem panoramę Chicago.

Ale nawet nie utrzymując kontaktu wzrokowego z Ryderem, mam wrażenie, że na jego ustach kwitnie ten charakterystyczny, pełen rezerwy i swobody, lekki uśmiezek.

– Nie jesteś nią, Love – potwierdza już nieco poważniej.

Na zmianę jego tonu moje ciało reaguje lekkim drżeniem. Uwielbiam uśmiech tego faceta, to, jak wyluzowany staje się, gdy podejmujemy szalone decyzje. Ale to jego powaga, zdecydowanie, stanowczość i pewność siebie są dla mnie zwyczajnie podniecające.

– Masz jeszcze jakieś asy w rękawie, by mnie splawić? – pytam dla pewności.

Mężczyzna wzdycha w mój bark i ściąga z mojego ramienia jedno ramięczko stanika.

– Jedyne, co mam, to nieprzyzwoitą myśl w głowie, na co sobie pozwolę względem ciebie, skarbie.

Boże. On naprawdę jest tej nocy mój.

Wstrzymuję oddech, czując duże męskie dłonie na swoich biodrach. Wciąż stoję nieruchomo, półnaga i wpatrzona w krajobraz Chicago widoczny za przeszkloną ścianą. Stoję tak, czekając, aż to *on* zrobi następny ruch.

Ryder wsuwa szorstkie palce pod pasek mojej bielizny, na co wydaję z siebie zduszone westchnienie. Karcę się za nie w duchu, przygryzając dolną wargę, by nie móc wykrztusić z siebie już nic więcej. Kręci mi się w głowie, gdy mężczyzna napiera na mnie ciężkim ciałem. Doskonale czuję na plecach jego twarde mięśnie, kiedy stanowczy, gardłowy szept rozbrzmiewa gdzieś obok mnie:

– Jeszcze raz spróbujesz się przed czymś powstrzymać, a naprawdę przestanę. Tej nocy chcę mieć cię szczerą. Chcę szczerości, Love. – Ryder znaczący śladem zębów płatek mojego ucha, na co biorę głęboki wdech nosem.

Zwariuję.

– Dasz mi ją? – pyta, przesuwając zarostem wzdłuż mojego policzka.

Przełykam z trudem i kiwam pospiesznie głową.

– Powiedz, że mi ją dasz – rozkazuje, mocniej ściskając pasek mojej bielizny.

Materiał wrzyna mi się w skórę przez to, jak mężczyzna mocno go naciąga. Jest mi duszno, tak okropnie duszno. W tej chwili chciałabym jedynie, by Ryder w końcu przestał mówić, a zaczął coś robić. Zniecierpliwiona i spragniona jego dotyku dociskam tyłek do jego krocza i odchylam głowę, by oprzeć jej tył na jego ramieniu.

– Dam ci wszystko, co będziesz chciał wziąć – wykrztuszam z siebie cicho.

Mężczyzna bardzo powoli kuca i zaczyna zsuwać ze mnie koronkowy dół. Mimowolnie zaciskam uda, kiedy jego spojrzenie błądzi po moim ciele. Szybko się zapominam. Chcąc powstrzymać sapnięcie, krztuszę się powietrzem i prowokuję moment, w którym Ryder... gryzie mnie w pośladek. Wydaję z siebie piskliwy jęk, ale nie mogę się ruszyć, ponieważ silne ręce ciasno mnie oplatają.

– Love. – Jego ton jest karcący.

– Przepraszam. Już nie będę – mamroczę pod nosem.

Odpowiada mi cisza. W chwili, w której moje majtki zatrzymują się na wysokości kolan, podkurczam palce u stóp. Ryder to widzi. Och, on zawsze widzi absolutnie wszystko. Kiedy myślę, że ściągnie je równie powoli, jak je ze mnie zsunął, on jednym gwałtownym ruchem ciągnie koronkę w dół. Biorę głęboki haust powietrza do płuc i drzę, czując ciepły oddech blisko najbardziej wrażliwego miejsca w moim rozpalonym ciele.

– Rozluźnij się, skarbie – słyszę jego polecenie.

Znowu przysmykam powieki. I przysięgam, że nie wiem, w którym momencie zostaję delikatnie popchnięta na materac łóżka. Opadam na nie z cichym łoskotem. Pościel jest miękka i zimna, ale to

Ryder i jego dłonie rozsuwające moje nogi sprawiają, że wzdłuż kręgosłupa przechodzą mnie lodowate dreszcze. Mrugam powoli. Sypialnię spowija czerń tak głęboka, że ledwie mogę ujrzeć przed sobą stalowe spojrzenie ulubionych oczu.

Ryder układa dłonie pod moimi udami. Jednocześnie nawet na sekundę nie spuszcza ze mnie wzroku. Serce kołacze mi jak dzwon, gdy zwilża językiem dolną wargę, a potem składa leniwe muśnięcie ust na moim podbrzuszu. Uderza we mnie fala prawdziwego podniecenia.

– Love... – słysząc jego szept, kręcę głową.

– Nie pytaj – przerywam mu. – Błagam, po prostu dotknij mnie już.

Mężczyzna uśmiecha się kącikiem ust. A ja odchylam głowę tak szybko, jak czuję na swojej kobiecości gorący oddech. Ryder wzmacnia uścisk na moich udach, zanim jego język smaga mój czuły punkt. Nie mogę się w żaden sposób powstrzymać. Wplatom palce w jego miękkie włosy i wydaję z siebie cichy jęk przyjemności, kiedy szarooki zatapia się we mnie głębiej. Tkwi pomiędzy moimi nogami i – Bóg mi świadkiem – sprawia, że tracę zdolność racjonalnego myślenia.

Opieram pięty na jego plecach. Zupełnie mimowolnie podrywam delikatnie biodra, by ułatwić mu dostęp. Nie muszę widzieć twarzy Rydera, by czuć, że się uśmiecha. Cwaniacko, odrobinę mrocznie i niebezpiecznie. Rozchylam usta. Jedyne, co mogę z siebie wyartykułować, to coś na kształt imienia mężczyzny, który... szlag. Upaja mnie tym, co ze mną wyprawia.

Zdmuchuję sprzed nosa kosmyk włosów. Brakuje mi tchu, gdy wilgotne usta stapiają się z moją skórą, a gorący język zaspokaja mnie swoimi okrężnymi ruchami. Mocniej wbijam pięty w męskie plecy, nie przestając bawić się miękkimi kosmykami Rydera. Moje ciało wariuje, podbrzusze przesiąka napięciem, a kołaczące mocno serce niemalże miażdży żebra w swoim szaleńczym pędzie. Moje gardło wyschło na wiór, ale mimo to nie powstrzymuję kolejnego jęku, gdy język Rydera uderza tam, gdzie czuję go najlepiej.

Jestem spocona, rozpalona i cholernie nakrecona. Mężczyzna przyspiesza ruchy, doprowadzając mnie na sam szczyt. Dochodzę z głośnym jękiem i z przeraźliwą ochotą na więcej. Przez dłuższą chwilę jedyne, co robię, to uspokajam oddech i wpatruję się nieobecny spojrzeniem w sufit. Boże, jeszcze nikt nigdy nie dał mi tak intensywnego spełnienia.

Z amoku wyrywa mnie dopiero moment, w którym Ryder ściąga z siebie moje nogi. Zanim podnosi się do pionu, puszcza mi oczko. Uśmiecham się absolutnie szczęśliwa i podekscytowana. Patrzę z dołu na rosnącego mężczyznę, który powoli zaczyna rozpinać guziki swojej białej koszuli. Wygląda nieprzyzwoicie seksownie. Boże, wygląda tak przeraźliwie gorąco, gdy z roztrzepanymi włosami, nieczytelną miną i przenikliwym jak diabli spojrzeniem rozsuwa poły materiału, a potem zsuwa go z szerokich ramion. Widzę zarys jego sylwetki nawet w panujących w sypialni ciemnościach. I szlag. Pożądał tego faceta jeszcze bardziej.

– Chciałeś szczerości – wyduszam z siebie z trudem.

Ryder przechyla odrobinę głowę, uważnie mi się przyglądając. Czuję nieznośne pieczenie na każdym skrawku skóry, po którym mknie ciężar jego spojrzenia. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to, jak obserwuje mnie ten facet, przypomina słodkie katusze. Patrzy na mnie tak, jakby miał na mnie ochotę, a jednocześnie nie robi nic. Jeszcze nie robi nic.

Jego samokontrola kiedyś mnie zabije.

– Chciałem – potwierdza niskim głosem, a powietrze, które wciągam długim wdechem do płuc, wydaje się jeszcze bardziej parne. Jeszcze mniej rześkie, jeszcze mniej orzeźwiająca. Czuję się jak pijana. Jak odurzona. Jak zahipnotyzowana. I wiem, czego pragnę.

– Więc będę szczera, gdy powiem, że chcę cię teraz – przyznaję. – Kochaj się ze mną, Ryder.

Żadne z nas nie przerywa naszego kontaktu wzrokowego. Mięsień szczęki mężczyzny drga nieznacznie, gdy ten przybliży się do mnie powoli. Wspina się po łóżku. Zawisa nade mną. Oparty na wyprostowanych rękach, cały czas obserwuje mnie tak, jakby próbował się upewnić, że nie ma we mnie choćby cienia zawahania. Ale ja wiem, że go nie ma. Nie ma go, bo w tym momencie chcę jedynie, by ten facet w końcu mnie posiadał.

Wiem, że mnie nie skrzywdzi. Wiem, że weźmie pod uwagę to, jak będę się czuć. Wiem, że jestem przy nim bezpieczna. Wiem, że mój Ryder tylko tej nocy jest mój. I dlatego ja też zamierzam

dzisiaj wziąć od niego wszystko, co tylko zechcę.

– Przysięgam, że dla żadnej kobiety nigdy nie straciłem tak głowy, jak tracę ją dla ciebie, Love – mruczy szeptem, całując z moich ust westchnienie. Dźwięk ocierających się o siebie wilgotnych warg wysyła po moim ciele kolejną falę podniecenia.

– Strać ją dla mnie... – mówię ledwie słyszalnie. – Do końca.

Ryder uśmiecha się delikatnie i znowu łączy nasze usta. Połykam jego niskie syknięcie, kiedy dobieram się do skórzanego paska jego spodni. Wysuwam go ze szlufek i odrzucam gdzieś w bok. Walczę z rozporkiem, nie przestając poddawać się zainicjowanej przez mężczyznę pieściocie. Nie mija dłuższa chwila, a brunet wisi nade mną całkowicie nagi. Zjeżdżam wzrokiem po jego sylwetce i wydaję z siebie krótkie tchnienie. Widok jego w pełnej krasie rozpala mnie jeszcze bardziej.

Mężczyzna odrywa się od moich ust tylko po to, by przenieść swoje wargi pomiędzy moje piersi. Po chwili uwalnia obie z miseczek koronkowego biustonosza. Odrzuca stanik gdzieś w kąt. Wydaję z siebie westchnienie, gdy Ryder obejmuje zimnymi wargami jedną z brodawek. Mój sutek twardej pod wpływem nacisku jego języka. Wyginam plecy w łuk, ocierając się przypadkowo o pokaźny wzwód. Każdy mięsień w moim ciele napina się zupełnie nagle.

Kładę dłonie na naprzężonych bicepsach Rydera, podczas gdy on wciąż traktuje mój biust ze staranną delikatnością. Jego męskość jest już tuż przy moim wejściu, ta świadomość potęguje we mnie tę nieznośną potrzebę poczucia w sobie tego faceta. Aż w końcu Ryder podrywa głowę. Znowu krzyżujemy spojrzenia, oboje ciężko dysząc i uśmiechając się zupełnie szczerze. Skinieniem głowy potwierdzam, że już dłużej nie wytrzymam. Mężczyzna odnajduje w spodniach zabezpieczenie i nasuwa je na męskość, a potem po raz kolejny mnie całuje.

Robi to leniwie, wsuwając się we mnie powoli. Wydaję z siebie niekontrolowany jęk, bo jego rozmiar porządnie mnie rozciąga. Moja pierś faluje z każdym głębszym wdechem, który biorę do płuc. Przymykam powieki. Przez pierwsze sekundy przyzwyczajam się do długości Rydera. Potem mężczyzna wycofuje się już tylko po to, by ponownie zatopić się we mnie, tym razem głębiej i z niskim syknięciem aroboty.

Rozchyłam usta. Brunet podgryza moją dolną wargę i obejmuje dużymi dłońmi moje biodra. Przyparta do materaca rozluźniam wszystkie mięśnie. Całuję Rydera i uśmiecham się, gdy mężczyzna pogłębia pieściotę, jednocześnie cały czas wbijając się we mnie raz za razem. Odgłos współgrających ze sobą ciał potęguje jedynie rozkosz, którą odczuwam w każdym skrawku ciała. Rozsuwam szerzej nogi i podnoszę powoli powieki. Ryder, dostrzegając w moich oczach niemą prośbę, wzmacnia uścisk na mojej tali i przyspiesza tempo swoich ruchów.

Żołądek zawiązuje mi się w supeł. Cichy jęk ponownie opuszcza moje usta, a pobudzone do granic możliwości ciało zaczyna drżeć. Po każdym pchnięciu nadchodzi kolejne. I kolejne. I kolejne, które przybliży mnie do drugiego orgazmu. Ryder jest w stanie doskonale to wyczuć. W pewnym momencie kładzie dłoń na moim policzku. Porusza się we mnie jeszcze szybciej i zatapia jeszcze głębiej. Miażdży moje usta mocnym pocałunkiem.

Napięcie, które się we mnie kumuluje, nagle znajduje ujście. Mimowolne sapnięcie wydostaje się z mojej piersi, gdy osiągam spełnienie, i całkowicie upojona tym, co zrobił ze mną Ryder, przestaję rejestrować, co tak właściwie się dzieje. Uspokajam oddech. Próbuję odzyskać władzę nad swoim ciałem, podczas gdy mężczyzna wykonuje jeszcze kilka długich i silnych pchnięć. Dochodzi z niskim syknięciem, a później opada na mnie swoim ciężarem.

Uśmiecham się, spokojna i szczęśliwa. Wplątam drżącą dłoń w kosmyki miękkich włosów Rydera. Gdzieś pomiędzy naszymi niespokojnymi oddechami udaje mi się usłyszeć jego szept tuż przy swoim uchu:

– Szczęśliwego nowego roku, Love.

Przełykam i obejmuję dłońmi jego policzki, gdy brunet podrywa nieznacznie głowę. Mężczyzna znowu odnajduje drogę do moich ust, a mi momentalnie przechodzi przez myśl, że nigdy w życiu nie przeżyłam bardziej magicznej i czulej nocy od tej. W uszach słyszę odgłos wystrzeliwanych w niebo sztucznych ogni, a w sercu czuję błogi spokój. Ryder bierze krótki wdech nosem, a potem odrywa się od moich warg. Ma cudowne oczy. Boże, ma tak cudownie zimne oczy, że mogłabym przepadać w nich

ciągle i ciągle.

– Szczęśliwego nowego roku, Ryder – mówię szeptem, uśmiechając się jeszcze szerzej. Chryste, uwielbiam to, że przy tym facecie wszystko nagle staje się proste. Uwielbiam to, że przy nim czuję się tak, jakbym była wyjątkowa i jedyna w swoim rodzaju.

Uwielbiam go. I czasami uwielbiam też siebie, gdy jestem z nim.

– Wszystko okej? – upewnia się i wstaje.

Patrzę na niego z dołu, gdy wyrzuca do kosza prezerwatywę, i kiwam głową.

– Gdzie idziesz? – pytam tak cicho, że w pierwszej chwili zastanawiam się, czy przypadkiem nie zadałam tego pytania jedynie w myślach. Ryder jednak jest w stanie je usłyszeć.

– Idziemy – podkreśla, a potem przesuwa spojrzeniem po moim nagim ciele. Nie wiem, ile jest w stanie zobaczyć w mroku, który spowija pomieszczenie, ale i tak kulę się w sobie, chociaż przecież już widział mnie bez niczego.

Mężczyzna zauważa moją reakcję. Jedyne, co robi, to podnosi mnie bez problemu z materaca i rozpoczyna marsz w tylko sobie znanym kierunku. I przysięgam, że dopiero teraz czuję, jak niezdolne do ruchu są moje obolałe mięśnie.

– Gdy tak na ciebie patrzę, podobasz mi się jeszcze bardziej niż wcześniej, skarbie – wyznaje Ryder, a ciepło w zatrważająco szybkim tempie rozlewa się w okolicach mojego serca. Unoszę kącik ust i przywieram policzkiem do męskiego torsu, pozwalając, by brunet zaniósł mnie do łazienki, a tam posadził na blacie obok umywalki.

Wypuszczam powoli powietrze, obserwując, jak odwrócony do mnie plecami Ryder napelnia ogromną wannę wodą. Za nią znajduje się przeszklona ściana. Widok, który za sobą skrywa, sprawia, że otwieram odrobinę szerzej oczy. Centrum Chicago prezentuje się oszałamiająco, gdy organizowany jest nad nim piękny pokaz sztucznych ogni.

Zeskakuję z blatu, zachęcona sugestywnym spojrzeniem Rydera, który siedzi już w wannie i przygląda mi się w milczeniu. Z delikatnym uśmiechem usadawiam się pomiędzy jego nogami. Gorąca woda przyjemnie rozluźnia moje mięśnie, a dotyk znajomych ust na barku wywołuje we mnie wrażenie, jakby stado motyli miało zaraz rozsadzić mój brzuch.

Wzdycham cicho oraz opieram plecy o twardą klatkę piersiową Rydera.

– Teraz już się od ciebie nie odkleję – stwierdzam i napieram zębami na wargę, by powstrzymać śmiech. Siedzący za mną mężczyzna jedynie odgarnia moje włosy za plecy. Później opiera jedną rękę na krawędzi wanny, a drugą głaszcze moje biodro.

– Spróbowałabyś.

– Hm? – Przechylam głowę, by wymienić z nim spojrzenie.

– Nie zamierzam cię już nigdzie wypuścić.

Nie daję po sobie poznać, że nagle moje serce bije odrobinę szybciej. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, że Ryder, ten sam Ryder Callahan, którego na początku tak strasznie nie trawiłam, teraz jest w stanie sprawić za pomocą prozaicznych gestów lub zwykłych słów, że mój puls tak po prostu przyśpiesza. To... och.

Niewiarygodne.

– To znaczy? – Unoszę wyzywająco brew, przybliżając do niego swoją twarz. Nie czekam na to, aż to on wykona pierwszy ruch. Tym razem nie. Robię to, na co uważam, że zasługuję. Łączę nasze wargi na ledwie moment, ale tyle w zupełności wystarczy. Bo wiem, że tej nocy pocałuję go jeszcze tyle razy, że moje usta z pewnością opuchną.

– To znaczy, że naprawdę mi na tobie zależy. Cholera, zadurzyłem się w tobie, Love. Zadurzyłem się w tobie bez pamięci – dokańcza, a chlusta wody przedziera się przez ciszę spowijającą łazienkę. To przez Rydera, który przyciąga mnie do siebie jeszcze mocniej, tak że nie dzieli nas chociażby głupi centymetr niechcianego dystansu.

– W takim razie ja nie zamierzam się nigdzie wymykać. Jest mi z tobą dobrze, Ryder – mówiąc to, opieram policzek na jego obojczyku. – I chyba ja też...

– Ty też co, Love? – pyta zaciekawiony.

Unoszę wzrok, by spojrzeć mu głęboko w oczy.

– Chyba też się w tobie zadurzyłam, bo gdy o tobie myślę, wszystko inne przestaje mieć znaczenie. Jesteś tylko ty... Aż ty. – Po wypowiedzeniu tych słów zwieszam delikatnie głowę i spoglądam na panoramę Chicago. Prezentuje się obłędnie, a ja nabieram ochoty na ten romantyczny, noworoczny spacer po mieście.

Dlatego też po kilkunastu minutach i tylu samych skradzionych sobie pocałunkach, wraz z Ryderem opuszczamy apartament, by przespacerować się nocą wzdłuż Michigan.

– Czuję, że nie odpuszczisz tego spaceru – rzuca z pobłażaniem mężczyzna, a ja nie przerywając wesołego marszu przez długi hotelowy korytarz, odwracam się przez ramię, by spojrzeć na niego ze szczerym, niewymuszonym uśmiechem.

– Więc twoja intuicja ma się całkiem nieźle.

Ryder kręci głową.

– Obawiam się, że to wcale nie intuicja.

– Więc co takiego? – pytam zaciekawiona, przechodząc przez próg niewielkiej, pustej windy. Zanim zdążę jednak na dobre do niej wsiąść, Ryder popycha mnie delikatnie do przodu, przez co opadam plecami na jedną ze ścian. Zaraz potem drzwi zamykają się, po tym jak mężczyzna wciska odpowiedni przycisk na panelu.

Jego spojrzenie łąduje na mnie, jest magnetyzujące jak diabli i na Boga... Wyraża łaknienie. Wyraża troskę. Wyraża stanowczość. Wyraża wszystko to, co sprawia, że ten facet wydaje się moją bezpieczną ostoją. Przy nim zaczynam czuć się atrakcyjna i... *kochana*?

Robi mi się cieplej, gdy stoję tak nieruchomo, wpatrzona w milczącego mężczyznę. Nasz kontakt wzrokowy w tej sekundzie wydaje się niemym kodem. Wymieniamy spojrzenia, doprowadzamy do tego, że nasze oddechy zaczynają się ze sobą mieszać, kiedy Ryder nachyla się nade mną i czule trąca swoim nosem mój.

– To wiedza, że jesteś pierwszorzędną romantyczką – odpowiada mi w końcu. – A pierwszorzędne romantyczki nigdy nie odpuszczają spacerów za rękę o wschodzie słońca z facetami, z którymi kiedyś nie powinny były tego robić.

Uśmiecham się lekko.

– To tylko jedno, czego nie było nam wolno robić. Co z resztą? – parskam zaczepnie, gdy duże dłonie Rydera łądują na moich biodrach i chowają się pod materiałem długiego płaszcza. Mocniej przyparta do ściany windy rozchyłam delikatnie usta.

– Z resztą... cóż. Myślę, że tej nocy złamiemy każdą zasadę, jaką kiedyś uważaliśmy za świętą, Love – wzdycha z pewnym rodzajem ulgi Ryder.

Tak, zdecydowanie ja też tak sądzę.

Nie jestem w stanie mu odpowiedzieć. Nie jestem w stanie zrobić w zasadzie niczego, prócz wciągnięcia nosem niewielkiej dawki powietrza, gdy czarnowłosa przystojniak podgryza moją dolną wargę i przejeżdżając po niej językiem, kradnie mi krótkiego buziaka.

Uśmiecham się szerzej, a potem odwracam głowę w stronę panoramy Chicago widocznej za przeszkloną ścianą windy. W szkle odbijają się nasze sylwetki. Jestem pewna, że Ryder również patrzy na nasze odbicia, bo na jego przystojnej twarzy zakwita pewien rodzaj spokoju. Kto wie, może ten spokój wynika ze zwykłej świadomości, że nie musimy się już ograniczać? W końcu... zostałam skreślona z jego listy.

– Uwielbiam to miasto – przyznaję szeptem. – Teraźniejszość. Ją z tobą.

Mężczyzna muska wilgotnymi wargami moją odkrytą szyję.

– Nie będzie ci zimno? – upewnia się, uprzednio podrywając nieco głowę, by móc objąć spojrzeniem całą moją twarz.

– Jeśli będzie, pewnie przykleję się do ciebie jak pijawka. I wszyscy będą na to patrzeć, jak gdyby kiedyś to wcale nie było w żaden sposób niepoprawne – odpieram bezceremonialnie, czując przyjemną otuchę na samą myśl o urzeczywistnieniu tych słów.

Ryder spuszcza głowę i unosi kącik ust.

– Musimy szybko odhaczyć ten spacer – stwierdza, a potem znowu równocześnie spoglądamy na nasze odbicia w szybie.

– Daj mi jeden powód, dla którego taka pierwszorzędną romantyczka jak ja powinna dać ci się przekonać – droczę się z nim.

I nie spodziewam się, że ten jeden, jedyny powód, który padnie z ust Rydera, po prostu sprawi, że zgubię oddech:

– Potrzebuję znowu cię dotknąć – mówi niskim, szczerym szeptem, od którego zaczyna kręcić mi się w głowie.

Opieram skroń o ścianę. To wszystko jest takie... intymne. Te krótkie, kradzione sobie buziaki. Ten każdy niewinny, przypadkowy bądź nie, dotyk. Te wyrażone szeptem potrzeby. Pokrywam swoją dłoń wierzch dłoni Rydera, która wciąż tkwi na moim biodrze. Głaskam go, wpatrzona w odbijające się w szybie nasze odbicia. I pozwalam sobie naiwnie myśleć, że pobyt w zaśniewanym Chicago potrwa wiecznie.

Pozwalam sobie na naiwne życzenie.

Jeszcze ten jeden raz.

– Wątpię, że mnie dorwiesz – wzdycham, gdy drzwi windy się otwierają. Nie tracąc czasu, ściągam z bioder duże i ciepłe ręce Rydera i mknę przed siebie szybkim krokiem.

– Love – słyszę za plecami, kiedy przemykam przez hotelowe lobby.

– Nie sprawdzisz, czy dasz radę? – Odwracam głowę przez ramię i puszczam mu oczko.

Mężczyzna kręci głową z politowaniem.

– Przecież wiesz, że sprawdzę.

Ryder również przyśpiesza, przez co jestem zmuszona zacząć biec. Uśmiecham się i wybiegam z hotelu, rozglądając się już na chodniku w obie strony. Śnieg sypie z nieba lawinowo, jest wszędzie. Na szyldach restauracji, dachach budynków, ławkach widocznych z daleka w pobliskim parku. Jego płatki lądują na mojej twarzy, ale nie dbam o to, zaabsorbowana myślą, że nie mogę być takim łatwym celem dla tego gbura.

Niebo powoli jaśnieje, zimno przedziera się przez poły mojego płaszcza, a ja biegnę przed siebie, szczęśliwa i podekscytowana. Śnieg sypie mi w oczy, wiatr rozwiewa włosy, mróz szczypie w policzki. Zaciągam się rześkim powietrzem, wbiegam na most, pod którym płynie Michigan. Nawet nie wiem, kiedy silna ręka ciągnie mnie do tyłu i wpadam na twarde tors Rydera. Wiem natomiast, że nas obojga nieco zmęczyła ta przebieżka. Oboje ciężko dyszymy i szczerzymy się do siebie jak skończeni kretyni.

Wspieram się na palcach. Delikatnie muskam swoimi wargami usta mężczyzny i opieram przedramiona na jego szerokich barkach. Wtem Ryder inicjuje kolejny pocałunek. Trwa on ledwie chwilę, ale smakuje tak szalenie dobrze.

Wciąż dysząc, brunet opiera swoje czoło o moje.

– Twoje usta. – Oddycha ciężko. – Kurwa, Love. Są słodsze, niż mogłem przypuszczać w dniu, w którym wparowałem do twojego domu po raz pierwszy.

– Tak? – Uśmiecham się i całuję go znowu, ignorując wszystko wokół. Padający z nieba śnieg, pojedynczych ludzi oraz myśl, że każda minuta zaognia we mnie potrzebę, której już nie zdołam uspić gdzieś głęboko w sobie.

Potrzebę bycia blisko niego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI



LOVE

Powrót do codzienności przypomina wybudzenie się ze słodkiego snu – tak szybko, jak znowu znajdujemy się w zaśnieżonym Aspen, rzucamy się na pożarcie obowiązkom. Ja wracam po przerwie na uczelnię oraz dostaję grafik na najbliższy miesiąc w pracy, natomiast Ryder z mojego wyluzowanego drania zmienia się w poważnego pana psychologa. I tak upływają nam pierwsze dwa dni w domu – gnamy za swoimi zajęciami, spotykając się wieczorami.

– O kim tak zawzięcie myślisz, zakochana Love Porter? – Z transu wyrywa mnie znajomy dosadnie sugestywny głos.

Zwężam oczy i momentalnie odwracam się w stronę Kaydena, z którym, tak się składa, mam dzisiaj zmianę w kinie.

– O tobie i o tym, jak wsadzam ci głowę do maszyny z popcornem. – Uśmiecham się i odbijam od blatu, dostrzegając klientów podchodzących do lady. – Co dla was? – zadaję standardowe pytanie i kiedy tylko otrzymuję odpowiedź, zabieram się do przygotowania zamówienia. Gdy jest gotowe, wręczam je gościom, po uprzednim przyjęciu od nich odpowiedniego banknotu.

– Niezła wymówka. Już prawie ci uwierzyłem – parska chłopak.

– Nie. Ja naprawdę kiedyś to zrobię. – Wzruszam ramionami.

– Wcześniej jednak chcę wiedzieć, jak było w Chicago.

Wzdycham i krzyżuję ręce pod biustem.

– Było... fajnie – stwierdzam neutralnym tonem. – Dobrze się bawiłam.

– Byliście w tym sławnym zoo? – pyta nagle Kay.

Ściągam brwi, absolutnie zbита z tropu.

– Co?

– Tak pytam, bo wygląda na to, że coś ugryzło cię w obojczyk – odpiera teatralnie chłopak, a ja spuszczam wzrok na swoją koszulkę z dekoltem w serek. Od razu poprawiam materiał tak, by zakrył ślad zębów. Oczywiście zębów Rydera.

Matko.

– Nie byliśmy w zoo – rzucam burkliwie.

– Więc? – Mężczyzna unosi brew.

– O Jezu, dobra. Mieliśmy chwilę słabości – szepczę i podchodzę do blatu, by zabrać z niego swoją butelkę z wodą. Upijam łyk i modlę się w duchu, by podszedł do nas jakiś klient, ale, jak na złość, o tej godzinie w kinie panują pustki.

– Chwilę słabości? – Kayden w dwóch krokach znajduje się przy mnie.

– Chcesz szczegółów? – prychem pogardliwie.

– I tak ich nie dostanę – wysnuwa trafny wniosek.

– Oczywiście, że nie.

Odstawiam butelkę na miejsce i poprawiam swój koński ogon.

– Ale... przecież jesteś jego pacjentką. – Chłopak wydaje się zdezorientowany.

– Już nie. Ryder skreślił mnie z listy – tłumaczę. – Ale bardziej niż o mnie i o Ryderze chciałabym posłuchać o tobie i jego siostrze. – Uśmiecham się cwaniacko, przypominając sobie moment, w którym przypadkiem zauważyłam wiadomości Gravesa i Chlo. Były... cóż, zaskakujące, bo ta dwójka zwyczajnie ze sobą flirtowała.

– O Chloe.

– O Chloe i tobie – konkretyzuję.

Mężczyzna opiera dłonie na biodrach i wypuszcza ze świstem powietrze z płuc. W gruncie rzeczy nie wydaje się specjalnie zdenerwowany faktem, że rozpoczęłam ten temat. Przynajmniej taka myśl przechodzi mi przez głowę, gdy go obserwuję.

– Po prostu dobrze się dogadujemy – stwierdza po chwili ciszy mój rozmówca. – Ale wiecie co? Mogliście uprzedzić, że naślecie ją na mnie, gdy będę opiekował się tymi szatanami. Przynajmniej... nie zastałaby mnie z czteropakami piwa i paczką chipsów.

– Ktoś musiał skontrolować, czy dom wciąż stoi cały. – Uśmiecham się.

– To pomysły Callahana? – pyta Graves.

– Oczywiście, że jego – przyznaję. – Nie martw się. Chyba zatarłeś pierwsze wrażenie, skoro nadal piszecie. – Klepię go po ramieniu, na co mężczyzna gromi mnie nieprzyjemnym wzrokiem. – Lepiej módl się, żeby Ryder nie dowiedział się o tych waszych sprośnych rozmowach. – Napieram zębami na wargę, powstrzymując śmiech.

– Urwałyby mi jaja?

– Och, nie. – Chwytam się za serce. – Odrąbałby ci je siekierą.

– Więc wychodzi na to, że żyję na krawędzi – kwituje Kayden.

– Żartowałam. Chyba...

– To jeszcze nic poważnego, więc nie snujmy beznadziejnych domysłów.

Przytakuję i wskazuję sugestywnie na kolejnych klientów, którzy podchodzą do lady. Graves rusza w ich stronę. Podczas gdy obsługuje parę nastolatków, zastanawiam się, jak zaborczy Ryder mógłby być, gdy w grę wchodziłaby jego młodsza siostra. W sumie... mogłabym podejrzewać go o bycie naprawdę troskliwym starszym bratem. To takie w jego stylu, a już zwłaszcza że Chloe sporo wycierpiała w swoim życiu. Myślę, że każdy z rodziny Callahanów tak już ma – skoczy za innym członkiem rodziny w ogień.

– Wiesz, że ma dziecko? – pytam, gdy Kayden stoi już znowu obok mnie.

– Mhm. Jeśli coś z tego wyjdzie, wcale mi to nie przeszkadza.

– Myślę, że przeszedłbyś casting na nową sympatię Chloe Callahan. – Uśmiecham się znowu i spoglądam na ekran swojego telefonu. Jest już za dwadzieścia trzecia, co oznacza, że zaraz skończę zmianę. Od razu czuję przypływ ulgi.

– Chyba ktoś do ciebie – słysząc pomruk Kaydena, odzyskuję fason. Unoszę wzrok ponad ekran komórki i zastygam w bezruchu, gdy tylko dostrzegam idącego w naszą stronę Rydera. Rozchyłam mimowolnie usta i zaczesuje kosmyk włosów za ucho.

– Jak wyglądam? – pytam szeptem, spoglądając na swój uniform.

– Jak po całym dniu spędzonym w pra...

– Nieważne – warczę obruszona i prostuję się jak struna. – Co on tu robi?

– Przyszedł do ciebie.

– Ty geniuszu. – Wywracam oczami.

– Myślę, że patrzy na ciebie krzywo – wzdycha Kayden, gdy nadal nie mam odwagi odwrócić się w stronę Rydera.

– Serio?

– Nie. Idź już do niego.

W końcu odbijam się od blatu. Ruszam w stronę swojego sąsiada stojącego przy ladzie. A ten... cóż. Wygląda naprawdę dobrze w ciemnym swetrze, czarnej czapce z daszkiem i parze okularów przeciwsłonecznych na nosie, które właśnie ściąga.

– Cześć, co tu robisz? – pytam bez ogródek, krzyżując z nim spojrzenie.

W grafitowych oczach dostrzegam spokój w strasznie klarownej postaci. Zupełnie tak, jakby wypowiedzenie kolejnych słów było dla Rydera okrutnie naturalne:

– Zabieram cię na randkę, Porter.

– Teraz? – upewniam się.

– Mhm. Chyba zaraz kończysz zmianę?

– Ja... tak. – Kiwam głową. – Myślę, że mogę wyjść wcześniej.

Czarnowłosa odpowiada mi lekkim, ale tak bardzo onieśmielającym uśmiechem. Boże, on cały

jest onieśmielający. Onieśmielający z tym, jak wygląda i jak się zachowuje. Z tym, jak traktuje kobiety. I wciąż nie wierzę, że Ryder Callahan zabiera na randkę właśnie mnie.

– W takim razie czekam na parking, Love – informuje mnie, zanim odchodzi.

Patrzę, jak zmierza w kierunku wyjścia. Mimo że to beznadziejnie ckliwe, czuję, jak moje serce otula ciepło. Po kilku sekundach odwracam się, napotykając zaciekawione spojrzenie Kaydena.

– Randka – bardziej stwierdza, niż pyta.

– Randka – potwierdzam. – Mogę...

Zanim zdążę dokończyć, chłopak stwierdza:

– Leć. Ogarnę ten syf.

Uśmiecham się i w podskokach ruszam w stronę przejścia dla personelu. Przebieram się w ekstremalnie szybkim tempie, nie chcąc, by Ryder czekał na mnie w nieskończoność. Kiedy jestem już gotowa, wychodzę tylnym wyjściem na parking. Promienie słońca oślepiają mnie na moment, ale szybko dostrzegam stojącego w oddali range rovera. Wsiadając do niego, czuję zapach znajomych perfum i cedru.

– Gotowa? – Ryder zerka na mnie, odpalając silnik.

– Oczywiście. – Szczerzę się i wygodniej rozsiadam na fotelu.

Przecucie podpowiada mi, że to będzie miłe popołudnie. I gdy tylko docieramy nad to samo zamarzniete jezioro, nad którym już kiedyś byliśmy, tyle że z Gargamelem, myślę, że wcale się nie myliłam. Dzień jest dzisiaj słoneczny, więc krajobraz, który nas otacza, zapiera dech w piersi. Wpatrzona w niego dłuższą chwilę, nie wiem, kiedy z transu wyrывa mnie szmer.

Odwracam się i uśmiecham, widząc rozłożony na śniegu koc.

– Powiedziałaś ci ostatnio, że marzy mi się piknik – zaczynam i podchodzę do Rydera, który leży wsparty na przedramionach i przygląda mi się z dołu.

– Naprawdę? – udaje głupiego.

– Nawet nie wiesz, jak cię uwielbiam – mówiąc to, klękam na kocu i obejmuję dłońmi pokryte zarostem policzki Rydera. Sprzedaję mu krótkiego buziaka, a potem sama opadam plecami na miękki materiał i wpatruję się w bezchmurne niebo.

Ten dzień jest zdecydowanie piękny, przechodzi mi przez myśl.

– Jak było w pracy? – słysząc pytanie zadane przez bruneta, wzdycham.

– Było... po staremu – stwierdzam zgodnie z prawdą.

– Czy mi się wydawało, czy Kayden spał się, gdy mnie zobaczył?

Niemalże zachłystuję się powietrzem, kiedy Ryder wypowiada swoje myśli na głos.

– Och, nie. Musiało ci się przywidzieć.

Chyba lepiej, żeby na razie nie wiedział o niewinnym flircie jego siostry i Gravesa.

– A u ciebie? – zmieniam zgrabnie temat. – Jak było?

Odwracam głowę, by spojrzeć na mężczyznę. Przez promienie słońca jego oczy wydają się odrobinę mniej chmurne. Nieco jaśniejsze i cieplejsze. Lekki wiatr mierzwi jego ciemne włosy, a niesforny kosmyk opada mu przez to na czoło. Unoszę kącik ust i wyciągam dłoń w jego kierunku, by zaczesać mu włos do tyłu. Ryder w tym czasie uważnie mnie obserwuje.

– W porządku. Wieczorem mam jeszcze jednego pacjenta – odpiera.

– To dobrze, bo mnie wtedy czeka spotkanie dotyczące występu – przypominam sobie słowa Ivory, która jeszcze rano wysłała mi wiadomość, że dzisiaj obgadamy szczegóły. Teraz bowiem, oprócz standardowych treningów, musiałam również stawiać się na tych, które przygotowywały mnie do perfekcyjnego wcielenia się w rolę. – Zaprosiłam już na niego Chloe – chwałę się i zgarniam z koszyka jedno ciastko.

Matko, ale byłam głodna.

– Wiem – odpowiedź Rydera nieco zbija mnie z tropu.

– Wiesz? – dopytuję, przełykając słodycz.

– Pochwaliła się już wszystkim.

– Och...

– I moi rodzice też stwierdzili, że wpadną – informuje mnie mężczyzna.

Krztuszę się ciastkiem i wypluwam kawałek na śnieg.

– Co? – Mój głos zamienia się w zwyczajny pisk.

Ryder uśmiecha się, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Obleciał cię cykor?

– Nieee. – Mimo że staram się brzmieć normalnie, sama nie wiem, dlaczego przeciągam to głupie słowo. Chryste, państwo Callahanowie będą oglądać mój występ. Teraz to już koniecznie muszę się do niego przygotować lepiej niż perfekcyjnie.

– Przecież wid...

Ryder nie dokańcza, ponieważ wciskam mu do ust swoje ukochane ciastko z kawałkami czekolady. Mężczyzna w pierwszej sekundzie jest zaskoczony, ale szybko wywraca z rozbawieniem oczami i dokańcza po mnie wypiek.

– Okej, zrozumiałem – rzuca pod nosem.

– A teraz już cicho. – Przykładam palec do ust i przybliżam się do Rydera tylko po to, by oprzeć policzek na jego torsie. I to naprawdę przyjemne popołudnie, bo nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego. Z Ryderem wszystko jest *lepsze*.

Oplatam jego brzuch ręką, zagarniając go całego dla siebie. Jestem do niego tak przyklejona, że rozdzielenie nas okazałoby się sporym wyzwaniem, biorąc pod uwagę fakt, jak wściekle pragnę tej bliskości. Jak mocno łaknę tej czułości. Jak marzę o tym jednym ukochanym dotyku.

Zaciągam się jego zapachem. Ten przywodzi mi na myśl jedynie męskość i zdecydowanie. *Cały Ryder*, przechodzi mi przez głowę.

Promienie słońca mkną po mojej twarzy, a potem nikną, zatrzymane przez wędrujące po niebie chmury. Przez chwilę oboje leżymy w milczeniu, zatraceni w spowijającej okolicę ciszy. Dopiero po krótkiej chwili chwytam pomiędzy palce rąbek ciemnego swetra mężczyzny. Zahaczam kokieteryjnie paznokciem o brzuch Rydera, mówiąc z rozmarzonym uśmiechem:

– Chociaż... nie musisz być cicho. Możesz się przydać i mi poczytać.

Brunet jedynie prycha pod nosem, kątem oka zerkając na egzemplarz *Dziadka do orzechów*, który wziął ze sobą, umyślnie bądź nie.

– Niezdecydowana – komentuje mężczyzna.

– Po prostu zakochana. – Naprawdę nie wiem, dlaczego wyrzucam z siebie akurat te słowa. Nie wiem dlaczego, kiedy je wypowiadam, mój uśmiech staje się jeszcze szerszy i nie umiem nad nim zapanować. – Rany, Ryder. Oddałabym tak wiele, abyś mógł poczuć na własnej skórze to, co ja czuję do ciebie. – Przymykam powieki zrelaksowana. – Abyś mógł wiedzieć, jak brakuje mi tchu, kiedy rąbiesz przekłete drewno albo powoli odpinasz guziki tych swoich nieskazitelnie białych koszul, a potem zsuwasz je z ramion i pozwalasz mi się dotknąć bez żadnych barier... – wymieniam z policzkami płonącymi od rumieńców.

Ryder mi nie przerywa. Leży na kocu, pośród pięknego krajobrazu, bez słów i zamiaru, by zamknąć mi usta. Czuję, że słońce znowu wychodzi zza chmur, nie otwieram jednak oczu, uparcie pragnąc wydobyć z siebie prawdziwie szczere wyznanie.

– Abyś mógł pojąć, ile motyli wypełnia mój brzuch, gdy zwracasz się do mnie tym *jednym* tonem. Abyś choćby zyskał tę głupią świadomość, jak bardzo wszystko we mnie woła za tobą, gdy leżę w swojej sypialni z wiedzą, że jesteś za głupią ścianą. Abyś... zwyczajnie zrozumiał, że nawet sposób, w jaki na mnie patrzysz, jest jak moje nigdy niepomysłane marzenie. Szlag, to takie pochrzanione. To, że zakochując się w tobie bardziej i bardziej, mam wrażenie, jakbym goniła czyste szczęście – dokańczam i uchylam powieki.

W pierwszej chwili niewiele widzę. W drugiej odzyskuję ostrość widzenia i zagłębam się w znajomej barwie stalowoszarych oczu, mając nieodparte przeczucie, że jeszcze parę sekund, a niemiłosiernie dudniące serce wyskoczy mi z piersi.

Ryder unosi kącik ust. Ten prozaiczny niemrawy gest naprawdę mnie uskrzydla.

– To szczęście jest bez skazy, Love. Jest prawdziwe. Takie, jakie ci się należy. – Mężczyzna wyciąga dużą dłoń, a potem przesuwając jej wierzchnią częścią wzdłuż mojej skroni.

Nie panuję nad zalewającą moje wnętrze falą gorąca. Jak zaczarowana patrzę na mojego

czarującego mężczyznę, który uśmiecha się jeszcze szerzej i później sięga po książkę, którą ze sobą zabrał. Jego brwi marszczą się nieznacznie, gdy Ryder odnajduje wzrokiem pierwsze wersy rozdziału, na którym ostatnio skończyliśmy:

– „Kiedy Klara zbudziła się z ciężkiego, jakby śmiertelnego snu, leżała w swoim łóżeczku, a jasne, złote słońce zaglądało do pokoju przez zamrożone szyby...² – zaczyna tym swoim chrapliwym, niskim głosem, a ja kładę drugą dłoń na jego piersi, wdychając bezdźwięcznie.

– Przysypiasz – słyszę po kilku minutach, w trakcie których zwyczajnie odpływam.

Momentalnie otwieram oczy.

– Wcale nie – protestuję zdecydowanie. – To słońce strasznie mnie razi. – By uwiarygodnić swoje słowa, wskazuję palcem prosto w niebo.

– Ekstra, zabrałem kobietę na randkę, a ona poszła w kimę – prycha kpiąco Ryder, który okazuje się jednak bardzo... domyślny i spostrzegawczy. Za kłamstwo każe mnie delikatnym szczygnięciem w tyłek, na co wydaję z siebie niekontrolowane sapnięcie.

– Po prostu się rozmarzyłam – bronię się i uśmiecham. – Uwielbiam to popołudnie.

I faceta, w którym tak przeraźliwie mocno się zakochałam.

Jest prawie siódma, gdy wychodzę ze szkoły baletowej.

Chowam do torebki wszystkie papiery, które dostałam od Ivory, a potem zaciągam się rześkim powietrzem. Nie jest dzisiaj przeraźliwie zimno, więc uznaję, że zamiast korzystać z komunikacji miejskiej, po prostu się przejdę. Lubię spacerować. A już zwłaszcza po Aspen, które wciąż udekorowane jest świątecznymi ozdobami, chociaż od świąt minęło już trochę czasu. Cóż, przynajmniej przez ładne widoki odrobinę mniej boli mnie to, że zostałam bez samochodu, którego fachowcowi nie udało się jednak naprawić.

Wsuwam dłonie do kieszeni płaszcza. Maszeruję chodnikiem spokojnym tempem, dopóki w pewnym momencie nie ogarnia mnie to nieodparte wrażenie, jakby ktoś podązał za mną krok w krok. Marszczę czoło. Odwracam delikatnie głowę przez ramię, ale nie dostrzegam żadnej znajomej twarzy. Właściwie... nie dostrzegam prawie nikogo, bo dzielnica, którą przemierzam w tej chwili, nie jest zbyt często uczęszczana.

Połykam tchnienie. Mimo wszystko przyśpieszam. Gdyby patrzył na mnie w tym momencie ktoś trzeci, zapewne uznałby, że jestem porządnie stuknięta. Ale teraz myślę już tylko o jak najszybszym dotarciu do domu. Odruchowo nurkuję dłonią do torebki, by wygrzebać z niej telefon. Pospiesznie przetrzepuję jej zawartość, w tym czasie odwracając znowu głowę.

Adrenalina uderza we mnie niczym grom, gdy zakapturzona postać wciąga mnie prosto do zaułka znajdującego się pomiędzy dwoma budynkami. Chcę krzyknąć, ale duża dłoń przywiera do moich ust, tłumiąc jakikolwiek odgłos, który mógłby wyrwać się spomiędzy moich warg. Próbuję odskoczyć od napastnika, ale ten jedynie przyciska mnie do ceglanej ściany mocniej, przez co czuję ból promieniujący wzdłuż kręgosłupa.

– No już, tancerczko. Brat wpadł z wizytą, nie mazgaj się – słysząc ochryply, znajomy ton, zastygam w bezruchu. Momentalnie robi mi się słabo na samą myśl, że Gavin wrócił. I gdy zsuwa nieco kaptur z głowy oraz nachyla się nad moją twarzą, czuję od niego alkohol. *Musiał dużo wypić*, uświadamiam sobie. *Znowu.*

Oddycham ciężko. Obłok ciepłego powietrza dzieli moją twarz i Gavina, kiedy patrzymy na siebie w milczeniu. W duchu staram się opracować jakikolwiek plan, ale... ale to nie ma najmniejszego sensu, bo znalazłam się w zwykłym potrzasku.

– Czego chcesz? – Mój głos łamie się nieznacznie.

Chłopak unosi kącik ust. Jego dłonie mocniej ścisną moje ramiona. Siła, z jaką długie palce zatapiają się w nich, wyrywa z mojej piersi jęk bólu. Odchylam głowę, byle tylko znaleźć się jak najdalej od niego, ale on, cholera, przybliży się i uśmiecha zimno.

– Chcę wyjaśnić pewne nieporozumienie – mówi.

– Puszczaj – kwilę przerażona.

Co on chce wyjaśnić?

– Puszczasz się z sąsiadem? – Unosi brew i zwięża oczy.

Nagle zasycha mi w gardle. Mimo że ogarnia mnie coraz większy strach, niemalże automatycznie kręcę głową i wykrztuszam z siebie krótkie:

– Co? Gavin, to nieprawda. – Czuję, jak mój żołądek robi fikołka. Nie mogę powiedzieć mu prawdy. To go rozwścieczy. Nie wiem, co by mi zrobił, gdyby dowiedział się, że... że zależy mi na mężczyźnie, którego nie wybrała dla mnie moja rodzina.

– On twierdził inaczej – wypluwa chłopak.

– Posłuchałeś jakiegoś fagasa? – Słowa z trudem opuszczają moje usta.

– Był przekonujący.

– Nie spałam z nim – dodaję, a Gavin mocniej przypiera mnie do muru.

Kulę się w sobie i cała drzę.

– To dobrze. Byłoby źle, gdybyś teraz romansowała z jakimś frajerem. – Brunet krzywi się nieznacznie. – Pomyśl o reputacji naszej rodziny, reputacji Aarona. Wszyscy uważają was za naprawdę ułożoną i kochającą się parę.

Dreszcze znowu oblewają moje ciało.

– Gavin? – pytam szeptem.

– Przecież już ci mówiłem, ale najwyraźniej jesteś za głupia, by pojąć za pierwszym razem – wypluwa nieprzyjemnym tonem. – Dla dobra rodzinnych interesów wyjdiesz za Aarona. My na tym zyskamy, a on otrzyma od ojca pełne udziały w firmie w zamian za to, że w końcu się ustatkuje. I wszyscy będą zadowoleni. Love, czy ty naprawdę nie chciałabyś usłyszeć z ust swojej rodziny, że są z ciebie dumni? W końcu możesz się na coś przydać. Możesz być tylko zwykłą ozdobą szanowanego pana dyrektora – dokańcza nieco milej Gavin.

Moje serce zastyga w bezruchu. Spuszczam głowę i odpieram żalonym szeptem:

– Nie chcę tego. Czy wy nie możecie dać mi spokoju?

Odpowiada mi śmiech. Drwiący śmiech. A potem czuję pieczenie na policzku. Gavin wymierza mi uderzenie, od którego robi mi się jeszcze bardziej słabo. Udaje mi się ustać na nogach, ale gdy uderza mnie po raz drugi, chwiję się na nich oszołomiona przez dłuższą chwilę.

– Ani. Słowa. Więcej. – Mężczyzna warczy mi w twarz. – I lepiej, żebyś rzeczywiście mówiła prawdę. Nie będę świecił za ciebie oczami przez Aaronem tylko dlatego, że zachciało ci się pieprzyć z sąsiadem. Staczasz się, siostrzyczko. Upadasz na dno – mówiąc to, puszcza mnie, a potem uśmiecha się szeroko i rusza w stronę wyjścia z zaułka.

Przez parę następnych minut stoję w mroku oparta o ceglany mur i próbuję się chociaż trochę uspokoić. Dłonie trzęsą mi się niemiłosiernie. Nogi mam jak z waty, ale chyba cudem udaje mi się zrobić kilka kroków w stronę ulicy. Kiedy jestem już na chodniku, rozglądam się wokoło i myślę, że muszę jak najszybciej dotrzeć do domu.

Ze zdławionym w płucach oddechem idę przed siebie. Ludzie, którzy na mnie patrzą, robią to z politowaniem, więc domyślam się, że mój policzek zdobi naprawdę dorodny ślad po uderzeniach Gavina. Staram się przykryć go szalikiem. Nie czuję zimna. W zasadzie nie czuję nic przez całą drogę, którą przebywam do dzielnicy, w której mieszkam.

Dopiero gdy jestem już w domu, wydaję z siebie niekontrolowany jęk bezsilności. Opadam plecami na drzwi. Osuwam się po nich na ziemię i oplatam kolana skostniałymi dłońmi. Siedząc tak w ciemnościach i czując, jak bardzo bołą mnie ramiona i policzek, mam ochotę zniknąć. Mam ochotę zapaść się pod ziemię. Nie wiem nawet, kiedy słyszę znajomy głos dobiegający zza zamkniętych drzwi:

– Love?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI



RYDER

Czekam kilka długich minut. Po ich upływie drzwi otwierają się z cichym skrzypnięciem, a zza nich wychyla lekko głowę niespokojna Love. I tak sprawia wrażenie mniej przerażonej niż jeszcze przed momentem, gdy przemierzała szybkim krokiem własne podwórko, by jak najszybciej dostać się do domu. Najwyraźniej ta dziewczyna liczy teraz na to, że pójde sobie stąd tak prędko, jak tu przyszedłem, gdy ona tylko przez chwilę poudaje, że wszystko jest w porządku.

– Ryder? – pyta dla pewności, a ja cofam się o krok, by światło lampy mogło objąć moją sylwetkę i twarz.

– To ja – potwierdzam.

Odpowiada mi krótkie westchnienie.

– Myślę, że to nie jest najlepszy moment, ja...

– Boisz się – wysnuwam wniosek i przechylam głowę, by przyjrzeć jej się uważniej.

Mimo że w ciemnościach nie jestem w stanie dostrzec zbyt wiele, moją uwagę przyciąga policzek Love, który ona sama tak usilnie stara się zakryć szalikiem. Biorę głęboki wdech, hamując gniew, który nagle we mnie kiełkuje. Bo domyślałam się, dlaczego Porter próbuje mnie spławić, a ponadto ukrywa to, jak wygląda jej twarz.

– Ale przecież wiesz, że mnie nie musisz – dodaję łagodnie.

Dziewczyna kiwa powoli głową.

– Wiem, Ryder. To nie chodzi o ciebie – zapewnia mnie.

– Więc o co? – Jestem już kompletnie zdezorientowany.

Moja sąsiadka rozgląda się nerwowo po okolicy. Po paru sekundach znowu wraca spojrzeniem do mojej twarzy, a w jej oczach majaczy już tylko niema prośba.

– Wytlumaczę ci to, ale idź już, proszę – niemalże błaga.

Cofam się o krok, zupełnie zbity z tropu.

– Love?

– Proszę cię. – Jej głos jest niewiele głośniejszy od szeptu. – Zostaw otwarte drzwi na taras i zgaś wszystkie światła – instruuje mnie, a potem wycofuje się, co uznaję za koniec naszej rozmowy. Zanim Love zamyka drzwi, kiwam głową i odpieram:

– W porządku.

Po wypowiedzeniu tych słów odwracam się na pięcie i z dłońmi wsuniętymi do kieszeni dresów ruszam w stronę swojego podwórka. Będąc już w domu, wzdycham na widok Klakiera czekającego na mnie w korytarzu.

– Misja zakończona niepowodzeniem, sierściuchu – bąkam, na co kot miauczy przeciągle, jakby naprawdę spodziewał się, że przyprowadzę ze sobą Love.

Love, którą ktoś musiał najwyraźniej porządnie nastraszyć. Ufam jej. Dlatego posłusznie po paru minutach gaszę światła w całym domu, uprzednio zasuważąc wszystkie żaluzje, jak to mam w zwyczaju. Ostatnim, co robię, jest otworzenie drzwi na taras.

Nie mając nic ciekawszego do zrobienia, rozpalam ogień w kominku. Płomienie rozświetlają odrobinę mrok spowijający salon. Upewniam się, że wszystko pali się tak, jak powinno, a później wstaję i opieram obie dłonie na biodrach. Zastanawiam się, co usłyszę od Love, jeśli faktycznie tutaj przyjdzie. Mam swoje teorie, ale to tylko domysły. Prawdę zna jedynie ona. I tylko od niej zależy, czy się nią ze mną podzieli.

Słyszac szmer dochodzący z tarasu, nie ruszam się nawet o cal. Wciąż stoję wpatrzony w ogień

tłący się w kominku i pozwalam Love myśleć, że nie mam pojęcia o jej obecności w swoim salonie. Nie trwa to jednak długo. Po dłuższej chwili, nadal odwrócony do niej plecami, mówię cicho:

– Chodź tutaj.

Słyszę, jak dziewczyna nabiera powietrza w płuca. Jej kroki są bezdźwięczne, kiedy podchodzi do mnie powolnym tempem, a potem opiera skroń o mój biceps. Przez moment oboje milczymy, dopóki nie odwracam się delikatnie przodem do niej. Love nie ukrywa już szyi i twarzy pod warstwą grubego szalika. Moja grdyka podskakuje, gdy przełykam ślinę, uważnie obserwując jej zaczerwieniony policzek.

– Nie chciałam ryzykować – mówi szeptem, tłumacząc tę dziwną sytuację przed jej domem. – Czuję, że jest blisko. Jest... tuż obok. Tylko dlatego nie pozwoliłam ci wejść.

Obejmuję lekko dłońmi jej twarz, dostrzegając w brązowych oczach strach.

– Uderzył cię – zauważam równie cicho. – Twój brat.

Love spuszcza wzrok.

– To nic. Jest zdolny do gorszych numerów.

Głaszczę jej policzki, trzymając na wodzy całą złość, jaka się we mnie kotłuje. Myślałam, że dałam jasno do zrozumienia tamtemu sukinsynowi, że ma się trzymać od niej z daleka. Mimo że gniew rozlewa się po moim ciele niczym fala, nie pozwalam mu przejąć nad sobą kontroli. Zachowuję spokój. Dla Love. Ona nie potrzebuje teraz niczego innego jak poczucia, że jest bezpieczna, i kogoś, kto jej go da.

– Dlaczego... – zaczynam, ale dziewczyna nie pozwala mi dokończyć.

– Dlaczego nie zrobiłam tego, o co prosiłeś mnie wtedy, gdy wparowałam do twojego domu? – przerywa mi. – Zaskoczył mnie i zapędził w kozi róg. Nie mogłam mu się wywinąć. Nie mogłam zrobić nic. Powiedzieć ci, że mnie dorwał. Byłam... – Robi krótką pauzę. – Taka jak zawsze. – Jej ramiona opadają bezradnie.

Przez chwilę stoimy w mroku bez słów. A potem Love dokańcza:

– Byłam bez szans, Ryder.

Zaciskam szczękę. Jej łamliwy głos przyprawia mnie o pieprzone dreszcze. Niewiele myśląc, ściągam dłonie z jej policzków, a potem porywam ją w ramiona i dbam o to, by trzymać ją w nich tak ciasno, jak tylko mogę. Love drży, biorąc niespokojne wdechy. Nie wyrywa się. Jedynie oplata trzęsącymi się dłońmi mój pas i zatapia paznokcie w moich łędźwiach.

Jest przerażona. Jest tak bardzo przerażona, przechodzi mi przez myśl.

– Cii, skarbie – uspokajam ją, słysząc wręcz płaczący, bezsilny jęk rozbrzmiewający blisko ucha. Love jest tak strasznie drobna, że nie sięga mi nawet do ramienia. I patrząc tak na nią, rozbitą i bezbronną, zaczynam czuć coraz większą potrzebę chronienia jej przed tym wszystkim, co mogłoby zranić ją jeszcze bardziej. – On już cię nie złapie. Dopilnuję tego.

Trzymam ją przy sobie przez parę następnych minut, w trakcie których Love nieco się uspokaja. Trzymam ją tak i zastanawiam się, jak smutna może być przeszłość tej dziewczyny. Jej brat musi mieć powód, by ją ścigać. Musi to robić po coś. Zastraszać ją. A nawet i bić.

Tylko: *po co?*

– Boli? – pytam, odsuwając się nieznacznie od brunetki, by znowu ująć w dłoń jej zaczerwieniony policzek. Jutro z pewnością pojawi się na nim dorodny siniak. Kiedy przez następne kilka sekund nie uzyskuję odpowiedzi, chcę ruszyć w stronę kuchni po coś zimnego, co mogłoby przynieść Love ulgę, ale ona nagle przyciąga mnie do siebie resztkami sił.

– Nie idź nigdzie. Jest okej – wydusza z siebie, opierając czoło o moją pierś.

Zaciągam się jej zapachem i przenoszę dłonie na kobiece biodra. Jestem ostrożny, cierpliwy i czujny. Wiem, że mi ufa. Wiem również, że nie mogę żadnym źle wyważonym słowem czy gestem zachwiać tego zaufania. Albo go stracić.

– Powiedziałaś, że zawsze, gdy zdołał cię dorwać, byłaś bez szans, Love. Co kryje się za *zawsze*? – pytam miękko, głaszcząc kciukiem talię dziewczyny, na którą przenoszę jedną z dłoni. Czuję, jak nieco się rozluźnia, ale wciąż lekko drży.

– *Zawsze*, czyli wtedy, gdy człowiek, który był moją najgorszą życiową decyzją, skinął tylko palcem – wyznaje ledwie słyszalnie brunetka. – Wystarczyło, że *on* uznał mnie za niepokorną. A mój

brat... reagował. Jego pięść była metodą na zrobienie ze mnie posłusznej marionetki. Miałam być tylko materiałem na perfekcyjną dziewczynę. Moimi sznurkami miał sterować mój chłopak. Dlatego Gavin...

– Bił cię – dokańczam za nią.

Love kręci głową w geście protestu.

– Prał mnie. Mocno.

Spinam się zupełnie odruchowo. Sama myśl o tym, jak leje ją brat, sprawia, że ręce zaczynają mnie świerzbic. Bo ona wcale nie zasłużyła na takie traktowanie. Nikt nie zasłużył, by ktoś inny znęcał się nad nim psychicznie i fizycznie. W tej sekundzie próbuję jakkolwiek utrzymać w ryzach potrzebę wyrządzenia bratu Love taką krzywdę, jaką on wyrządzał jej przez cały ten czas. Albo nawet większą.

– Robił to, bo chciał, żeby *on* był zadowolony z tego, że mnie ma – dodaje dziewczyna.

– Kto? – dopytuję ledwie słyszalnie.

Love odsuwa się i wzdycha. A potem rusza w stronę sofy, na którą opada z cichym łoskotem. Opiera łokcie na kolanach. Przez chwilę zbiera myśli. Aż w końcu składa dłonie i chowa w nich częściowo twarz, wpatrując się w ogień w kominku. O nic więcej nie pytam. Nie wywieram presji. Czekam cierpliwie i tak po prostu podchodzę do kanapy, na której również siadam, zachowując dystans kilkunastu centymetrów od dziewczyny.

– Poznałam go, gdy miałam szesnaście lat. Zobaczyłam go pewnego dnia w szkole. Przepisał się do nas na ostatni rok. Szybko stał się najlepszym przyjacielem Gavina, więc gdy zaczął regularnie zjawiać się u nas w domu, byłam wniebowzięta. Rany, czułam, jakbym wygrała na loterii, mając możliwość niewinnego gapienia się na kogoś takiego jak on – opowiada Love, a na jej twarzy wykwita delikatny uśmiech.

Nie jest to jednak gest wyrażający rozbawienie. Bardziej wyraża on żal i przekonanie... przekonanie o własnej naiwności. Z zapartym tchem obserwuję dziewczynę, która w pewnym momencie zwyczajnie przymyka powieki i przepada w swoich własnych wspomnieniach.

– Dodatkowo okazało się, że firma jego ojca zaczyna współpracę z kancelarią mojego – kontynuuje Love. – Pomyślałam, że los się do mnie uśmiechnął. W końcu od tamtej pory na porządku dziennym były wspólne kolacje, w których brały udział nasze rodziny. Podczas nich mogłam bezkarnie zerkać w jego stronę. Mogłam odpowiadać na jego uśmiechy. Mogłam zrobić coś ku temu, by... jego uwaga skoncentrowała się wokół mnie.

Coś kłuje mnie w piersi, gdy tylko oczami wyobraźni widzę tę szesnastolatkę, którą była Love. Tę, która musiała znosić poniżanie ze strony ojca i brata. Tę, która potrzebowała jedynie, by ktoś się nią zaopiekował i zaoferował jej odrobinę troski.

I tę, która najwyraźniej pomyślała, że tamten chłopak jej ją zaoferuje.

– W moich oczach nie miał wad. – Głos dziewczyny wrywa mnie z krótkiego letargu. – Był ich pozbawiony. W końcu wydawał się tak bardzo perfekcyjny z tym, jak wyglądał, co robił, co mówił. Moja rodzina go uwielbiała. I ja też zaczęłam... zaczęłam go uwielbiać. Z dnia na dzień zakochiwałam się w nim bardziej. W tym kapitanie drużyny futbolu. Wybitnie zdolnym uczniu ostatniej klasy. Przyjacielu mojego brata. Synu wspólnika rodziców. Gdy widziałam go na korytarzu szkolnym, moje serce potrafiło zabić szybciej. Ale nie tylko moje. Boże. Za nim oglądały się wszystkie dziewczyny. Bez wyjątku.

Przejeżdżam językiem po dolnej wardze, koncentrując uwagę na tym, co mówiła. Trawię w duchu sens jej słów i myślę, że pozory bywają paskudną iluzją. Bo Love najwyraźniej wierzyła, że ten chłopak może stać się jej wybawieniem. W końcu wyglądał na tak idealnego. Co mogłoby pójść nie tak?

Nie dziwię się wcale, gdy moja sąsiadka po chwili dodaje:

– Nie wiem, jakim cudem odnalazłam w sobie tyle odwagi, by się do niego odezwać, gdy nadarzyła się ku temu okazja. Nie wiem dlaczego, gdy Gavin mówił mi, że to nie moja liga, ja nadal w to brnęłam. Ale może... może po prostu naprawdę miałam na oczach klapki? W końcu idealizowałam go. Idealizowałam go, jakby był czysty niczym łąza. Ale nie był. – Jej uśmiech gaśnie. Love otwiera oczy. Nie widzę w nich łez. Nie widzę w nich nic prócz pustki.

Ale ona wciąż na mnie nie patrzy. Zupełnie tak, jakby się wstydziła. Jakby nie mogła znieść tego, jak bardzo niemądra była, pokładając tak wiele wiary w tym chłopaku.

– Przez miesiące go kokietowałam. Przez tak wiele tygodni chodziłam za nim z wywieszonym

językiem, gotowa na wszystko, byle tylko ten idealny chłopak spojrzał na mnie tak, jakby rzeczywiście rozważał opcję, że moglibyśmy być razem. Chciałam tego. Chciałam, żeby wszyscy zazdrościli mi tego, że jest mój. Traktował mnie tak dobrze. Boże, nie wiem, dlaczego wtedy traktował mnie tak dobrze. Wierzyłam w to, że zrobi dla mnie wszystko. Był taki szarmancki. Taki dobry. Tak bardzo przejmował się tym, czy wszystko u mnie w porządku. A ja się cieszyłam. Bo w końcu komuś na mnie zależało. – Love kręci głową, chowając twarz w dłoniach.

Wiem, co sobie zarzuca. Po krótkiej chwili ona sama to potwierdza, gdy mówi:

– Byłam naiwna. Bo gdy tylko zaczęliśmy być razem, przekonałam się o tym, że mój idealny Aaron tak naprawdę jest jedynie moim kolejnym gwoździem do trumny.

Aaron. Aaron, Aaron, Aaron. Szybko przypominam sobie dzień, w którym na wyświetlaczu telefonu Love odnalazłem właśnie to imię. Imię jej osobistego koszmaru.

– Miałam tylko siedemnaście lat. To był mój pierwszy związek. Naprawdę sądziłam, że to właśnie na tym polega. Sądziłam, że muszę sprawić, by był ze mnie dumny. Z tego, jak wyglądam. Z tego, jak się prezentuję. Lubiłam, gdy mówił mi, że jest ze mnie dumny. Myślałam wtedy o sobie jak o idealnej dziewczynie idealnego chłopaka. Nasi rodzice byli naprawdę zadowoleni z faktu, że jesteśmy razem. Gavin... on też z czasem się do tego przekonał. Ale ostrzegał. Zawsze mnie ostrzegał, że jeśli przyniosę jemu albo rodzinie wstyd przed Aaronem, on nauczy mnie, jak być dobrą dla niego. – Love milknie.

Cisza pomiędzy nami nie trwa jednak długo.

– A Aaron... on sam potrafił wzbudzić we mnie pragnienie bycia *dobrym* dla niego. Nie potrzebował nikogo, kto by mnie do tego przymusił. Bo ja sama chciałam taka być. Dlatego gdy pewnego dnia stwierdził, że wyglądam źle, bo przytyłam, zaczęłam odmawiać sobie jedzenia. Chciałam za wszelką cenę zatrzymać go przy sobie. Chciałam, by to na moje ciało patrzył z zachwytem. Chciałam być perfekcyjna w każdym tego słowa znaczeniu. Więc najpierw wylewałam siódme poty na siłowni. Potem zwracałam wszystko to, co zjadłam. A na końcu... przestałam jeść. Bo nie mogłam żyć z myślą, że w oczach mojego Aarona wyglądam obrzydliwie.

I nagle wszystko skleja się w całość. Love ma problemy z odżywianiem od trzech lat. Dokładnie trzy lata temu, gdy była siedemnastolatką, tkwiła w niezdrowej relacji. To ten chłopak sprawił, że zaczęła czuć się źle sama ze sobą.

Opieram plecy o oparcie sofy i biorę bezdźwięczny wdech do płuc.

– Aaron nie miał hamulców. Jeśli uważasz, że Gavin jest zły, to... to nie wiem, co pomyślałbyś o nim. Aaron chociaż nieczęsto podnosił na mnie rękę, wiedział, co powiedzieć, by to mnie zabolowało. Był doskonałym manipulatorem. Potrafił nakłonić mnie do wszystkiego. Jego słowa zawsze traktowałam jak świętość. On nigdy nie prosił. Zawsze brał. Dotykał, kiedy chciał. A ja mu na to pozwalałam, bo tak bardzo nie chciałam zostać sama. W dodatku gdybyśmy się rozstali, wszyscy – moi i jego rodzice, Gavin, obwiniliby o to mnie. W końcu Aaron był idealny. Więc to z pewnością we mnie tkwiłby problem. A ja jedynie... byłam naiwną, głupią dziewczyną uzależnioną od swojego złego chłopca.

Głos Love łamie się nieznacznie.

– Czułam, że bez niego jestem nikim. Jestem bezwartościowa. Nijaka. Za to z nim... gdy byłam z nim, wszyscy traktowali mnie jak kogoś lepszego. Wszyscy widzieli w nas wzór kochającej się pary. Nie wiedzieli, że Aaron, kiedy nikt nie patrzy, wpaja mi... Wpaja mi, jaka jestem paskudna, gruba i beużyteczna. A ja mu to wybaczałam. Wybaczałam mu wszystko. Każdy cios, gdy puściły mu nerwy. Każde słowo, którym mnie ranił. Każde wykorzystanie mnie, gdy tak naprawdę nie chciałam, by mnie dotykał. Ale nie mówiłam tego na głos. W końcu Aaron mógł kiwnąć palcem i przywołać do siebie jakąś dziewczynę, która chętnie by mu się oddała. A ja nie mogłam dopuścić do tego, by mnie zostawił. *W końcu bez niego byłam nikim.*

Odchyłam głowę, wpatrując się tępo w mrok. Żołądek zawiązuje mi się w supeł na samą myśl, że Love tak kończyła: poniżona, wykorzystana, przekonana o tym, jak bardzo jest bezwartościowa. Jej rodzina i Aaron doprowadzili do tego, że stała się wrakiem. Stała się ruiną, cieniem samej siebie.

– Byłam naiwna. Tak bardzo naiwna, naiwna, naiwna, bo sądziłam, że pewnego dnia mój Aaron znowu będzie moim Aaronem. Tym szarmanckim, dbającym o mnie Aaronem. Czekałam z utęsknieniem

na moment, w którym wróci mój dawny bohater. Ten, który widział we mnie coś więcej niż ozdobę. Ten, któremu podobałam się taka, jaka naprawdę byłam. I wiedziałam, że to, co nas łączyło, było toksyczne. Ale nie umiałam z tego zrezygnować. Po prostu... nie umiałam tego zrobić, Ryder – dokańcza dziewczyna.

Pochylałam się do przodu. Przechylałam głowę i spoglądałam na Love. A ona spoglądała na mnie tak przeraźliwie pustymi oczami, że gdy w nie patrzę, czuję, jak włos jeży mi się na karku.

– Aż w końcu zrobił coś, co sprawiło, że nie potrafiłam normalnie funkcjonować. Nie nadawałam się już nawet na jego ozdobę. Potrafiłam przeleżeć parę dni w łóżku i gapić się w martwy punkt przed sobą. Potrafiłam nie jeść i nie spać parę dni. Po prostu zachowywałam się tak, jakby... jakby wszystko było mi obojętne. I wtedy już mi nie zależało. Nie obchodziło mnie to, czy Aaron będzie mnie chciał. Jedyne, czego pragnęłam, to być sama. I... cofnąć czas. Tak bardzo chciałam wtedy cofnąć czas i nigdy się od niego nie uzależnić. – Love mówi to, nie przerywając nawet na sekundę naszego kontaktu wzrokowego.

Momentalnie przechodzą mnie ciarki.

– Gdy powiedziałam o tym rodzicom... nie przejęli się. Na początku właściwie nawet mi nie uwierzyli. Ojciec stwierdził, że robię z siebie ofiarę. Gavin – że próbuję oczernić jego najlepszego przyjaciela. Wszyscy uznali mnie za niewdzięczną gówniarę. Mieli do mnie pretensje. Patrzyli na mnie jak na najgorszą. Nie mogłam dłużej tego znosić. Wiedziałam, że jeśli zostanę w Carson City, prędzej czy później zrobię sobie krzywdę. Dlatego wyjechałam do Aspen. Tutaj mieszkali kiedyś moi dziadkowie, ale już od dawna nie żyją – tłumaczy, a potem wypuszcza powietrze z płuc, dodając: – Myślałam, że nikt nie będzie mnie tutaj szukał.

Ale szuka cię Gavin.

– Tyle że los znowu sobie ze mnie zadrwił. – Love zaczesuje kosmyk włosów za ucho. – Aaron chce mnie z powrotem. Podobno ojciec obiecał mu udziały w firmie pod warunkiem, że się ustatkuje. A moja rodzina poparła ten pomysł, w końcu prowadzą wspólne interesy i dla nich taki stan rzeczy zapewne również okazałby się w pewien sposób opłacalny. Wyszło na to, że mam wyjść za człowieka, który sprowadził mnie na samo dno. I mam to zrobić tylko dlatego, że Aaron najwyraźniej sądzi, że znowu będę jego marionetką. Znowu będę jego ozdobą. Znowu będę jego naiwną Love. – Porter kończy swój monolog.

Mimowolnie zaciskam dłoń w pięści. Nie wierzę, że jej własny brat ponownie chce wkopać ją w takie bagno. Nie wierzę, że jej rodzina to banda tak zachłannych sukinsynów. I nie wierzę, że ten kutas Aaron tak po prostu myśli, że Love po tym wszystkim rzuci mu się w ramiona. Połóżniem uścisk palców i niewiele myśląc, przybliżyłam się do dziewczyny, by ułożyć dłoń na jej kolanie. Brunetka unosi kącik ust w smutnym uśmiechu.

– Nie chcę współczucia – mówi.

– W porządku. – Kiwam głową.

– Chcę, żebyś mnie przytulił.

– W porządku, Love – powtarzam się.

I nie robię nic, gdy dziewczyna wczołguje się na moje kolana, a potem przywiera policzkiem do mojego torsu. Nie robię nic jedynie przez pierwszych kilka sekund, bo po chwili obejmuję rękami drobne ciało, dbając o to, by Love nie spadła, w razie gdyby straciła równowagę. Już na szczęście nie dygocze. Nie jest roztrzęsiona. Jest... po prostu pusta. Beznamiętna i niewzruszona, gdy nie wiezieć kiedy, stwierdza:

– Wiem, że byłam naiwna.

– Nie mogłaś wiezieć, jaki jest naprawdę – odpowiadam.

– Ale mogłam odciąć się wtedy, gdy poczułam, że coś jest nie tak – odpiera, ściskając mocniej pomiędzy palcami materiał mojej koszulki. Domyślam się, że Love czuje się zwyczajnie źle z myślą, że trzy lata temu postąpiła tak, a nie inaczej. – Mogłam, ale... nie potrafiłam tego zrobić. Bo potrzebowałam go. Czułam, że go potrzebuję. Że bez niego nie przetrwam. I to było jak kotwica, bo czułam ciężar tej myśli za każdym razem, gdy miałam wątpliwości. A gdy go czułam... przestawałam je mieć.

– Byłaś zagubiona, Love. A zagubieni ludzie często słuchają osób, którymi się otaczają. Szkoda,

że wszyscy ludzie z twojego otoczenia nie chcieli, żebyś była naprawdę szczęśliwa – mówię ze spokojem, odgarniając delikatnym ruchem ręki ciemne włosy z jej policzka. Dziewczyna podrywa delikatnie głowę, by na mnie spojrzeć.

– Ale ty tego chcesz – odpowiada niepewna swoich słów.

Wzdycham, kiwając powoli głową.

– Chcę tego bardziej, niż ci się wydaje.

– Dlaczego? – docieka.

– Bo jeśli ci na kimś naprawdę zależy, zrobisz wszystko, by tego kogoś uszczęśliwić – stwierdzam, głaszcząc wierzchnią częścią dłoni jej skroń. Czasami boję się tego, jak krucha jest Love. Boję się tego, bo nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wystarczyłby jeszcze jeden cios wymierzony w jej kierunku, by rozpadła się na milion maleńkich kawałków.

Ta dziewczyna nie może tak żyć. W ciągłym strachu, mając na ogonie swoją popieprzoną rodzinę na czele z popapranym bratem. Nie może być uważana w oczach tych wszystkich sukinsynów z Carson City za jakiś towar, który należy przekazać w odpowiednie ręce, by przypiecztować jakieś cholerne interesy. I przede wszystkim nie może znowu trafić do człowieka, który przed laty zrujnował ją w każdy możliwy sposób.

Czas zadbać, by tak się nie stało.

– Nie chcę do niego wracać – mówi nagle Love.

– Nie wrócisz – zapewniam ją z przekonaniem.

Bo prędzej piekło zamarznie, niż na to pozwolę. Opieram brodę gdzieś we włosach dziewczyny. Teraz wiem już o niej sporo, ale to wciąż nie jest wszystko. Nadal nie wiem, co takiego zrobił Aaron, że finalnie zdecydowała się od niego uciec. To musiało przelać czarę goryczy. Musiało rozbić ją doszczętnie, skoro Love... nie umiała po tym przez długi czas normalnie funkcjonować. Ale nie mam zamiaru o to pytać. Ani dzisiaj, ani nigdy. Po prostu cierpliwie zaczekam, aż sama będzie gotowa, by mi to wyznać. O ile w ogóle się na to zdoła.

– Nie chcę pamiętać o tym, jaka byłam, gdy on miał na mnie wpływ – dodaje, a ja szybko odzyskuję rezon.

– Nie musisz. – Szczelniej zamykam jej ciało w żelaznym uścisku.

– Chcę być naprawdę szczęśliwa.

Niewiele myśląc, odpieram szeptem:

– Pomogę ci.

Love podrywa delikatnie głowę, więc odsuwam się nieco, by móc przyjrzeć się całej jej twarzy. Widząc na niej smutny, ledwie zauważalny uśmiech, czuję, jak ogarnia mnie zimno.

– Ryder? – pyta cicho, patrząc mi w oczy.

– Tak?

Jej mina jest nieczytelna. Nie domyślam się, co Love chce mi powiedzieć. W jej brązowych oczach mogę dostrzec tylko pustkę. Nic więcej i nic mniej. Jedynie nicość, równie intrygującą, co w pewnym stopniu odpychającą.

– Dzięki tobie czasami czuję się kimś – wyznaje w końcu Love.

Pewnego dnia zawsze będziesz czuła się kimś.

– Jesteś cholernie silna, Love – rzucam zupełnie szczerze, obserwując ją w skupieniu. – Silniejsza, niż sądzisz, jeśli odważyłaś się odejść i zacząć wszystko od nowa. Tak postąpiłby tylko ktoś naprawdę silny. Imponuje mi twoja siła, wiesz?

Dziewczyna przechyla odrobinę głowę, gdy mówi:

– Oni nazywali to tchórzostwem.

– Ja nazywam to siłą – kładę nacisk na ostatnie słowo.

– Dobrze, że ufam tobie, a nie im – odpowiada cicho Porter, a jej dłoń zupełnie nagle wędruje na mój policzek. Wstrzymuję oddech, sam nie wiem dlaczego. Po prostu skupiam się na dotyku miękkiej skóry na swojej twarzy i na kolejnych słowach, które opuszczają usta brunetki: – Bo wiesz o tym, prawda? Wiesz, że ci ufam?

Składam krótkie muśnięcie ust na jej przegubie.

– Wiem – potwierdzam. – I nie zawiodę cię, Love.

Moja rozmówczyni odpowiada mi skinieniem.

– Ty nie – odpiera, a ja opieram swoje czoło o jej. – Oczywiście, że ty tego nie zrobisz. Dzięki tobie wstaję na nogi. I nigdy nie będę w stanie podziękować ci za to, że podałeś mi rękę po tym, jak *on* i *oni* zrzucili mnie na samo dno.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY



KIEDYŚ

Są momenty, w których chciałabym nie mieć w głowie tej jednej potrzeby – potrzeby, by Aaron był tak blisko mnie, jak tylko mógłby się znaleźć. Ale wtedy szybko nachodzi mnie refleksja, że nie mając go obok, ponownie będę czuła się tak niekochana jak wtedy, gdy mieszkał jeszcze w innym stanie, bardzo daleko stąd, a ja byłam tylko zepsutą, samą jak palec i łaknącą cudzej uwagi Love.

Bo Aaron mnie kocha. Może nie jest to uczucie, jakim rycerze w lśniących zbrojach darzyli swoje księżniczki, ale kocha mnie tak, jak mogę poczuć się dla kogoś istotna. I chyba z tego powodu nie roztrząsam w głowie tych przykrych komentarzy, które czasami do mnie kieruje. Nie rozpamiętuję tych złych rzeczy, które zdarza mu się mi robić. Bo kocha mnie w sposób, w jaki jest do tego zdolny – a ja przyjmuję tę miłość, bo wydaje mi się, że już nigdy nie poznam innego jej oblicza. Przeczuję, że miłość jak z bajek tak zwyczajnie... jest bzdurą. Nie ma ani krzty prawa bytu.

Tata ciągle powtarza mi, że to, co żywi do mnie Aaron, jest jak łut szczęścia. A wiedza, że nasza relacja zyskuje jego aprobatę, zabiera ode mnie pewną część wątpliwości. Myślę, że... myślę, że sama wizja mnie bez niego zabiera ode mnie pewną część wątpliwości.

Bo w końcu kim byłabym bez Aarona?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY



RYDER

Naprawdę nie mam pojęcia, jak zareagować na widok Porter, która następnego dnia tak po prostu przychodzi do mnie po treningu z kluczykami od wielgachnego pick-upa z ogromną paką i oznajmia, że jedziemy na małą wycieczkę.

Nie robię jednak nic, cały czas wpatrując się w ekran laptopa, wokół którego skupiałem całą swoją uwagę, zanim do gabinetu nie wparował ktoś, kto naprawdę lubił ją kraść tylko dla siebie. W tym przypadku swój brak reakcji uznaję za dobrą reakcję – najpewniej, gdybym wyśmiał pomysł Porter od razu, znowu musiałbym naprawiać drzwi, które po ostatnim mocnym trzaśnięciu tej zołzy niemalże wypadły z zawiasów.

Love była słodka i delikatna, ale również odrobinę cwana. Miała pojęcie o tym, jak mnie podejść, bym poszedł na ustępstwo. Doskonale zdawała sobie sprawę, że miałem do niej słabość – taką, która skłaniała mnie do przystawiania na te drobne, niewinne wariactwa.

Ale tylko na nie.

– Tobie też wyjdzie to na dobre – przekonuje mnie, a ja szybko odzyskuję fason. – Spójrz na siebie, ciągle tylko siedzisz przy tym biurku i jeśli dalej tak będzie, naprawdę nabawisz się reumaty...

– Nawet nie kończ – burczę pod nosem, przerywając jej.

Do diabła z tą upierdliwą małolatą.

– Ugh, twoje ego jest tak gównianie wrażliwe. – Brunetka wgryza się w jabłko i przysiada na krawędzi biurka, przy którym siedzę. – Staram się po prostu przemówić ci do rozumu i...

– I zmusić mnie do udziału w kolizji drogowej. Sorry, Love, ale wiem, jak bardzo szurnięta jesteś, więc nie wsiądę z tobą do przekłętego pick-upa. – Marszczę brwi, cały czas wpatrując się w ekran komputera. – Już wołę reumatyzm – dopowiada pod nosem.

– Ryder – wzdycha moja zrezygnowana rozmówczyni, bo zapewne domyśla się już, że mój opór wynika z wizji jej siedzącej na miejscu kierowcy. – Mógłbyś być bardziej, hm...

– Pozbawiony instynktu samozachowawczego? – dokańczam za nią bez emocji, zerkając wciąż na ekran laptopa, co zapewne jedynie potęguje irytację Porter.

– Tolerancyjny, do cholery.

– Skarbie, to nie tak, że mam cię za ostatnią sierotę.

Zamykam laptopa i w końcu spoglądam na naburmuszoną Love. Jej włosy są odrobinę mokre, co podpowiada mi, że niedawno brała prysznic. Pojedyncze krople wody spływają z kruczoczarnych pasm, a ja tracę na chwilę rezon na widok drogi, którą pokonują wzdłuż jej dekoltu i przestrzeni pomiędzy piersiami. Niewielka struga znika pod materiałem cienkiej bluzki, przez co muszę poprawić się na krześle i szybko zaprzeczyć samemu sobie, że to, co mam w zasięgu wzroku, wcale nie jest diabelnie podniecające.

– Tak? – Porter wcale mi nie wierzy. Ale ja naprawdę mam ją za ostatnią niezdarę. Nie ma drugiej takiej fajtłapy jak ona.

Przenoszę spojrzenie na jej twarz.

– Kłamiesz – stwierdza bez ceregieli. – Kłamca. Perfidny kłamca, kłamca, kłamca. – Wymierza we mnie oskarżycielsko palec, znowu wgryza się w jabłko i zeskakuje z biurka. Zanim wychodzi, zostawia na jego powierzchni kluczyki do pick-upa.

Kręcę głową z pobłażaniem i uśmiecham się.

– Kiedy będziesz gotowa? – krzyczę, by mogła mnie usłyszeć.

– Za parę minut!

Wstaję i krzywię się, czując, jak spięte są wszystkie moje mięśnie. Szlag, chyba rzeczywiście przyda mi się trochę ruchu. Ostatnio sobie folgowałem i odpuszczałem przebieżki wokół osiedla.

Z westchnieniem zaczynam odpinać guziki białej koszuli, a potem zsuwam ją z ramion i zostawiam na oparciu krzesła. Podejrzewam, po co Porter ukradła komuś pick-upa, więc narzucam na siebie ciemną koszulkę i sweter w takim samym kolorze. Dla pewności biorę jeszcze bluzę, ale nie dla siebie, a dla swojej żółtawatej sąsiadki na wypadek, gdyby okazała się dzisiaj zmarzluchem.

Kiedy upewniam się, że mam telefon i portfel w kieszeniach spodni, sięgam w końcu po kluczyki do pick-upa. Stojąc po chwili na własnym podwórku, mogę przyjrzeć się mu z bliska. Gdzieś go już widziałem, tego jestem pewien. Oglądam się za siebie, ale nigdzie nie widzę Love, więc wsiałam do środka i zaczynam przeglądać ostatnie maile na telefonie.

– To fura Kaydena – słyszę jakiś czas później.

Spoglądam na swoją towarzyszkę, która akurat usadawia się na miejscu pasażera.

– Musi przyciągać kobiety jak magnes – stwierdzam z leniwym uśmiechem.

– Skąd taki wniosek?

Wskazuję głową na damskie majtki, które znajdują się na desce rozdzielczej. Podczas gdy Love otwiera szeroko usta w zaskoczeniu, ja chowam komórkę i odpalam silnik.

– Och – wykrztusza z siebie.

Oprócz zawstydzenia w jej głosie pobrzmiewa dziwne zażenowanie. Postanawiam jednak nie drażnić tematu ani nie pytać, dlaczego to, że jej przyjaciel bzyka się z kimś w samochodzie, tak ją skonsternowało.

– Po co ci był ten wóz? – rzucam krótkie pytanie, wyjeżdżając z zaśnieżonego podjazdu. – I tak właściwie, gdzie mam jechać?

– Przed siebie.

– Ach tak? – Unoszę brew, spoglądając cały czas na drogę. Niebo zaczyna powoli szarzeć, co podpowiada mi, że nieubłaganie zbliża się noc. Cóż, przynajmniej śnieg jeszcze dzisiaj nie sypał. Przypuszczając, co będziemy robić z Porter, mam nadzieję, że taki stan rzeczy utrzyma się jak najdłużej.

– Czy to ważne gdzie? – mruczy z pewnym zastanowieniem Love. – Zawsze chciałam wybrać się tam, dokąd nie zaprowadzi mnie żaden plan. Po prostu... wywieź nas daleko.

Opierając rękę na drzwiach samochodu, dociekam:

– I co potem?

– Potem poprzytulaj się ze mną pod gołym niebem przy...

– Świątecznych klasykach – przerywam jej, uśmiechając się leniwie kącikami ust.

Spoglądam po chwili na swoją pasażerkę, która wygląda na nieźle zbitą z tropu. Pomiędzy jej brwiami klarują się dwie pojedyncze bruzdy, gdy tak wpatruje się we mnie zaciekle, absolutnie zaskoczona.

– Skąd wiedziałeś, o jakim marzeniu pomyślałam? – pyta brunetka.

Uciekam spojrzeniem w stronę drogi i wzruszam krótko ramionami.

– Już mówiłem. Zawsze będę spełniał twoje naiwne życzenia, Love.

Prawda jest taka, że dowiedziałem się o nim przypadkiem. Po prostu ostatniej nocy, gdy wyszedłem na moment z salonu, gdzie Porter obserwowała gwiazdy, mając na kolanach Gargamela, jedna z nich najwyraźniej przemknęła przez niebo w dół. Kiedy wróciłem, usłyszałem tylko, jak Love mówi szeptem do swojego pupila, że marzy jej się noc spędzona na przytulaniu się pod gołym niebem przy świątecznych klasykach. A potem tak naturalnie pocałowała go w nos, uśmiechając się przy tym bardzo szczerze.

– Dlaczego? – Jej pytanie przywraca mnie do rzeczywistości.

Korzystając z tego, że dociskam hamulec przed czerwonym światłem na skrzyżowaniu, zerkam na Love. Jest zaintrygowana i nieco speszona, ale tak samo słodka i atrakcyjna w sposób, który sprawia, że czuję się jak cholerny szczęściarz, mając ją obok.

– Dlatego, że ty spełniasz moje od nocy, w której wywróciłaś wszystko do góry nogami – odpowiadam szczerze, patrząc jej prosto w te duże, brązowe oczy. – I może też dlatego, że teraz, w tej chwili, jesteś wszystkim, czego potrzebuję, i spełnię tyle twoich naiwnych marzeń, ile tylko będzie

kosztowało jedno krótkie: „zostanę”. – Ostatnie słowa wypowiadam nieumyślnym szeptem.

Te same tęczyówki nagle stają się szkliste. Love potrzebuje niewiele czasu do namysłu, by schować w dłoniach moją twarz, a potem odnaleźć drogę do ust, żeby złożyć na nich delikatny, krótki pocałunek. Oboje uśmiechamy się słabo, nie przerywając kontaktu wzrokowego.

– Zrobię to. Zostanę, Ryder – zapewnia mnie równie cicho dziewczyna,

Odpowiadam jej skinieniem głowy i skupiam się ponownie na drodze. O tej porze wyjechanie z Aspen zajmuje nieco więcej czasu, ale gdy już nam się to udaje i wjeżdżamy na ulice poza miastem, nie przemusza się po nich zbyt wiele samochodów. A my możemy wcielić w życie nasz plan i mknąć... po prostu przed siebie.

– Denerwujesz się. Dlatego szukasz ucieczki – wysnuwam nagle wniosek, obserwując zaśnieżone szczyty gór. Jest już ciemno, więc nieco wybijają się na czarnym niebie.

– No tak. – Love parska dźwięcznym śmiechem. – Zapomniałam, że mam romans z profesjonalnym psychologiem. Masz rację.

Uśmiecham się znowu, ale szybko poważnieję.

– Jutro występ – zauważam słusznie.

– Jutro występ – potwierdza dziewczyna.

– Więc jedziemy przed siebie i nie wspominamy o nim ani razu.

Na moje zarządzenie ona jedynie wzdycha z dozą ulgi.

– Zgoda.

Po kilkunastu minutach jazdy nie mam zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy. W pewnym momencie po prostu zatrzymałem się na zjeździe przed barierkami otaczającymi wzgórze po uprzednich słowach Love, która stwierdziła, że to miejsce wygląda w porządku.

– Mam nadzieję, że ubrałaś się ciepło. – Moje słowa przypominają raczej pytanie.

Porter wywraca oczami na to moje „tatuśkowanie”, wciągając na głowę białą czapkę z pomponem.

– Noc nie będzie dzisiaj ekstremalnie zimna, ale tak, nie zamarznię. – Puszczą mi oczko i wysiada zwinnie z pick-upa. Widzę, że ma na sobie kilka warstw ubrań, więc odpuszczam temat. – Wyciągniesz koce z tylnych siedzeń?

– Wyciągnę – potwierdzam, od razu spełniając jej prośbę.

Zaciągam się zapachem gór. Powietrze jest tutaj rześkie i przyjemnie orzeźwiający. No i dobrze widać stąd niebo, co było tak istotne dla Love, która właśnie włącza jakieś kiczowate lampki na pace samochodu. Patrzę na to z pobłażaniem, ale nic nie mówię. Po prostu wrzucam koce na tył, mając w głowie myśl, że to mi wcale nie przeszkadza. Robienie tych wszystkich ckliwych, do przesady romantycznych rzeczy z tą roztrzepaną Porter.

– Wsiadaj – zachęca mnie wyraźnie podekscytowana.

– Brakuje...

– Świątecznych klasyków – dopowiada za mnie. – Spokojnie, zajmę się tym.

Nie mija chwila, a słyszę dobiegające z radia *Christmas Time* w wykonaniu Backstreet Boys. Wchodzę na pakę i przez pierwsze sekundy rozglądam się wokoło, uznając otaczający nas krajobraz za naprawdę miły dla oka. Kiedy jednak czuję dwie drobne ręce oplatające mój brzuch, przechylam głowę, by skupić uwagę na wyszczerzonej Love.

– Ktoś, kto będzie tędy przejeżdżał, weźmie nas za szaleńców – parskam.

Moją towarzyszką nie wydaje się ani trochę przejęta tym wnioskiem.

– Za zwykłych zakochańców.

Uśmiecham się, nakrywając swoimi dłońmi jej dłonie.

– Chociaż... kiedy tak o tym myślę, to wszystko ani trochę nie wydaje mi się zwyczajne, wiesz? – zastanawia się na głos Love. – Ale może właśnie w tym tkwi cała magia. W zadurzaniu się w kimś, mając w głowie przeświadczenie, że to, co tworzy się wspólnie, jest jedyne i niepowtarzalne?

Ściskam mocniej dłoń dziewczyny, spuszczając wzrok na nasze ręce. Sam widok drobnej pięści zamkniętej w mojej zaognia gdzieś we mnie poczucie prawdziwego spokoju, z którym nie może konkurować absolutnie nic.

– W takim razie, zanim wtargnęłaś do mojego życia, chyba nigdy nie byłem w nikim zakochany w ten sposób – przyznaję pod nosem. – Sądzę, że ani razu nie pomyślałem, że to, co mam z drugą osobą, jest czymś, czego nie ma absolutnie nikt z nikim innym.

Love wspiera się na palcach, by oprzeć z trudem brodę na moim barku.

– Ale teraz jest inaczej. – Czuję, że na jej twarzy zakwita lekki uśmiech.

Kiwam głową, głaszcząc wierzch jej dłoni.

– Jest – zgadzam się z nią. – Bo nie mam wątpliwości, że to, co jest nasze, jest szczególne.

Przez dłuższą chwilę tkwimy nieruchomo w tej samej pozycji, bez żadnych słów. Trwa to, dopóki z radia nie wydobywa się piosenka, którą Porter wielokrotnie maltretowała mnie jeszcze kilka tygodni temu. Nie myślę zbyt długo nad pomysłem, który rodzi się w mojej głowie. W pewnej sekundzie odwracam się i wyciągam dłoń w stronę Love.

– Mogę prosić? – pytam szarmancko w akompaniamencie *Snowman* od Sii.

Porter, jak na zawołanie, obnaża swoje białe zęby.

– Oczywiście.

Nasze dłonie odnajdują się zupełnie same, podczas gdy ja jedną układam na kobiecej talii, a moja partnerka na moim barku. Jednocześnie odwzajemniam uśmiech Love i zaczynam kołysać nią leniwie w rytm spokojnej melodii, nie tracąc nawet na ułamek sekundy kontaktu wzrokowego. Wszystko, na czym skupiam swoją uwagę, to te duże, brązowe oczy i okalające je wachlarze długich rzęs. Gdzieś w tle miga mi sznur lampek otaczający nasz mały prowizoryczny parkiet. Ale to nieistotne. Teraz... w zasadzie nic już nie wydaje się istotne.

– Ktoś przejeżdżał – zawiadamia mnie rozbawiona Love.

– I co z tego? – Unoszę brew absolutnie nieprzejęty i zrelaksowany, nie przestając prowadzić swojej partnerki w tańcu.

Brunetka jedynie kręci głową, napierając niewinnie zębami na dolną wargę.

– I wyglądał na... skonsternowanego – dodaje.

– Nami?

– Naszym małym głupstwem.

Na krótki moment ściągam dłoń z jej talii, ale robię to tylko po to, by zaczesać ten jeden niesforny kosmyk włosów za ucho dziewczyny. Jej skóra drży, gdy przypadkiem dotykam kciukiem zarumienionego policzka. Szybko jednak ponownie kładę rękę na kobiecym biodrze, przesuwam nią w górę i w dół, a potem zdecydowanym ruchem przyciągam Love do swojej klatki piersiowej. Słyszając, jak wciąga głośno powietrze do płuc, odpowiadam jej krótko, ale z niebywałym przekonaniem:

– Twoje marzenia nie są nawet małym głupstwem, Love. – Mój głos jest niski, przypomina bardziej gardłowy szept, gdy tak nachylam się nad uchem dziewczyny, pragnąc mieć pewność, że usłyszy wyraźnie każde wypowiedziane przeze mnie słowo.

Kiedy odsuwam się nieznacznie, dostrzegam na jej ciele gęsią skórę.

– Miałaś nie marznąć – przypominam.

– Ugh, nie marznę – cedzi niepokieszona Porter. – Moje ciało jest bardzo podatne na *ten* ton, Ryder. – Szybko nabieram przekonania, że niechętnie mi się do tego przyznaje.

Unoszę kącik ust, sunąc dłonią wzdłuż pleców Love.

– To przydatna wiedza. – Przytakuję.

– Niepotrzebnie ci to powiedziałam.

Przechylam głowę, by przyjrzeć jej się uważniej. Jest tak cholernie urocza, gdy tkwi w moich ramionach i peszy się, jakby zdradziła mi przynajmniej tajemnicę wagi państwowej. Ale to naprawdę słodkie, bo za każdym razem, kiedy dowiaduję się o niej tych małych rzeczy, co lubi, czego nie cierpi albo co rozgrzewa ją do czerwoności, czuję się jeszcze bardziej nakręcony. Zupełnie tak, jakby te głupie drobnostki jedynie popychały mnie w jej stronę.

– Mogę się zrewanżować podobnym sekretem – rzucam nonszalancko.

Love parska, słysząc moją propozycję, ale po chwili odpowiada mi zwykłym:

– Będę wdzięczna.

– Wtedy oboje będziemy postępować nie fair – wzdygam, bo domyślam się, że znajomość

naszych słabych punktów okaże się dla nas większą szkodą niż pożytkiem.

– Ale przynajmniej będzie zabawnie.

– To mało przekonujące.

– Hej, nie mów, że teraz się wycofasz. – Jej ton jest pełen dezaprobaty.

Przybliżam usta do jej ucha.

– Kiedy przyssiesz się do mojej żuchwy, naprawdę czuję się jak napalony gówniarz – wyznaję, a jej spojrzenie momentalnie ląduje na linii mojej szczęki. Doskonale czuję na niej jego ciężar, który pozostawia na mojej skórze przyjemne mrowienie.

– Och. – W końcu dziewczyna spuszcza wzrok, nadal niewinnie się uśmiechając.

Nie mija parę minut, a leżymy już na pace pick-upa, owinięci kocami i wpatrzeni w ciemne niebo. Love, jak to Love, oplata mój brzuch ręką, a nogę zdążyła już dawno przełożyć przez moje biodra. Więc teraz, zaplątany w sidła swojej uroczej towarzyszki, po prostu gapię się w niepomiarne przestrzeń i wsłuchuję w kolejną piosenkę, która dobiega z radia.

– Love? – pytam cicho, słysząc utwór, który wcale nie jest świąteczny.

Ale nikt mi nie odpowiada, więc przechylam odrobinę głowę. Dostrzegam leżącą na mojej piersi śpiącą już Porter. Uśmiecham się zupełnie mimowolnie, skupiony na pięknym obliczu swojej Love i tekście *Tribulation* Matta Maesona.

– W zasadzie... nic – wzdycham, chociaż i tak wiem, że dziewczyna wcale mnie nie słyszy. – Śpij dobrze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY



RYDER

Opieram sobie na ramieniu bukiet białych tulipanów, nie przerywając marszu w kierunku zaparkowanego nieopodal range rovera. Jednocześnie odpisuję na SMS-a od Chloe, która, jak się okazuje, przyjechała do Aspen szybciej, niż się tego spodziewałem. Zapewne chciała złapać Love jeszcze przed wieczornym występem, ale cóż. Sama zainteresowana ziała do szkoły baletowej krótko po tym, jak wstała z łóżka, tłumacząc się próbą.

Chowam telefon do kieszeni spodni, a potem wsiadam do samochodu, ostrożnie kładąc sporych rozmiarów bukiet na sąsiednim siedzeniu. Droga do domu z pobliskiej kwaciarni nie zajmuje mi dłużej niż parę minut. Kiedy tylko wchodzę do środka i wkładam bukiet do wazonu, wychodzę na taras, gdzie na stole siedzi nie kto inny jak moja siostra.

– Aż miło popatrzeć na twoją szarmancką wersję – komentuje z dziarskim uśmiechem Chloe.

– Wcześniej przyjechałaś – zbywam jej słowa.

– Powiedzmy, że szybko znalazłam niańkę dla Raine’a, więc mogłam pozwolić sobie na złożenie ci wizyty wcześniej.

– Polly? – Unoszę brew, podchodząc do drewnianej balustrady i opierając na niej rękę.

– Hm? Och, nie...

– Więc kto taki? – pytam, obserwując roztaczający się pod stopami krajobraz lasu i gór. Mimo że nie patrzę na siostrę, oczami wyobraźni jestem w stanie zobaczyć na jej twarzy cień konsternacji, gdy odpowiada z lekkim wahaniem:

– Kolega. Nie znasz. Mama i tata kazali przekazać, że przyjadą punktualnie i mamy trzymać dla nich miejsca w pierwszym rzędzie. – Tym razem to ona zmienia temat.

Najwyraźniej nie chce go poruszać, myślę.

– Załatwione. – Kiwam głową. – My będziemy przed czasem.

Stukając palcami o drewno, odpływam na moment myślami gdzieś daleko stąd. Chloe nie umyka ten fakt, bo w pewnej chwili wstaje na równe nogi i w paru krokach podchodzi do balustrady, pytając z wręcz namacalnym zaciekawieniem:

– Co tak zawzięcie analizujesz?

Przechylam głowę, by spojrzeć na siostrę z uniesionym kącikiem ust.

– Nie wiem, czy dobrym pomysłem jest zwierzanie się akurat tobie, plotkaro – odpowiadam, za co otrzymuję kuksańca w bok.

– Hej, jestem twoją siostrą.

– No właśnie. – Przejeżdżam językiem po wardze, mając w głowie pewien prawdopodobny scenariusz, którym dzielę się z Chlo: – Jeśli ci coś zdradzę, muszę liczyć się z tym, że najpóźniej jutro zadzwoni do mnie Jane.

Brunetka układa usta w podkówkę, patrząc na mnie niewinnie.

– Ale przecież masz we mnie zaufanego sprzymierzeńca... – Próbuje przekabacić mnie na swoją stronę.

– Który wiecznie ma za długi jęzor.

Chloe w odwecie jedynie prychnie i wycofuje się nieznacznie tylko po to, by zabrać ze stolika kubek w kształcie bałwana, który Love zgarnęła na przecenie w Walmarcie. Cóż, zdecydowanie uwielbiała wszystko, co było okropnie dziwaczne.

– Pij już – nakłania mnie dziewczyna. – Musisz się zrelaksować, bo zakładam, że stresujesz się za nią.

– Melisa? – strzelam, przyjmując tego dziwnego bałwana.

Chloe klepie mnie delikatnie po policzku.

– Ryder, to gin. Mów, co ci chodzi po tej twojej psychologicznej głowie.

Pociągam łyk z kubka i orientuję się, że Chloe zdecydowanie wcisnęła mi gin. Potem przecieram dłonią twarz, by jakoś otrzeźwić umysł, i znowu opieram przedramiona na drewnie, wzrok przenosząc na krajobraz, który pomaga mi zebrać myśli bardziej niż wścibskie tęczówki młodszej siostry.

– Zastanawiam się, czy to nie jest ten moment, wiesz? – Przesuwam w zamyśleniu kciukiem po uchu kubka. – Ten, kiedy mógłbym zacząć myśleć o tym, żeby... cholera. Żeby się ustatkować. Tak zwyczajnie i po ludzku, jak ktoś, kto chce w końcu stworzyć z kimś innym coś poważnego.

– Coś na serio – rzuca pod nosem moja rozmówczyni.

– Związek, Chlo. – W końcu uciekam spokojnym spojrzeniem do jej twarzy. – Coraz częściej nawiedza mnie przeczucie, że powinienem skończyć tę zabawę w niezobowiązujący grunt. Sęk w tym, że *ona* jest... ona nie jest dla mnie jeszcze otwartą księgą. Nie wiem o niej wszystkiego, nie mam pojęcia, czy gdybym wyznał jej to, co wyznałem tobie, nie wybudziłbym jej demonów. Czy nie przestraszyłaby się wizji *nas*. Jednak nie chcę, by zastanawiała się, dlaczego wciąż stoimy w miejscu. – Wypuszczam powoli powietrze. – Bo chciałbym ruszyć naprzód. Chcę móc nazywać ją swoją kobietą, ale jeszcze bardziej pragnę, by czuła się komfortowo.

Nie spuszczać wciąż spojrzenia z twarzy Chlo, od razu dostrzegam, że jej oczy stają się odrobinę szkliste. W pierwszej chwili mam ochotę zaśmiać się i powiedzieć, żeby się nie mazała, bo to tylko cikliwe słowa, ale w drugiej... zwyczajnie przyciągam ją do uścisku.

– Jeśli Raine nie przejmie tych waszych dżentelmeńskich genów Callahanów, to przyślę go do Aspen, żebyś naprawił mi pierworodnego i wpoił mu, jak być perfekcyjnym rycerzykiem w srebrnej zbroi godnym kobiecych serc. – Siostra wymrukuje to w moją pierś.

Przez dobre kilkanaście sekund trwamy tak przy sobie, dopóki Chloe nie odsuwa się odrobinę i nie uśmiecha delikatnie na widok, który mam za plecami.

– Ktoś najwyraźniej chce ci przekazać, że już pora zacząć się przygotowywać – mówi, niewerbalnie rozkazując mi, bym się odwrócił. Na widok Klakiera, który bawi się czarnym krawatem, pryham. – Znajdę ci koszulę, a ty weź prysznic. Cuchniesz ginem – dokańcza rozbawiona Chloe, a potem znika gdzieś w domu, zostawiając mnie samego.

Samego z niezłym mętlikiem w głowie.

Do miejsca, w którym odbywa się występ uczniów szkoły baletowej, docieramy kilkanaście minut przed planowanym rozpoczęciem występu. Reflektory skierowane są na scenę, więc w dużym pomieszczeniu panuje półmrok. I tak zauważam jednak, że Chloe szczerzy się aż za bardzo do telefonu.

– Z kim tak romansujesz, co? – pytam zaczepnie, splatając palce na brzuchu i opierając łokcie na podłokietnikach fotela.

Brunetka momentalnie odzyskuje fason.

– Z nianką Raine’a – tłumaczy ze szczyptą zawahania.

– Szkoda, że go nie będzie. Pewnie chciałby zobaczyć Love w akcji – rzucam, na co Chloe odwraca się delikatnie, by spojrzeć na tyły pomieszczenia. Trochę dziwi mnie ta jej tajemniczość, ale postanawiam nie wiercić jej dziury w brzuchu. A przynajmniej nie robić tego akurat dzisiaj.

– Tak, zdecydowanie – odpiera pospiesznie, po czym dodaje: – O, rodzice.

Również odwracam głowę i dostrzegam Richarda i Jane.

– Jesteśmy na czas? – upewnia się mama, na co ojciec jedynie kręci głową.

– Jane, po prostu już siadaj.

– Och, jasne. – Kobieta posłusznie siada po mojej lewej stronie. – Jak wyglądam? – swoje pytanie kieruje do mnie.

Lustrując wzrokiem jej czarną kreację, uśmiecham się i przyznaję:

– Obłądnie, mamó.

Ale nie lepiej niż Love, która po kilku minutach jest już na scenie i szlag by to. Koncentruje na sobie całą moją uwagę. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że każdy jej krok pozbawia mnie tchu zupełnie jak wtedy, gdy urządziła mi pokaz swoich umiejętności przed świętami na obrzeżach Denver. Nie mogę

zdusić w sobie żadnej dozy fascynacji tą dziewczyną, kiedy ta czaruje publiczność w pomieszczeniu swoim wdziękiem. Kiedy tak zwyczajnie w ciągu kolejnych minut spędzonych na podeście zaognia we mnie przecucie, że nic na świecie nie mogłoby mnie urzec bardziej niż ten widok.

Przełykam z trudem resztki śliny i czuję, jak grdyka faluje pod moją skórą. Dopiero po chwili orientuję się, że z wrażenia zdążyłem rozchylić usta. Zamykam je, obserwując swoją Love. I obserwuję ją tak długo, póki nie kłania się z resztą uczniów i nie znika mi z pola widzenia. Do diabła z tym. Naprawdę długo nie wygonię z głowy tego obrazu ani niczego, co teraz jeszcze dobitniej podpowiada mi, że Love... jest po prostu szczególna.

Pogląsniam wybrzmiewające z radia *The Scientist* od Coldplay, nie spuszczać wzroku z drogi, która rozpościera się przed maską range rovera. Ulice Aspen zdążył już spowić mrok, ale wciąż przechadzają się nimi grupy turystów. Zerkam kątem oka w stronę Love, która obserwuje przechodniów w milczeniu. Nie trwa to jednak długo, bo po chwili brunetka odwraca się w moim kierunku i mówi:

- Nadal jestem zdania, że powinniśmy wciągnąć całą trójkę do samochodu...
- Love – wzdycham, klarownie dając jej do zrozumienia, by odpuściła temat.
- Wtedy nie mogliby się wykręcić... – Pozostaje nieugięta.
- Skarbie.
- Spędzilibyśmy razem wieczór...

Wdycham powietrze wpuszczone do samochodu przez uchyloną szybę i kręcę głową z niedowierzaniem.

– Chryste, ty masz jeszcze energię, żeby tak trajkotać? – pytam zaskoczony, bo cóż. Występ skończył się ledwie godzinę temu. Naprawdę dziwię się, że Love nie dość, że jest w stanie ustać na nogach, to jeszcze sama zaproponowała wieczorny spacer „dla odprężenia”.

– Naprawdę tak wzywało ich to Denver? – Dziewczyna ignoruje moje wcześniejsze pytanie, obserwując mnie uważnie. Doskonale czuję na twarzy ciężar jej spojrzenia.

– Jane niedługo organizuje ważną wystawę swoich dzieł, więc owszem, Denver naprawdę ich wzywało. – Kiwam głową i zatrzymuję się obok ulubionej, jeszcze otwartej cukierni. Odpinając pas, przenoszę wzrok na swoją pasażerkę. – Zaczekasz tutaj czy wchodzisz ze mną?

– Cukiernia? – Love mruży podejrzliwie oczy.

– Kupimy coś, pójdziemy na przejażdżkę wyciągiem, a potem wrócimy do domu i każę ci położyć się w łóżku – wyjaśniam, a twarz dziewczyny momentalnie rozjaśnia uśmiech.

– Zgoda.

Po niecałych dwudziestu minutach docieramy na stok. Rozmawianie o czymkolwiek jeszcze nigdy nie wydawało mi się tak przyjemne jak tego wieczoru, gdy razem z Love powoli kroczymy w stronę wyciągu, zajądając się przy tym słodkościami. Mijamy kilku ludzi użytkujących stok, ale na pewno nie ma ich aż tylu, co w sezonie.

– Cały stres ze mnie spłynął. Teraz jestem już tylko szczęśliwa i wdzięczna, że zaciągnąłeś mnie na to przesłuchanie – rzuca mimochodem Love, wsiadając do jednego z wagoników.

Podążam za nią, a potem siadam na miejscu do tego przeznaczonym i wyznaję ze szczyptą prowokacji:

– Nie zrobiłem tego tylko dla ciebie.

Love zasiada obok mnie wyraźnie zaintrygowana.

– Nie? – Unosi powoli brew.

– Miałem z tego korzyść.

Wyciąg rusza, a my zaczynamy mknąć do góry. Żadne z nas nie skupia się jednak na widokach, które są dla nas codziennością. Zamiast tego patrzymy wprost na siebie, nie uciekając spojrzeniami nigdzie indziej.

– Niby jaką? – docieka Love.

Unoszę kącik ust, kończąc swoją babeczkę.

– Mogłem podziwiać swój ósmy cud świata – odpowiadam i momentalnie ogarnia mnie zadowolenie rosnące wraz z widokiem czerwieni malującej się na policzkach Porter.

Love odwraca na chwilę wzrok, więc ja również to robię i zerkam na swoje umazane czekoladą palce.

– Masz... – zaczynam, ale nie jest mi dane dokończyć.

Brunetka, domyślając się, że moje pytanie dotyczy chusteczki, rzuca:

– Nie szukaj. – Uśmiecha się delikatnie, a potem tak po prostu oplata drżącymi palcami mój nadgarstek i przyciąga dużą dłoń do swoich ust. Natychmiast zasycha mi w gardle, kiedy chowa najpierw jeden, potem drugi i trzeci palec pomiędzy swoimi ciepłymi wargami. – Gorzka ta czekolada – stwierdza po chwili ciszy, w trakcie której patrzymy na siebie bez słów.

– Za to ty jesteś cholernie słodka – wykrztuszam z siebie, wciąż czując na skórze ślad pełnych ust. Love w odpowiedzi spuszcza wzrok, a jej policzki znowu pąsowieją.

– Ale potrafię dać w kość – stwierdza cicho.

– Nie będę się kłócił.

Krótko po tym, jak to mówię, stajemy nagle w miejscu.

– Ryder? – Love przetyka ślinę ze strachem kielkującym w dużych, brązowych oczach, rozglądając się wokoło. Wyciąg stanął. Od razu przechodzi mi przez myśl, że trwa jakaś niewielka awaria.

– Pewnie coś się zacięło – wzdycham ze spokojem, opierając obie ręce na oparciach siedzeń. – Jest dobrze, Love.

Dziewczyna jedynie pociąga płaczliwie nosem, po chwili wybuchając:

– Nie jest. Jezu, ja nie chcę umierać!

– Love. – Przemykam powieki, starając się zachować powagę i nie parsknąć na to teatralne przerażenie swojej towarzyszki. Jeszcze strzeliłaby focha, a wtedy to już naprawdę chyba wolałbym spaść w przepaść niż ślęczeć tu do rana z naburmuszoną Porter.

– Jesteśmy tak wysoko – lamentuje wciąż śmiertelnie spanikowana. – Czy ty to widzisz?

– A wyglądam, jakbym nagle stracił wzrok?

Love zaciska usta w linię.

– Pieprzony ironista – wypala pretensjonalnie.

Biorę krótki wdech, patrząc, jak dziewczyna wstaje, a potem zaczyna krążyć po niewielkim pomieszczeniu. Ręce założyła pod biustem, a na jej coraz bledszej twarzy maluje się prawdziwy lęk.

– Zaraz wywiercisz dziurę w podłodze – komentuję wciąż tak samo zrelaksowany, jak wcześniej, tym samym zwracając na siebie uwagę dziewczyny.

– Do diabła z tobą – cedzi, opuszczając ręce wzdłuż tułowia, a potem przeciera dłońmi twarz. – I z tym całym ustrojstwem.

– Jesteśmy w Aspen – przypominam. – Ludzie kontrolują te wyciągi.

Intuicja podpowiada mi, że przekonanie Love do scenariusza, który zakłada nasze wyjście z tego potrzasku cało, będzie arcytrudnym zadaniem. Znajduje to zresztą potwierdzenie w kolejnym pytaniu, które zadaje Porter:

– A co, jak ktoś przysnął? – Jej głos przesiąka niepokojem.

– Wymyślasz – odpowiadam, klepiąc się po kolanie. – Siadaj.

Love przez moment patrzy na mnie niepewnie, ale nie mija kilkanaście sekund, aż w końcu ciężar jej lekkiego ciała spoczywa na moich nogach. Bez żadnego uszczypliwego komentarza przyciągam ją do siebie tak mocno, jak tylko jestem w stanie, i zaciągam się znajomą wonią jej perfum. Ona natomiast chowa głowę w zagłębieniu mojej szyi, owiewając ją ciepłym i coraz bardziej spokojnym oddechem.

– Czyli sądzisz, że nie przysnął? – pyta cicho.

Uśmiecham się, całując ją delikatnie w czoło.

– Sądzę, że nie przysnął, skarbie.

I rzeczywiście po paru minutach okazuje się, że nikt, kto odpowiada za pracę wyciągu, nie przysnął. Znowu ruszamy w górę, ale jedno spojrzenie na Love wystarczy, bym stwierdził w duchu, że nasza wycieczka właśnie dobiegła końca:

– A teraz, panikaro, kierunek: *dom*.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY



LOVE

Mrużę oczy, gdy Kayden zatrzymuje się na czerwonym świetle, a potem sięga po leżący na desce rozdzielczej telefon i wpatruje się przez chwilę w jego ekran. I naprawdę nie miałabym nic przeciwko jego romansom z Chloe Callahan, gdyby nie zajmował się flirtowaniem z nią wtedy, gdy jedzie przeklętym samochodem.

– Kay? – wzdycham. – Mamy już zielone.

Mój przyjaciel momentalnie odzyskuje fason. Odkłada komórkę i wciska gaz.

– Przecież widziałem – broni się.

Prycham pogardliwie, przenosząc spojrzenie na mijane przez nas ulice Aspen. Wczesnym popołudniem nie przechadza się nimi zbyt wielu ludzi. Większość mieszkańców miasta o tej porze raczej pracuje albo się uczy. Przez głowę od razu przechodzi mi myśl, że z Kaydenem mieliśmy dzisiaj niesamowite szczęście, że odwołali nam ostatni wykład na uczelni.

– Oczywiście – mruczę pod nosem.

– Po prostu bądź już cicho, Panno Przemądrzała.

– No, już. Nie ma nic złego w tym, że przy tej jedynej zapominasz o całym świecie – dogryzam mu, przypominając sobie czasy, kiedy to on docinał mi, nabijając się z mojej relacji z Ryderem. A teraz proszę, role się odwróciły.

– Zaraz cię wysadzę – bąka chłopak.

– Przecież już jesteście. Widzimy się jutro?

Kayden mruczy pod nosem coś niezrozumiałego. Nawet nie patrzy w moją stronę, gdy wysiadam z jego samochodu, mówiąc przy tym zwykle: „na razie, Kay”. Z uśmiechem przyklejonym do twarzy patrzę, jak odjeżdża, a potem odwracam się na pięcie i podśpiewując piosenkę, którą jeszcze przed kilkunastoma sekundami słyszałam w radiu, ruszam w stronę własnego podwórka.

Nurkuję ręką do torebki, by znaleźć w niej pęk kluczy. Jednocześnie nie zaprzestaję nawet na chwilę marszu w kierunku drzwi frontowych. Czując pod palcami chłód metalu, uśmiecham się jeszcze szerzej i unoszę wzrok. Zastygam jednak w bezruchu tak szybko, jak dostrzegam przed sobą dwie osoby.

Jedynie, co jestem w stanie z siebie wykrztusić, to krótkie:

– Mama? Tata?

Wzdrygam się, gdy ciężar spojrzenia ojca spoczywa na mojej twarzy. Dawno nie czułam tego stanu, w który wprawiał mnie jego surowy i przenikliwy wzrok. W końcu minęło tak dużo czasu, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. A jednak teraz znowu czuję się tak jak wtedy, gdy byłam młodsza, a Jonathan Porter potrafił jednym spojrzeniem sprawić, że kuliłam się w sobie i modliłam w duchu, by zniknąć z powierzchni tej planety.

Wiem, że nie mogę stać tak jak słupek soli. Po pierwsze, ojciec nienawidzi bezczynności. Po drugie, muszę poznać przyczynę przyjazdu jego i matki, a potem jak najszybciej się ich stąd pozbyć. Niezależnie od tego, jak bardzo przeraża mnie wizja konfrontacji z nimi, nie mogę pozwolić, by zostali w Aspen dłużej, niż powinni, i zachwiali moim spokojem i ułożonym tutaj życiem.

Nie będę dłużej godzić się na bycie popychadłem.

– Co tutaj robicie? – pytam neutralnym tonem i podchodzę do drzwi. Powieka nawet mi nie drga, gdy wciskam klucz do zamka, a potem przekręcam go i wchodzę do domu. Nawet nie zaszczycam spojrzeniem rodziców ani nie silę się na kulturalne „zapraszam”. Po prostu wchodzę do siebie i obmyślam w głowie jakiś plan.

Nie daj się stłamsić. Postaw się im. Nie musisz dłużej tego znosić.

– Przyjechaliśmy z wizytą. – Niski baryton ojca sprawia, że przechodzą mnie ciarki. Bo pamiętam ten głos.

Ten sam, którym mówił mi tak wiele okrutnych rzeczy. Tych, które sprawiły, że czułam się *gorsza*. I przez ostatni czas Ryder za bardzo starał się, bym czuła się *lepsz*a, dlatego nie mogę, nie mogę, nie mogę teraz pod żadnym pozorem uwierzyć ojcu, gdy powie mi coś paskudnego. Bo nie widzieliśmy się tyle czasu. On mnie nie zna.

Nie może ocenić mnie wiarygodnie.

– Z jakiegoś konkretnego powodu? – Przechodzę do kuchni, gdzie odkładam na blat płaszcz i torebkę. Potem wracam z powrotem do korytarza tylko po to, by po chwili znaleźć się w salonie. Siadam na fotelu i obserwuję z hardo zadartą brodą, jak państwo Porterowie zasiadają na sofie naprzeciwko mnie.

– Brakowało nam ciebie – odpiera mama, ale szybko zostaje za te słowa zganiona przez karcący wzrok ojca. Patrę na wysokiego mężczyznę i myślę, że nigdy nie zobaczę w nim kogoś, kto jest dla mnie ważny. Może to okropne, ale po tym wszystkim... po tym wszystkim nie obeszlaby mnie nawet wieść, że jego już nie ma.

– Pozwoliłem ci się odezwać, Delilah? – mruczy ojciec.

Mrużę oczy, nie spuszczać z niego wzroku. Jonathan Porter. Adwokat świadomy swojej pozycji w branży, bezapelacyjnie uwielbiany i podziwiany przez mieszkańców Carson City. Mój nieskazitelny ojciec. Wygląda tak samo jak wtedy, gdy oznajmiłam zarówno jemu, jak i całej rodzinie, że wyjeżdżam ze stolicy stanu.

Ciemne włosy przyprószone nieco siwizną zaczesane ma do tyłu. Jego oczy są za to tak samo ciemne, świdrujące i nieczytelne. Do tego odrobinę orli nos, prostokątna szczeka i surowy wyraz twarzy. To wszystko składa się na obraz człowieka, którego nienawidzę całym sercem.

– Nie mieliśmy go, Love. – Mężczyzna opiera swobodnie rękę na oparciu sofy, cały czas obserwując mnie z wyraźną wyższością. – Po prostu byłem ciekawy, jak radzisz sobie w tej dziurze. Bo chyba sama przyznasz, że uciekłaś z dużego miasta z perspektywami na odludzie, prawda?

Stukam paznokciami o podłokietnik fotela i myślę, że mój ojciec to prawdziwy sukinsyn. Nie przepuści okazji do tego, by mi dogryźć.

– Jak widzisz, radzę sobie dobrze. Pracuję i studiuję. Nie mam na co narzekać. – Wzruszam ramionami, starając się zapanować nad drżeniem swojego głosu. Każda oznaka tego, że się boję, jedynie nakręciłaby tego faceta bardziej.

– Rzeczywiście godne podziwu – prycha ironicznie.

Mama, słysząc jego słowa, przymyka powieki.

– Cieszę się, że tak uważasz. – Uśmiecham się fałszywie.

Jonathan przechyla nieznacznie głowę, ale jego mina nadal pozostaje tak samo zimna i niewzruszona jak wcześniej.

– Powiedz mi, Love. Skąd ta nagła chęć, by to wszystko zostawić, skoro jest ci tutaj tak wspaniale? – pyta, czym zbija mnie kompletnie z tropu.

Co on pieprzy?

– Słucham? – dociekam, wyostając słuch. Nie przypominam sobie, bym planowała zostawić swoje życie w Aspen. Jest mi tutaj dobrze i wiem, że to moje miejsce na ziemi.

Ojciec zwięża podejrzliwie oczy. Atmosfera w salonie nagle staje się jeszcze bardziej gęsta i napięta. Instynktownie prostuję się na fotelu niczym struna.

– Już nie bądź taka skromna. Jestem niezmiernie dumny, że w końcu przejrzałaś na oczy. Gavin mi już o wszystkim powiedział – odpiera mężczyzna, a ja, słysząc imię brata, czuję, jak krew odpływa z mojej twarzy i w ciągu jednej sekundy staję się blada jak ściana.

To nie skończy się dobrze. To na pewno nie skończy się dobrze, jeśli Gavin maczał w tym palce.

– Co takiego ci powiedział? – wydycham, a w moim sercu rodzi się nieznośna obawa.

– Podczas świąt przypadkiem palnął, że przyjełaś oświadczyzny Aarona. – Ojciec nie kryje swojego zadowolenia, którym przesiąka jego niski głos. A mi nagle robi się tak przeraźliwie słabo, że nie jestem w stanie wykrztusić z siebie absolutnie niczego. – To jedna z niewielu słusznych decyzji, jaką podjęłaś w życiu. Przynajmniej wyjdzie to nam wszystkim na dobre. Wiesz, jak bardzo dobrze dogadują

się nasze rodziny.

Nie, nie, nie. To niemożliwe.

– Ja... – zaczynam, ale sparaliżowana przez szok szybko milknę.

– Tak, ściągnęłaś klapki z oczu – dokańcza za mnie ojciec, przesuwając wolną dłonią wzdłuż linii szczęki w geście kontemplacji. – Nareszcie.

Przymykam powieki. Robi mi się niedobrze na samą myśl o tym, że miałabym wyjść za Aarona. Nie jestem żadnym towarem, żadnym przypieczętowaniem interesów pomiędzy rodzinami. Nie mam zamiaru poświęcać się dla dobrej sprawy. Zwłaszcza że wszystkim ludziom, którym tak na niej zależy, nigdy tak naprawdę nie zależało na mnie.

Niewiele myśląc, wypalam:

– Gavin kłamał.

Otwieram oczy. Pierwsze, co napotykam na swojej drodze, jest spojrzenie mamy. Widzę, że jest porządnie zdezorientowana. Za to ojciec... gdy tylko na niego spoglądam, czuję ciarki na plecach. Bo on z kolei tylko na pozór jest opanowany. Pod tym fałszywym spokojem skrywa nic innego, jak zdumienie i gniew.

– Kłamał, bo nie przyjąłem żadnych oświadczeń Aarona – wykrztuszam z siebie. – Mam kogoś. I ten ktoś zdecydowanie jest dla mnie lepszy, niż był dla mnie on – dodaję na jednym wdechu. Mimo że nie chcę wplątywać w to Rydera, wiem, że zaraz pękne. Pękne i dam mu znać, co się dzieje. Może to egoistyczne. Może szalone, ale jeśli jego obecność i potwierdzenie mojego kłamstwa okażą się skuteczne, oni w końcu stąd wyjadą.

I już nie wrócą do Aspen.

– Przyniosę wam coś do picia – obwieszczam i wstaję. Nawet nie patrzę w kierunku ojca, zwyczajnie przemykam do kuchni, gdzie od razu wyławiam z torebki telefon. Dłonie odrobinę mi się trzęsą, kiedy wybieram numer do Rydera.

Odbiera po czterech sygnałach.

– No dzień dobry – mówi na wstępie, a ja wyciągam wolną dłonią dwie szklanki z szafki i kładę je na blacie.

– Chyba tragiczny – odpieram szeptem i odwracam głowę, by upewnić się, że rodzice wciąż siedzą w salonie. – Mam gości.

Ryder parska śmiechem. Szum w słuchawce podpowiada mi, że jest gdzieś, gdzie jest sporo ludzi. Przelewam wodę do szklanek i wsłuchuję się w jego głos, gdy pyta rozbawiony:

– Potrzebujesz, nie wiem, kogoś, kto ich zabawi?

Biorę głębszy wdech.

– Ryder, to moi rodzice.

Mężczyzna milknie na moment.

– Po co przyjechali? – docieka, a ja słyszę, że hałas po drugiej stronie staje się coraz mniej słyszalny. – Czy twój ojciec powiedział ci coś paskudnego, Love?

– Gavin ich okłamał. Powiedział, że przyjąłem oświadczenia Aarona, a ja przecież nigdy w życiu bym tego nie zrobiła. Ukartowali to. Przyznałam, że to nieprawda, ale mój ojciec... on nie wyglądał, jakby się z tym pogodził, Ryder. On naprawdę wierzy, że to wszystko, co usłyszał od Gavina, jest faktem – wyznaję cicho, przecierając dłonią zmęczoną twarz.

Nie spodziewałam się, że ten dzień będzie aż tak okropny.

– Cholera – mruczy mój rozmówca.

– Ryder?

– Tak?

– Powiedziałam mu, że to nieprawda, bo kogoś mam. – Czuję, jak wszystkie moje mięśnie nagle sztywnieją. Przez chwilę trwam w bezruchu, wsłuchując się w miarowy oddech mężczyzny.

– W takim razie będę za kilkanaście minut – stwierdza.

– Przepraszam – szepczę pod nosem, zwieszając głowę.

– Nie masz za co. To się musi wreszcie skończyć, Love. – Miękki głos Rydera przyprawia mnie o ciepło w okolicach serca.

– Będę czekać – dodaję, zanim kończę połączenie po usłyszeniu krótkiego „pospiesz się”. Potem odkładam telefon na kuchenny blat, zgarniam z niego dwie szklanki z wodą i wracam do salonu, w którym nadal siedzą moi rodzice. – Proszę – mówię, stawiając na szklanym stoliku szkło.

Odpowiada mi cisza. Znowu zasiadam na swoim miejscu, starając się sprawiać wrażenie spokojnej i opanowanej. Serce dudni mi w piersi niczym dzwon, gdy podrywam delikatnie głowę i znowu krzyżuję spojrzenie z ojcem.

– Dlaczego Gavin miałby kłamać? – dopytuje podejrzliwie mężczyzna.

Bez wywiadu się nie obejdzie, uświadamiam sobie. *On nigdy nie odpuszcza. Nie gdy coś nie idzie zgodnie z jego taktyką.* Przełykam gulę w gardle. Próbuję wydobyć z siebie resztki odwagi, kiedy tak obserwuję go z neutralną miną.

– Bo mnie nienawidzi i chce dla mnie wszystkiego, co najgorsze – odpowiadam, czując posmak goryczy pod językiem.

Ojciec uśmiecha się drwiąco, kręcąc głową z politowaniem.

– Och, Love. Nie rób już siebie takiej ofiary. – Robi krótką pauzę. – To żenujące.

Wiem doskonale, do czego to wszystko zmierza, i modlę się, by Ryder dotarł tu jak najszybciej. Nie mogę pozwolić na to, by ojciec znowu wmówił mi, że to we mnie tkwi problem. Że to ja jestem najgorsza.

Muszę udowodnić mu, że to koniec. Koniec jego jakichkolwiek ingerencji w moje życie. I mam szczerą nadzieję, że obecność Rydera i moje zapewnienie, że jestem szczęśliwa w Aspen, dobitnie mu to uświadomią.

Czas się postawić i odciąć na dobre.

– Żenujące jest to, że muszę powtarzać ci więcej niż raz, że Aaron nigdy nie wsunie mi na palec pieprzonego pierścionka – cedzę przez zęby i szybko żałuję swoich słów. Ojciec prostuje się, poważnieje, a jego oczy iskrzą niebezpiecznie.

– Chyba przez minione lata zapomniałaś, że ojcu trzeba okazywać respekt – odwarkuje wzburzony, patrząc na mnie nienawistnie. Przez każdy nerw w moim ciele przedziera się ten sam rodzaj niepokoju. – Rozwydrzyłaś się, Love. To niedobrze.

– Nawet jeśli: dlaczego sądzisz, że masz prawo uważać to za dobre lub nie? – Nie wiem sama, dlaczego pozwalam, by kolejne słowa wypadały spomiędzy moich ust. – Już dawno zaczęłam funkcjonować tak, jakby wcale cię nie było. Nie potrzebuję cię. Ciebie ani twoich okrutnych słów, którymi zawsze wiedziałeś, jak ugodzić moje uczucia.

Mój ojciec uderza pięścią w skórzane obicie sofy. Podskakuję w miejscu, oddychając nieco ciężiej, gdy obserwuję, jak jego wyraz twarzy staje się jeszcze bardziej ostry.

– Lepiej się opamiętaj – syczy rozjuszony.

– Nie wpoisz mi już więcej bzdur na mój temat. – Zaciskam usta. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat teraz budzi się we mnie ta potrzeba zbuntowania się przeciwko ojcu, ale nie mogę jej uciszyć. Nie gdy ona wciąż rozbrzmiewa echem gdzieś we mnie i nie pozwala mi schować głowy w piasek.

– Love... – Mama stara się mnie uciszyć.

– Nie – protestuję. – Nie stchórzę. Nie znowu.

Po chwili słyszę dźwięk otwieranych drzwi dochodzący z holu. Momentalnie kiełkuje we mnie pewien rodzaj ulgi, gdy tylko widzę, jak w progu salonu pojawia się Ryder. Ubrany w zwykłą czarną bluzę i ciemne spodnie, z niewzruszoną miną na twarzy odkłada na komodę jak gdyby nigdy nic kluczyki do range rovera i zwraca się do mnie:

– Nie uprzedzałaś, że ktoś wpadnie do nas z wizytą, Love.

Po tych słowach podchodzi do fotela, na którym siedzę, całuje mnie przelotnie w skroń i zasiada na podłokietniku. Robi to tak swobodnie, jakby rzeczywiście to wszystko było autentyczne. Włos jeży mi się na karku, kiedy ojciec taksuje nas nieprzyjemnym spojrzeniem.

– To moi rodzice – tłumaczę, a potem spoglądając prosto w oczy ojcu, dodaję: – A to Ryder. Kiedy powiedziałam, że kogoś mam... chodziło mi właśnie o niego. Jesteśmy razem.

Gdy to mówię, nie drga mi nawet powieka. Zerkam na Rydera, który również nie wydaje się choć trochę zdenerwowany. Jest taki jak zawsze: cholernie przystojny, opanowany i przeraźliwie dobry w

maskowaniu swoich emocji.

Chryste, oby w końcu dotarło do nich, że to koniec.

– A więc to tak – rzuca pod nosem ojciec.

– Naprawdę masz jakieś wątpliwości? – pytam zmęczona ciągnięciem tego tematu. Nie wiem, jak długo zarówno Jonathan, jak i Delilah będą tu siedzieć, ale liczę na to, że wyniosą się stąd szybko. Najlepiej zaraz.

– A powinienem je mieć? – Głos mężczyzny ocieka wręcz jadem.

– Biorąc pod uwagę, że myślimy o sobie bardzo poważnie, z pewnością nie – odpowiada bezceremonialnie Ryder, gładząc kciukiem moje ramię. W jego oczach, gdy odwraca się w moją stronę, dostrzegam jedynie szczerość i troskę.

– Oczywiście – mruczy z przekąsem ojciec. – W takim razie chyba nic tu po nas – mówiąc to, podnosi się do pionu i patrzy sugestywnie na matkę. – Idziemy. Czeka nas długa droga do Carson City – obwieszcza, a potem ostatni raz mierzy mnie i Rydera oceniającym wzrokiem i rusza w stronę holu.

Odgłos jego ciężkich kroków narusza ciszę, jaka rozbrzmiewa w całym domu.

Delilah posyła mi przepaszające spojrzenie. Później rusza posłusznie za swoim mężem, zostawiając nas samych. Oddycham z wyraźną ulgą, gdy tylko słyszę trzask frontowych drzwi. Ryder wydaje się tak samo spokojny, jak był przez ostatnie minuty, kiedy stwierdza:

– Twój ojciec to rzeczywiście kutas.

Skinieniem głowy potwierdzam, że się z nim zgadzam.

– Gdybyś nie przyszedł, chyba nie zdołałabym go przekonać, że naprawdę nici z mojego „związku”. – Robię cudzysłów palcami, a potem dodaję: – Z Aaronem. Ugh, oni naprawdę zafiksowali się na tym punkcie. Byliby w stanie opchnąć mnie byle komu, by tylko mieć z tego jakieś swoje korzyści – mówię cicho, krzywiąc się przy tym z jawnym niesmakiem.

Ryder bawi się moimi włosami, kiedy wzdycha:

– Oby teraz dali ci spokój.

– Zobaczymy, czy jest pan przekonujący, panie Callahan. – Uśmiecham się delikatnie i przysmykam powieki, czując palce przeczesujące moje kosmyki. Mimo że wciąż noszę gdzieś w sobie niepokój, tłumy go Ryder i sposób, w jaki czule szepcze mi do ucha:

– Powinna pani doskonale o tym wiedzieć, panno Porter.

Przechodzi mnie dreszcz. Wzdrygam się i otwieram oczy, by spojrzeć prosto w te grafitowe tęczówki, wpatrzone we mnie uważnie.

– Przeszkodziłam ci w czymś – bardziej stwierdzam, niż pytam. – Gdzie byłeś?

– Nieważne. Wiem, jak możesz się zrehabilitować. – Unosi kącik ust, wstając z podłokietnika fotela. Odrobinę zbita z tropu wyduszam z siebie krótkie:

– Jak?

Mężczyzna wsuwa dłonie do kieszeni spodni.

– Pomożesz mi się rozebrać – rzuca bez ceregieli.

Moje serce nagle przestaje bić, gdy tak wpatruję się w niego z rozdziawionymi ustami, speszona tym, jak otwarcie mówi o...

– Z tych wszystkich ozdób i choinek. Mam ich już po dziurki w nosie – dokańcza wyraźnie zniesmaczony, a mi momentalnie robi się głupio, bo, szlag by to. Znowu dałam się nabrać. Uciekam wzrokiem od twarzy Rydera, wstaję z mebla, a potem pędem ruszam w stronę wyjścia ze swojego mieszkania, by jak najszybciej znaleźć się u niego. – Rany boskie, nie wiedziałem, że będziesz taka chętna – słyszę gdzieś za sobą komentarz zdziwionego mężczyzny.

Przysmykam przez podwórko sąsiada i otwieram drzwi wejściowe kluczami znalezionymi w znanej kryjówce. Uśmiecham się tak szybko, jak atakuje mnie Gargamel i Klakier. O wiele lepiej znoszą spędzanie czasu bez człowieka razem, więc czasem zostawialiśmy ich u mnie, a czasem u Rydera.

– Późno pozbywasz się tych pierdół – mówię, po kilkunastu sekundach patrząc na ubraną choinkę. Obok niej znajdują się już pudełka, więc Ryder musiał przynieść je tutaj wcześniej. Od razu biorę się za ściąganie bombek z drzewka.

– Nie miałem za bardzo czasu, by pozbyć się ich wcześniej – wzdycha czarnowłoso.

Odwracam głowę przez ramię i patrzę, jak wchodzi do kuchni z papierowymi torbami w ręce. Od razu uświadamiam sobie, że gdy do niego zadzwoniłam, był po prostu w sklepie.

– Miałam ci pomóc, a nie wyręczać cię w brudnej robocie, Ryder. – rzucam z rozbawieniem, podczas gdy mężczyzna rozpakowuje zakupy i wyciąga z szafki patelnię. Wygląda na to, że ugotuje coś dobrego. Od razu czuję, jak mój żołądek kurczy się do niewielkich rozmiarów.

– Skończ marudzić – słyszę w odpowiedzi jego spokojny ton.

– Bo mój podstawiony facet tego nie zdzierzy? – pytam prowokująco, obnażając zęby i ściągając kolejną bombkę z gałęzi. Przez chwilę odpowiada mi cisza, więc ponownie odwracam się, by spojrzeć na Rydera. Ale jego wcale nie ma w kuchni.

Chcę ściągnąć kolejną ozdobę, ale kiedy przestępuję z nogi na nogę, wpadam na Rydera, który wyrósł przede mną zupełnie nagle. Otwieram szerzej oczy i rozchylam usta, gdy duże dłonie lądują na moich biodrach i przyciągają mnie do rosnącego ciała.

– A może stwierdzi, że już dłużej nie da rady cię słuchać? – Ryder unosi brew.

Drzę w jego ramionach, kiedy nachyla się nad moją twarzą. Gdzieś w moim podbrzuszu eksploduje fala gorąca, gdy mężczyzna głaszcze długimi palcami moją okrytą przez materiał swetra skórę na łydżwiach. Nie przestaję obserwować go z zapartym tchem.

– I co wtedy zrobi? – pytam szeptem.

Nie otrzymuję odpowiedzi, bo Ryder delikatnie przyciska swoje usta do moich. Uśmiecham się naprawdę szeroko, obejmując dłonią jego policzek i przechylając głowę tak, by móc pogłębić pocałunek. Jego usta są zimne, język, który wdziera się pomiędzy moje wargi – ciepły i niecierpliwy. Nie powstrzymuję się. Przywieram do niego mocniej, szczelniej, tak że nie dzieli nas chociażby cal niepożądanego dystansu.

Ryder całuje mnie leniwie, delikatnie, tak jak nikt nigdy. Dobrze, że trzyma mnie przy sobie, bo czuję, jak w przeciągu sekundy moje nogi robią się miękkie. Cholera. Ten facet potrafi upajać zwykłym pocałunkiem. Doskonale wie, co robi. Jest świadomy tego, jak igrać swoim językiem z moim i uderzać swoimi ustami o moje, by rozpaść każdą cząstkę mojego ciała. Biorę wdech nosem i przywieram mocniej biustem do jego torsu. Twarde mięśnie ocierają się o moje piersi, kiedy Ryder stanowczo ściska moje biodra i podgryza dolną wargę.

Mój cichy jęk znika w jego gardle. Serce łomocze mi jak oszalałe, dudni w piersi tak, jakby miało zaraz z niej wyskoczyć. Długie palce suną w górę i w dół wzdłuż całej długości mojej talii, podwijając materiał swetra, a potem pozwalając mu znowu opaść. Aż w końcu Ryder odsuwa się delikatnie, by móc objąć spojrzeniem całą moją twarz i posłać mi swój przeraźliwie zachwycający uśmiech.

Naprawdę się w nim zadurzyłam.

Jest piąta nad ranem, kiedy ze znużeniem wpatruję się w telewizor. Śpiący z głową na moich udach Ryder jedynie pochrapuje cicho, podczas gdy ja przerzucam za pomocą pilota kolejne kanały, dopóki nie natrafiam na przypadkowy film. Cóż, wszystko brzmi lepiej niż beczynne wpatrywanie się w sufit, więc od razu próbuję wkręcić się w fabułę.

Z letargu wyrывa mnie dopiero moment, w którym mężczyzna, który do tej pory sobie na mnie spał, podrywa głowę i z niezrozumieniem rozgląda wokół, jakby nie pamiętał, kiedy zasnął. A było to... cóż. Dawno.

– Nie śpisz? – pyta zachrypniętym, wściekle seksownym tonem.

– Nie – odpieram ze spokojem. – Spałam kilka godzin. Potem obudził mnie Gargamel, wyszłam z nim na zewnątrz i już tak trochę leżę, bo nie mogę zmrużyć oka.

Ryder przeciera dłonią zaspaną twarz.

– Która godzina? – pyta.

– Dochodzi szósta – odpowiadam, a potem wplatam dłoń w jego włosy, gdy ponownie kładzie głowę na moich udach. Miękkie kosmyki prześlizgują się przez moje palce, kiedy obserwuję wciąż nie do końca rozbudzonego Rydera. – A co? Pytasz, bo ci niewygodnie i szukasz wymówki, by zwiąć? – Uśmiecham się prowokująco.

Mężczyzna wywraca oczami z rozbawieniem.

– Tak, Love. Dokładnie dlatego pytam – odpowiada.

– Bez znaczenia. Nie uznaję takiej wymówki.

Mrużąc oczy, wydostaję się spod ciężaru Rydera i kładę się tuż obok niego tak, by móc opleść ręką jego pas, a potem ułożyć bez przeszkód policzek na jego piersi. Obejmuję go naprawdę mocno, bo z niewiadomego powodu od tego faceta wiecznie bije ciepło, a tak się składa, że zimne powietrze wpadające do sypialni przez uchylone okno wydaje się teraz naprawdę nieznośne. Ryder komentuje to krótkim:

– To było bardzo stanowcze.

Zagryzam wewnątrz policzka.

– Czasami jestem stanowcza.

– Gdy nie chcesz, żebym ci zwiął. – Oczami wyobraźni widzę uśmiech Pana Przystojniaka.

– Gdy chcę mieć cię dla siebie jeszcze przez kilka minut – poprawiam go i wydaję z siebie cichy pomruk zadowolenia, kiedy wtykam nogę pomiędzy nogi Rydera, a męska dłoń przesuwa się delikatnie wzdłuż całej długości mojego uda.

Uwielbiam, gdy to robi. Kiedy dotyka mnie równie ostrożnie, a jednocześnie z dozą siły wyrażającej pewien rodzaj zaborczości. A Ryder doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak na mnie działa, bo jedyne, na co się zdobywa, nie zaprzestając mojej miłej tortury, to na posłanie mi szelmowskiego spojrzenia, gdy zadzieram delikatnie brodę, by na niego spojrzeć.

– Tylko kilka? – upewnia się i zaciska palce na moim udzie, by później obrócić nas tak, że teraz to ja tkwię pod nim, zaskoczona i podekscytowana. Czuję, jak mocno wali mi serce, gdy koncentruję uwagę najpierw na oczach Rydera, a potem na jego ustach.

– Masz rację – wydycham. – Chcę cię na dłużej.

Przenoszę jedną dłoń na policzek mężczyzny. Promienie słońca opadają na jego profil, przez co tracę dech, bo nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam bardziej pociągający widok niż Ryder Callahan z roztrzepanymi włosami, zachęcającym spojrzeniem i seksownym uśmiechem. Nie zastanawiam się jednak nad tym zbyt długo. Nie czekając na jego odpowiedź, dobieram się do jego ust i całuję go tak zachłannie, jakby rzeczywiście był tylko mój.

Ryder odpowiada mi niskim pomrukiem. Wiercę się delikatnie na materacu, czując jego dłonie wędrujące w dół moich bioder. Długie palce bawią się rąbkiem krótkich dresowych spodenek, testując moją cierpliwość. Jednocześnie Ryder nawet na ułamek sekundy nie przestaje gonić za moimi ustami. Pogłębia pocałunek. Przejeżdża językiem po mojej dolnej wardze, zabierając sobie z mojej piersi ciche westchnienie. Nie mija chwila, a mężczyzna odsuwa się nieznacznie i schodzi pocałunkami na moją szyję.

Gdzieś pomiędzy muśnięciami, słyszę jego zachrypnięty głos:

– Mogłabyś budzić się tutaj częściej. – Ryder mruczy to w przestrzeń pod moją żuchwą, zanim ponownie smaga to miejsce wilgotnymi ustami. Przełykam z trudem haust powietrza, bo w tym samym momencie mężczyzna wsuwa dłoń pod materiał moich spodenek.

– Częściej? – wykrztuszam z siebie szeptane pytanie.

Duża dłoń ściska mój pośladek, a gorący oddech rozbija się na barku.

– Codziennie – słyszę Rydera jak przez mgłę.

Jego usta znowu opadają na moje. Niewiele myśląc, kładę rękę na policzku bruneta i odpływam, gdy zsuwa w końcu ze mnie spodenki wraz z bielizną. Teraz leżę pod nim już tylko w koszulce. I drżę za każdym razem, gdy czuję, jak ociera się o mnie jego twardy wzwód. Dreszcz przechodzi po moich plecach Przez każdy nerw przedziera się adrenalina, a umysł ogarnia chaos, kiedy Ryder wsuwa we mnie palce. Nie hamuję jęku, bo mężczyzna robi to szybko.

Odchylam głowę i opieram dłonie na jego szerokich ramionach. Wszystko uderza we mnie tak paskudnie mocno: jego oddech na mojej szyi, jego niskie syknięcie, gdy kołyszę biodrami, podpowiadając, by przyśpieszył. Gubię oddech. Ryder porusza się we mnie coraz szybciej, pieprzy mnie palcami w sposób, który sprawia, że tracę zdolność racjonalnego myślenia. Czuję doskonale, jak zgina palec, uderzając w mój najczulszy punkt. Kolejny jęk opuszcza moje usta absolutnie mimowolnie. Ale

nie powstrzymuję go. Po prostu poddaję się dotykowi Rydera.

Moja pierś podskakuje w zawrotnym tempie. Szarooki znowu mnie całuje, tym razem powoli, lekko i drapieźnie, czuję, że pozostawił na mojej dolnej wardze ślad swoich zębów. Moje centrum pulsuje w potrzebie, a ciało powoli odmawia posłuszeństwa, całkowicie zdając się na łaskę mężczyzny. Ryder przyspiesza swoje ruchy jeszcze bardziej. Zaciskam powieki. Przełykam resztki śliny w ustach i po dłuższej chwili dochodzę, szepcząc przy tym imię bruneta.

Ale nie mam zbyt wiele czasu, by pozbierać się po cholernie intensywnym orgazmie, bo Ryder siada na mnie okrakiem. Uśmiecham się i zagryzam wargę, gdy nachyla się nade mną i opiera ręce po obu stronach mojej głowy. Momentalnie przechodzą mnie ciarki.

– Jezu, Love. Nie patrz tak na mnie – prosi gardłowo, na co unoszę brew.

Nasze twarze dzielą ledwie milimetry.

– Jak? – udaję niewiniątko, nadal patrząc na niego spod długich rzęs.

Ryder bierze głęboki wdech nosem, a potem znowu zbliża swoje usta do moich. Kiedy myślę, że mnie pocałuje, on spoglądając mi prosto w oczy, odpiera szeptem:

– Tak, jakbyś chciała, żebym cię wziął. – Jego grafitowe tęczęwki ciemnieją.

O Boże.

Moje podbrzusze zalewa fala niekontrolowanego napięcia. Wzrok Rydera jest uważny, jestem w stanie doskonale poczuć bijące od niego opanowanie. I wiem, że wystarczyłoby zapewne tylko jedno moje słowo, by przestał. Sęk w tym, że nie chcę, by przestawał. Nie gdy tak cholernie pragnę, by nadal mnie dotykał.

– Po prostu weź, cokolwiek chcesz, Ryder. – W moim głosie nie pobrzmiewa choćby szczypta zawahania. Z dudniącym w piersi sercem kradnę mężczyźnie przelotny pocałunek. A on, nawet gdy po chwili podnosi się, wciąż siedząc na mnie okrakiem, szuka na mojej twarzy zawahania. Ale jego poszukiwania kończą się fiaskiem.

Dlatego Ryder sięga do szafki nocnej. Wyciąga z szuflady prezerwatywę i zsuwa z siebie dresy. Wypuszczam powoli powietrze, czując, jak po dłuższej chwili zwinnym szarpnięciem rozdziela moje nogi. Żołądek zawiązuje mi się w supeł przez oczekiwanie na jego następny ruch. Aż w końcu brunet wchodzi we mnie jednym długim i płynnym pchnięciem, dysząc mi przy tym ciężko w szyję.

Połykam tchnienie. Ryder porządnie rozciąga mnie swoim rozmiarem, przez co początkowo czuję lekki dyskomfort, ale ten szybko mija. Zaciskam palce w pięści. Ciemne włosy przylepiają mi się do pokrytych potem skroni, gdy mężczyzna zaczyna się we mnie poruszać – na początku powoli i leniwie, potem mocniej i dogłębniej. Jego usta błędzą po linii mojej szczęki. Każde muśnięcie jego warg na skórze wysyła po moim ciele błogi spokój.

Jęk opuszcza moje rozchylone wargi, gdy duża dłoń wdziera się pod materiał mojej koszulki i zamyka w sobie pierś. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że płonę, gdy Ryder smaga kciukiem mój sutek, jednocześnie wchodząc we mnie coraz żwawiej i swobodniej. Biorę kolejny łapczywy wdech. W uszach słyszę jedynie odgłos mokrych pocałunków składanych na mojej szyi i ocierających się o siebie ciała.

Moje knykcie bieleją w ekstremalnie szybkim tempie, gdy zaciskam mocniej pięści. Wiercę się coraz niespokojniej pod ciężarem Rydera, bo tempo, które dyktuje, staje się z każdą chwilą jeszcze szybsze. Czuję go doskonale. Czuję, jak wypełnia mnie aż po samą nasadę, jak kąsa moją skórę jeszcze żarliwiej i jak drażni palcami biust.

Orgazm wstrząsa moim ciałem po paru minutach. Poluźniam palce. Oddycham ciężko i drżę, gdy Ryder wchodzi we mnie jeszcze kilka razy, po czym sam szczytuje. Niesforny kosmyk opada mu na czoło, gdy znowu przybliża swoje usta do moich, by złożyć na nich czuły pocałunek. Uśmiecham się, obserwując spokojną twarz mężczyzny.

– Chyba rzeczywiście mogłabym budzić się tutaj częściej – mówię rozmarzona, a Ryder zwiesza głowę, kręcąc głową z politowaniem i uśmiechem na twarzy.

– Powinnaś – odpowiada szeptem mężczyzna.

A potem znowu mnie całuje, zanim wstaje.

– Zrobię śniadanie – stwierdza, puszczając mi oczko.

Kiwam głową w geście zgody i przymykam powieki. Jezu, nie wiem, czy pozbieram się po tym

poranku. Ryder zaserwował mi naprawdę miły początek dnia. Uśmiecham się jeszcze szerzej. Przez chwilę leżę nieruchomo w pościeli, dopóki nie słyszę, jak po sypialni mężczyzny rozbrzmiewa odgłos przychodzącej wiadomości. Zerkam na szafkę nocną. Leży na niej mój telefon. Sięgam po niego i podświetlam ekran.

Zamieram, gdy widzę treść SMS-a:

Rozczarowałaś mnie, złotko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY



RYDER

Poranki spędzone z Love Porter przypominają moment, w którym uświadamiasz sobie, że wygrałeś na pieprzonej loterii.

Po przełożeniu śniadania na talerze ruszam w stronę sypialni, gdzie zostawiłem tę paskudę. Gdy tylko dostrzegam ją zakopaną w pościeli, zakładam dłonie na biodra i kręcę głową z politowaniem.

– Nie wstajesz? – Unoszę brew.

– Nie. Daj mi jeszcze chwilkę.

Love opiera policzek na poduszce. Niesforny kosmyk włosów opada na jej twarz, kiedy tak patrzy na mnie z dołu ubrana w moją koszulkę i dresy. Wygląda komicznie, ale, cholera, jest coś seksownego w samej głupiej świadomości, że nosi moje ciuchy.

– A jak nie dam? – rzucam prowokująco.

– Dasz – odpiera uparcie, przymykając powieki.

Uśmiecham się delikatnie, a potem tak po prostu przybliżam się do niej tylko po to, by złapać ją za kostki i szarpnięciem ściągnąć do krawędzi łóżka. Love momentalnie otwiera oczy. Spomiędzy jej ust wypada krótki pisk, kiedy podnoszę ją i otaczam ciasno jej nogami swoje biodra, zaczynając prowadzić w stronę wyjścia z sypialni.

– Hej, kiedyś byłeś bardziej cierpliwy. – Porter wydyma niewinnie wargę, opierając obie dłonie na moich barkach i kreśląc paznokciami delikatne ślady po szyi.

– A ty znośna – odgryzam się.

– Ach, więc teraz mnie nie znosisz?

Mocniej ściskam jej uda, nie zaprzestając marszu przez korytarz.

– Chcesz przekonać się jak bardzo? – prychem kpiąco.

Love marszczy czoło.

– Chcę się wylegiwać w twoim ultrawygodnym łóżku, więc w tył zwrot, Callahan – mówi nieprzejęta.

Na jej rozkaz jedynie parskam śmiechem. Jest urocza. I naiwna, jeśli naprawdę sądzi, że przyłoży rękę do jej nieobecności albo spóźnienia na zajęcia.

– Próbuje dalej.

Oczy mojej szurniętej sąsiadki iskrzą nienawistnie, gdy wciąż się nie zatrzymuję. Cały czas idę przed siebie spokojnym tempem. Ale w pewnym momencie wyraz twarzy Love odrobinę łagodnieje. Zanim zdążę zastanowić się, co kombinuje, ona tak po prostu kąsa mnie żarliwie w szczękę. Sztywnieję, czując, jak krótkimi muśnięciami obsypuje moją żuchwę.

– Jeszcze. Możesz się. Wycofać – mówi to pomiędzy kolejnymi pocałunkami, testując moją cierpliwość.

– Love – rzucam ostrzegawczo, ale ona nie przestaje.

Z wiedzą, że zaraz zmięknę i za moment naprawdę odrzucę na dalszy plan zarówno swoją pracę, jak i jej studia, decyduję się na drastyczne rozwiązanie, które powinno ugasić w tej zołzie wszelkie nadzieje.

Otwieram drzwi na taras. Dopiero wtedy Porter odsuwa się nieznacznie, by zorientować się, co wyprawiam. Zanim jednak zdąży coś powiedzieć, wrzucam ją w pierwszą lepszą zaspę śniegu, wyrzuwając z jej piersi siarczyste przekleństwo.

– Ty dupku – wypłuwa zajadle, patrząc na mnie z dołu i przecierając oczy z zalegającego na rzęsach puchu.

– Przynajmniej się rozbudziłaś. – Wzruszam ramionami i jak gdyby nigdy nic wsuwam dłoń do kieszeni dresów. – Czekam w kuchni.

Po tych słowach odwracam się i z uniesionym kącikiem ust ruszam w kierunku tarasu. Słyszę za sobą jeszcze głośnie, pełne dezaprobaty warknięcie w chwili, w której przechodzę przez próg salonu. Nie mija minuta, a Love również wchodzi do środka, krzyżując ramiona na klatce piersiowej.

– Zimno mi – mruczy niepokieszona.

Upijam łyk kawy, wskazując sugestywnie na przejście do sypialni.

– Weź sobie bluzę – proponuję.

– Dobrze.

Love zagryza wargę i zanim zdążę zrozumieć, co tak właściwie wyprawia, naciąga materiał mojej czarnej bluzy, a potem tak po prostu udaje jej się pod nią wgramolić. Unoszę brew w zdziwieniu, gdy oplata drżącymi z zimna dłońmi mój pas, przywierając do mnie jak pieprzona pijawka. Rany, jest naprawdę blisko. A mi to wcale nie przeszkadza, bo gdy otwiera usta, czuję się jak szczęściarz:

– Już mi cieplej – stwierdza szeptem, wtulając się w mój tors. Śnieg, który wplątał się w jej długie włosy, powoli topnieje i spływa po mojej szyi.

– Na pewno? – wzdycham.

– Właściwie to nie. – Oczami wyobraźni widzę na jej twarzy uśmiech. – Ale jak przytulisz mnie mocniej, może nie zamarznę.

Wywracam z rozbawieniem oczami, posłusznie obejmując ją mocniej. *Świruska*, pry cham w duchu. *Moja porządnie szurnięta świruska. I ta jedyna dziewczyna, dla której straciłem głowę.*

Kiedy wracam do domu, jest już druga. Przechodząc korytarzem, dostrzegam w salonie bawiącą się z Gargamelem i Klakierem Porter, co wywołuje na mojej twarzy jedynie lekki, pełen pobłażania uśmiech. Mimo wszystko nie zatrzymuję się, myśląc jedynie o tym, jak okropnie trudna była pierwsza połowa tego dnia i jak bardzo potrzebuję złapać w końcu oddech.

Podchodzę do szafy i zaczynam odpinać guziki białej koszuli. W tym czasie wyłapuję w lustrze uważne spojrzenie nonszalancko opartej o framugę drzwi Love.

– Ugotowałam obiad – obwieszcza z dumą dziewczyna, przerywając ciszę.

Komentuję te wieści krótkim:

– O nie.

To nie miało prawa dobrze się skończyć. Love i kuchnia to złe połączenie. Bardzo, bardzo złe połączenie.

– Hm? – Porter unosi brew, mrużąc złowieszczo oczy. – Coś mówiłeś?

Zsuwam z ramion materiał koszuli i odrzucam go na łóżko. W odbiciu lustra cały czas krzyżuję spojrzenie z brunetką.

– Pięknie dziś wyglądasz – stwierdzam, ratując się od najbardziej niebezpiecznej broni kobiety – *pieprzonego focha*.

Love zakłada ręce pod biustem.

– Dziś? – docieka prowokująco.

– Zawsze. – Unoszę kącik ust.

Otwieram w tym samym czasie szafę, by zgarnąć z niej pierwszy z brzegu podkoszulek, ale nagle Love zjawia się tuż za mną. Czuję jej dłoń na łopatkach, zanim dziewczyna sunie nimi powoli w dół, aż do moich łędźwi, mówiąc przy tym:

– Jesteś strasznie spięty.

Jej palce są ciepłe i miękkie, gdy ich opuszki pozostawiają na mojej skórze delikatne, przyjemne mrowienie. Chłonę ten dotyk całym sobą.

– Uroki pracy za biurkiem – wzdycham.

– Wiem, co ci pomoże.

Ściągam brwi na ten znajomy ton głosu Porter. Tak bardzo zadowolony i jednocześnie tak strasznie tajemniczy.

– Chyba wolę nie wiedzieć, co kombinujesz – bąkam, kręcąc głową.

– Cii, kładź się – uciska mnie i popycha delikatnie na materac łóżka. Kiedy orientuje się, że wciąż nie jestem do końca przekonany, dodaje: – No przecież nic ci nie zrobię. Tylko masaż.

– Masaż – powtarzam za nią, jednocześnie posłusznie opadając na łóżko. Nie mija sekunda, a Love siada na mnie okracikiem i znowu sunie dłońmi wzdłuż moich pleców.

– Mhm. Rozluźnij się – rozkazuje.

Wypuszczam powolny oddech z płuc i podkładam wierzch dłoni pod brodę, wpatrując się w wezgi łóżka. Porter w tym czasie z niebywałą precyzją zaczyna pracować palcami mocniej, tak że doskonale czuję, jak każdy mój mięsień się rozluźnia. Jest jednocześnie delikatna i stanowcza, gdy tak wędruje dłońmi po całej długości moich pleców.

– Lepiej? – pyta ostrożnie po kilku minutach, które spędzamy w ciszy.

– Nie wierzę, że to mówię, ale jesteś w tym naprawdę dobra – przyznaję, bo spodziewałem się raczej, że zostaną połamany.

– Wiem. – Ton głosu Love jest zdecydowanie nieskromny. – Za ile jedziemy?

Od razu przypominam sobie o zaproszeniu, które otrzymaliśmy od Jane. Dzisiaj wieczorem odbędzie się bowiem wystawa jej obrazów w Denver i moja mama uznała, że nie może nas na niej zabraknąć. Zerkam kątem oka na zegarek oplatający mój nadgarstek, a potem odpowiadam:

– Za godzinę. Pasuje ci?

Love nie potrzebuje zbyt wiele czasu do namysłu.

– Jasne – zapewnia, a ja ściągam brwi, bo w pewnej sekundzie jej dłonie nie dotykają już moich pleców.

– Dlaczego przestałaś? – pytam z niezrozumieniem, wciąż wpatrując się w wezgi łóżka. Siedząca na mnie Love nie porusza się nawet o cal, ale czuję na nagich plecach ciężar jej spojrzenia.

– Dlaczego brzmisz tak pretensjonalnie? – odbija piłeczkę, ale wciąż nie wraca do przerwanej czynności.

Przejeżdżam językiem po wardze i przyznaję bez żadnych oporów:

– Bo lubię twój dotyk.

Oczami wyobraźni widzę, jak policzki Love stają się czerwone. Zazwyczaj, gdy ją komplementuję, pali buraka. Właściwie nie zazwyczaj, tylko zawsze, a to jest równie zabawne, co urocze.

– Zaraz się zapowietrzysz. – Unoszę kącik ust w uśmiechu. Jej niewinność i nieśmiałość to coś, co naprawdę w niej lubię.

– To przez ciebie.

Jej jęk wyraża jedynie zawstydzenie.

– Wdech i wydech, Porter – rzucam, a dziewczyna w tym samym momencie ponownie kładzie smukłe dłonie na moich plecach. Przesuwa nimi wzdłuż każdej krzywizny mięśni, przez co znowu czuję to samo rozluźnienie.

– Nie nabijaj się ze mnie – bąka.

– Nie śmiałym.

Porter wypuszcza ze świstem powietrze. Jej oddech smagający moją skórę pozostawia na niej krótki dreszcz.

– Naprawdę cię nie cierpię – wyznaje niepokieszona.

– A jednak jesteś blisko.

Włos jeży mi się na karku, gdy Love nachyla się delikatnie do przodu. Czuję długie muśnięcie ciepłych ust na łopatkę, zanim slysze cichy szept przy uchu:

– Bo bardziej, niż cię nie cierpię, uwielbiam mieć cię obok siebie.

– Jesteś pokręcona – wypalam, mając w głowie jedynie odurzający zapach jej perfum, odbierający dech dotyk i igrający z moim zdrowym rozsądkiem szeroki i czarujący uśmiech.

– A ty niby nie.

Wywracam z rozbawieniem oczami.

– Czy ty zawsze musisz mieć ostatnie słowo? – dociekam kpiącym tonem.

– Tylko wtedy, gdy dyskutuję z panem, panie Callahan. – Sposób, w jaki kończy swoją wypowiedź, przyprawia moje serce o przyśpieszony rytm.

Szlag by to. To naprawdę nedorzeczne. To, ile różnych emocji budzi we mnie ta paskuda. Zaczynając od irytacji, idąc przez prawdziwą, szczerą frustrację, a kończąc na... Cholera. Kończąc na wrażeniu, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, bo jest obok. Z nią wszystko jest tak przeraźliwie szalone. I lepsze. Zdecydowanie lepsze.

– Teraz wybaczone, muszę odstawić się na bóstwo – stwierdza po chwili Porter, wstając ze mnie niezgrabnie.

Przewracam się na plecy i podnoszę, by skrzyżować z nią spojrzenie. W brązowych oczach czai się wesoła iskra.

– Więc na co czekasz? – pytam, gdy Love przez kilkanaście kolejnych sekund po prostu siedzi nieruchomo, jakby na coś czekała.

Aż w końcu wzrusza ramionami, tłumacząc:

– Na zapłatę za moje usługi.

Marszczę czoło z pobłażaniem, cały czas obserwując, jak sugestywnie składa usta w dzióbek.

– A jeśli ci jej nie dam? – droczę się z nią, chociaż sama myśl o zwykłym, głupim pocałunku z Porter jest naprawdę... kusząca.

– Wtedy pomyślę, że jesteś nieuczciwy. – Love wydyma niewinnie wargę.

– O nie, tylko nie to. – Udaję przejętego.

Moja sąsiadka uśmiecha się zwycięsko.

– Więc? – ponagla mnie.

Nie odpowiadam. Po prostu przybliżam się do Porter, chwytam w dwa palce jej żuchwę i przyciskam mocno swoje usta do warg dziewczyny wygiętych w bardzo szerokim uśmiechu. Ten pocałunek nie jest długi ani leniwy. Jest szybki i wystarczający, bo gdy tylko odrywam się od Love, ona wydaje się nim usatysfakcjonowana, mrużąc z zadowoleniem prosto w moje rozchylone usta.

– Masz godzinę – przypominam i patrzę, jak brunetka wstaje na równe nogi z zaróżowiałymi policzkami oraz roztrzepanymi włosami.

– Dam radę.

Uśmiecham się drwiąco.

– Oboje wiemy, że nie.

Love w odpowiedzi jedynie sznuruje usta, odwraca się na pięcie i rusza w stronę wyjścia z sypialni. Zanim przechodzi przez jej próg, pokazuje mi środkowy palec, podśpiewując krótkie:

– Pieprz się.

Uśmiecham się jeszcze szerzej. Ta dziewczyna to wulkan energii. I sam się sobie dziwię, że w żadnym wypadku mi to nie przeszkadza. Zanim się pojawiła, byłem fanem swojego spokoju. A gdy wtargnęła do mojego życia... polubiłem ten bałagan, który do niego wniosła. I nie chciałem już nigdy więcej, żeby go ze sobą zabierała.

Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że pewnego dnia odnajdę w pustych ścianach jedynie ciszę i swój stary spokój.

– Pan Callahan?

Wytracony z letargu, unoszę wzrok ponad ekran telefonu. Kiedy tylko dostrzegam stojącą przed sobą Love, chowam komórkę do kieszeni płaszcza i odbijam się od drzwi range rovera, by móc przyjrzeć jej się uważniej.

O cholera.

– We własnej osobie – potwierdzam, kontynuując tę dziwną, rozpoczętą przez nią szczeniacką grę.

Dziewczyna patrzy na mnie spod pomalowanych rzęs, wyglądając przy tym jak pieprzona bogini. Granatowa sukienka z lekkim dekoltem idealnie opina jej zgrabne ciało. Leży na niej niczym druga skóra, a ja nie mogę oderwać wzroku od widoku, który sprawia, że robi mi się odrobinę cieplej. Po prostu gapię

się na Porter, gdy narzuca na siebie płaszcz, uśmiechając się przy tym perliście.

– Chyba byliśmy umówieni – dodaje flirtując, odrzucając za plecy swoje długie, czarne włosy.

– Chyba tak. – Potwierdzam skinieniem głowy, a potem obchodzę samochód, by otworzyć jej szarmancko drzwi. – Zapraszam.

Jej usta wykrzywiają się w jeszcze szerszym uśmiechu, gdy korzysta z zaproszenia i usadawia się na miejscu pasażera.

– Jak zwykle szarmancki – komentuje z zadowoleniem.

– Jak zwykle tylko dla ciebie – rzucam w odpowiedzi, unosząc kącik ust.

Nie mija kilkanaście sekund, a sam zasiadam na fotelu kierowcy. Ostatni raz omiatam wzrokiem podwórko, zanim odpalam silnik i wyjeżdżam z podjazdu, by po chwili znaleźć się na zaśnieżonych ulicach Aspen, które skapane jest w lekkiej mgłę. Wieczór jest dzisiaj wyjątkowo zimny.

– Będziemy na czas? – zagaja Love, dobierając się do radia, z którego wydobywa się przypadkowa piosenka.

Na jej pytanie jedynie wzruszam niedbale ramionami, cały czas wpatrując się w jezdnię.

– Nawet jeśli nie, nikt się nie obrazi – odpieram z wręcz namacalnym przekonaniem.

Mimo że nawet nie zerkam przelotnie na swoją pasażerkę, czuję, że obserwuje mnie spod przymrużonych powiek. To przecucie okazuje się trafne, bo kiedy tylko zatrzymuję się na czerwonym świetle i spoglądam mimochodem na Love, ona rzeczywiście wygląda, jakby miała zamiar wybić mi tę myśl z głowy.

– Nawet tak nie mów. To wystawa twojej mamy, musimy tam dotrzeć punktualnie – protestuje.

Opieram rękę na drzwiach samochodu, marszcząc brwi z jawnym niezrozumieniem.

– Przecież nie zgarnę bury od... – zaczynam, ale nie jest mi dane dokończyć.

– Nie chodzi o ciebie, to ja mam zrobić dobre wrażenie, Ryder – przerywa mi Porter, zanim przenosi spojrzenie na deskę rozdzielczą i znajdujący się na niej zegar elektroniczny. Na widok późnej pory zagryza nerwowo wargę.

Wzdycham i wciskam gaz, dostrzegając, że światło zdążyło już zmienić się na zielone.

– To urocze, że się tak starasz, ale nie musisz. Jane już cię wielbi. – Uśmiecham się, bo cóż. Moja rodzina naprawdę wielbi przekłętą Love Porter. I nie mam zielonego pojęcia, co jest tego powodem.

– Tak sądzisz? – dopytuje brunetka.

Kiwam głową.

– Jestem tego pewien.

Moja sąsiadka najwyraźniej nie wydaje się przekonana co do prawdziwości moich słów, bo draży temat:

– Ale wielbi tak bardzo, jak wielbisz mnie ty, czy...

Marszczę czoło, trawiąc przez krótką chwilę w duchu sens jej słów. Po niecałej minucie krzyżuję na moment spojrzenie z uśmiechniętą dziewczyną.

– Nie dopowiadaj sobie – pryham.

Love unosi ręce w obronnym geście.

– Okej, już siedzę cicho. – W jej oczach nadal czai się błysk rozbawienia. Cisza w samochodzie nie trwa jednak długo, bo zespół, którego piosenka wygrywana jest w radiu, zyskuje akompaniament pewnej irytującej dziewczyny.

Spoglądam kątem oka, by zorientować się, do jakiego utworu błazni się Love. No tak. *Sweater Weather*.

– Miałaś siedzieć cicho – zauważam słusznie, aczkolwiek bezpretensjonalnie.

– Lubię tę piosenkę.

– Lubisz ją tak bardzo, jak lubisz mnie, czy...

Love przewraca oczami.

– Nie dopowiadaj sobie – naśladuje mnie i odwraca się w stronę szyby, starając ukryć szeroki uśmiech.

Również się uśmiecham. A potem tak po prostu pogląsniam radio i dociskam gaz, mając w głowie myśl, że to będzie całkiem przyjemny wieczór.

Na miejsce docieramy odrobinę spóźnieni, przez co zgarniam burę od zdenerwowanej Love. Doza pretensji jednak szybko z niej wyparowuje, gdy tylko wysiadamy z samochodu zaparkowanego nieopodal nowoczesnego budynku.

– O cholera. To tutaj? – pyta zdziwiona.

Kiwam głową i chowam kluczyki do auta w kieszeni płaszcza. Potem swobodnie opieram dłoń na dolnej partii pleców swojej towarzyszki, delikatnie ją poganiając.

– Mhm. Chodź, bo zmarzniesz – odpieram, patrząc sugestywnie na duże dwuskrzydłowe drzwi, przez które przechodzi coraz to więcej gości zaproszonych na wystawę dzieł Jane.

– Wow, ile ludzi... – mówi Love, gdy tylko wchodzimy do środka. Otaczają nas prawdziwe tłumy. Wszyscy jak zwykle są ubrani elegancko i mają przyklejone do twarzy sztuczne uśmiechy.

Pewne rzeczy się nie zmieniają, myślę.

– Nie musimy siedzieć tu do końca – zaznaczam, mając świadomość, że większość i tak zawinie się stąd wcześniej.

Porter rozgląda się wokoło. Wydaje się równie podekscytowana, jak odrobinę przytłoczona tymi sztucznymi lampami, jasnymi wnętrzami i tłumem ludzi, przez który przeciskamy się w drodze do długich, ogromnych schodów prowadzących na piętro. Gdzie nie spojrzę, tam widzę przywieszane do ścian obrazy namalowane przez Jane. Jako dość rozpoznawalna artystka nie może narzekać na brak zainteresowania swoimi pracami.

– Wiedziałaś, że ona tutaj będzie? – Z letargu wyrywa mnie pytanie zadane przez Love. Spoglądam na nią zupełnie zbity z tropu.

– Kto? – Ściągam brwi.

– Polly.

– Kim jest... – zaczynam, ale szybko doznaję olśnienia. *No tak. Polly.* – Och, nie.

W tej samej chwili ją zauważam. Stoi w niewielkiej grupie gości i rozgląda się po wnętrzu budynku, jakby kogoś szukała. Od razu zaczynam prowadzić Porter w przeciwnym kierunku. Zanim jednak zdążę zrobić trzy kroki, słyszę za plecami znajomy głos:

– Love, Ryder. Jak miło was widzieć – stwierdza wesoło Jane, gdy ja i moja sąsiadka odwracamy głowy. – Razem – podkreśla kobieta, na co posyłam jej znaczące spojrzenie.

– Szybko nas wyhaczyłaś – mówię, chociaż doskonale wiem, że najpewniej po prostu na nas czekała. Odkąd dowiedziała się, że przyjedziemy, podobno siedziała tutaj jak na szpilkach. Tak przynajmniej powiedział mi ojciec.

– Ma się to oko. – Jane wachluje się teatralnym gestem, a potem koncentruje uwagę wokół nieco speszzonej Love: – Jak wam się podoba?

Dziewczyna wzdycha z rozmarzeniem.

– Jest pięknie – odpowiada, a mama w jednej sekundzie podchodzi do mnie bliżej, jakbyśmy bawili się w jakąś dziecinną konspirację.

– Trzymaj ją blisko, bo przyciąga spojrzenia bardziej niż moje bohomyzy – stwierdza cicho, ale nie na tyle, by Love nie mogła tego usłyszeć.

– Z pewnością – przytakuję, nawet nie zerkając na Porter, która zaczyna delikatnie się wiercić, gdy mocniej przyciągam ją do siebie.

Ktoś się tutaj zawstydził.

– Zostaniecie u nas? – zagaja mama.

– Nie, Love ma jutro zajęcia na uczelni – przypominam sobie, ale nawet odmowa nie sprawia, że zadowolenie znika z rozweselonej twarzy Jane.

– Ach, jasne. W takim razie bawcie się dobrze – życzy nam na odchodne, po czym znika gdzieś w tłumie gości.

Nie czekając na to, aż znowu ktoś nas wyhaczy, ruszam w kierunku schodów. Na piętrze powinno być odrobinę mniej zgiełku i szumu. Właściwie, gdy tylko tam docieramy, orientuję się, że rzeczywiście tak jest.

– Wzięłaś sobie do serca radę Jane – mruczy cicho Love, więc zerkam na nią kątem oka. Żar rozlewa się gdzieś blisko mojego serca, kiedy widzę na jej twarzy lekki uśmiešek w chwili, gdy tak zwyczajnie opiera głowę na moim ramieniu.

– Miała rację. Przykuwasz uwagę – wzdycham, mając w głowie te wszystkie pary oczu zwrócone ku Love.

– Bo jestem tutaj z tobą – protestuje dziewczyna.

Mocniej oplatom ręką jej talię, nie dając jej nawet najmniejszej szansy na to, by znalazła się dalej, niżbym tego chciał. A ona nic nie mówi. Jedynie spuszcza speszona głowę, słysząc mój głos przesiąknięty przekonaniem:

– Bo wyglądasz pięknie, Love.

Na moment pomiędzy nami nastaje cisza. Ale nie jest ona niekomfortowa, kiedy tak zwyczajnie idziemy przed siebie i oglądamy jakieś obrazy. Cóż, szybko nawiedza mnie myśl, że z Porter mogę nawet oglądać dziwne bohomy, a i tak uznam to za miło spędzony czas.

– Ona naprawdę ma talent – stwierdza nagle moja rozmówczyni. Wydaje się szczerze zaangażowana w podziwianie wystawy.

– Ma fioła na punkcie malowania. Gdy tylko najdzie ją wena, zamyka się w swojej pracowni i spędza tam godziny – mówię i jestem przy tym zupełnie szczerzy.

– Prawdziwa artystka.

– To na pewno.

Przez następne minuty koncentrujemy uwagę wokół prac Jane, dopóki nagle nie słyszymy, jak zza naszych pleców dobiega znajomy piskliwy głos:

– Ryder!

Udaję, że nie wiem, do kogo on należy.

Cholera. Wszystko, tylko nie to.

– Ktoś cię woła... – informuje mnie Porter, zapewne mając w głowie zaczepkę, że na starość mój słuch zaczął już szwankować. Cóż, naprawdę lubiła nabijać się z tego, ile mam lat. Może na początku temat tej różnicy wieku, która nas dzieli, wydawał się niezręczny, ale teraz oboje uznajemy go za zabawny.

– Nie słyszę – bąkam.

– Ryder! – Krzywię się, gdy tajemnicza osoba nie daje za wygraną.

– To Polly... – wzdycha Love, delikatnie odwracając głowę przez ramię.

– Hm? – Nadal palę głupa.

– Ona tu idzie – szepcze konspiracyjnie Porter wprost do mojego ucha.

– Spław ją – proponuję.

Love mruży oczy.

– Dlaczego ja?

– Bo ja nie wiem, na ile mogę sobie pozwolić. – Wzruszam ramionami, sprzedając dziewczynie prawdę. I przy okazji wymówkę.

– A ja? Na ile mogę sobie pozwolić? – kontruje zaciekawiona Porter, przyglądając mi się przy tym bacznie, jakby przynajmniej chciała przeszyć mnie tym wzrokiem na wskroś.

Nawet nie waham się nad odpowiedzią:

– Możesz pozwolić sobie na wszystko, Love. – Odwzajemniam jej spojrzenie, wzmacniając uścisk na kobiecej talii.

Love bierze głębszy wdech.

– W porządku – odpiera zadowolona.

Przystajemy w miejscu tak prędko, jak dobiega do nas Polly. Jest zziębnięta, ma zaczerwienione policzki, ale szybko odnajduję w głowie myśl, że nie wygląda z rumieńcami tak uroczo, jak Porter. Tak uroczo i tak, jakby była ostatnią sierotą z tą swoją nieśmiałością, niezdarnością i niewinnością.

– Wołałam cię – wzdycha dziewczyna, ale zanim zdążę otworzyć usta i jakoś się obronić, odzywa się Love:

– Ryder jest bardzo taktowny i zwraca uwagę tylko na swoje towarzystwo. – Uśmiech mojej

towarzyszki jest naprawdę szeroki. I piękny.

Polly rozdziawia usta, patrząc najpierw na usatysfakcjonowaną Love, a potem na mnie. Robi to tak, jakby chciała usłyszeć, że to wszystko jest jakimś niesmiesznym żartem i stojącą obok mnie Porter wcale nie jest moim dzisiejszym towarzysztem.

Cóż. Chyba jednak jest.

– Przyszliście tutaj razem? – wykrztusza z siebie z niemałym trudem.

Love za to kiwa głową i opiera policzek na mojej piersi. Momentalnie robi mi się odrobinę cieplej. Uwielbiam, gdy to robi. Mogłaby robić tak w nieskończoność, a ja nie miałbym dość.

– Właściwie to nasza randka – wyznaje bez ceregieli moja towarzyszka.

– Randka? – Głos Polly w jednej sekundzie staje się aż przesadnie piskliwy. Jej oczy przypominają spodki, a usta mimowolnie się rozchylają.

Zerkam na Love, która... Jezu, szczyrzy się jak głupi do sera. Ale to ładny widok, przez który sam unoszę kącik ust.

Jesteśmy dziecinni, stwierdzam w duchu.

– Udana randka – potwierdza ta wyrachowana zołza, patrząc na mnie spod tych piekielnie długich rzęs.

Bestia. Love Porter to pieprzona bestia.

– Nie wyobrażasz sobie za dużo? – wypluwa jadowicie Polly, mierząc nas nieprzyjemnym spojrzeniem.

– A ty nie wypytyjesz o zbyt dużo? – odgryza się brunetka. – Zresztą... to chyba normalne, że ludzie w związkach chodzą na randki, prawda? – dokańcza z pewną wyższością, składając niewinnie usta w dzióbek.

Polly ją zaraz zabije.

– Bzdura. Kłamiesz. – West zapowietrza się, a jej knykcie momentalnie bieleją, gdy zaciska palce w pięści.

– Możemy obejrzyć jeszcze wystawę na najwyższym piętrze? – pyta mnie Porter, całkowicie ignorując oskarżenia stojącej naprzeciwko dziewczyny.

Kiwam głową, odpowiadając jej krótkim:

– Co tylko zechcesz, Love.

Moja „dziewczyna” jedynie wydyma niewinnie wargę, odrzuca długie włosy za plecy i ciągnie mnie w stronę kolejnych schodów znajdujących się na końcu korytarza. Rany, naprawdę wiele wysiłku wkładam w to, by nie wybuchnąć śmiechem na tę wersję tej szurniętej dziewczyny.

– Miłego wieczoru, Polly – rzuca na koniec Love, a potem, gdy już znajdujemy się daleko od West, przybliżyła się do mojego ucha i stwierdza szeptem: – Nie tylko ty musisz znaczyć swój teren.

Kiedy wypowiada te słowa, na jej twarzy znowu gości uśmiech. Zupełnie tak, jak na mojej, kiedy przez następne godziny po prostu rozmawiamy o wszystkim i o niczym.

Kiedy wracamy do Aspen, jest już noc. Śnieg sypie z nieba lawinowo, tworząc kolejne zaspę na podwórku i prawdopodobnie pretendując do bycia wrogiem numer jeden Porter, która w swoich ultrawysokich obcasach omal nie zalicza gleby, gdy wysiada z samochodu. Patrząc na nią z politowaniem, kiedy podchodzi do mnie powolnym krokiem i z delikatnym uśmiechem.

– Dzięki za ten wieczór. Naprawdę dobrze się bawiłam – stwierdza szczerze.

– Cieszę się. – Kiwam głową, uważnie obserwując, jak brunetka spuszcza wzrok na śnieg.

– Więc... dobranoc. – Wypuszcza powolny oddech, odwracając się na pięcie. Przez krótką chwilę stoi tak nieruchomo, jakby czekała na moją odpowiedź.

Po chwili ją otrzymuje:

– Śpij dobrze, Love – odpieram gardłowo.

I naprawdę się tego nie spodziewam. Porter nagle odwraca się, robi dwa kroki w moją stronę, obejmuje drżącymi dłońmi moje policzki, a potem przyciska swoje usta do moich. Całuje mnie krótko, ale bardzo zachłannie. A potem tak po prostu odsuwa się powoli, by spojrzeć mi prosto w oczy.

– Teraz będę spać trochę lepiej – stwierdza zawstydzona, zanim macha mi na pożegnanie, i tym razem już bez podobnych ekscesów rusza w stronę swoich drzwi.

Odprowadzam ją wzrokiem, cały czas czując na ustach smak jej warg. Dopiero gdy upewniam się, że znalazła się już bezpiecznie u siebie w domu, otwieram drzwi od strony kierowcy i wyciągam kluczyki ze stacyjki. Przy okazji zauważam na fotelu pasażera niewielką błyskotkę mieniającą się w świetle latarni znajdującej się na ulicy. Chwytam ją w dłoń i od razu orientuję się, że to kolczyk Love. Z westchnieniem prostuję się, blokuję pilotem drzwi samochodu i stwierdzam, że powinienem jej to zwrócić.

Trzymając w dłoni srebrny kolczyk, kieruję się w stronę drzwi Porter. Marszczę czoło, gdy nikt mi nie odpowiada, mimo że pukam w nie parokrotnie. Wiedziony myślą, że moja sąsiadka jest zwyczajnie zajęta, po prostu naciskam na klamkę, a ta ustępuje. Wchodzę do środka i od razu zauważam, że w domu panują ciemności. Zamykam drzwi. Ruszam powolnym krokiem przez korytarz, rozglądając się czujnie. W pierwszej chwili słyszę jedynie ciszę, wszechobecną i głuchą. W drugiej zaś... cóż. Słyszę szept, który sprawia, że moje serce przestaje na moment bić:

– Proszę, daj mi w końcu spokój.

Przerażona. Love jest tak bardzo przerażona, gdy stoi w zaciemnionej kuchni, odwrócona do mnie plecami. Światło księżycy opada na jej bladą skórę, a lekki wiatr wpuszczony do pomieszczenia rozwiewa długie, czarne włosy. Przystaję w miejscu. Opieram się o jedną ze ścian i ukryty w mroku obserwuję ją uważnie.

– Nie pisz, nie dzwoń. Po prostu... pozwól mi odejść, tak jak pozwoliłeś odejść mi wtedy, Aaron.

– Love przeciera dłonią zmęczoną twarz.

A ja mocniej ściskam w dłoni kolczyk, gdy do moich uszu dobiega znajome imię. To z nim rozmawia. Z chłopakiem, który ją zniszczył. Ta wiedza smakuje gorzko.

Bardzo gorzko.

– Kiedy? – Jej smutny ton odbija się od ścian domu. – Może jakiś czas po tym, jak sprawiłeś, że mój świat się zawalił? Nie pamiętasz już tego, co mi zrobiłeś?

Love wypuszcza drżący oddech pomiędzy warg. Wplata jedną dłoń we włosy, a następnie ciągnie za nie bezradnie.

– Nie masz prawa mnie za to obwiniać. – Już niemalże płacze. – Nie mów tak. Proszę, nie mów tak...

W przeciągu jednej sekundy czuję, jakby ogarnął mnie dziwny letarg. Może i powinienem wyjść. Może powinienem to zrobić, ale nie mogę. Nie mogę zmusić kończyn do ruchu.

– To nie była moja wina. Nie zrobiłam nic złego – powtarza jak mantrę, popadając w dziwny trans i szaleństwo. – Aaron, przestań! To ty... to przez ciebie... Przez ciebie *nie żyje*. Nie ja jestem *mordercą*. Nie oskarżaj mnie. Nie rób tego. Przestań, proszę cię, przestań już to powtarzać.

Otwieram szerzej oczy. Prostuję się, a brunetka w tym samym momencie odwraca się w moim kierunku.

Love rozchyła usta. Telefon wypada jej z dłoni, gdy stoi tak i patrzy na mnie ze zdumieniem pomieszany ze smutkiem. Wiem, z kim rozmawiała. I domyślam się, że łzy, które błyszczą w jej oczach, tej nocy znajdują swoje ujście. Patrzymy na siebie w milczeniu przez następne minuty, dopóki Love nie pociąga nosem. Dopóki nie wykrztusza z siebie szepanego pytania, pełnego bólu i wstydu:

– Ile słyszałeś? – Jej głos nieznacznie się łamie.

Uśmiecham się smutno i kręcąc głową, spuszczam wzrok na ciemne panele.

– Wszystko, Love.

Słyszałem wszystko.

– Więc znasz prawdę. – Dziewczyna oplata drżącymi dłońmi smukłe ramiona. Patrzy na mnie przerażona, zupełnie tak, jakby czuła, że po tym wszystkim nastął moment, w którym powiem, że nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

Jakby czuła, że właśnie teraz, kiedy stoimy nieruchomo w zaciemnionym korytarzu, pośród ciszy i chłodu nocy, dobrnęliśmy do końca. *Do końca czegoś, co było naprawdę wyjątkowe.*

Bo było. Przez cały ten czas.

- Chcę usłyszeć ją od ciebie – mówię cicho. – Twój ostatni sekret, Love.
- Nie spojrzysz na mnie już nigdy tak jak kiedyś. – W jej oczach gromadzi się jeszcze więcej łez.

I ten widok rozdziera mi serce.

Przymykam powieki, ale szybko je uchylam. Czuję, jak bardzo odrętwiałe są moje wszystkie mięśnie. Nie poruszam się nawet o cal. Po prostu obserwuję Love, mając w głowie jedynie bałagan.

- Nie mów tak. – Kręcę głową.

– Ale ja to wiem, Ryder – odpiera żałośnie cichym szeptem. – Wiem, że coś się zmieni. Coś zmieni się... pomiędzy nami.

I nagle wzbiera we mnie protest, którego nie trzymam na uwięzi. Po prostu w kilkunastu krokach podchodzę do stojącej w ciemnym kącie kuchni dziewczyny. Obejmuję gwałtownie dłońmi jej policzki. Robię to mocno oraz pewnie. Nasze twarze dzielą ledwie centymetry, gdy nachylając się nad Love, wyznaję jej prosto w rozchylone usta prawdę:

– Nie spojrzę na ciebie inaczej, Love. A wiesz dlaczego? – Głaszczę kciukiem jej skroń, czując pod palcami łzy kreślące drogę po bladej skórze.

- Dlaczego?

Uśmiecham się smutno, patrząc jej prosto w oczy. W te duże, przerażone i moje ulubione oczy. A potem tak po prostu stykam nasze czoła.

– Bo gdy jesteś w kimś tak cholernie mocno zakochany, zawsze patrzysz na niego w ten sam sposób.

Love zastyga w bezruchu. Zupełnie tak, jakby ktoś ją zaczarował. Jej powieki są zamknięte, ale spod nich wypływa coraz więcej rzewnych łez. Ciepło rozlewa się w okolicach mojego serca, kiedy czuję dwie drobne dłonie przesuwane się wzdłuż mojego brzucha aż do torsu. Brunetka pociąga nosem, a potem zaciska palce na materiale mojej czarnej koszuli. Jak gdyby chciała się upewnić, że jestem prawdziwy. Że to nie żaden sen.

Ale to nie sen.

To tylko prawda o tym, co do niej czuję.

– A przeszłość przestaje mieć znaczenie, bo liczy się tu i teraz. I to, jak obojgu nam zależy – dodaję ciszej, zsuwając dłonie z wilgotnych policzków. Wszystko po to, by ułożyć je na biodrach Love. By przyciągnąć ją do siebie mocniej i schować w swoich ramionach.

- Ryder...

Opieram brodę gdzieś na jej włosach i pozwalam jej na płacz. Na gorzki, intensywny płacz.

- Tak? – dopytuję łagodnie.

– Bardzo, bardzo mi zależy. I nie chcę cię stracić. Za nic w świecie nie chcę cię stracić... – Love przełyka własne łzy.

Milczę, wsłuchując się w ciszę. Jest coś smutnego w każdej upływającej sekundzie, gdy trwamy tak nieruchomo, pogrążeni w melancholii spowijającej ściany domu. Przejeżdżam językiem po wardze. Trawię chwilę w duchu sens jej słów. Ale zanim zdążę odpowiedzieć, słyszę cichy szept:

- Nie chcę już dłużej nikogo tracić.

Biorę krótki wdech nosem.

- Love? – pytam cicho.

– Powiem ci wszystko. I zrobię to teraz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY



LOVE

Przymykam ciężące mi powieki, starając się uspokoić drżenie nóg i dłoni. Nie mogę pozbyć się tego nieodpartego wrażenia, że za moment wybuchnę od tego całego natłoku myśli oraz bałaganu, którego lokum stałam się w dniu, w którym moje życie się zmieniło.

Biorę głębszy wdech. Otwieram oczy i opieram przedramiona na zimnej powierzchni stołu. Otacza mnie jedynie niezachwiana cisza, która napędza siedzący we mnie niepokój. Co jakiś czas przedzierają się przez nią tylko kroki służby krzątającej się po rezydencji mojego ukochanego. Gosposia i sprzątaczkę uwijają się jak mrówki z wiedzą, że w posiadłości państwa Chatfieldów wszystko musi chodzić jak w zegarku.

No właśnie. Jak w zegarku. Instynktownie zerkam w jego kierunku. Duży, wiszący na jednej ze ścian przedmiot wskazuje godzinę czwartą. Aaron zaraz powinien wrócić. Wrócić z planem, który miał ułożyć po tym, jak dowiedział się, że... zostanie ojcem.

Znowu przechodzi mnie ten zimny dreszcz. Nie wiem, jakim cudem wpadliśmy. Przecież zawsze byliśmy przygotowani. Zawsze o wszystkim pamiętaliśmy. A jednak, gdy tylko te wszystkie beznadziejne testy potwierdziły, że zostaniemy rodzicami, wszystko się skomplikowało. Przecież mam tylko siedemnaście lat. Nie wiem, jak zareagują na to rodzice. Zapewne będą wściekli. Zwłaszcza ojciec. Liczę, że Aaron coś wykombinuje. W końcu podobno tylko po to wybrał się na dłuższy spacer. By to przemyśleć. By zastanowić się nad jakąś strategią, jak to wszystko rozegrać.

Boże, to nie tak miało wyglądać. Nie miałam zachodzić w ciążę w tym wieku. Miałam myśleć o studiach i marzeniach, nie o tym, czego potrzebuje małe dziecko. A jednak stało się. I wiem, że nie ma już co płakać nad rozlanym mlekiem. Jedyne, co mogę zrobić, to spróbować być najlepszą mamą dla tej małej iskiereki.

Pocieram niemiłosiernie pulsujące skronie. Chciałabym, żeby Aaron już wrócił. Tak bardzo go potrzebuję. Potrzebuję, by mnie przytulił i zapewnił, że jakoś sobie z tym poradzimy. Bo wiem, że poradzimy. Będziemy musieli wprowadzić odrobinę zmian w naszej codzienności, ale poradzimy. W końcu jesteśmy w tym razem. *Love i Aaron. Aaron i Love.*

Wypuszczam powolny oddech z płuc. W tym samym momencie słyszę trzask drzwi wejściowych roznoszący się echem po ogromnej rezydencji. Odwracam mozolnie głowę. Pośród jasnych ścian, mosiężnych ozdób i cedrowych mebli dostrzegam jego. Chłopaka, który zawrócił mi w głowie. Chłopaka, który chociaż popełniał głupstwa, skradł moje serce w całości. Pociągamy krótko nosem i uśmiecham się delikatnie, mówiąc cicho:

– Dobrze, że już jesteś.

Aaron wzdycha. Odrzuca na komodę swój długi, elegancki płaszcz. Przeciera dłonią zmęczoną twarz, a potem podchodzi do mnie powoli i kładzie swoje duże dłonie na moich ramionach.

– Jestem. Mówiłem, że cię z tym nie zostawię i znajdę jakieś rozwiązanie – odpiera czule, całując mnie delikatnie w skroń. Przymykam powieki, zatracając się kompletnie w tej pieśczoce.

W mojej piersi kielkuje wzruszenie. Bo Aaron nie był taki zawsze. Dopiero kiedy dowiedział się, że niedługo zostanie ojcem, stał się bardziej... troskliwy. Ludzki i opiekuńczy. Zaczął o mnie dbać i przestał mówić te wszystkie okropne rzeczy, przez które czułam się jak bezwartościowy śmieć. Zupełnie tak, jakby ta jedna wizja całkiem go zmieniła. Ta, że pewnego dnia na świecie pojawi się nasz mały szkrab.

– Naprawdę cię potrzebuję – wyznaję, ale szybko się poprawiam: – My cię potrzebujemy.

Aaron składa kolejne muśnięcie ust, tym razem na moim policzku. Czuję na skórze delikatne

mrowienie, kiedy się na to zdobywa.

I gdybym tylko dojrzała w jego uśmiechu to niepokojące zadowolenie, może teraz wszystko wyglądałoby inaczej.

– Wiem, Love. Dlatego postaram się mieć głowę na karku. Zadbaj o ciebie. Zadbaj o naszego syna lub córkę. – Jego głos jest zachrypnięty. Sprawia, że robi mi się odrobinę cieplej. – Jesteś strasznie blada, kochanie. Może poproszę służbę, by przygotowała coś do jedzenia? W końcu teraz musisz jeść za dwoje... – proponuje Aaron.

Przechylałam delikatnie głowę, by na niego spojrzeć. Ma takie ładne szare oczy. Przepadłam w nich już tyle razy. Serce ściska mi się boleśnie w piersi, bo myśl, że Aaron zmienia się pod wpływem świadomości, że zostanie tatą, jest rozbijająca.

– Nie, nie jestem głodna. Mógłbyś poprosić tylko o szklankę wody? Trochę kręci mi się w głowie, ale to podobno normalne... – Unoszę lekko kącik ust.

Aaron kiwa głową. Patrzy na mnie z uwielbieniem. Z troską, której tak dawno nie widziałam w jego spojrzeniu.

– Przyniosę ci ją. A ty siedź i nie próbuj się przemęczać. – Chłopak w akcie żartu grozi mi palcem, na co uśmiecham się szerzej.

– W porządku – zgadzam się.

Młody mężczyzna wychodzi, zostawiając mnie w ogromnym pomieszczeniu zupełnie samą. Zagryzam wargę, wciąż czując ciepło jego skóry na policzku i skroni. Nie spodziewałam się, że dostanę od niego tyle wsparcia. A jednak... jednak się myliłam. Aaron się zmienia. Mój Aaron się zmienia i robi to dla mnie.

Rany, jestem taką szczęściarą.

Mój ukochany wraca po kilku minutach. Kładzie na stole szklankę z wodą, którą z wdzięcznością przyjmuję, i upijam z niej kilka łyków wody. Jestem spragniona. Bardzo spragniona, więc opróżniam szkło, cały czas czując na sobie czujne spojrzenie Aarona.

– Powiedziałeś, że znalazłeś rozwiązanie – zagajam nagle, odkładając szklankę na twardą powierzchnię.

Brunet kiwa głową, siadając na jednym z krzeseł. Robi to z ociąganiem. Wszystkie jego ruchy i gesty są powolne. Spojrzenie, którym mnie obdarza, nagle staje się nieco mniej czytelne. A uśmiech, och. Nieco bardziej szeroki.

– Więc co z rodzicami? Jak im powiemy? Będą na nas źli – wzdycham, spuszczać wzrok na swoje paznokcie.

Tak, zdecydowanie oberwie nam się za to, co się stało. W końcu jesteśmy tacy młodzi. Ja jeszcze nawet nie skończyłam szkoły. Nasi rodzice nie mają prawa cieszyć się z faktu, że za niedługo zostaną dziadkami.

– Nie będą, Love – zapewnia mnie miękким głosem Aaron. – Zadbam o to.

– Nie jesteś cudotwórcą. – Uśmiecham się smutno.

– Ale lubię... mieć nad wszystkim kontrolę. – Chłopak przejeżdża językiem po wardze, jakby się nad czymś zastanawiał. Ta jego tajemniczość nieco mnie dziwi, ale nie podejrzewam, że kryje się za nią jakieś drugie dno.

– Wiem, że to lubisz. – Zaczესuję kosmyk włosów za ucho, krzyżując z nim spojrzenie.

– Po prostu zaufaj mi, dobrze? – pyta łagodnie, wyciągając dłoń, by spleść ją na stole z moją.

– Wiesz, że ci ufam – mówię cicho. – I wiesz, że cię kocham. Bardzo cię kocham, Aaron. I chociaż jestem przerażona, wiem też, że sobie poradzimy. – Nie spuszcza wzroku z jego przystojnej twarzy, na której teraz maluje się dziwne zaciekanie.

– Poradzimy – potwierdza szeptem brunet. – Tego możesz być pewna. – Unosi kącik ust, a uśmiech, którym mnie raczy, wydaje mi się odrobinę... mroczny.

– Jestem – odpieram ze spokojem. – Cieszę się, że się zmieniasz. Dla mnie. Dla nas – mówiąc to, dotykam swojego wciąż płaskiego brzucha. – To naprawdę dużo dla mnie...

Nie kończę. Nagle gubię oddech. W jednej sekundzie ogarnia mnie zamroczenie. Ten dziwny stan. Ten przedsmak najgorszych chwil, które przez kolejne lata będą nawiedzać mnie w najgorszych

koszmarach, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam.

– Love? – pyta ostrożnie Aaron.

Ale ja nie zwracam na niego uwagi. Nie gdy czuję paraliżujący skurcz w podbrzuszu. Ból promieniuje we wszystkich moich żyłach, dociera do serca, wprawiając je w szaleńcze kołatanie. Połykam łapczywie hausty powietrza, cały czas trzymając się za brzuch i modląc, by to za moment ustało. Te męczarnie. Te katusze. Te tortury.

Ale one nie ustają.

Dlaczego nie ustają?

– Wszystko w porządku? – Kolejne pytanie wypowiedziane przez Aarona tak niewzruszonym tonem słyszę jak przez mgłę.

Nie mogę mu odpowiedzieć. Nie gdy to tak bardzo boli. Gdy próbuję wstać na równe nogi, upadam na zimną podłogę. Połykam wdechy. Pociągam nosem. Jeszcze mocniej zaciskam dłoń na brzuchu, pragnąc jedynie, by ktoś zabrał ode mnie ten stan. Stan, w którym rozpadam się na maleńkie kawałki. Wszystko, co widzę, to rozmyte kolory. Wszystko, co mam w głowie, to jeden wielki bałagan.

– Aaron... – wykrztuszam z siebie płaczliwie, a ciepło gromadzące się pod powiekami staje się jeszcze bardziej nieznośne.

Nie mogę złapać tchu. Duszę się. Czuję, jakby niewidzialna pętla oplatała moje gardło. Podrywam głowę, by spojrzeć na Aarona zażawionymi oczami. Robię to, czekając na moment, w którym mi pomoże. Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, co się dzieje, bo mój ukochany nie robi nic. Tylko patrzy.

Dlaczego tylko patrzy?

– Ja... Boże, to tak boli. Pomóż mi, błagam – skomłę rozpaczliwie, wierząc się niespokojnie na zimnej podłodze.

Boli, boli, boli.

Nie widzę nic przez łzy. Nie czuję nic prócz rwącego bólu. Nie powstrzymuję pierwszego wrzasku, który odbija się echem od ścian rezydencji. Wiem, że wszyscy mnie słyszą. Służba, ochroniarze, mój Aaron. Ale czemu oni wszyscy udają, że w tym ogromnym domu właśnie teraz panuje cisza? Dlaczego wszyscy nagle ogłuchli?

Potrzebuję ich pomocy.

Potrzebuję pomocy kogokolwiek. Tak bardzo jej potrzebuję. Dławię się własną śliną, biorąc kolejne pospieszne wdechy. Jej struga ucieka mi kącikiem ust. Włosy przyklejają się do mojej twarzy, kiedy nadal wiercę się na podłodze, jakbym oszalała. Ale nie oszalałam. Przecież nie oszalałam. *Boli, boli, tak bardzo mnie boli.*

Kwilę żałością. Skomłę jak pies. Wyję jak wilk. *Niech ktoś to ode mnie zabierze. Niech ktoś zabierze ten ból.* Wciskam paznokcie w skórę tak mocno, jak tylko jestem w stanie. Ale nawet to nie przyćmiewa wrażenia, jakby ktoś wbijał mi noże w brzuch. Jakby ktoś skazywał mnie na najgorsze tortury. Chlipię głośniej. Płaczę rzewniej. Objam się o panele, jakbym popadła w prawdziwy amok.

– Przecież mówiłem, że znajdę rozwiązanie. – Ten głos. Ten męski zachrypnięty głos. Głos mojego Aarona, który teraz wydaje się tak bardzo rozmyty. Tak mało wyraźny. Ale słyszę go. Słyszę go, chociaż z perspektywy czasu tak bardzo nie chciałabym go słyszeć. – I je znalazłem. Chyba nie sądziłaś, że pozwolę, żebyś zjechała mi całą przyszłość, co?

Wydzieram się. Wydzieram się, a ten wrzask roznosi się po całym domu. Wypełnia przestrzeń. Odbiera mi siły. Nadal płaczę. Płaczę jak nigdy wcześniej. Chcę zniknąć. Zniknąć i już nigdy tego nie czuć. Wszystko mnie pali. Każdy mięsień. Każda kość. Wszystko mnie boli. *Co on mi zrobił? Co zrobił mi mój Aaron?*

Krztuszę się powietrzem. Brakuje mi tchu. Brakuje mi go, ale on wciąż patrzy. I mówi. Mówi te wszystkie okropne rzeczy:

– Chyba nie sądziłaś, że będziemy bawić się w wesołą rodzinę, co? – wypluwa oschle. – Nie martw się. Trochę zaboli, a potem przestanie. Przynajmniej będziesz czysta. Nie będziesz mieć w sobie żadnego pasożyta. Nie zamienisz się w tłustą beczkę. Oszczędzimy ci wstydu. Ludzie wytykaliby cię palcami, gdybyś łąziła wszędzie z brzuchem. Pomyślałaś o tym, gdy planowałaś, w jaką rodziną

sielankę zamieni się nasze życie? – Aaron parska śmiechem. – Naiwna. Zawsze byłaś tak kurewsko naiwna.

Nie wiem, co opuszcza moje usta. Nie wiem już sama, czy krzyk, czy kolejne rozpaczliwe zawodzenie. Moje maleństwo. Moja mała iskierka. Mój synek albo córeczka. Dlaczego podjął decyzję za nas oboje? Połykam łzy. Wplątam palce w ciemne włosy. Rwę je sobie z głowy, nadal nie mogąc wyrwać się z tego transu. Z tego obłapiającego zewsząd bólu. Zaciskam boleśnie powieki. Nie mam już sił, ale nadal płaczę. Tak gorzko. Tak rozpaczliwie. Tak bezradnie. Chcę coś zrobić. Chcę wstać. Przerwać to. Ale to nadal boli.

A on nadal mówi.

– To jedyna sensowna opcja. Zanim się obejrzysz, wszystko będzie takie, jakie było kiedyś. Nie będziemy musieli martwić się o jakiegoś bachora. A ty nadal będziesz *jakoś* wyglądać. To nam wyjdzie na dobre, kochanie – zapewnia mnie głosem pozbawionym emocji. – Ryczysz. Tak głośno ryczysz, ale po co? Służba nic nie robi. Nie są od tego, by wpierdalać się w nie swoje sprawy.

Przesuwam połamanymi paznokciami wzdłuż wewnętrznej części uda. Wrzask wydobywa się z mojej piersi tak szybko, jak na opuszkach palców dostrzegam ślady lepkiej krwi. Znowu się wydzieram. Znowu czuję wodospad łez na policzkach. To znowu boli. Ale bardziej. Jeszcze bardziej. Moje serce pęka na pół. Kruszy się w drobny mak, gdy panele pokrywa więcej krwistoczerwonych niewielkich smug. Krwawię. Tak bardzo krwawię.

– Jesteś *działną dziewczynką*, Love. W nagrodę kupię ci coś ładnego – mówiąc to, Aaron nagle wstaje. Ale ja na niego nie patrzę. Nie widzę nic przez łzy. Nie czuję nic prócz kolejnych skurczy. Zagryzam boleśnie wargę. Do krwi. Ale nawet to nie hamuje kolejnego wrzasku, który wydobywa się ze mnie niekontrolowanie.

Włosy mam posklejane od własnej śliny i łez. Usta popękane, a gardło zdarte. Krew. Wszędzie jest krew. Tak dużo krwi. Krzyczę głośno i rozpaczliwie. Wiję się na podłodze. Modłę o ratunek. Modłę o to, by moje maleństwo to wszystko wytrzymało. Nie wiem, kiedy zostaję zupełnie sama. Ale nawet gdy nie ma obok mnie *jego*, ból nie odchodzi. Zupełnie tak, jakby on go we mnie zaszczepił.

Skomlę. Zawodzę. Lamentuję na twardej podłodze, objając się boleśnie o panele. Jest mi niedobrze. Jest mi słabo. Tak przeraźliwie kręci mi się w głowie. Nie panuję nad swoim ciałem. Nad swoim sponiewieranym ciałem.

Wplątam dłonie w skołtunionie pasma. I płaczę. Skomlę, jakby ktoś wbijał mi brzytwy w każdy skrawek skóry. Krzyczę jak ktoś niepoczytalny, niewiele widząc przez łzy. Zdzieram gardło jak ktoś, kto jest bezradny, bezsilny, niezdolny do uratowania tego, co kocha. Wydieram się jak matka, która nigdy nie dostanie szansy na to, by przytulić maleństwo, które nosiła pod sercem przez kilkanaście tygodni.

Aż w końcu ogarnia mnie bierność i otępienie. Zastygam nieruchomo na zimnej podłodze i z wilgotnym policzkiem przyciśniętym do paneli oraz czarnymi włosami zachodzącymi na twarz po prostu odnajduję martwy punkt w ścianie, wgapiając się w niego bez żadnych emocji. Nie mam pojęcia, ile to trwa. Tracę poczucie czasu. W pewnym momencie po prostu rozluźniam mimowolnie dłoń zaciśniętą do tej pory w pięść. I już nie walczę.

Bo wiem, że już nie mam o kogo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY



RYDER

Krucha. Jest tak bardzo krucha. Nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że mogłaby rozpaść się w moich ramionach, gdybym tylko przyciągnął ją do siebie jeszcze odrobinę mocniej.

Love nie płacze. Już nie. Teraz po prostu wtula się w moją pierś, a jej policzki zdobią długie, czarne smugi pozostałe po makijażu. Wydaje się odrętwiała. Jakby wszystkie wypowiedziane przez nią kilkanaście minut temu słowa wysssały z niej całą energię. Jakby wspomnienia wpędziły ją w stan nudnej obojętności i marazmu.

Nie poruszam się nawet o cal. Siedzę w ciemnościach i ciszy na sofie obitej skórą. Trzymam w ramionach dziewczynę, której historia sprawiła, że nadal nie mogę otrząsnąć się po szoku, którego doznałem, gdy ją usłyszałem. Love straciła swoje dziecko. Straciła je w bestialski sposób. Kiedy już oswoiła się z myślą, że zostanie mamą, i zaczęła się z tego cieszyć, jej chłopak – osoba, której tak bardzo ufała – wbił jej nóż w plecy. Odebrał jej kogoś, na kim tak cholernie jej zależało.

I to jest naprawdę smutne. Bo nikt nie zasłużył na krzywdę, którą wyrządzono zaledwie siedemnastoletniej Love Porter. Przymykam powieki. Biorę bezdźwięczny wdech. Ponownie je uchylam, gładząc uspokajająco kciukiem niezakryte przez spódnicę partie jej uda. Robię to, myśląc, że nawet ta wiedza, którą dzisiaj otrzymałem, nie sprawiła, że spojrzałem na Love inaczej. Bo to nie była jej wina. Ale *on* wciąż wmawiał jej, że tak było.

Jedyne, co teraz czuję, to zwyczajne ludzkie współczucie. I niemoc. Bo chciałbym zabrać od niej te wspomnienia. Chciałbym, by nie pamiętała o tamtym dniu. Ale nie mogę, dlatego jedyne, co robię, to oferuję jej swoją obecność. Swoją troskę i całego siebie. A ona to wszystko przyjmuje. Błądzi paznokciem po mojej skórze, jakby tkwiła w jakimś transie. Czuję opuszki zimnych palców na kawałku klatki piersiowej odkrytym przez dwa odpięte guziki swojej czarnej koszuli. I jej oddech rozbijający się na mojej szyi. Delikatnie mnie łaskocze, ale siedzę nieruchomo. Pozwalam jej na cokolwiek tylko zapagnie.

– Powiedziałaś o tym rodzicom. Niedługo po tym, gdy to się stało.

Kiedy słyszę jej obojętny ton, moje serce zastęga w jednej sekundzie.

– Nie uwierzyli ci – wysnuwam wniosek.

– Nikt mi nie uwierzył, Ryder. – Love uśmiecha się smutno. Wygląda na tak zmarnowaną i bezbronną. A ten widok jedynie zaognia we mnie potrzebę chronienia jej. – Nikt. Tak po prostu... oskarżyli mnie o to, że kłamię i chcę zwrócić na siebie uwagę. Zniszczyć go. Zniszczyć Aarona. Dlatego wyjechałam. Bo nikt mi nie wierzył. Nikt mi nie pomógł. Byłam sama... sama jak palec. I wciąż czułam się winna.

Brunetka spuszcza wzrok. Szybko jednak podrywa głowę, by spojrzeć mi prosto w oczy.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo czułam się winna – dokańcza, biorąc krótki, nerwowy wdech, a ja ścieram kciukiem łzy, które wypływają spod jej powiek.

Złamana. Love jest tak bardzo złamana.

– To nie była twoja wina, Love. Nie mogłaś nic zrobić – odpieram łagodnie, czując załazek gniewu kiełkujący gdzieś we mnie. Jakim skurwielem trzeba być, żeby zrobić coś takiego przerażonej nastolatce?

– Jaka ze mnie matka? – zastanawia się na głos, na co przenoszę dłonie na jej biodra i przyciągam do siebie tak mocno jak to możliwe. Schowana w moich objęciach Love jedynie pociąga nosem, po czym dodaje: – Gdybym była bardziej czujna, ono by żyło.

– Skąd mogłaś wiedzieć, że ten sukinsyn podstępem cię czymś nafaszeruje? Jedyłą osobą, przez

którą to się stało, jest on. To on ci coś dosypał. To on to wszystko zaplanował. Nie miałaś o niczym pojęcia. Nie wiedziałaś. Nie mogłaś zrobić nic. Nic, Love – przekonuję ją łagodnym tonem.

– Ale ja...

Kręcę głową w geście protestu.

– Ty, mimo że miałaś jedynie siedemnaście lat, byłaś bardzo odważna. Nie myślałaś tylko o sobie. A on był po prostu tchórzem i egoistą – przerywam jej. – Potem wyjechałaś. Odcięłaś się. Podjęłaś najlepszą i bardzo mądrą decyzję, bo skupiłaś się na swojej przyszłości bez niego. Skreśliłaś go. Odważyłaś się go skreślić ze swojego życia. I to jest naprawdę godne podziwu. Rany, Love. Twoja odwaga tak bardzo mi imponuje.

Dziewczyna podrywa głowę, by móc objąć spojrzeniem moją twarz. Patrzy na mnie tak, jakby chciała upewnić się, że jestem z nią w stu procentach szczerzy. Ale jestem. Zawsze byłem. I zamierzam taki być. Love spotkała w swoim życiu już zbyt dużo fałszywych ludzi, by trafiać na kolejnych.

– Byłam... odważna – powtarza za mną.

– Odważna i dzielna. – Potwierdzam skinieniem głowy.

– Więc chcę być taka również teraz – mówi, a we mnie narasta дума. Cholera, ta dziewczyna jest naprawdę zdeterminowana, by wyrwać się ze swojego koszmaru. A ja zamierzam jej w tym pomóc. Bo Love Porter zasługuje na to, by żyć normalnie.

– Nie daj sobie nic wmówić. To nie ty doprowadziłaś do tego, co się stało – rzucam, głaszcząc palcami jej policzek.

– Nie dam sobie wmówić już nic więcej – stwierdza, przymykając powieki. Jest taka delikatna. Taka krucha i piękna. – Dziękuję ci.

Ściągam brwi w niezrozumieniu.

– Za co? – dopytuję.

Love otwiera oczy. Tak, jakby chciała, byśmy utrzymali kontakt wzrokowy akurat w tej sekundzie. Przejeżdżam powoli kciukiem po jej dolnej wardze. A ona unosi kącik ust w tak bardzo smutnym uśmiechu, że to rozrywa mnie na strzępy.

– Za to, że walczysz z moimi demonami. I za to, że jesteś w tym taki uparty. A najbardziej za to, że nadal patrzysz na mnie tak, jak patrzyłeś na mnie wcześniej. Dziękuję, Ryder – mówi, po czym całuje mnie w kącik ust.

Również się uśmiecham. I to także jest bardzo smutny gest. A kiedy mam pewność, że jej brązowe oczy skupiają się tylko na mnie, wyznaję szczerze:

– Nawet nie wiesz, jak bardzo wyjątkowa jesteś, Love.

Budzę się w tym samym miejscu, w którym zasnąłem, mając w ramionach Love. Na obitej skórą sofie, w jej salonie, nadal trzymając ją kurczowo przy sobie. Od razu spuszczam wzrok, by skontrolować, czy ona również śpi. Ale nie robi tego. Jedynie bacznie mi się przygląda.

– Dzień dobry – wita się ze mną i obdarza mnie delikatnym uśmiechem.

– Już rano? – pytam, ale zanim Love zdąży mi odpowiedzieć, zerkam w stronę okna i orientuję się, że słońce zaczyna pomału wschodzić.

Wypuszczam spomiędzy ust krótkie westchnienie, podczas gdy dziewczyna wstaje nagle na równe nogi. Wydaje się już nieco bardziej... pogodna.

– Pójdiesz ze mną? – pyta, a ja taksuję ją uważnym wzrokiem od stóp do głów. Love zdążyła się przebrać. Patrzę na swoją pomietą koszulę, w której i tak wygląda zajebiście dobrze. Na krótką, czarną spódniczkę i opinające zabójczo długie nogi białe podkolanówki. Na koniec zostawiam twarz, na której nadal maluje się nieme pytanie.

– Nie założysz na siebie nic więcej? – Unoszę leniwie brew, mimo wszystko podnosząc się z miejsca. – Powinnaś ubrać się ciepłej. Poranki wciąż bywają mroźne.

Kiedy stoję wyprostowany, góruję nad Love o niemalże trzydzieści centymetrów. Tyle w zupełności wystarczy, by dziewczyna musiała zadrzeć brodę w celu skrzyżowania ze mną spojrzenia. W jej oczach dostrzegam coś na kształt wyzwania.

Wyzwania, które, Bóg mi świadkiem, zawsze przyjmę, jeśli to ona będzie mi je rzucać.

– A ty zamiast martwić się, czy nie zamienię się w bryłę lodu, powinieneś głowić się, gdzie wyciągam cię o piątej nad ranem, wyglądając jak wiedźma z tymi rozczochranymi włosami. – Porter przewraca z rozbawieniem oczami.

A ten widok – jej trochę bardziej spokojnej i czującej się po prostu lepiej mimo smutnych wspomnień, którymi parę godzin temu się ze mną podzieliła – sprawia, że pewien rodzaj ulgi kiełkuje gdzieś w moim wnętrzu.

– Chyba nie sądziłaś, że najbardziej będzie zastanawiać mnie to, jaki cel zamierzasz obrać. Love. Mam to gdzieś – mówię zupełnie szczerze. – Pójdę z tobą dokądkolwiek tylko stwierdzisz, że pragniesz. Pod warunkiem, że będę pewien tego, że nie zamienisz mi się w bryłę lodu – zaznaczam z uniesionym lekko kącikiem ust i wyciągam dłoń, by zaczesać kosmyk czarnych włosów dziewczyny za jej ucho.

A kiedy ona też się uśmiecha, powoli kucam. Love patrzy na mnie z góry, wyraźnie zbита z tropu. Czuję na sobie ciężar jej spojrzenia, gdy bez pośpiechu chwytam pomiędzy palce obu rąk rąbek cienkiej podkolanówki, która nieco zsunęła się z nogi brunetki. Leniwym ruchem podciągam ją do góry, wsłuchując się w oddech dziewczyny, który nagle przyspiesza. Obserwując ją z dołu, uświadamiam sobie, że jeszcze nigdy nie klęczałem przed żadną kobietą.

Ale przed nią mogę klęczeć zdecydowanie częściej.

– Jesteś już pewien? – pyta zachrypniętym głosem, wplatając dłoń w moje włosy. – Jesteś pewien, że już nie będzie mi zimno?

Uśmiewam się szelmowsko, owiewając ciepłym oddechem wewnętrzną stronę jej ud. Z satysfakcją patrzę, jak ogarnia ją gęsia skórka. Równie powoli naciągam drugą podkolanówkę, a kiedy to robię, odpowiadam:

– Nie w stu procentach.

Love przetyka ślinę, podczas gdy ja niby przypadkiem przesuwam palcami w górę, wzdłuż jej uda, unosząc przy tym materiał spodniczki. W pewnym momencie wycofuję jednak rękę, otrzymując w zamian połowicznie zdławione w płucach kobiece westchnienie.

Patrzę na nią tak samo uważnie jak wcześniej i nie uciekam wzrokiem nigdzie indziej, sięgając po zawieszoną na oparciu krzesła moją bluzę. Nie zastanawiam się, jakim cudem się tutaj znalazła. Po prostu zakładam ją na Love, która uśmiewa się naprawdę słodko.

– A teraz? – Przechyliła lekko głowę, zjeżdżając spojrzeniem na moje usta.

– Nie – odpowiadam stanowczo, ale ona nic sobie z tego faktu nie robi, gdy odsuwa się gwałtownie i parska dźwięcznym śmiechem.

– Ryder, nie tatuśkuj mi aż tak. Wychodzę tylko na taras – rzuca, posyłając mi znaczące spojrzenie. Zanim zdążę zrobić jeden długi krok i porwać ją w ramiona, ona robi unik. Znowu się odsuwa i tym razem szczerząc się jak głupia, wybiega tam, gdzie planowała. – I... nie bierz sobie tego do serca. – Widzę, jak wychyla głowę zza framugi drzwi. – Lubię, gdy mi tak tatuśkujesz. – Po tych słowach ta zołza puszcza mi oczko i ponownie znika.

Wzdycham męczeńsko, a potem wsuwam dłonie do kieszeni spodni i ruszam za dziewczyną. Zastaję ją rzeczywiście na tarasie. Tyle że po mojej stronie. Kieruję się więc w stronę furtki, która prowadzi do lasu rozpościerającego się pod bliźniakiem. Potem przechodzę przez swoją i od razu dostrzegam Love, która leży na plecach na jednym stopniu schodów prowadzących na ogród.

– Zamierzasz tak leżeć? – pytam bezpretensjonalnie, siadając po chwili obok niej. Opieram wyprostowane ręce za plecami i chwytam pierwsze promienie wschodzącego słońca, patrząc wprost w niebo. Nie trwa to jednak długo. Bo szybko koncentruję całą swoją uwagę na dziewczynie, która zmienia pozycję i kładzie swoją głowę na moich nogach.

– Zrelaksować się – odpowiada, jak gdyby nigdy nic, przymykając powieki.

Zaciągam się świeżym powietrzem i wyciągam dłoń, by przesunąć opuszkami palców po jej skroni. Przez chwilę tak po prostu trwamy na stopniach schodów, milcząc i napawając się chwilą.

– Zamierzasz mnie tak obserwować? – Delikatny uśmiech wykwita na jej twarzy, co od razu zauważam.

– Upewniać się.

Love otwiera oczy i bierze krótki wdech, a potem zaczyna z przekonaniem:

– Naprawdę nie jest mi zimno, więc...

– Nie w tym zamierzam się upewniać – przerywam jej i w tej samej sekundzie nasze spojrzenia krzyżują się ze sobą.

– Więc w czym?

– W przekonaniu, że cię kocham, Love.

Brunetka rozchyła powoli usta, co jedynie utwierdza mnie w myśli, że moje słowa zrobiły na niej wrażenie. Nie spuszczam z niej wzroku, kiedy wciąż lekko oniemiała bardzo powoli podnosi się do siadu, a potem patrząc mi prosto w oczy, kładzie dłoń na moim policzku.

Bez słów głaszcze go kciukiem, a potem przejeżdża opuszkami palców w dół, aż do mojej szyi. Moja grdyka drży niespokojnie, kiedy Love zahacza paznokciami o kołnierz koszuli. Robi to do przesady leniwie, zanim zjeżdża dłonią niżej i gwałtownie sięga po mój krawat, by szarpnąć za niego i przyciągnąć moją twarz bliżej swojej.

Nagle zderzenie naszych warg może prowadzić tylko do jednego. Nie próbuję się opamiętać, nie jestem pewien, czy w sekundzie, kiedy mam dla siebie słodkie usta Love, mógłbym chociażby spróbować się od nich oderwać. Pogłębiając pocałunek i przejmując nad nim pełną kontrolę, kładę dłonie na nagich udach dziewczyny, podczas gdy ona wślizguje się na moje kolana, nadal zaciskając palce na tym cholernym krawacie.

Wzmacniam uścisk na zgrabnych nogach, wrywając sobie spomiędzy ust Porter ciche sapnięcie. To rozplywa się gdzieś w rześkim powietrzu, kiedy znowu ją całuję, uprzednio przejeżdżając prowokująco językiem po jej dolnej wardze i wywołując na jej twarzy uroczy uśmiech. Drobnie ciało coraz śmielej napiera na moje, dopóki brunetka nie odsuwa się ode mnie w pewnej sekundzie i wstaje na wiotkich nogach. Wypuszczam ciężki oddech i patrzę, jak dziewczyna wyciąga w moją stronę dłoń. Zdezorientowany przyjmuję ją i pozwalam, by zaczęła ciągnąć mnie w stronę domu.

– Gdzie... – chcę zapytać, ale zanim zdążę dokończyć, Love zauważa:

– Podobno cię to nie obchodzi, tak? – Unosi brew, nadal ciągnąc mnie w stronę wnętrza. Kiedy jesteśmy już w środku, Porter popycha mnie delikatnie na ścianę, a potem wspina się na palcach, chwytając w drobne dłonie moje policzki i patrząc mi prosto w oczy, wyznaje szeptem:

– Ja też. Też cię kocham, wiesz?

Oblizuję wargę i nachylam się nad nią bardziej, tak że nasze czoła się ze sobą stykają. Oboje nadal dyszymy, uspokajając oddechy. Przymykamy powieki tylko po to, by znowu je uchylić i spojrzeć sobie prosto w oczy.

– Więc podaruj mi siebie – mówię zachrypniętym głosem. – Całą.

Po tych słowach zamykam w uścisku dużych dłoni jej talię i przyciągam ją do siebie tak, że jej ciało zderza się gwałtownie z moim. Stapiamy się w jedność, jej biust przylega do mojego torsu, jej podbrzusze do mojego krocza, jej usta do moich ust. Inicjuję krótki pocałunek, spijając z jej warg kolejne ciche westchnienie.

– Zrób to na zawsze, ale tylko pod warunkiem, że to uczyni cię szczęśliwą, a nie dlatego, że masz wrażenie, że jesteś mi coś dłużna – dokańczam szeptem, owiewając wciąż niespokojnym oddechem pełne, już nieco napuchnięte usta Love.

Ona jedynie uśmiecha się zupełnie szczerze i pomiędzy kolejnymi wdechami mówi:

– Stawiasz warunki. Uwielbiasz to robić.

– Odpowiedz mi.

Love mocniej ściska dłońmi moje policzki, a potem zaczyna gonić za moimi ustami, ruszając się jednocześnie z miejsca. Zaraz potem, kiedy jesteśmy już wystarczająco blisko, popycham ją delikatnie na kanapę. Słyszę, jak opada na nią plecami z cichym łoskotem, ale to odgłos ocierających się o siebie w potrzebie warg sprawia, że powoli staję się boleśnie twardy. Całujemy się zażarcie i wygłodniałe, tak jakby kierował nami tylko zwierzęcy instynkt. Nie wiem nawet, kiedy moja ręka zjeżdża na pośladek dziewczyny i ściska go mocno. W tej samej chwili Love wypuszcza spomiędzy ust krótki jęk, po czym gwałtownie łapie oddech.

– Tak długo, jak będę twoja, będę również szczęśliwa – odpowiada mi w końcu zdyszana. –

Dlatego tego chcę. Chcę, byś patrzył na mnie i wiedział, że jestem twoją kobietą, Ryder. Chcę spełniać z tobą wszystkie naiwne marzenia. Każde jedno. Każde – podkreśla, a ja przesuwam spojrzeniem po jej zarumienionej twarzy.

Robię to z wiedzą, że jest moją kobietą.

Love Porter jest moją kobietą.

– Zamyśliłeś się – zauważa dziewczyna, uśmiechając się lekko.

– Wpadłem w trans.

Duże, brązowe oczy patrzą na mnie uważnie, podczas gdy ich właścicielka pyta:

– Zaczarowałam cię?

Przybliżyłam usta do jej szyi i znaczę jej skórę kilkoma krótkimi buziakami. Love jedynie wzdycha z rozmarzeniem i unosi biodra, ocierając się o moje krocze. Zupełnie mimowolnie kąsam ją wtedy w ramię, bo, och, kurwa. Dawno nie byłem tak podniecony. Tego poranka mógłbym zrobić z Love wszystko. Mógłbym się z nią kochać, bzykać, a potem nawet porządnie ją pieprzyć, jeśli właśnie tego by pragnęła.

– Oczarowałaś w nocy, kiedy przekląłem cię przynajmniej dwanaście razy, a potem wpadłem do twojej sypialni z zamiarem zrobienia porządku z nieznośną sąsiadką – stwierdzam szczerze, wspominając nasze pierwsze spotkanie.

Leżąca pode mną Love zagryza wargę, by powstrzymać cwaniacki uśmieszek.

– Chciałeś zrobić ze mną porządek? – pyta.

Kręcę głową niemalże natychmiast.

– Chciałem mocno sprać ci tyłek.

– Szkoda, że skończyło się na słownej potyczce.

I tym razem ta zołza nie umie już powstrzymać uśmiechu. Po prostu raczy mnie nim nieświadoma, że ujrzę w tym geście nieme wyzwanie. Zaciskam usta w wąską linię i nachylam się nad jej uchem, przy okazji ocierając się wzwodem o wewnętrzną stronę kobiecych ud.

– Kurwa, nie uśmiechaj się tak słodko, kiedy twierdzisz, że wolałabyś dostać klapsa – wyrzucam z siebie rozkaz, który, o zgrozo, nie zostaje potraktowany tak poważnie, jak rzeczywiście powinien.

– Ponieważ?

– Ponieważ to mnie zachęca. A tak się składa, że jestem podatny na takie zachęty – dokańczam tonem, który wciąż nie uświadamia Love, na jak cienkiej krawędzi balansuje. Mało tego, ta bestia uśmiecha się jeszcze szerzej i jeszcze bardziej niewinnie.

Nie. Rzucaj. Mi. Wyzwań.

Biorę szybko wdych nosem i silnym szarpnięciem obracam ją z łatwością na brzuch. Z krótką, czarną spódniczką radzę sobie równie prędko i obniżam ją razem z majtkami gwałtownym pociągnięciem do połowy ud. Love drży, gdy wymierzam jej lekkiego klapsa w tyłek.

– Rany... – wzdycha, kiedy przejeżdżam palcami w dół, wzdłuż wewnętrznych partii jej ud. Doskonale czuję, jak jej centrum pulsuje w potrzebie, gdy przypadkiem zahaczam o nie palcami.

Wstaję i patrzę z góry na dziewczynę, której policzki nie oblewa już róż, a dorodny szkarłat. Powolnym krokiem kieruję się w stronę przedpokoju. Tam znajduję w kieszeniach jednego z płaszczy gumki. Biorę je i wracam do Love, która leży już na plecach i obserwuje mnie iskrzącymi z podniecenia oczami, gdy otwieram opakowanie prezerwatywy zębami.

Bez słów podchodzę do kanapy, na której leży. Niezgrabnie poluźniam krawat i się go pozbywam. W następnej kolejności odpinam rząd guzików koszuli i zsuwam ją z barków. Po chwili materiał ląduje na panelach, a ja stoję już nad również milczącą Love.

Siadam tam, gdzie wcześniej. Zaciskając palce na kolanach brunetki, rozdzielam powoli zgrabne uda. Love zaciska powieki, kiedy obsypuję ich wewnętrzną część muśnięciami wilgotnych ust, zmierzając wprost do pulsującej kobiecości. W pewnym momencie podrywam głowę. Duże, brązowe oczy patrzą wprost na mnie.

Unoszę kącik ust i odsuwam się nieco tylko po to, by wysunąć ze szlufek skórzany pas i później pozbyć się już wszystkich ubrań. Zagęszczam ruchy. Jestem już cholernie twardy, a niema prośba, którą dostrzegam w oczach Love, jedynie bardziej mnie podnieca. Zakładam prezerwatywę. Znowu tkwię nad

nią. A ona tylko patrzy na mnie, kiedy zaciskam dłoń na jej biodrze i zaczynam powoli wypełniać ją całym swoim rozmiarem.

Dziewczyna bierze głęboki wdech nosem, podczas gdy ja nadal powoli ją sobą rozciągam. Dopiero gdy upewniam się, że wszystko gra, wycofuję biodra nieco śmieiej i znowu wchodzę w nią, tym razem szybciej i głębiej. Scałowuję z jej ust pierwszy jęk, a Love kładzie obie dłonie na moich bicepsach, pomiędzy którymi jest uwięziona.

– Przeraza mnie to, jak bardzo uderza we mnie świadomość, że cię mam – wykrztuszam z siebie przed kolejnym pchnięciem i składam krótki pocałunek na jej szyi. – Mam to. To, to i to. – Kolejne muśnięcia ust lądują na jej brodzie, policzku i skroni. – Wszystko. Mam każdą cząstkę ciebie. Kurwa, Love. Mam wszystko, co kocham i chcę kochać mocniej – dodaję, a ona jedynie znowu obejmuje dłońmi moją twarz i przyciąga mnie do pocałunku.

Struga potu spływa po moich plecach, gdy nie przestaję energicznie się w niej poruszać. Odgłos ocierających się o siebie spoconych ciał jeszcze bardziej mnie nakręca. W pewnej chwili czuję, jak dziewczyna krzyżuje kostki za moimi łądzwiami, próbując sprawić, bym znalazł się jeszcze bliżej niej. W pośpiechu odpinam dwa pierwsze guziki własnej koszuli, która nadal tkwi na Love, i dobieram się do jej piersi, otrzymując w zamian cichy jęk.

Moja dłoń nie przestaje prześlizgiwać się po jej zgrabnym ciele. Usta – poszukiwać jej warg, spomiędzy których wypada coraz więcej krótkich sapnięć. Przyśpieszam tempo i napieram na nią mocniej. Czuję, jak drży pod moim ciężarem. Jak wzmacnia uścisk drobnych dłoni na moich napiętych bicepsach.

Wypuszczam ciężki oddech i zwalniam dopiero, gdy orientuję się, że Love już prawie osiąga szczyt. Moje ruchy są wolniejsze, ale bardziej dokładne. Wypełniam ją do samego końca, a na jej twarzy maluje się załazek grymasu zapewne spowodowany bólem przyćmionym przez czyste zadowolenie. Kładę dłoń na jej policzku, a ona posyła mi uroczy uśmiech.

Dopiero po trzech powtórkach opadam plecami na kanapę i przyciągam do siebie zmęczoną Love. Moja skóra lepi się od potu, zupełnie tak jak jej, kiedy trzymam ją przy sobie wykończony poranną i naprawdę porządną rozgrzewką z niegdyś naprawdę irytującą sąsiadką.

Zerkam na dziewczynę, która wpatruje się we mnie, milcząc.

– Zamyśliłaś się – zauważam słusznie.

– Teraz to ty mnie oczarowałaś – wzdycha, a potem ściąga brwi. – Co to jest? – pyta zaciekawiona, sięgając po niewielkie białe pudełko owinięte tego samego koloru wstążką, znajdujące się na stoliku kawowym.

– Prezent – odpowiadam zachrypniętym głosem, patrząc, jak jej oczy błyszczą coraz intensywniej. – Ode mnie dla ciebie.

Love z wyraźnym zniecierpliwieniem wymalowanym na twarzy rozwiązuje wstążkę. Już po chwili trzyma w drobnej dłoni kulę śnieżną, w której tkwi baletnica wykonująca piruet.

I gdy jej uśmiech staje się naprawdę szeroki, nie umiem już dłużej powstrzymać własnego.

Późnym wieczorem zjawiam się na parkingu za budynkiem, w którym znajduje się lokalne kino. To tutaj umówiłem się z Love. Przez śnieżycę, która przechodzi dzisiaj nad Aspen, miałem zgarnąć ją od razu po tym, jak skończę sesję z ostatnim pacjentem.

Parking jest pusty, co podpowiada mi, że moja zguba albo jeszcze nie wyszła z budynku, albo skryła się przed gównianą pogodą w środku. Z takim przecuciem gaszę silnik, a potem wychodzę pośpiesznie z range rovera, by udać się na zaplecze kina, gdzie zapewne znajdę Porter.

– Love już gotowa? – pytam Kaydena, którego spotykam tam jako pierwszego.

Graves, który właśnie narzuca na siebie kurtkę, patrzy na mnie jak na skończonego idiotę.

– Przecież wyszła parę minut temu – mówi całkowicie poważnie. – Nie minęliście się? Gdy wychodziła, wspominała, że umówiliście się na parking. Nie poszłyby do domu pieszo w taką pogodę.

Marszczę czoło, wyciągając z kieszeni telefon.

Co, do diabła?

– Nie było jej tam – odpowiadam zbity z tropu. – Zadzwoń do niej.

Ten zamiar kończy się fiaskiem, bo po sześciu sygnałach kończę połączenie. Próbuję jeszcze raz. I jeszcze jeden, dopóki nie uświadamiam sobie, że nie ma to sensu. Przeklinam w duchu, a potem, nie mówiąc nic, pospiesznie ruszam w stronę przejścia prowadzącego na parking.

– Love? – wołam w przestrzeń, ignorując śnieg, który sypie wprost na moją twarz i ogranicza mi widoczność. Słyszę gdzieś obok nawoływanie Kaydena. Czuję niepokój przepływający przez każdą pojedynczą żyłę i obawę, której nie jestem w stanie w sobie zdusić. – Love?! – krzyczę po raz kolejny, ale ponownie odpowiada mi cisza.

Tego wieczora nie odnajduję swojej Love.

EPILOG



LOVE

Budzą mnie kroki. Głośne, ciężkie kroki stawiane w leniwym tempie, zapewne przez mężczyznę. Otwieram powoli oczy. Szybko mrużę je, gdy tylko dostrzegam otaczającą mnie zewsząd biel. W ogromnym pomieszczeniu, w którym się znajduję, jest bardzo jasno. Minimalistycznie i wręcz sterylnie. Błądzą wzrokiem po cedrowych meblach i mosiężnych ozdobach. Po zasłonach podrygujących w powietrzu. Po dużych oknach, za którymi rozpościera się obraz bezchmurnego nieba. Wszystko jest tutaj takie... nierealne. Anielskie.

Gdzie ja jestem? I jak się tutaj znalazłam? Ostatnie, co pamiętam, to parking pod kinem. A potem ciemność. Wszechobecna i złowróżbna.

Podrywam się do siadu. Kroki nie ustają. Stają się jeszcze bardziej wyraźne. A mnie nagle ogarnia panika. Paskudna, paraliżująca panika. Bo szybko odnajduję w pamięci wszystkie wspomnienia. Szybko wszystko sobie przypominam. Jasne ściany. Cedrowe meble. Mosiądz. Zapach drewna. I *on*.

On, on, on.

Przełykam głośno ślinę. Nie, to nie może się dziać. To musi być sen. Kolejny koszmar. To nie może być prawda. Ściskam pomiędzy palcami nieskazitelnie białą pościel, w której wciąż jestem zaplątana. Nie mogę złapać tchu. Nie mogę zrobić nic, gdy nagle ktoś naciska na klamkę drzwi. Kręci mi się w głowie. Tak bardzo kręci mi się w głowie.

Nie, nie, nie.

Długie i przedłużone skrzypnięcie przeplata się z odgłosem mojego kołatającego serca, przypinając mnie o ucisk w podbrzuszu. Tkwię w próżni. Tkwię w transie, kiedy *on* wchodzi do pomieszczenia. Wchodzi do niego, po czym zamyka drzwi.

A potem wsuwa dłonie do kieszeni garniturowych spodni i opiera się nonszalancko ramieniem o ścianę. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczę. Nie wyobrażałam sobie momentu, w którym nasze ścieżki ponownie się ze sobą splecą. A jednak... jednak los postanowił ponownie ze mnie zadrwić.

Drzę. Drzę, gdy *on* wodzi spojrzeniem po moim ciele. Aaron wygląda tak samo, jak go zapamiętałam. Czarne włosy ma zaczesane do tyłu. Szare oczy pozostały puste i bez wyrazu. Uśmiech. Ten niejednoznaczny, kpiący uśmiech. I nienaganny, elegancki wygląd. Nieskazitelnie biała koszula opinająca wysportowane ciało. Garniturowe spodnie. Aaron dorósł. Zdecydowanie zmężniał przez te lata. A teraz porwał mnie do swojej rezydencji, jakbym była jego własnością.

On nigdy mi nie odpuści.

Patrzmy na siebie w milczeniu. Bez słów. Bez żadnych słów. Chcę zapytać dlaczego. Chcę zażądać, by dał mi spokój. Wypuścił i pozwolił odejść. Chcę powiedzieć tak wiele. Chcę zrobić tak wiele, ale gula w gardle nie pozwala mi wydobyć z siebie choćby zlepku zgłosek. Czuję, jak trzęsą mi się dłonie. Jak rwący ból promieniuje przez wszystkie moje żyły. I jak wzbiera we mnie panika.

Chcę wrócić do Rydera. Chcę wrócić do mężczyzny, którego tak przeraźliwie mocno kocham.

Ciepło gromadzi się pod moimi powiekami. Bo *on* wciąż patrzy. Aaron nadal na mnie patrzy. Ściskam znowu pomiędzy palcami miękkiego materiału pościeli. I zaskakuję samą siebie, gdy udaje mi się wykrztusić ciche:

– Czego ty jeszcze ode mnie chcesz? – Mój głos łamie się nieznacznie.

Aaron wzdycha. Uśmiecha się szerzej. Odbija się od ściany, a ja mimowolnie wypuszczam spomiędzy ust drżący oddech. Moje serce bije jak szalone. Mężczyzna zmniejsza dzielącą nas odległość. I kiedy przy mnie kuca, pierwsza samotna łza spływa po moim bladym policzku.

– Och, złotko. Przecież wiesz, czego chcę. I wiesz również, że jeśli czegoś chcę, po prostu to

sobie przywłaszczam. – Znowu ten głos. Ten zachrypnięty, gardłowy głos.

I dotyk. Paraliżujący. Pewny oraz władczy. Aaron wyciąga dłoń w moją stronę. Pasma moich ciemnych włosów prześlizguje się przez jego długie, smukłe palce. Aż w końcu mężczyzna oplata sobie nimi przegub.

Robi to tylko po to, by pociągnąć mocno za pukle i tym samym zmusić mnie, bym się do niego zbliżyła. Robi mi się niedobrze. Nasze usta dzielą milimetry. Strach gromadzi się w każdej komórce mojego ciała, a kolejne łzy spływają mi po policzkach.

Odejdź. Odejdź, błagam.

Oddech Aarona owiewa moją twarz. Rozbija się na ustach. Przyprawia mnie o dreszcze. Przymykam powieki, nie chcąc widzieć tych znajomych oczu. Tych paskudnych oczu.

I kiedy płaczę coraz rzewniej, słyszę jego odpowiedź. Odpowiedź, która sprawia, że moje serce znowu kruszy się na milion maleńkich kawałeczków:

– Będziesz doprawdy piękną panną młodą, Love...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

PLAYLISTA:



I Wanna Be Yours – Arctic Monkeys

Daddy Issues – The Neighbourhood

The Scientist – Coldplay

If You Want Love – NF

Can We Kiss Forever? – Kina, Adriana Proenza

Give Me Love – Ed Sheeran

Broken – Isak Danielson

Another Love – Tom Odell

Angel Baby – Troye Sivan

Tribulation – Matt Maeson

Let It All Go – Birdy, Rhodes

PODZIĘKOWANIA



Dla dwunastu cudownych patronek, które zdecydowały się wziąć historię Love i Rydera pod swoje skrzydła.

Dla moich wspaniałych czytelników, którzy nawet nie wyobrażają sobie, jak mocno ich kocham.

Dla Zuzi, Nikoli, Olgi oraz Julii, które są dla mnie największym wsparciem.

Dla mnie samej – za siłę, dzięki której z każdej najgorszej lekcji zdołałam wydobyć nauzkę i wpleść ją w tę historię.



¹ E.T.A. Hoffmann, *Dziadek do orzechów*, tłum. J. Kramszyk, Warszawa 1954 (przyt. aut.).

² E.T.A. Hoffman, *Dziadek do orzechów*, dz. cyt. (przyt. aut.).